

ŚWIAT, DO KTÓREGO BOISZ SIĘ ZBLIŻYĆ.



JAKUB CHARON

# TOPFEM

NIEBEZPIECZNY. SZOKUJĄCY. PRAWDZIWIY.

FILM W KINACH OD 24 LISTOPADA

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

\*

Część I. DZIKI

Część II. UPADEK

Wydawca

*Joanna Laprus-Mikulska*

Korekta

*Jadwiga Piller*

*Katarzyna Bielawska-Drzewek*

Copyright © by Jakub Charon 2017

Copyright © for this edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2017

Świat Książki

Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Łamanie

Avanti

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl) tel. 22 733 50 10

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-359-0

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Myjnia mieściła się na obrzeżach Nowej Huty. Brama wychodziła na wąską ulicę biegnącą wzdłuż osiedlowych garaży. Niski kryty papą budynek, wciśnięty między kilkunastopiętrowe bloki a dwupasmówkę w dole, za którą rozciągał się pusty teren nierówny od spiętrzonej ziemi, wykopanej pod niezrealizowane inwestycje.*

*Hiro dzierżawił ją od właściciela, który poniżej miał warsztat z wulkanizacją. Myjnia posiadała dwa stanowiska i zaplecze podzielone na biuro i pokój socjalny. Hiro wstawił do niego kanapę i fotele z likwidowanego klubu go-go w kremowym, przybrudzonym kolorze. W rogu przy suficie zamontował telewizor. Biuro wyposażył w podłużny blat na wysokim stelażu i aneks kuchenny. Zadbał o pierwszy legalny biznes w swoim życiu.*

*Zatrudniał dwóch pracowników na stałe i dorywczo małych z osiedla, ale z nimi zawsze były problemy. Kradli, straszili klientów, a Hiro chciał mieć renomę. Wspólnik go zostawił, poszedł w narkotyki. Zmienił samochód, nosił klamkę i wkładał ją ludziom do ust. Zerwali kontakt. Hiro poznał dziewczynę. Były mąż nie dawał jej żyć. Jak się upił, przychodził do niej z siekierą. Pewnego dnia przyszedł i zastał Hiro. Potem już tylko dzwonił. Raz na kilka miesięcy. Groził, że ją zabije. Nagle przestał. Zniknął z ich życia. Ona nie zadawała pytań, a Hiro obiecał sobie, że skrzywdził kogoś po raz ostatni.*

*Dla niej zmienił styl. Zrzucił ze dwadzieścia kilo. Soczewki zastąpił okularami w modnych oprawkach. Zapuścił włosy na kilka milimetrów, żeby schować bliznę od ciosu maczetą. Po roku urodziło się dziecko i musiał załatwić dodatkową pracę. Zatrudnił się w zakładzie pogrzebowym, bo myjnia słabo prosperowała. Za dnia kopał groby i czyścił trupy, wieczorem jechał na myjnię, liczył utarg, a nocami stał na bramkach. Przerzucali go z miejsca na miejsce. Rzadko się bił, bo miał renomę. Słuchał, co dzieje się na mieście. Przysypiał po kątach. Wielokrotnie złamana przegroda nosowa utrudniała mu oddychanie. Chciał ją zoperować, ale problem stanowiła kasa.*

*Zawsze kasa. Mieli ją właściciele klubów. Biznesmeni, z których ściągał długi. Nawet dziwki ją miały. Hiro wiecznie liczył cudze pieniądze. Swoje po prostu wrzucał do kieszeni.*

*To on dał Dzikiemu robotę, jak ten wyszedł z więzienia i plątał się po mieście, próbując się gdzieś zahaczyć. To był jego drugi wyrok, dostał pięć lat. Wcześniej odsiedział pół roku za znęcanie się nad zwierzętami. Wykonywał zlecenie na antyki. Przeszukał dom i znalazł klatkę z papugami. Wsadził do plecaka kilka pozłaczanych świeczników, a papugi przywiązał sznurkiem do motocykla, myśląc, że polecą za nim jak balony. Jak gliny go zatrzymały kilka kilometrów dalej, okazało się, że ptaki zabił pęd powietrza. Dziki ciągnął je za sobą po asfalcie, martwe łyse korpusy z połamanymi skrzydłami. Gdy zobaczył, co zrobił, uklęknął nad nimi i rozplakał się jak dziecko.*

*Więzieniem nazywał bezpłatną klinikę odwykową. Detoks, siłownia, regularne posiłki. Jak wyszedł, znowu zaczął wciągać. Mówił, że nadrabia stracony czas. Wyliczył, że odbije sobie połowę, nie śpiąc nocami. Dlatego potrzebował paliwa. Ale to tak nie działa. Prędzej czy później dopadnie cię zmęczenie.*

*Jak zaczynał robotę, ważył sześćdziesiąt kilo. Po miesiącu schudł jeszcze pięć. Miał puste spojrzenie i dłonie starego człowieka zakończone zgrubiałymi paznokciami, pod którymi ciągle zbierał się brud. Mówił cichym głosem. Gubił wyrazy. Często potakiwał, bardziej po to, by przetłumaczyć sobie, że słusznie postępuje, odwalając tę mało płatną robotę, która miała z niego uczynić lepszego człowieka. Pod strumieniem wody z karchera przewijały się luksusowe samochody ludzi z półświatka. Klepali go po plecach, dawali dobre napiwki. Potem pojawiła się Dagmara i wyciągnęła go na powierzchnię, ale tam był świat, do którego on już nie należał.*

*W więzieniu się nie rozwijasz. Nie dorastasz. Więc jak trafisz tam jako dziecko, wyjdiesz jako dziecko. Z pękniętym sercem.*

CZEŚĆ I



**CZEŚĆ I**

# 1

Na bramce zawsze były problemy. Zwłaszcza w takim interesie, jaki prowadził Olaf. W więzieniu poznał Serba, który sprzedał mu ten pomysł, zagwarantował opiekę i załatwił kasę na rozruch. Olaf miał tylko znaleźć odpowiedni lokal i dbać o przepływ gotówki. Zostało mu kilka dziewczyn z czasów, jak prowadził burdel. Niektóre musiał ściągnąć z ulicy i wysłać na odwyk. Wróciły do niego, bo mógł im zapewnić dach nad głową. Wynajął trzypokojowe mieszkanie w kamienicy na Podgórzu i wprowadziły się do niego. Olaf już wtedy mocno walił w żyłę i wszystko przestawało go obchodzić. A przepływ gotówki się zgadzał.

Połowa z nich tańczyła w klubie, druga jeździła na prywatne mieszkania. Była jeszcze trzecia kategoria, spoza środowiska. Dziewczyny, które polowały na klientów. Znały po kilka języków i były świetnymi aktorkami. Włóczyły się po Rynku, udając pijane studentki. Ich celem byli tylko zagraniczni turyści. *Cześć, we wanna party. Ty też? Nie, nie jesteśmy stąd.* Szukamy jakiegoś cool lokalu, po chwili szukali wspólnie. Wybór padał na Liquid. Klientowi nie przeszkadzało, że klub jest pusty. Spływał w kierunku łoży, gdzie błyszczące usta zamawiały dwie serie drinków, na koniec butelkę wódki i chłop był udupiony, bo nie zaglądnął wcześniej do menu i nie sprawdził, ile to wszystko kosztuje.

Większość się wyklócała, byli też tacy, co płakali, czołgali się po podłodze. Bramkarze mieli dwa zadania – powstrzymać ich przed wyrządzeniem szkód i dopilnować, by uregulowali rachunek, w większości jednak przypadków ich praca polegała na kilkugodzinnym niańczeniu wakacyjnego bankruta.

Klub mieścił się w piwnicach kamienicy przy Rynku Głównym. Miał dwa poziomy. Wejście znajdowało się w oficynie. Korytarz wychodził na zatłoczoną ulicę. Czerwony dywan, który miał się dobrze komponować z fioletowym światłem ledowych lamp, spleśniał i niemal wsiąkł w wyslizgane

kafelki. Hokery postawili blisko wyjścia, żeby nikt ich nie zaskoczył.

– Idą – powiedział Morfina.

Trzy dziewczyny zmierzały udawanym chwiejnym krokiem w stronę klubu. Wlokły za sobą pijanego Angola, który co kilka kroków przystawał, machając ręką przed twarzą, jakby odpędzał niewidzialną przeszkodę. Dziewczyny śmiały się, jedna ciągle szeptała mu coś do ucha, zahaczając o nie delikatnie językiem. Morfina przysiadł na hokerze i splótł dłonie między udami. Dziki wyprostował się i odwrócił wzrok, jakby nie chciał uczestniczyć w tej zabawie.

Olaf wymagał od swoich pracowników prezencji, więc Dziki musiał kupić garnitur. Wybrał nieco większy rozmiar i zakładał pod koszulę bluzę, żeby optycznie dodać sobie kilka kilo. Zawsze przygarbiony spinał mięśnie karku, żeby zlały się z drobną czaszką.

Przeważnie stał z Morfiną, który połowę życia przerobił na bramkach. Kluby, burdele, dyskoteki na wsiach. Za gówniarza biegał z Cracovią, potem się odciął, miał kilka biznesów, wszystkie padły. Olaf był z tego samego osiedla. Jak wyszedł, wciągnął go w biznes i odtąd Morfina stał się kimś na wzór jego prywatnego ochroniarza. Doglądał biznesu pod jego nieobecność. Miał kontakty na mieście wśród starej gwardii, w każdym momencie mógł zorganizować ekipę. Gówniarze go szanowali. Dziki zastanawiał się, czym sobie na to zasłużył. Chodziły legendy, że kiedyś był z niego niezły wariat. Biegał z maczetą, podpalał lokale. Był jednym z pierwszych, którzy zapoczątkowali w mieście rządy chuliganów. Teraz miał trzydzieści osiem lat i lekką nadwagę od sterydowych kuracji. Anaboliki zaburzyły mu gospodarkę hormonalną i ciągle zmagął się z otyłością. Trzymanie swojego ciała w sprawnej kupie było jednym z jego głównych zajęć. Wiedział, że jeśli je zaniedba, to będzie jego koniec. Przestał się kłuć kilka lat temu, bo zaczęła mu siadać wątroba. Mięśnie obrosły tłuszczem, kilka szybszych ruchów i zlewał się potem. Swoją robotę traktował poważnie. Wstawał z hokera, klientom mówił dobry wieczór i dobranoc. Rzadko używał siły, a jeśli już, to w formie powolnej, metodycznej masakry. Dziewczyny go lubiły. Siadały



mu na kolanach i całowały go w policzek. Kiedyś miał w życiu większe aspiracje, ale już się pogodził, że żadna z nich się nie spełni.

Z początku niechętnie przyjął wiadomość, że Dziki stanie z nim na bramce. Było między nimi pięćdziesiąt kilo różnicy. Ale Dziki miał w sobie ten ładunek agresji, który on zatracił już lata temu, i zestaw przerysowanych manier, jakimi dysponuje każdy recydywista po długoletniej odsiadce. Poza tym swoim wyglądem bez wątpienia budził lęk. Miał w oczach to nieustanne poczucie zagrożenia i ciekawość świata, który przez pięć lat jego nieobecności mocno się zmienił. Przed wejściem do klubu przelewały się tłumy ludzi w modnych ciuchach, a on chłonał ich zapach, rozmowy, krzyki, muzykę jak narkotyk. Wyłączał się i sycił natłokiem bodźców. Oswajał się z nimi.

Dziewczyny i Angol stanęli przed klubem.

– *This one looks nice* – powiedziała ta, która trzymała Angola pod rękę.

Gość zmrużył oczy, próbując odczytać nazwę klubu nad wejściem. Był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach.

– *You wanna go there?* – spytał.

Dziewczyna przechyliła głowę, wsłuchując się w muzykę dudniącą zza drzwi.

– *This is my favourite song* – powiedziała i zaczęła kręcić tyłkiem, ocierając się o biodro Angola.

– *Is this a music club?* – spytała.

– *Yes* – odpowiedział Morfina, mierząc krytycznym wzrokiem Angola, jego rozchodzone trampki, sprane džinsy i kilkudniowy zarost.

– *Can you let us in?* – spytała dziewczyna i tym razem o mało nie wybuchnęła śmiechem.

Morfina spojrział na Dzikiego. Ten pokręcił głową w odmownym geście, ale dziewczyna zasłoniła Angolowi oczy i zanim Morfina zdążył odpowiedzieć, odwróciła się do reszty i machając ręką, zawołała:

– *Come on, let's have some drink!*

Angol, uginając nogi w pijackich żalosnych podrygach, podążył za dziewczynami. Dziki chwycił ostatnią z nich za ramię.

– On jest za bardzo najebany – szepnął, przyciągając ją do siebie.

– To nie mój problem – odpowiedziała dziewczyna i puściła mu oczko. Dołączyła do reszty i zniknęli za drzwiami klubu.

– Będzie awantura – powiedział Dziki. – Mówiłem Olafowi o selekcji.

– Od tego są dziewczyny. Łowią, co się da. A Baśka jest w tym naprawdę dobra.

– Idę po papierosy. Chcesz coś?

– Przynieś sok.

## 2

W klubie wiało pustką, choć odpowiednia gra świateł i cieni miała to wrażenie załagodzić. Muzyka rezonowała metalicznym echem. Angol usiadł w łoży przy dancefloorze, po którym wirowały odblaski ze szklanej kuli, i obserwował dwie dziewczyny ze swojej ekipy obmacujące się na parkiecie. Baśka już szła w jego stronę z butelką tequili i mijając Dzikiego, trąciła go ramieniem. Dziki stanął przed barem. Łukasz, syn Olafa, wystawiał do lustra spuchnięty język, w którym tkwił świeżo wbity kolczyk. Na twarzy miał już cztery, po jednym w każdym łuku brwiowym, do tego pierścień w nosie, kulka nad wargą i tunele w uszach. Farbowane na czarno włosy przyklepione do skóry i zaczesane na bok, po lewej stronie sięgające niemal kości policzkowych, z drugiej podgolone i ozdobione pasmem szlaczków. Pomimo usilnych prób zmiany swojego wyglądu, Łukasz nadal był podobny do ojca. Miał tą samą chudą szyję z zapadniętą grdyką i pełne, nabrzmiałe usta w kościstej twarzy. Był niemal o głowę wyższy, ale słaby kościec i brak pewności siebie sprawiały, że się garbił, jakby próbował się przed czymś schować.

– Daj mi pall malle! – zawołał Dziki, wskazując podajnik wciśnięty między półki z alkoholami.

Łukasz oderwał wzrok od lustra i splunął krwią do zlewu. Sięgnął po paczkę, położył ją na blacie i przepłukał jątrzącą się ranę setką wódki. Dziki zapalił papierosa i rzucił krótkie spojrzenie w kierunku łoży w głębi sali, gdzie dziewczyny zabawiały dwóch młodych Francuzów. Kolesie musieli być na dragach, bo pomimo alkoholu, który w siebie włali, nadal tryskali energią. Chyba zrozumieli, o co w tym wszystkim chodzi, ale mieli to gdzieś, byli gotowi zapłacić. Dziewczyny zdawały się dobrze bawić. Pewnie im też sypnęli do drinków kilka kryształów w nadziei, że uda im się zaciągnąć którąś z nich do hotelu. Wśród nich Dziki wypatrzył Dagmarę. Mówiła coś do jednego z Francuzów, próbując przekrzyczeć koleżanki. Francuz

przysunął się do niej, by lepiej słyszeć, i musnął skronią jej włosy. Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy. Potem odwrócił się do kumpla i powiedział mu coś na ucho. Dagmara spuściła wzrok i zaciągnęła się papierosem. Wyglądała na zmęczoną.

– Daj jeszcze sok – powiedział Dziki.

Łukasz sięgnął po karton i wycisnął resztkę soku pomarańczowego do plastikowego kubka. Dziki jeszcze raz spojrzał w stronę łoży i tym razem napotkał jej spojrzenie. Jej twarz na moment się rozpromieniła. Uniosła szybko rękę, żeby mu pomachać, ale Dziki odwrócił się i ruszył schodami w górę.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, usłyszał krzyki. Staął obok Morfiny i spojrzał w głąb ulicy. Środkiem szło czterech dresiarzy. Dziki rozpoznał wśród nich Karasia, nastoletniego chuligana ze swojego osiedla. Miał rozwalony łeb, co zdawało się go jeszcze bardziej nakręcać. Odbijał się od kumpli i potrząsał głową, chlapiąc na wszystkie strony krwią z rozciętego łuku brwiowego.

– Dziki! – zawołał, namierzając go już z daleka.

– Kurwa. – Morfina ziewnął, wykonując kilka niemal tanecznych ruchów, które miały pobudzić mięśnie do działania.

Dresiarze stanęli przed klubem. Jeden z nich był mocno naspidowany. Nawijał do telefonu, niemal podskakując z wkurwienia.

– No. Kurwy na bramce się spluły. Co? Nie wiem, chyba trzech, ale już podzwonili.

Karaś przejechał dłonią po twarzy, rozcierając krew. Na koszulce miał ślady po rzygach, lewą rękę trzymał pod dziwnym kątem, jakby miał złamaną.

– Dziki, jaki ty masz garnitur – powiedział, szczerząc powybijane zęby.

– Chuj z kamerami! – wrzasnął dresiarz do telefonu.

Pozostałych dwóch chodziło dookoła, czujnie rozglądając się na boki, jak

wilki pilnujące sfory. Karaś zrobił krok do przodu.

– Dziki, możemy wejść? Na chwilę. Będziemy grzeczni. Tylko zmyję z siebie ten syf.

Zza drzwi klubu w głębi korytarza wyłonił się Łukasz. Musiał widzieć całe zajście na podglądzie z kamer. Morfina dał ręką znak, że wszystko jest pod kontrolą.

– Przyjadą? – spytał Karaś, patrząc Dzikiemu w oczy.

– Plują się o kamery.

– Chuj z nimi. – Karaś zamknął oczy i zakołysał się, jakby próbował złapać rytm muzyki dochodzącej z klubu.

– Chodź. – Któryś z kumpli spróbował go odciągnąć, ale Karaś się wyrwał.

Morfina w skupieniu obserwował całą sytuację.

– Czekaj, czekaj. Niech zadzwoni do brata. Dziki, zadzwoń do brata. Niech kogoś przyśle.

Dziki się uśmiechnął. Zacisnął dłonie na klapach marynarki i delikatnie nimi potrząsnął.

– Ty, nie widzisz, co mam na sobie?

Karaś doskoczył do Dzikiego, ale ten zastąpił mu drogę. Przez chwilę toczyli walkę na spojrzenia. Karaś naparł na niego zakrwawionym czołem. Zderzyli się głowami. Dziki nie ruszył się z miejsca. Pobudzony Karaś napierał z coraz większą siłą. Morfina, widząc bezsilność, jaka ogarnęła Dzikiego, szarpnął Karasia i wypchnął go na ulicę. Karaś zachwiał się, machnął rękami, żeby utrzymać równowagę, i zanim Morfina zdążył coś powiedzieć, rozchylił kurtkę. Błysnęło kilka myśliwskich noży, wsuniętych w specjalnie wszyte kieszenie. Morfina cofnął się, unosząc ręce w geście poddania. Karaś, nadal z dumą prezentując swój arsenał, ściągnął ślinę z krwią i splunął mu pod nogi.

– Dobranoc, panowie.

Obok przeszła grupka studentów. Karaś powiódł wzrokiem za jedną z dziewczyn.

– Ej, cipy, idziecie się jebać?! – wrzasnął zachrypniętym głosem.

Dresiarze zaczęli się oddalać, zajęci wybieraniem kolejnych numerów. Karaś po przejściu kilku metrów odwrócił się i zawołał:

– Zapamiętam, Dziki!

Po chwili zniknęli za rogiem.

– Znasz ich? – spytał Morfina.

Dziki pokiwał niewyraźnie głową.

– No, jeden jest z mojego osiedla. – Z trudem panował nad drżeniem głosu.

– Będą problemy?

– Nie będzie żadnych problemów.

Morfina splunął i roztarł ślinę czubkiem buta.

– Zmyj to z siebie.

– Co. – Dziki wyszarpnął rękę z kieszeni i przeciągnął nią po czole. – Kurwa. – Wytarł dłoń o ścianę, zostawiając na niej krwawą smugę. – Zaraz będę.

Zszedł do łazienki, zatrzasnął za sobą drzwi i przywarł do nich plecami, z trudem łapiąc powietrze. Poluzował kołnierzyk koszuli, żeby wypuścić trochę ciepła. Bluza była mokra od potu, gryzący materiał drażnił mu skórę. Roztrzęsioną dłonią sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął woreczek z amfetaminą, usypał ścieżkę i wciągnął łapczywie, odrzucając głowę do tyłu. Podeszedł do zlewu, odkręcił kurek, przemył twarz i upił kilka łyków. Wytarł się papierowym ręcznikiem i patrząc w lustro, odczekał jeszcze minutę, żeby się uspokoić.

Gdy wrócił na salę, okazało się, że Angol postanowił skończyć imprezę i uregulować rachunek. Kwota, którą podał mu Łukasz, sprawiła, że w jednej chwili wytrzeźwiał. Stał przy barze i rzucał wyzwiskami, wymachując plastikową kartą z cenami. Wokół niego zgromadziły się dziewczyny. Kilka z nich próbowało go uspokoić, ale ten wyrywał się, powtarzając:

– *Fuck this. I'm not going to pay for this shit.*

Dziki ruszył w jego stronę. Dagmara stała przy barze. Wsysając przez rurkę resztę wódki z sokiem, zaczęła się śmiać. Angol to zauważył. Posypały się kolejne wyzwiska, machanie łapami przed jej twarzą. Niezbyt się tym przejęła. Nabrała drinka w usta i nadeła policzki, jakby miała na niego splunąć. Dziki nie rozumiał jego słów, krew huczała mu w głowie, wszystko zagłuszała muzyka. Angol wyrwał jej szklankę po drinku i rzucił nią w dancefloor. Szklanka rozbiła się, pryskając kawałkami szkła i nadtopionymi kostkami lodu. Dziewczyny się odsunęły, tworząc wokół Angola kółeczko. Ten potoczył po nich zbołałym wzrokiem. Głos mu się łamał z bezsilności. Rozpuszczone, oszukane dziecko.

– *These bitches tries to rob you!* – krzyknął w stronę Francuzów w nadziei, że ci się za nim wstawią, oni jednak już jakiś czas temu pojęli reguły gry, dlatego pili oszczędnie, odmówili kilku dziewczynom, ale Dagę chcieli zatrzymać przy sobie, więc znowu zarabiała dla Olafa niezłe pieniądze.

– Dziki, idź po Morfinę! – zawołał Łukasz. Był lekko znudzony, takie sytuacje zdarzały się dosyć często. Koleś ze swoim sześćdziesiąt kilo nie stanowił żadnego zagrożenia. – Dziki – powtórzył Łukasz, nachylając się w jego stronę przez bar.

Dziki zeszywniał. Nie rejestrował żadnych dźwięków. Jedynym elementem w jego polu widzenia były usta tego Angola, wykrzykujące wyzwiska w stronę dziewczyn, i palec, którym celował w Dagę. I jej spojrzenie, którym nakazywała mu działać, jak zawsze, gdy chciała urządzić widowisko. Obronisz mnie przed złym wilkiem?

Dziki odwrócił się i ruszył wzdłuż baru na zaplecze. Twarz lunatyka, sztywny krok, zaciśnięte zęby. Pchnął drzwi, po prawej był schowek na sprzęt. Odsunął plastikową kotarę. Mieli tam gazy bojowe i pałki teleskopowe z dobrego stopu, bo te chińskie łamały się na plecach. Dwa miecze samurajskie w zdobionych pochwach, kastety domowej roboty. O ścianę stały oparte widły o przerdzewiałych zębach, w tym klubie czekały na swój debiut. Dziki sięgnął po siekiere, ciężki strażacki sprzęt pod mocne łapska, obuch ściągnął go nieco ku ziemi, ale pomaszerował z nią z powrotem na salę w tym samym lunatycznym tempie, jak wyłaniający się z ciemności duch. Stał przed Angolem, kilka centymetrów od jego twarzy, patrzył, jak ten nieruchomieje, ręce mu opadają, nawet się nie broni, porażony groteskowością całej sytuacji. Muzyka ucichła. Stukot obcasów na szklanej posadzce. Jeszcze więcej miejsca dookoła, żeby poćwiartować to ścierwo. Nogi i ręce podskakiwały mu w jakichś nerwowych tikach, twarz zniekształcał wyraz bezgranicznej furii.

– Dziki, co jest, kurwa! – zawołał Łukasz. Nawet nie podniósł tej siekiery, zwisała z jego dłoni jak niepotrzebne narzędzie, które przytaszczył tu w nie wiadomo jakim celu.

Łukasz przeniósł wzrok na Morfinę, który stał oparty o bar za plecami Dzikiego i czekał na rozwój sytuacji. Lekko się przy tym uśmiechał i Angol chyba to zauważył. Może pomyślał, że to jakaś pokazówka, element show, za który zapłacił, bo nagle się cofnął i wybuchnął śmiechem, wskazując na Dzikiego jak na jakiś wyświechtany eksponat. Łukasz jeszcze nie był pewien, czy zrobić to samo. Dziki zaciskał dłoń na trzonku siekiery tak mocno, że drżało mu przedramię. Angol oparł się o bar, zanosząc się śmiechem. Po chwili dołączyły do niego dziewczyny, wszyscy dookoła się śmiali, tylko Dagmarze zbierało się na płacz, a on stał na środku, kipiąc agresją jak dzikie zwierzę, i nie był w stanie wykonać żadnego ruchu.



### 3

– Jedź do domu – powiedział Olaf, wpychając w usta zimną chińszczyznę.

Dziki rzucił na stół plik banknotów. Olaf trącił je pałeczką w stronę Łukasza, który siedział po przeciwnej stronie stołu i liczył utarg. Zza drzwi dochodziły rozmowy dziewczyn, które skończyły pracę. Śmiech, stukot obcasów, mlaskanie mopa uderzającego o posadzkę.

– No, co tak stoisz, powiedziałem, jedź do domu.

Dziki potoczył wzrokiem po podłodze. Spojrzał na zlew, w którym piętrzyły się brudne szklanki. Olaf powoli przeżuwał żarcie, wpatrując się w pieniądze, które liczył Łukasz.

– Olaf, słuchaj...

Olaf uniósł szkliste, nieobecne spojrzenie znad stołu i wskazał Dzikiemu drzwi. Musiał niedawno dać w żyłę, dlatego miał apetyt. Dziki rzadko widział, żeby jadł. Kości nie trzeba odżywiać, a Olaf składał się z samych kości. I tatuaży. Zielonkawe więzienne dziary sięgały aż do szyi i zewnętrznych stron dłoni. Pajęczynki, skrzyżowane kosy i wersety z Biblii. Mała, łysa głowa i odstające uszy upodabniały go do hrabiego Draculi z jakiejś przedwojennej ekranizacji. Miał gęste brwi, ciężkie mięsiste powieki i pełne usta, które wyglądały jak napompowane silikonem. Ostro złamana linia żuchwy opadała w kierunku pulchnej brody, która nadawała jego twarzy jakiejś dziecięcej miękkości, śliskiego powabu.

– Wiesz, że takie akcje są niedopuszczalne. Tu jest cywilizacja. Centrum miasta.

– Ej, chuj z tym Angolem. Masz pieniądze na stole, czystą koszulę.

Twarz Olafa wykrzywił uśmiech. Skóra naciągnęła się na kościach policzkowych, jakby zaraz miała pęknąć.

– Dziki, nie słuchasz mnie.

Upił łyk piwa z butelki z nadobną niemal czcią, jakby kosztował gustowny trunek. Postawił butelkę na stole i wpatrywał się w nią przez chwilę, nie odrywając od niej dłoni.

– Myślałem, że pół roku na wolności to wystarczający czas, żebyś oswoił się z ludźmi. Nauczył reagować na takie sytuacje. – Spojrzał na żarcie, ale się rozmyślił i odłożył pałeczki. Wytarł serwetką lśniące od tłuszczu usta i ponownie spojrzał na Dzikiego, tym razem z pełną powagą. – Kończysz z bramką – powiedział. – Za duże ryzyko. Nie potrafisz się opanować.

Dziki wychylił głowę do przodu, jakby domagał się, aby Olaf to powtórzył.

– I co zrobisz? Przerzucisz mnie na szmatę? – spytał, przestępując z nogi na nogę, szukając ujścia dla przepelniającego go gniewu.

Olaf porozumiał się wzrokiem z Łukaszem. Wyciągnął paczkę papierosów z do połowy rozpiętej koszuli. Obrócił papierosa w szponiastych palcach zakończonych bladymi, błyszczącymi paznokciami.

– Będziesz woził dziewczyny. Dam ci trochę kursów na próbę. Na próbę, Dziki.

Dziki wpatrzył się w niego z niedowierzaniem.

– Ej, mam się nimi opiekować? Podcierać im pizdy?

Olaf rozproszył dłonią smugę dymu, jakby nie pasował mu kształt, jaki utworzyła.

– Masz je wozić do klientów. Sprawdzić mieszkanie, zgarnąć forszę i czekać grzecznie w samochodzie, aż klient porucha.

– Pierdol się, Olaf.

Słowa te nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Zaciągnął się papierosem z takim samym namaszczeniem, z jakim spożywał posiłek.

– To odpowiedzialna robota. Lubię swoje dziewczyny. Nie chcę, żeby

stała im się krzywda. Dlatego się ogarnij, prześpij chociaż kilka godzin. Na takich obrotach nie pociągniesz zbyt długo.

– To był gnój, który potraktował twoje dziewczyny jak ścierwo. Jak ci, do których będę je woził, zrobią to samo, mam stać z boku i na to patrzeć?

– Tam możesz robić, co chcesz – powiedział Olaf i zamknął oczy, dając Dzikiemu do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Dziki ściągnął marynarkę z krzesła i przewiesił ją przez ramię. Przez chwilę stał bez słowa, patrząc, jak Łukasz wkłada pieniądze do kasetki, zamyka ją na klucz i wymienia z Olafem kilka uwag na temat dzisiejszego wieczoru. Rozmawiali, jakby go nie było. Wrócił na salę. Dyskotekowe lampy zastąpiło ostre światło żarówek, ukazując brud zalegający po kątach i plamy grzyba pod sufitem. Sprzątaczką myła podłogę. Trzy dziewczyny siedziały przy barze, czekając na taksówkę. W prywatnych ciuchach, ze spiętymi włosami, wyglądały trochę jak kasjerki z supermarketu, przedwcześnie postarzałe od wymuszonych uśmiechów i braku słońca. Dagmara siedziała samotnie w łoży i paliła papierosa. Zdjęła szpilki i przebierała bosymi stopami po świeżo umytej posadzce. Dziki podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

– Chodź – powiedział.

– Stało się coś? – spytała.

– Nie.

– Popatrz na mnie.

– Nic się nie stało.

– Nie przebierasz się?

Dziki wygładził koszulę, poprawił pasek.

– Nie, pójdę tak.

Dagmara uśmiechnęła się.

– To ja też – powiedziała, wsadziła szpilki do torebki i wyszli, trzymając

się za ręce.

## 4

Obudziły go dźwięki telewizora. Laska w obcisłym sportowym stroju reklamowała elektryczną bieżnię. Wyszukał pilota w zmiętej pościeli i nadal półprzytomny ze zmęczenia wcisnął na oślep kilka przycisków. Przy czwartym ekran zgasł i nastąpiła cisza. Opadł z powrotem na łóżko. Była siódma. Nie musiał spoglądać na zegarek. Budził się o tej godzinie z automatu. Nawyk z więzienia. Sięgnął po papierosa. Zapalił i zaciągnął się, czując w płucach bolesne ukłucie. Dagmara poruszyła się i zwinięta w kłębek, jeszcze mocniej przyłgnęła do ściany.

– Mówiłam ci, żebyś nie jarał w łóżku.

Na zewnątrz było już jasno, ale w pokoju panował półmrok za sprawą grubych, szczelnie dosuniętych zasłon. Łóżko zajmowało większą część pokoju. Wszędzie walały się ciuchy i kosmetyki. Kolorowy miraż, jakby ktoś porozrzucił wokół nich confetti. Dziki palił przez chwilę, patrząc jak dym się oddala i chwilowo nabiera kształtu w mętnej smudze światła, rysującej się tuż nad linią parapetu. Potem odwrócił się i pocałował ją w ramię. Poczował na wargach słodki smak samoopalacza. Odgarnął twarde od lakieru włosy i zaczął schodzić w kierunku szyi. Jej skóra była ciepła i gładka, nawet kości nabrały jakiejś miękkości, spulchnione snem, na trzeźwo, w bezpiecznej przestrzeni.

– Ej. – Podkuliła głowę i zaczęła się wybudzać. Ułożyła się na plecach, wyjęła mu papierosa z dłoni i zapaliła, zeszkrobując kciukiem lakier z paznokcia.

Dziki zsunął się w dół i zaczął ją całować po brzuchu. Przez chwilę obserwowała to z lekkim znudzeniem, lecz gdy wspiął się w kierunku piersi, zepchnęła go z siebie. Wdali się w krótką, łózkową przepychankę. Dagmara zaczęła chichotać i wierzgać. Dziki skapitulował. Położył się, kładąc głowę na jej brzuchu. Dagmara wróciła do palenia. Czuł jak spina mięśnie brzucha,

za każdym razem, gdy zatrzymywała dym w płucach.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

Dziki uniósł głowę i spojrzał na pomarszczoną skórę wokół kolczyka w jej pępku.

– W ciąży? – powtórzył.

Nie odezwała się.

– Z kim?

– A jak myślisz, debilu. – Odepchnęła go. – Tylko ty się we mnie zlewasz.

Spuścił wzrok, gładząc pościel.

– Jesteś pewna?

– Robiłam test. Dwa razy.

Zmarszczył czoło, jakby liczył w myślach, czy to wystarczy.

– Musisz iść do lekarza – powiedział niewyraźnie, skubiąc prześcieradło.

– Z tym nie idzie się do lekarza.

– Żeby sprawdził, czy wszystko w porządku – ciągnął skupiony na własnej myśli.

Dagmara podkuliła nogi.

– Nie jest w porządku. – Sięgnęła w stronę popielniczki i zgasła w niej papierosa. – Lekarz powiedział, że przy następnym mogą być komplikacje.

Poprawiła koszulkę, zasłaniając piersi. Dziki zaczął masować swoje przedramię, jakby chciał zatrzymać na nim ciepło jej skóry.

– Od kiedy? – spytał.

– Co od kiedy?

– Od kiedy jesteś w ciąży. – Powoli rozkleił powieki.

– Nie wiem, kilka tygodni. Miesiąc.

Skinął głową i zostawił ją opuszczoną.

– Miesiąc? – wymamrotał. – Jeździsz do klientów miesiąc, nosząc w sobie moje dziecko?

Poczuła jego szorstką dłoń na swoim brzuchu. Przesunął ją w stronę biodra i zacisnął na kości.

– Tam jeszcze nie ma żadnego dziecka – powiedziała.

Uśmiechnął się i ukrył twarz w pościeli. Zassał powietrze, jakby magazynował je na dłuższy czas. Przez chwilę leżeli tak bez słowa. Wędrował opuszkami palców po jej skórze. Wystukiwał na niej jakiś nerwowy rytm.

– Miesiąc to dużo.

Dagmara wyslizgnęła się z łóżka, zrzuciła z siebie koszulkę i podeszła do szafy. Dziki podczołgał się do wezgowia, oparł się o nie plecami, wyciągnął kolejnego papierosa, wsadził go do ust i przez chwilę przyglądał się jej, jak rozczesuje włosy, spoglądając w lustro, po czym nachylił się w stronę okna i gwałtownym ruchem zdał z niego zasłonę. Pokój zalało białe, ostre światło. Dagmara przycisnęła koszulkę do piersi, mrużąc oczy i ściągając barki, jakby światło dnia mogło wyrządzić jej jakąś krzywdę. Dziki oparł się z powrotem o wezgowie, patrząc na blizny rozsiane po jej plecach. Tańczyła zawsze przy mniejszej ilości światła, niechętnie pieprzyła się od tyłu. Ktoś, kto jej to zrobił, zostawił tam coś więcej niż sine, nieregularne zrosty po ranie bez szycia.

– Matka, kurwa, roku! – zawołał, rozkładając ręce.

Odwróciła głowę, posyłając mu spojrzenie pełne bólu i wstydu. Zlekceważył je. Zapalił papierosa. Zarzuciła na siebie szlafrok i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny zaczynał pracę na myjni. Położył się, żeby złapać jeszcze trochę snu. Myślał o tym, co mu powiedziała. Myślał o tym, jak wiezie ją do klienta i zalał się zimnym

potem. Była z nim, jak siedział, była i teraz, choć mocno się zmienił, na gorsze. Próbował się odbudować, chociaż fizycznie, ale szło mu to bardzo opornie. Nie mógł jeść, żarcie wywoływało w nim mdłości. A teraz jeszcze nowa robota dla Olafa. Będzie się musiał mocno znieczulać, żeby znieść te godziny, czekając na nią w samochodzie. Opcja, żeby z tym skończyła, nie wchodziła w grę. Olaf miał z niej zbyt dobrą kasę. Była jego topowym produktem. Wychował ją sobie od małego. Miała dwadzieścia trzy lata, a wyglądała na piętnaście. Znudzone dziecko. Model do poskładania. Nie kryła emocji, krzywiła się jak bolało, ale była uległa. Lubiła to, co robi. Przyzwyczyła się do wygodnego życia. Za mocno wsiąkła w ten świat. Dziki też, ale czasami ogarniał go wstyd, tak jak przed chwilą, po raz pierwszy od dłuższego czasu, więc była nadzieja. Dziecko zawsze było jakąś nadzieją.

Wstał z łóżka, zarzucił bokserki i wyszedł z pokoju. Siedziała za stołem w kuchni i cicho szlochała, z włosami przyklejonymi do twarzy. Usiadł na krześle po przeciwnej stronie. Spróbował ująć jej dłoń, ale ją cofnęła.

– Musimy o tym porozmawiać – powiedział.

– Nie ma o czym rozmawiać. – Pociągnęła nosem. – Niepotrzebnie ci w ogóle o tym mówiłam.

– Chciałaś je usunąć bez mojej wiedzy.

– Tak byłoby lepiej.

– Ale nie zrobiłaś tego.

– Nie zrobiłam.

Dziki się uśmiechnął, zaraz jednak na jego twarz spłynęło poprzednie wahanie.

– Olaf kazał mi jeździć z wami do klientów.

Przetarła nos i popatrzyła na niego załzawionymi oczami.

– Nie mogę cię wozić, jak jesteś w tym stanie.

Teraz ona się uśmiechnęła, przez łzy.



- Czemu się śmiejesz? – spytał.
- Bo nic z tego nie będzie – odpowiedziała.
- Z czego?
- Z dziecka. Nie teraz.
- Porozmawiam z Olafem.

– To pozbędę się go jeszcze szybciej. Przytrafi mi się jakiś wypadek. Na przykład spadnę ze schodów.

Dziki zacisnął zęby. Zauważyła jego reakcję i przez chwilę milczała, na dowód tego, że docenia jego troskę.

– Narkotyki go zmieniły. To nie jest już ten sam człowiek, którego znałeś z więzienia. Poza tym on nie akceptuje naszego związku. Twierdzi, że masz na mnie zły wpływ.

- I dlatego kazał mi się przyglądać z bliska temu, co robisz na mieście?
- Chce, żebyś odpuścił.
- Nie odpuszczę. Ale muszę wiedzieć, ile to jeszcze potrwa.
- Powiedziałam ci na samym początku, że musisz to zaakceptować.
- Na początku nie miałem wyjścia.
- A teraz masz?

Uciekł wzrokiem, siląc się na lekceważący uśmiech. Ona się nie śmiała. Zmrużyła zażawione oczy, jakby zaglądała pod tę wydzieraną skórę, gdyż była w stanie dostrzec tam jakąś ukrytą wartość, która nadal trzymała ją przy nim.

– Igor się do mnie przekonuje. Niebawem znowu wrócę w szeregi grupy. Będą mnie traktować na równi. Angażować w poważne zadania.

- Znowu cię wykorzysta.
- To była moja decyzja.

– A miałaś jakieś wyjście? Nigdy nie miałaś. I to właśnie jest ta matnia, w której się znajdujesz. Chcesz się z niej wydostać, wydaje ci się, że możesz to zrobić w każdej chwili, ale to nieprawda, zbyt wiele rzeczy cię tu trzyma, i wypełniasz kolejne polecenia, bo nie masz odwagi na start w nowym miejscu, nie masz nic, by zacząć życie od nowa gdzie indziej, a nawet gdybyś miał, tobyś nie potrafił.

Wyglądała bardzo młodo, inaczej niż w światłach klubu. Lubił na nią patrzeć, tu w kuchni, jak pali i snuje plany, nawet gdy płakała, bo był w tym płaczu grymas dziecka, chwilowa złość, która szybko przechodziła w śmiech lub ekstazę.

– Zostań dzisiaj w domu.

– Wiesz, że nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Może jedno i drugie.

Rozsypała po stole ścieżkę amfy i przejechała nosem po blacie. Na przedramieniu, spod grubej, niezmytej warstwy samoopalacza zaczęła prześwitywać posiniaczona skóra. Tam, pod tą brylantową, lśniącą powłoką mogła być bardzo stara.

– Idę spać – powiedziała. Wstając z krzesła, lekko się zachwiała.

Patrzył jak odchodzi, ocierając się barkiem o framugę drzwi. Tak zapraszała klientów do zabawy. Szli za nią posłusznie, bo wydawało się im, że w tej lekkości zawiera się cały jej rytm. Idealnie wyrzeźbione stopy ledwo łąpały kontakt z podłożem, a on tak bardzo chciał chwycić ją za włosy i uderzyć jej głową o ścianę.

## 5

W myjni był słaby ruch, Dziki przez cały czas próbował znaleźć sobie jakieś zajęcie. Jeden z pracowników miał urodziny, więc po południu wszyscy zaczęli to oblewać. Marek kończył sześćdziesiąt lat, z czego ostatnie dziesięć przetyrał u Hiro, dlatego ten pozwolił mu zorganizować imprezę. Rzadko to robił, nie tolerował picia na zapleczu, chciał z tego zrobić porządny biznes, ale nie miał kasy na lepszych pracowników, więc musiał czasami na to przyzwalać, zwłaszcza że każdy dobrze wykonywał swoją robotę, klienci byli zadowoleni.

Po osiemnastej zaczęły napływać chłopaki z osiedla. Każdy coś przyniósł, zioło, alkohol. Feta nie dzisiaj. Miało być spokojnie. Jak na pogrzebie. Pili i oglądali telewizję. Częstowali Dzikiego, ale ten odmawiał. Kilka razy musiał wyskoczyć na miasto, miał klientów na sterydy. Dwóch nie chciało zapłacić, wrócił z niczym, zrobił zastrzyk z deki i jakoś pociągnął do wieczora, chłodząc się w skórzanym wnętrzu merola S klasy.

O dwudziestej wszyscy się rozeszli. Został solenizant i jakiś mały dres. Ktoś na imprezie mówił, że to jego syn. Spali obok siebie. Po podłodze wały się sflaczałe baloniki, na stole stało kilka pustych flaszek. Dziki wygrzebał z pudełka kawałek zimnej, nadgryzionej pizzy. Wziął gryza i żując strzelił dresa z płaskiej w twarz. Dres otworzył oczy.

– Do domu – powiedział Dziki.

– Idę.

Dres znowu odpłynął i znowu dostał. Głowa zatoczyła koło na zwiotczalym karku.

– Ogarnij się – powiedział Dziki.

Spojrzał na Marka. Zdjął mu z nosa poklejone taśmą okulary i przewiesił przez dekolt koszulki. Pchnął przeszkłone drzwi, wszedł na stanowiska do

mycia i okrążył zielonego citroena. Kamil spłukiwał karcherem terenowe bmw. Chłopak miał szesnaście lat, szybko się uczył, obserwował i wyciągał wnioski. Dostawał od gangusów niezłe napiwki, bo nie pchał się im do samochodów z propozycją, że kogoś potnie. Na osiedlu takie typy były rzadkością. Każdy na swój sposób szukał łatwych pieniędzy, ale Kamil zdawał się mieć jakiś plan, a może wydawało mu się, że go ma i to go trzymało na prostej.

Dziki usiadł za kierownicą citroena. Z tyłu dochodziło wycie odkurzacza. Odpalił silnik, wrzucił na luz i docisnął pedał gazu, zwiększając obroty. Silnik zawył, Dziki zaczął wykręcać kierownicę, jakby wyobrażał sobie, że pokonuje tor z przeszkodami. Zza tylnych siedzeń wyłonił się Hiro. Wyłapał w lusterku spojrzenie Dzikiego i postukał się palcem w czoło. Dziki, nie zdejmując nogi z gazu, podsunął mu zegarek pod nos.

– Kończymy! – zawołał.

Hiro kopnął wyłącznik odkurzacza. Oparł głowę o zagłówek i zapalił papierosa. Dziki zgasił silnik.

– To ostatni? – spytał.

– No. Przeciągnęło się. Weź zrób jeszcze kokpit. Jest tam ktoś jeszcze?

– Marek i jakiś małolat.

– Trzeba ich stąd zabrać. Ludzie zaraz będą.

– Mówiłem im.

Dziki otworzył schowek od strony pasażera i wyjął z niego fiolkę z perfumami. Spryskał się po szyi. Hiro krzywiąc się, machnął dłonią przed twarzą.

– Kurwa, damskie.

– Żartujesz.

Z zaplecza wytoczył się małolat. Na koszulce miał ślady po rzygach. Szedł ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć.

– Ej, mam nadzieję że nie puściłeś tego pawia tam w środku! – krzyknął Dziki przez szybę. – Kamil, zmyj z niego ten syf.

Kamil wystrzelił w małolata z karchera. Ten zaczął się wycofywać, chroniąc twarz. Dziki sięgnął po szmatkę i zabrał się za robotę. Gdy skończył, wyjechał citroenem przed myjnię i zostawił go na parkingu. Wrócił do środka, oczyścił podłogę z piany, opróżnił wiadra, wycisnął gąbki i poukładał środki czystości. Hiro rozliczył Kamila. Pożegnali się. Hiro zamknął bramę i przeszli na zaplecze. Marek zwałił się z krzesła na kanapę.

– Co z nim? – spytał Dziki.

– Żona po niego jedzie.

Weszli do biura. Zamknęli za sobą drzwi. Dziki ściągnął górę kombinezonu, rękawy związał na biodrach. Zapalił papierosa. Hiro wyjął kasetkę z pieniędzmi. Otworzył ją i zaczął liczyć.

– Jak jest? – spytał Dziki.

Hiro przeliczył jeszcze raz. Rzucił na stół plik wygniecionych banknotów. Spojrzał w zeszyt.

– Znowu się coś nie zgadza.

– Był słaby dzień.

– Ostatnio same takie.

Dziki zgarnął pieniądze z blatu i zaczął je wyglądać, każdemu banknotowi poświęcając chwilę uwagi.

– Prowadzimy tu legalny biznes. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

Hiro odłożył pieniądze do kasetki. Dziki zauważył, że jest rozdrażniony i postanowił przemilczeć temat. Wyjął ze swojej szafki zestaw suplementów i zrobił sobie koktajl. Pijąc, skrzywił się od gorzkiego, chemicznego smaku. Hiro ściągnął kombinezon, potem koszulkę i spodnie od dresu. Miał szerokie bary i sztuczną opaleniznę. Tatuaż na prawym ramieniu wyblakł, zmieniając się w kolorowe plamy, z których trudno było odczytać jakiś wzór. Wsadził

kombinezon do szafki i przebrał się w czyste ciuchy. Ktoś zapukał do drzwi na zapleczu. Hiro założył złotą bransoletkę. Skinął głową na Dzikiego, żeby otworzył. Dziki przeszedł do pomieszczenia gospodarczego, spojrzął w judasza i otworzył drzwi prowadzące na parking za budynkiem. Na schodkach stali Robert i Drukarz. Robert wsadził głowę w drzwi.

– Nie ma go jeszcze? – spytał, robiąc szybki rekonesans.

Bił od niego zapach podrabianych perfum, ostry i słodki. Skóra lśniła od kremu i solarium, włosy przycięte pół centymetra od skóry. Czarna, zaczesana na żelu szczecina. Wtoczył swoje ponadstukilowe cielsko do środka. Miał na sobie ortalionową kurtkę zapiętą pod samą szyję, dżinsowe spodnie i adidas. Na łydce tatuaż. Jego wzrok od razu padł na Marka.

– Kolega wam się chyba poszczał – powiedział, wskazując kałużę na podłodze, formującą się wokół bezwładnie przekręconej stopy Marka.

Dziki przetarł dłonie o kombinezon, uświadamiając sobie, że niezbyt dokładnie je doczyścił. Pod paznokciami miał brud. Wsadził je do kieszeni, ale zaraz wyjął z powrotem, przestępując z nogi na nogę. Silny zapach perfum drażnił mu żołądek. Czuł, że zaraz się porzyga. Robert się zaśmiał.

– Patologia jak chuj, człowieku.

Drukarz stanął w drzwiach. Olbrzymie, wygolone łapska wychodziły z obcisłej koszulki. Posterydowy owal twarzy nieco łagodziła wymodelowana, cieniutka bródka, okalająca usta tuż nad górną wargą. Miał ładne, brązowe oczy. Żuł gumę, nerwowo potrząsając kluczykami od samochodu w prawej kieszeni dresowych spodni. Spinał różne partie mięśni i szarpał głową, nerwowe tiki nie pozwalały mu spokojnie ustać.

– Zabierz stąd chama – powiedział Robert, stając przy ścianie.

Dziki przesunął stół, spadła flaszka. Pochylił się nad Markiem i uderzył go z płaskiej w twarz, lecz ten nie zareagował. Dziki poprawił, na odlew, aż odskoczyła mu głowa. Marek się skrzywił, trochę śliny pociekło mu z ust. Spróbował się skulić, ale Dziki szarpnął go za włosy i zaczął ciągnąć w kierunku drzwi, z początku jedną ręką, ale chłop był zbyt ciężki, a w dodatku

zaczął wierzgać, rozcierając szczyny po podłodze. Z biura wyszedł Hiro.

– Dziki, spokojnie – powiedział, witając się z Robertem i Drukarzem. Gdy Dziki mijał Drukarza, ten się cofnął, jakby obaj stanowili jakieś siedlisko chorób. – Uważaj, bo mu łeb rozwalisz! – zawołał Hiro.

Marek zaczął coś mamrotać, ale nadal nie otwierał oczu. Wyciągnął rękę do góry, jakby szukał nimi swojej głowy. Dziki ustawił go w pozycji siedzącej i kopnął w plecy. Marek stoczył się po trzech betonowych schodkach. Nie wydając żadnego dźwięku, przytulił się do betonu. Dziki usłyszał klaskanie. Robert, który rozsiadł się wygodnie na kanapie, bił mu brawo. Hiro sięgnął po pilota i zaczął skakać po kanałach. Zatrzymał na meczu.

– Zostaw – powiedział Robert.

Hiro odłożył pilota, wyjął z kieszeni telefon. Wybierając numer, spojrzał na Dzikiego.

– No co się patrzysz? Weź umyj ten syf.

Dziki poszedł po wiadro i mopa. Nalał gorącej wody, trochę płynu. Wycisnął mopa i zaczął ścierać kałużę moczu. Żyły napęczniały mu na przedramionach. Robert beknął w zaciśniętą pięść. Hiro z telefonem przy uchu czekał na połączenie.

– No, chłopaki już są. Kiedy będziesz? – Wysłuchał odpowiedzi i rozłączył się bez słowa. – Pięć minut – powiedział.

Drukarz uważnie się przyglądał, czy mop znajduje się w bezpiecznej odległości od jego butów. Gdy Dziki skończył myć podłogę, Robert spojrzał na lśniące linoleum.

– Otwórz okno, bo teraz wali jeszcze bardziej.

Hiro dał znak głową, że Dziki jest wolny, i sam spełnił polecenie Roberta. Potem usiadł zmęczony na drugim końcu kanapy i zaczął pisać SMS-a.

Dziki wycofał się do biura i zamknął za sobą drzwi. Uwolnił wstrzymywany oddech i zaczął chodzić w kółko, próbując wyładować

wkurwienie. Sześć metrów kwadratowych niezbyt mu na to pozwalało, więc ograniczył się do dwóch kroków w przód i w tył, miotając pięściami udawane ciosy. Na koniec otworzył swoją szafkę, przeszukał kieszenie bluzy i wyciągnął woreczek z resztką fety. Wciągnął proszek i wylizał folię. Zdjął roboczy strój, przemył się nad zlewem pod pachami i wytarł zabrudzonym ręcznikiem. Założył srebrny łańcuszek, koszulkę, a na nią dwie bluzy. Przeszedł za ściankę działową do aneksu kuchennego. Rozchylił palcami żaluzje i w małym oknie wychodzącym na myjnię obserwował, jak Hiro otwiera bramę. Do środka wjechał czarny range rover, ubłocony po same szyby. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wysiadł z niego Bolec.

Koleś był legendą wśród krakowskich chuliganów, od długiego czasu prawą ręką Igora. Miał prawie dwa metry wzrostu. Szczupły, ale szeroki w barach, nieco pochylony do przodu, jak małpolud o zbyt długich ramionach i małej głowie z masywnym, płaskim czołem i ostro wyrzynającymi się kośćmi policzkowymi, przez co cofnięte w głąb czaszki, małe czarne oczka nabierały jeszcze bardziej drapieżnego wyrazu. Sucha, twarda szczecina porastała nieforemną czaszkę, zbyt płaską z tyłu, a dzioby po trądziku szpeciły mu twarz.

Tuż po nim wysiadł z tyłu jakiś mały dresiarz w za dużej kurtce przeciwdeszczowej, która zwisała mu niemal do kolan. Błada, bezmyślna twarz, ręce opuszczone wzdłuż ciała i lekko ugięte kolana, jakby nie mógł ustać na nogach. Bolec podniósł klapę bagażnika, wyjął z niego sportową torbę i podał małolatowi. Małolat wyciągnął rękę po torbę. Był cały roztrzęsiony. Bolec to zauważył i uderzył go z płaskiej w twarz.

– Weź się ogarnij – powiedział i zamknął bagażnik.

Hiro poprowadził małolata do pomieszczenia, gdzie przechowywali środki czystości. Dziki puścił żaluzje. Przeglądniętą się w lusterku, dokładnie badając szerokość źrenic. Przeczyścił palcami dziurki w nosie, w których zalegało jeszcze trochę proszku. Zerknął przez ściankę działową i zobaczył, że z range rovera wysiada Igor. Rozmawiał przez telefon. Dziki rzucił ostatnie spojrzenie w lusterko, zatrzasnął szafkę i poszedł przywitać się z



bratem.

## 6

– Dziki! – Igor odsunął słuchawkę od ucha. – Słuchaj, muszę kończyć.

Podszedł do Dzikiego i położył mu rękę na karku. Był wyższy niemal o głowę. Idąc, kołysał się na boki, udając, że kuleje na lewą nogę, jakby zaciął się w jakimś powolnym, godowym tańcu. Od razu rozpoznał, że Dziki jest na lekkim spidzie. Ominął go, przywitał się z Robertem i Drukarzem.

– Dajcie mi chwilę – powiedział i przywołał Dzikiego.

Wyszli na parking i zeszli wąskimi schodkami przylegającymi do ściany budynku. Stanęli przed okratowanymi drzwiami. Dziki otworzył kłódkę i weszli do garażu. Błysnęła świetlówka, zaraz po niej następna. Garaż był ciasny, z niskim sufitem. Niemal całą przestrzeń zajmował samochód na podnośniku, z podniesioną maską. Po bokach ciągnęły się szafki zawalone narzędziami. Igor sięgnął od niechcienia po klucz francuski. Przyglądnął się mu, jakby po raz pierwszy widział to narzędzie użytkowane zgodnie z jego przeznaczeniem.

– Zaczęłeś naprawiać samochody? – spytał.

– Coś sobie przypominam – odpowiedział Dziki, masując się obiema dłońmi po łokciach. Podszedł do pierścienia opon w rogu ściany, wzniesionego na wysokość oczu. Zdjął dwie opony i wyszarpnął ze środka sportową torbę. Rzucił ją na blat, rozpiął suwak. Wyjął z niej zwitek banknotów i zwinięty w rulon, foliowy woreczek z resztką białego proszku.

Igor oparł się o maskę samochodu. Zaczął liczyć pieniądze. W połowie przerwał.

– Coś się chyba nie zgadza.

Dziki spuścił wzrok.

– Kilka dziewczyn wzięło na krechę.

- Dajesz mój towar dziewczkom na krechę?
- Kutas ich pilnuje. Wszędzie ma kamery.
- Ile tu jest?
- Dwa trzysta coś.
- Miałeś pół kilo.
- Zostało jeszcze...

Igor zerwał się z miejsca i stanął przed Dzikim. Pod koszulką rysowała się dobrze wyrzeźbiona klata. Jeszcze niedawno był zalany, opuchnięty. Teraz, gdy skończył cykl i zeszła z niego woda, została sucha masa, barki wyszczuplały, ale nadrabiał wszystko adrenaliną. Miał ruchy rozbawionej małpy, ale szybko potrafił się skoncentrować na działaniu. Tam w garażu, gdy wysiadł z samochodu i rozmawiał przez telefon, mógł być twoim najlepszym kumplem. Markowe ciuchy, zawsze uśmiechnięty, pozornie zdzięcinnieły, w sekundę mógł się zmienić w bezwzględnego zabójcę, który będzie ci skakał po głowie.

- Wciągasz mój towar? – spytał, wyłapując rozbiegany wzrok Dzikiego.
- Dziki skrzyżował ramiona. Zmarszczył czoło.
- Nie. Wziąłem kilka działek, ale to możesz mi odliczyć.
  - Ile działek?
  - Osiem.
  - Osiem.
  - No, możesz zważyć. Dostanę hajs od dziewczyn do kilku dni.
  - Jesteś pewien.
  - Jestem.
  - Patrzyłeś do lustra?
  - A co, jest forma?

– No, gorsza od tej jak byłeś w kryminale.

Dziki uśmiechnął się pod nosem.

– Co ze sterydami? – spytał Igor.

– Idą. Powoli.

– Gdzie nie chcą brać?

– Na Komandosów.

– Mówili czemu?

– Deka grecka. Z przysadki świni. Boją się tym kłuć.

– Ale paszę dla świń jedzą.

– U Wnęka jedli i srali krwią.

– Co ja mam z tobą zrobić. – Igor odliczył plik banknotów i podał je  
Dzikiemu.

– Co to jest? – spytał Dziki.

– To dla Ewy.

Dziki wsadził pieniądze do kieszeni.

– Sprawdzasz ją?

– No. Jest czysta.

– Co z matką?

Dziki pokręcił głową.

– Warzywo.

– Odeślij ją do szpitala.

– Nie. Lekarz powiedział, że ona wszystko czuje. Rozumie. Wiem, że ona  
chce być z nami.

– Pamiętasz, co jej obiecałeś?

Dziki spuścił wzrok.

– Co mówisz? – Igor się przybliżył.

– Potrzebuję tylko czegoś na start.

– Dostałeś. I nawet ta robota nie idzie ci zbyt dobrze. Dziwki cię okradają. Mam tu sto ampułek hormonu wzrostu. Każdy chce być wielki jak sam skurwysyn. – Igor wycelował w Dzikiego palcem i podniósł ze stołu woreczek z amfetaminą. Przez chwilę miętosił go w palcach i upuścił, jakby zrobił to wbrew własnej woli. – Hiro powiedział, że tutaj na myjni świetnie ci idzie. Z mechaniką i w ogóle. Może powinieneś przy tym zostać.

Dziki nie odpowiedział.

– Czekam na pieniądze. Sterydy zawieź Bajdzie. Gadałem z nim, weźmie hurtem. Możesz wziąć hormonu na jedną kurację, tylko kłuj się z głową, nie wszystko naraz, bo to mocne gówno, zwapni ci kości i będziesz kaleką.

Dziki bez słowa powlókł się za bratem z powrotem na myjnię. Hiro, Robert i Drukarz rozmawiali na zapleczu. Bolec siedział za kierownicą range rovera i zapisywał coś w notesie.

Igor rozsiadł się na kanapie. Drukarz położył na stole zwitek banknotów. Igor sięgnął po niego i postukał nim o blat.

– Ile tu jest? – spytał, nie przeliczając.

– Jakies dziesięć tysięcy.

– Czemu dziesięć?

Drukarz spojrzał na Roberta. Ten był skupiony na zasysaniu resztek żarcia spomiędzy zębów. Wypluć czy połknąć. Chwila relaksu minęła. Rozłożenie sił niepewne. Awaryjny tryb posłuszeństwa.

– Na razie dajemy spokój temu właścicielowi, co przejął klub po Hindusie. Niech się zaadaptuje, wpompuje więcej kasy, żeby ciężko mu się było wycofać, jak go przyciśniemy.

Drukarz udawał znudzonego. Rozwalił się na fotelu, próbując zająć całą

jego powierzchnię, jakby taka była jego rola na tym świecie – rosnąć, dopasować wszystko do jego rozmiaru.

– Co z bramką? – ciągnął Igor.

– Chłopaki już tam stoją.

– Dobrze, ale macie zacząć go doić.

– Daj mu się rozkręcić. W tym roku to już drugi biznes w tym miejscu, trzeba stopniowo. Poślemy małolatów ze sprzętem, dostaną wpierdol, potem kilku z nich będzie mówić mu na ulicy dzień dobry, chłop poczuje się wielki i za to będzie płacił. To uczucie jest jak narkotyk.

– Sprzedajemy coś więcej niż ochronę. Z takim hasłem chcesz iść do ludzi?

– Kurwa.

Dziki przymknął drzwi do biura. Otworzył szafkę i zaczął udawać, że czegoś w niej szuka, przysłuchując się rozmowie. Telefony z klawiaturą, po kilka sztuk na osobę, sprawdzanie numerów, szelest pieniędzy.

– Temat numer dwa. Skurwysyn Nazim.

Prywatna kruczata Igora. Głos Roberta:

– Wszystko zostawił. Klub, restauracja.

Dziki widział, jak pochylają się nad stołem. Drukarz wystawił zdjęcie pod światło.

– Kto to jest? – spytał.

Dziki się cofnął.

– Dowiesz się, jak pojedziesz pod ten adres.

Cisza. Szepty.

– Kurwa, chyba żartujesz.

Otwierane drzwi. Dźwięk pracującego silnika. Bolec z informacją, że

muszą jechać.

– Jak małolat? – spytał Igor. Dziki spojrzał przez szybę wychodzącą na myjnię. Małolat siedział na przednim siedzeniu rovera i gapił się tępym wzrokiem w kokpit.

Głos Bolca:

– Przyzwyczaj się.

Szmer luźnych ciuchów i złotych bransoletek, gdy podnosili się z foteli. Ściszone głosy, zakodowane meldunki. Dziki wiedział, że chodziło o dłużników. Zawsze chodziło o dłużników. Kiedyś on i Igor sami ściągali długi. Tak zaczęli. Teraz Igor miał od tego ludzi. Rozsyłał po mieście swoje psy, każdy lokal był pod obserwacją.

Gdy skończyli, Hiro odprowadził Igora do rovera. Dziki stanął w drzwiach. Igor skinął mu głową na pożegnanie. Dziki uniósł dłoń i patrzył, jak rover wycofuje i odjeżdża. Hiro wszystko pozamykał, spuścił kratę. Usiedli i wypili po piwie. Dziki powiedział mu, że Dagmara jest w ciąży. Hiro przyjął to bez entuzjazmu, zdawał się być tym zmartwiony. Dziki sam uśmiechnął się tylko raz, gdy to mówił, potem znowu zamknął się w sobie.

Hiro próbował ciągnąć rozmowę, ale na każde jego pytanie Dziki potakiwał tylko głową, gniotąc puszkę i biorąc małe łyki piwa. Spojrzał na kanapę. Szczyny wsiąkły głęboko. Znowu targnął nim sprzeciw. Miał dwadzieścia pięć lat, a musiał zaczynać wszystko od nowa. Świat za szybko gnał do przodu. Hiro z pewnością niedługo wróci do biznesu. I tak siedział tutaj, bo Igor tak chciał. Prowadził jego metę. Z tego świata nie było ucieczki. Jak raz zarobiłeś z nimi pieniądze, byłeś ich dłużnikiem do końca życia. Chłopcem na posyłki. Do niektórych odzywali się raz na rok, tych bardziej wartościowych trzymali przy sobie.

Hiro miał kiedyś w grupie wysoką pozycję. Jeździł na ustawki, złamał komuś z buta kręgosłup. Przez całą twarz biegła blizna od ciosu maczetą. Jak rany się wygoiły, postanowił się wycofać, a oni w ramach podziękowań za owocną współpracę przekazali mu ten biznes. Zanim zorientował się, o co

naprawdę chodzi, było już za późno. Nie chcieli od niego działać z przychodów. Myjnia służyła do rozbierania samochodów po wjazdach na osiedle, okradaniu bogatych klientów z poduszek powietrznych, była przechowalnią, punktem na mieście, gdzie grupa zawsze mogła się spotkać, pogadać, wymienić informacjami. Mycie było tylko przykrywką, każdy o tym wiedział, stąd ciągły przemiał małych klientów testowanych na wierność panu. Niektórzy mieli tutaj po raz pierwszy do czynienia z towarami. Jak zniknął, uczyli się ponosić konsekwencje. Hiro był zmęczony. Niby chciał legalnego biznesu, ale nie był przyzwyczajony do fizycznej pracy. Nudziła go monotonia, czasami wybuchał przy klientach, a oni już nie wracali. Wiedział, że jedna grubsza akcja i przeniosą go gdzie indziej, jednak do tego czasu on i reszta pracowników musieli snuć się w kombinezonach, ze szmatą, w wodnym pyłu, podczas gdy przez zaplecze przewalały się piguły, sterydy i maczety, całe to paliwo, które napędzało miasto po zmroku.

– Co teraz zrobisz?

– Z czym.

– Z pieniędzmi. Będziesz potrzebował więcej pieniędzy. Ona chce urodzić to dziecko?

– A czemu miałyby nie chcieć.

– Nie wiem. Wiesz jak jest. To dziwka. Możesz się wkurwiać, ale prawdy nie zmienisz. Co ci powiedziała?

– Że się zastanowi.

– No to już coś.

– Co.

– Nie wiem, jakiś dobry znak. Już samo to, że ci o tym powiedziała, a nie usunęła potajemnie. Większość tak robi.

– Też tak sobie pomyślałem.

– Ale nie masz pewności, że zawsze robi to z gumą. Wiesz, z klientami. Nie stoisz nad nimi i nie czekasz, aż założą. Nie wiesz, co się tam dzieje.



- Niedługo się dowiem. Olaf mi kazał z nimi jeździć.
- Z Dagmarą?
- No, między innymi.
- I zgodziłeś się?
- A miałem wyjście?

Hiro pochylił głowę, udając, że nie dosłyszał. Dziki zmarszczył czoło w jakimś gorzkim zamyśleniu. Milczeli przez dłuższą chwilę. Hiro odezwał się pierwszy.

– Nie wiem, czemu Igor nie przejmie mu tego biznesu. Robiłbyś dla niego.

– I myślisz, że byłoby inaczej? Poza tym Olaf jest nietykalny. Wszyscy mają do niego respekt, bo odsiedział za głowę, nikogo nie wsypał.

– A ty jesteś jego dziwką.

– Nie wiesz, jak to jest. Zaczynać wszystko od nowa. Olaf pomógł mi w więzieniu. Bez niego już dawno by mnie zajebali. Przynajmniej robota jest bezpieczna. Dużo bardziej bezpieczna niż jeżdżenie z towarem.

– Stałeś na bramce.

– Nie nadaję się na bramkę. Od razu startuję. Tam jest jeszcze gorzej, bo widzę, jak ona z nimi rozmawia, wiesz, flirtuje, oni ją dotykają, nie mogą na to patrzeć, coś mi się przestawia w głowie, robię się niebezpieczny. Wolę ją zawozić, zostawiać w mieszkaniu i odbierać po wszystkim. Na nic wtedy nie patrzę, jakby nic się nie stało.

– Zwariujesz od tego. Ja bym zwariował.

– Przyzwyczaiłbyś się.

– Myślisz, że do tego można się przyzwyczaić?

– Do wszystkiego można. Tak nas wychowali. Takie jest życie. Jak nie potrafisz się przyzwyczaić, nie będziesz miał z niego żadnej przyjemności.

– Wszyscy gadają o tobie za plecami, wiesz o tym. Śmieją się z ciebie. Ja się nie śmieję. Po części cię rozumiem. Myślę, że można kochać taką kobietę jak każdą inną. Pytanie, czy to jest odwzajemnione.

– Nie musisz się tym przejmować. Przychodzę tutaj, pracuję, mija dzień i zaczynam drugie życie, jesteśmy tam razem i jest nam dobrze.

– W takim razie spróbuj z nią spędzić dzień. Zobaczyć, czy jest wam dobrze za dnia.

– W dzień to ona śpi. Budzi się w południe, idzie do kibla, a potem wraca do łóżka i śpi do wieczora.

– Wy w ogóle ze sobą rozmawiacie?

– Dzisiaj rozmawialiśmy. Bo jest ten problem z dzieckiem. Ona nie chce go urodzić, ale ja się nie zgodzę, żeby je usunęła i ona mnie posłucha.

Hiro podwiózł go do mieszkania. Dagmara nie zostawiła żadnej wiadomości, nie odbierała telefonu. Poszła do klubu, choć prosił, żeby została. Dzisiaj miał wolny wieczór, chciał ją gdzieś zabrać. Zamiast tego rozebrał się, położył do łóżka i niemal od razu zasnął.

W nocy obudziły go głosy w korytarzu. Baśka, współlokatorka Dagmary, sprowadziła na mieszkanie klientów. Jak miała wolną sobotę, polowała po klubach samotnie, żeby nie dzielić się zyskiem z Olafem.

Była po trzydziestce, miała zniszczoną twarz, ale dobre ciało, gładką skórę, dziury na plecach i jako striptizerka potrafiła doskonale zwizualizować na parkiecie wszystko, co mogła ci dać. Gdy Dziki był na mieszkaniu, odpalała mu działę, żeby nie wygadał się Olafowi. Teraz pewnie myślała, że go nie ma, bo rozmawiali głośno, Baśka chichotała, była pijana, urywki słów nie układały się w logiczny sens. Klientów było dwóch. Po kilku minutach zamknęła się z jednym z nich w pokoju i nastąpiła cisza.

Dziki wstał z łóżka w samych slipkach. Wyszedł na korytarz. W kuchni paliło się światło. Przy stole siedział ten, co wylosował ruchanie po kumplu. Dwadzieścia kilka lat, farbowane blond włosy, nieco otyły, w przepoconej

koszulce, skarpetki podciągnięte wysoko, mocny zapach perfum, którymi musiał się spryskać tuż przed wejściem. Faza powoli mu mijała, nie zdradzał żadnych oznak napalenia, rozglądał się po kątach, bardziej jakby szukał miejsca do spania.

Gdy Dziki wszedł do kuchni, poderwał głowę i przylgnął plecami do ściany. Dziki nie zwracając na niego uwagi otworzył lodówkę, wyjął karton mleka i wziął kilka łyków. Blondas poprawił się na krześle, przyjmując bardziej oficjalną pozę. Dziki odwrócił się i spojrzał na niego, pocierając nadgarstkiem brodę, na którą ściekło trochę mleka.

– Ile jej płacicie? – spytał.

Blondas przyglądał mu się, jakby powątpiewał w jego realność.

– Ile – powtórzył Dziki.

– Sto pięćdziesiąt – wydukał Blondas i rozejrzał się po kuchni. Nie podobało mu się tu. Zbyt domowy klimat, śmierdziało przypalonym żarciem i proszkiem do prania.

Dziki wziął kolejny łyk. Przełknął i oblizał usta.

– Tamten już długo tam siedzi?

– Proszę?

– Tamten. Czy długo siedzi.

– Dopiero co wszedł.

Dziki spojrzał na drzwi po drugiej stronie korytarza. Przez szybę przebijało czerwone światło i dźwięki puszczonej z telefonu muzyki.

– Myślisz, że już zaczęli? – spytał.

Blondas patrzył w podłogę.

– Nie wiem.

– Nie wiesz.

Blondas pokiwał głową.

- Możesz sprawdzić – powiedział.
- Mam tam wejść?
- A chcesz tam wejść?
- No nie wiem. Chyba nie powinienem im przeszkadzać.

Dziki oparł się biodrem o blat.

- Chyba siądę i zaczekam na swoją kolej.

Blondas wyciągnął portfel i zaczął odliczać pieniądze.

- Co robisz?
- Mogę ci teraz zapłacić.
- A ruchałeś?
- Nie.
- To za co chcesz płacić.

Blondas odliczył kilka banknotów i delikatnie położył je na stole. Zza drzwi zaczęły dochodzić stłumione jęki Baški. Blondas skrzywił się, jakby popełnił jakiś nietakt. Dziki wskazał na pieniądze.

- Nie uważasz, że powinna się bardziej cenić?

Blondas od razu sięgnął po portfel.

- Mogę zapłacić więcej.

Dziki go powstrzymał.

– Teraz już za późno. Podała stawkę. Wyceniła się. Nic już nie zmieni tego, co o sobie myśli.

Blondas spojrzał w kierunku drzwi. Spuścił głowę. Zastanowił się.

- Jest bardzo ładna – powiedział.
- Wiem, bo to moja dziewczyna.
- Twoja?

– No.

Przedłużające się milczenie.

– Mieszkacie tu razem?

– No.

Blondas przygarbił się i położył dłonie na kolanach.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie. Siedź.

– Na pewno?

– Skoro już tutaj jesteś, powinieneś ją sprawdzić.

– Nie wiem teraz, czy chcę.

– Dlaczego miałbyś nie chcieć? Ona musi zarobić te pieniądze.

– Możesz je wziąć bez tego.

– Ja ich nie potrzebuję.

– To zostawię je tutaj dla niej.

– A twój kolega?

– On już zapłacił.

– Nie powinieneś go tutaj zostawiać.

– To on mnie tutaj przyprowadził.

– Tym bardziej nie powinieneś go zostawiać.

Jęki Baški stawały się coraz głośniejsze. Blondas siedział sztywno, wyłapując wzrokiem tylko te fragmenty przestrzeni, które odpowiadały za jego nietykalność. Dziki dopił mleko, zgniótł karton i postawił go na blacie, patrząc, jak zdeformowane krawędzie zmieniają kształt. Skupił się na dźwiękach dochodzących z pokoju.

– Nie powiedziała, że tutaj będziesz – odezwał się Blondas.

Dziki pokręcił głową.

- Bo nie miało mnie tutaj być.
- Chyba nie trafiliśmy na zły moment.
- Zły moment? Tak chcesz to nazwać?
- Nie wiem. Może sam to nazwij.

Dziki wciągnął powietrze, zatrzymał je w płucach i wypuścił nosem, zaciskając wargi. Palce lewej dłoni zaczęły ugniatać wystające spod skóry żebra.

– Nie chcę wam psuć zabawy – powiedział. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Zatoczył dłonią koło, jakby podążał w myślach za ruchem wskazówek. – Poza tym jest druga w nocy. O tej porze nie ma złych momentów. Są tylko złe decyzje.

Jęki ucichły. Kilka sekund ciszy, gdy skończył się kawałek w telefonie, ale zaraz potem poleciał kolejny. Blondas spojrzał w kierunku drzwi.

- Chyba skończyli – powiedział.

Dziki potwierdził skinieniem głowy.

- Teraz twoja kolej.
- Powiedziałem ci, że przeszła mi ochota.
- Jej też chcesz to powiedzieć?
- Skoro zapłacę, nie powinna mieć nic przeciwko.
- To tak nie działa. Nie w naszym domu.

Dziki odkleił się od blatu, stanął nad stołem i przeliczył pieniądze, zerkając na Blondasa, który nieznacznie się cofnął, unosząc prawy bark w kierunku szczęki. Dwa banknoty wsunął za gumę slipek, ziewnął i podrapał się po jajach. Blondas znieruchomiał, wstrzymał oddech, twarz zastygła w napięciu.

- W porządku? – spytał Dziki.

– To zależy, co masz zamiar zrobić.

Dziki uniósł górną wargę, próbując się uśmiechnąć. Powędrował spojrzeniem w róg sufitu i zmrużył powieki, jakby dojrzał tam jakieś niepokojące zjawisko. Trwał w tej pozycji przez kilka sekund, odchylając mocniej głowę.

– Chyba pójdę spać – mruknął niewyraźnie. – Tak – dodał pod nosem i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się w korytarzu, zaciskając dłoń na framudze. – Nie mów jej, że rozmawialiśmy. – Jego profil majaczył na granicy światła i ciemności. – Zacznie płakać. To wrażliwa dziewczyna.

Blondas skinął głową. Dziki wrócił do swojego pokoju, zamknął drzwi i położył się do łóżka. Przez chwilę nasłuchiwał, lecz z korytarza nie dobiegły żadne dźwięki. Koleś cierpliwie czekał na swoją kolej.

# 7

Rano pojechał ze sterydami do Bajdy. Bajda miał siłownię na osiedlu Przy Arce, w budynku po sklepie spożywczym. W środku ekipa remontowa malowała ściany i zeskrobywała grzyb w rogach sufitu. Bajda wziął go na bok. Zajrzał do torby. Zapłacił. Dziki zapytał, czy odnawia miejscówkę. Ćwiczył tu kiedyś, za małolata, potem zrobiło się niebezpiecznie, bo trenowała tu chuliganka, samochody na parkingu zawsze były pełne sprzętu, każdy pod telefonem, na zewnątrz ciągle kursy tych, co próbowali ich dopaść na zmęczeniu, rozluźnieniu, pod prysznicem albo pod sztangą, efekt był jednak odwrotny, stała obecność wroga motywowała do ciężkich treningów. Byli gotowi. Zawsze.

– Tracę klientów – powiedział Bajda. – Ale jak będzie paliwo, to znowu wrócą. – Gadał szybko, przerzucając w dłoniach ampułki z koksem. – Najchętniej bym to komuś odstąpił. Gadałem z Igorem, ale on tego nie chce. Trochę mnie zblokował, bo jak on kogoś nie wskaże, to nikt tu długo nie pociągnie.

– Zmień nazwę, pokoloruj ściany – powiedział Dziki. – Albo właduj w siebie to wszystko i spróbuj mu się postawić.

Bajda wsadził torbę do schowka.

– Remontuję lokal. Widzisz, że się staram.

– Widzę. Na razie.

Teatralne było dwa osiedla dalej. Dziki nie lubił tu przyjeżdżać, małolaty ostro się rozpanoszyły. Nikt go już nie poznawał.

Wsiadł do windy i wyjechał na szóste piętro. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła mu Ewa. Miała na sobie dżinsowe spodenki z postrzępionymi nogawkami i białą rozciągniętą koszulkę, pod którą rozlewały się dosyć duże jak na jej drobną sylwetkę piersi. Tatuaż nad lewą kostką, kolczyk w pępku,



skóra brązowa od solarium. Przywitała go znudzonym wzrokiem i klapiąc japonkami, wróciła do kuchni.

Mieszkanie było zagracone i ciasne. Nierówno docięte linoleum lepilo się do butów. Korkowa boazeria przesiąkła papierosowym dymem.

Wszedł do kuchni. Ewa stała nad kuchenką i mieszała chochlą w garnku. Zemdlilo go od zapachu jedzenia. Otworzył szerzej okno i stanął nad łóżeczkiem, w którym leżało kilkunastomiesięczne dziecko. Na jego widok się uśmiechnęło. Pochylił się nad dzieckiem i pocałował je w czoło. Potem podszedł do Ewy i pochylił się nad garnkiem.

– Co to jest? – spytał.

– Zupa.

– Spalisz to – powiedział i przykręcił gaz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją za twarz i spojrzał jej w oczy. Nie bronila się.

– Co?

Wystawił jej źrenice pod światło.

– No co?

– Nic – odpowiedział i ją puścił. – To dla matki?

Ewa wróciła do mieszania.

– No. Srała dzisiaj już dwa razy.

Dziki otworzył szafkę i wyjął z niej talerz.

– Co robisz? – spytała.

– Nalej – powiedział, szukając czystej łyżki.

– Ona nie zje od ciebie.

– Mówię, nalej.

Ewa zanurzyła chochlę w garnku i nalala mu porcję. Dziki wsadził łyżkę

między zęby, wziął talerz w obie ręce i zaniósł go do pokoju. Matka siedziała w fotelu, gapiąc się w telewizor. W pokoju unosił się słodki zapach odświeżacza, spod którego przebijał smród starego moczu. Za szybą meblościanki kolekcja polskich klasyków literatury, komplet kryształów. Pod parapetem stała donica z paprocią. Obok niej zabytkowa maszyna do szycia marki Singer z całym osprzętem.

Dziki postawił talerz na stoliku i powąchał matce włosy. Były siwe, pachniały szamponem. Podniósł jej górną wargę i przejechał palcem po zębach, sprawdzając, czy nie ma na nich osadu, resztek jedzenia.

Matka nie reagowała. Jej dłonie spoczywały na podłokietnikach, głowę miała lekko przekrzywioną. Powieki unosiły się i opadały w jednostajnym rytmie. Dziki usiadł obok niej, sięgnął po talerz, zanurzył łyżkę w zupie i dmuchnął w nią, żeby ostudzić. Spróbował nakarmić matkę, lecz ta zacisnęła usta. Ponowił próbę, dociskając mocniej łyżkę, lecz nie mógł się przebić przez jej zaciśnięte zęby. Zrezygnował. Usiadł na kanapie obok niej i sam zaczął jeść, trzymając talerz pod brodą.

W drzwiach stanęła Ewa. Rozejrzała się po pokoju.

– Mówiłam – rzuciła ze znużeniem. Podniosła z podłogi kilka ubrań i przewiesiła je przez oparcie kanapy.

Dziki nie zareagował. Jadł, oglądając telewizję. Powoli połykał ciepły, odżywczy płyn. Ewa zapaliła papierosa.

– Te leki, które jej daję – odezwała się po chwili. – Sprawdziłam ulotkę.

Dziki zamieszał łyżką w zupie.

– I to nie jest tak, że ona tak siedzi i się nie rusza, tylko ona jest chora na głowę. – Ewa przygryzła paznokiec, lustrując Dzikiego uważnym wzrokiem. – Ona ma schizofrenię. Na to są te leki.

Dziki milczał. Ewa się zaciągnęła. Spojrzała na matkę.

– Jej coś może odpierdolić.

– No – powiedział Dziki i objął matkę ramieniem. Nie odrywając wzroku

od ekranu telewizora, wspiął się dłonią po jej karku i naciągnął koniuszkami palców jej górną wargę. – Zęby jej wypierdoli. I zamieni się w wampira.

– Pisało, że tak to właśnie działa. Człowiek jest wyłączony, nawet przez całe miesiące, ale nagle może się przebudzić i wtedy...

– I co wtedy – przerwał jej Dziki.

– Pisali, że robi różne dziwne rzeczy. Że może stanowić zagrożenie.

– Matka? Zagrożenie? Popatrz na nią.

Ewa spuściła wzrok.

– Ona powinna zostać w szpitalu.

– Nie. Będzie tutaj.

– Łatwo ci mówić, bo nie ty zmieniasz jej pieluchy i myjesz dupę z gówna.

Dziki sięgnął do kieszeni i rzucił na stół kopertę.

– To jest cena twojego utrzymania. – Wskazał palcem Ewę. Potem przeniósł go na matkę. – A ona cię teraz słyszy.

Ewa potulnie zgarnęła kopertę ze stołu. Przeliczyła pieniądze i wykrzywiła usta w niemym proteście. Banknoty wysunęły się jej z dłoni.

– Czemu Igor nie weźmie jej do siebie.

– Zapytaj go.

– Sprowadził już tam jakąś małodatę?

Dziki sięgnął po talerz, ale od razu go odstawił, tracąc ochotę na jedzenie.

– Widuję go raz na dwa tygodnie – odpowiedział, próbując skupić się na programie telewizyjnym. Z boku usłyszał, jak Ewa wciąga głęboko powietrze, z trudem powstrzymując się od płaczu.

– To niech zadzwoni. Przyjedzie. Zobaczyć swojego syna, w jakich warunkach się wychowuje.

Dziecko zaczęło płakać. Ewa wstała i wyszła. Każde ich spotkanie tak właśnie się kończyło. Zostawiał pieniądze, ona krzyczała, on wychodził. Ale matką opiekowała się dobrze. Trzeba ją było umyć, nakarmić. Wykonać serię ćwiczeń, żeby nie doszło do zaniku mięśni. Wmuszać leki, które nie zawsze chciała przyjmować. Poza tym mogła trwać w bezruchu całymi godzinami. Czasami z trudem utrzymywała pozycję siedzącą, ślina ciekła jej z ust. Lekarze twierdzili, że to etap przejściowy. Leki miały przywrócić prawidłowe funkcjonowanie mózgu, ważne jednak były ciągłe próby nawiązania kontaktu.

Dziki sięgnął po pilota i przełączył kanał. Zaczął zmieniać programy, nie bardzo rejestrując to, co działo się na ekranie. Za którymś kliknięciem trafił na ulubiony serial matki. Zostawił, wsłuchał się w dialog. Zerknął ukradkiem na jej twarz, ponownie wlepił wzrok w ekran, czekając na kulminacyjny moment sceny. Podgłośnił. Znowu spojrzał na matkę. Żadnej reakcji. Jej wzrok był tak samo martwy, choć oczy błędziły po ekranie, śledząc ruchy postaci. Dziecko powoli się uspokajało. Dziki odchylił głowę i słuchał, jak Ewa nuci mu jakąś melodię. Skosztował zupy, ale zrobiła się zimna, kleista, wypłuł to, co wziął do ust. Potem wyjął portfel, odliczył kilka banknotów, wsadził je do koperty i po cichu wymknął się z mieszkania.

## 8

Bolec miał sekcję treningową na Kurdwanowie. Dwie grupy wiekowe – dzieci i dorośli. Główny nacisk kładł na kickboxing, w który wplatał techniki uliczne. Dzieciaki uczył judo, zapasów. Jak zauważał jakieś talenty, dbał o ich rozwój. Potem werbował ich do grupy.

Dla dorosłych były zajęcia otwarte i zamknięte. Na otwarte mógł chodzić każdy. Była rozgrzewka, technika, sparingi. Na zamknięte przychodziła bojówka. Tradycyjne sztuki walki zmiksowane w jednym celu – zabić lub uchronić się przed śmiercią.

Bojówkarz miał przeważnie do czynienia z więcej niż jednym przeciwnikiem i często ten przeciwnik był uzbrojony. Boks, ju-jitsu się nie sprawdzały, dlatego Bolec wdrażał techniki uliczne, poparte wieloletnim doświadczeniem.

Sparingi prowadzone były grupowo, jeden na pięciu, na gołe pięści. Dozwolone obalenia, walka w parterze, na gołe klaty, dlatego ważna była higiena. Bolec przed każdym treningiem sprawdzał długość paznokci, ślady po głębszych ranach. Ćwiczyli walkę nożem, obronę w klinczu, wymknięcie się z kordonu złożonego z dziesięciu policjantów wyposażonych w tarcze. Chuligani mieli dobrą kondycję. Byli na ciągłej kurwie od sterydów, nie czuli bólu i kipieli agresją.

Dziki od wyjścia z więzienia kłuł się na potęgę. Pierwsze, wrzucił kurację deka plus testosteron, dwa zastrzyki tygodniowo, miał rosnać po siedmiu. Brak szybkich efektów działał demotywowująco, więc zaczął łykać dianabol, a na koniec kuracji dobił się boldenonem.

Na boldenonie miał przez cały czas stan podgorączkowy, kutas mu nie stawał i sikał krwią, masy nie przybywało, ciężary nadal były ciężkie, stawy w łokciach bolały przy wyciskaniu. Wieczne zakwasy. Wszyscy powtarzali, że na kuracji powinien jeść, ale on tylko się kłuł. I wciągał amfę. Ona dawała

mu więcej siły niż te sterydy.

Potem zrobił kilkumiesięczną przerwę. Czuł się jak szmata. Wyciśnięty, słaby. Zeszła z niego cała energia. Bolało go całe ciało. Przeciążone stawy. Obite kości. Ta mieszanka nieźle zryła mu wątrobę. Przez tydzień po odstawieniu zżółkł i prawie nic nie jadł. Potem wszystko zaczęło wracać do normy i został przy samym testosteronie.

Chuligani, z którymi sparował, byli ze dwa razy ciężsi, ale nie wyżywali się na nim. On spalał się na sto procent, chciał bić się z dużymi, odklepywał duszenia zawsze na granicy omdlenia. Jego chude, kanciaste ciało dla wielu było problemem w parterze.

Po treningu wszyscy szli do szatni, wyposażonej w metalowe szafki i zagrzybiałe brodziki. Zostawione tam ciuchy szybko robiły się mokre od wilgoci. W koszach na śmieci piętrzyły się pobrudzone krwią chusteczki i strzykawki, którymi się kłuli.

– Stoisz dalej w Opium? – spytał Dziki, podczas gdy Fajfer napełniał strzykawkę.

Trening skończył się pół godziny temu. Zostali w szatni sami. W powietrzu zapach potu, odparowanej chemii. Toksyczna, dławiąca zawiesina.

– No, ale jeszcze kilka miesięcy. – Fajfer wystawił strzykawkę pod światło i fachowo odpowietrzył igłę.

– Schodzę z bramek. Pierdolę.

Dziki podsunął mu lewe ramię. Fajfer wbił igłę w mięsień, zaaplikował, owinął strzykawkę w papierowy ręcznik i wrzucił ją do kosza. To on rozpisywał chłopakom kuracje. Sam przetestował na sobie większość środków. Ćwiczył i kłuł się w mieszkaniu, nie lubił pakować w publicznych siłowniach. Mierzył się, zapisywał efekty, traktując się trochę jak zwierzę doświadczalne. Siedem lat na sterydach, które zmieniły mu twarz w porytą trądzikiem teksturę. Miał zachrypnięty głos i drobne, niemal chłopięce dłonie, które mocno kontrastowały z grubymi mięśniami przedramion. Włosy wygolone po bokach i związane w kucyk, co podkreślało ostre rysy twarzy i

niemal skośne oczy. Czasami zakładał okulary, jak chodził na siłownię w centrum jako trener personalny, lecz swoją wiedzę i doświadczenie najlepiej mógł spożytkować tutaj, gdzie było zapotrzebowanie na mocną chemię. To jego poradził się Dziki, jak brać hormon wzrostu. Fajfer sprawdził towar i stwierdził, że jest bezpieczny, więc znowu zaczęło się kłucie, łapanie wody. Nocne szczękościski.

– Daj jeszcze jeden – powiedział Dziki, rozmasowując ślad po nakłuciu.

– Spokojnie, to nie działa od razu.

– Muszę się szybciej regenerować.

Fajfer pokiwał głową i zaczął napełniać kolejną strzykawkę. Zrobił zastrzyk. Dziki założył koszulkę.

– Słyszałeś o aferze Przy Arce? – spytał Fajfer, pakując swoją przenośną aptekę do sportowej torby.

– Nie.

– Na siłowni, u Bajdy.

– Byłem tam dzisiaj.

– I nic nie mówił?

– Robił remont. Chce się tego pozbyć.

– Nie dziwię mu się. Tydzień temu na Piastów dźgnęli typa, jak ten szedł z laską. Szukali ich po mieście. U Bajdy dodupcało się kilku chuliganów, nawet wozilem im kłucie kilka razy. Kojarzysz Stacha?

– No.

– On tam chodził, bo miał blisko. Wiesz, on już z nikim nie biega, to go tolerują, poza tym zna Bajdę i był tam wtedy, robi klatę, jak te dwa małolaty wchodzi. W siłowni z siedmiu typów, a wiesz, tam jest gruba mordownia, chłopcy na koksie, sami bramkarze co stoją po Rynku, waga ciężka, bez opierdalania, a tych dwóch małolatów dzieciaki, kurwa, po piętnaście lat, przyszli kupić suplementy, rozejrzeć się. W środku nikt ich nie poznał, bo

byli z innego osiedla, na zewnątrz stała grupka ludzi, namierzył ich jakiś małolat. Poznał samochód jednego z nich i zadzwonił. Po dziesięciu minutach zajęła ekipa, z piętnastu chłopów, kominiarzy, sprzęt i jazda na pełnej kurwie. Jeden z nich został w środku, drugi wyszedł na zewnątrz. No to tego jednego rozjebali od razu, dostał siekierą w łeb, czaszka pękła na pół. Co zrobiły koksy? Zabarykadowali drzwi lodówką. Banda stukilowych cielaków, co połowę życia napierdalała się na bramkach, srała ze strachu przed dzieciakami.

– Co się stało z tym drugim?

Fajfer spojrzał na swoją użyłoną, napompowaną łapę, jakby nagle stracił do niej zaufanie.

– Jak na lodówkę poleciały siekiery, koksy wykopały jego dupę na zewnątrz. Mięso dla wściekłych psów. Zajebali go na schodach, przed kamerami.

– Kurwa.

Fajfer napiął mięśnie karku. Pogładził się po wydepilowanym przedramieniu.

– Małolaty się nie pierdola. Laski noszą tasaki w torebkach. Dlatego schodzę z bramek. Nie warto ryzykować życia dla takiej kasy. Bo w tym mieście ryzykujesz życie. Sok ci nie pomoże, jak w ruch pójda siekiery.

W szafce zaczął wibrować telefon. Dziki podszedł, sprawdził, kto dzwoni. Numer nieznany. Odebrał.

– Halo?

– Gdzie jesteś? – Rozpoznał głos brata. Podszedł do okna, żeby złapać zasięg. Fajfer zarzucił torbę na ramię, klepnął Dzikemu piątkę i wyszedł z szatni.

– Halo – powtórzył Igor.

– Na treningu – odpowiedział Dziki.



Chwila ciszy, stłumiony głos, jakby Igor się z kimś porozumiewał.

– Słuchaj, jest robota.

– Dzisiaj jest środa?

– Nie, wtorek. A co?

– Nic. Chcesz to jadę. Zostawiam całą resztę.

– To tylko kilka godzin.

– Kiedy?

– Teraz.

Dziki zastanowił się.

– Podjedziesz po mnie?

– Nie. Spotkacie się na pętli, na Kurdwanowie.

– Z kim?

– Nieważne. Potrzebują karka, więc pomyślałem, że cię dokooptuję. To jest sprawa, która już się trochę ciągnie, sprawdzisz, czy masz do tego nerwy. Z nimi łatwo to sprawdzić.

– Już mam tam jechać?

– No, najlepiej. Rób, co mówią i nie wariuj. Potem pomyślimy, co dalej.

Dziki spojrzał na swoją dłoń. Zacisnął ją w pięść i rozluźnił.

– Będę za pół godziny.

## 9

Podjechali niebieskim vanem. Za kierownicą siedział łysy koleś w okularach. Wąskie, nieoprawione szkła nadawały mu wygląd księgowego mafii. Zatrzymał vana i spojrział w oba lusterka. Rozsunęły się boczne drzwi. Kark, którego Dziki znał z widzenia, skinął głową na powitanie. Dziki wsiadł do vana. Samochód ruszył, zanim zdążył usiąść. Van miał dwa rzędy siedzeń i pustą przestrzeń na tyłach. W pierwszym rzędzie siedzieli Robert i Drukarz. Drukarz przewiesił swoje łapsko przez fotel i żując gumę, spojrział na Dzikiego.

– Jesteś nafurany?

Dziki pokręcił głową.

– Nie.

– Gały ci błyszczą.

– Mało spałem.

– Mało spałeś. – Potarł palcem wskazującym o kciuk. Spojrział przez przednią szybę na drogę. Wyjeżdżali z miasta. – Pytam, bo to jest delikatna sprawa. Trzeba działać cicho i sprawnie.

– Potrafię działać cicho i sprawnie.

– Robiłeś chaty.

– No. Między innymi.

– To chyba niezbyt cicho i sprawnie, jak odsiedziałeś pięć lat.

Dziki nie odpowiedział. Drukarz spuścił wzrok. Zacisnął mięśnie przedramion. Krótki skurcz, by pobudzić krążenie.

– Chłop nazywa się Nazim. Nazim jakiś tam. Wisi Igorowi pieniądze. Skurwysyn się ukrywa. Szukamy go od dwóch miesięcy. Miał dwie

restauracje na Rynku. Obie zamknięte, po chłopie ani śladu. Zanim wpakował się w to gówno, ukrył żonę i syna. Wiedział, jakie będą konsekwencje. – Drukarz westchnął, jakby od samego gadania dostawał zadyszki. Zmierzył Dzikiego badawczym wzrokiem. Wchodzili w etap właściwej oceny. – Wczoraj ją znaleźliśmy. Właśnie do niej jedziemy.

Dziki powoli skinął głową.

– No.

Drukarz wbił łokcie w kolana. Próbował grać rozluźnionego, ale siłownia pospinała go na wieki.

– Jak dziwka nie powie gdzie jest, trzeba ją będzie przycisnąć.

– Przycisnąć? – Dziki mimowolnie się uśmiechnął.

Drukarz sięgnął pod siedzenie i w jego dłoni pojawił się nóż. Pomachał Dzikiemu przed twarzą lekko zakrzywionym ostrzem.

– To jeden ze sposobów, ale jesteśmy otwarci na improwizację.

Robert zaczął rechotać.

– Tylko mordy nie poszlachtuj, żeby miała szansę odrobić w burdelu.

Drukarz skinął głową na znak uznania dla jego propozycji. Podał Dzikiemu nóż.

– Kumasz?

## 10

Dziesięć minut później zatrzymali się na jednokierunkowej ulicy. Dom znajdował się jakieś dwadzieścia metrów od samochodu, po lewej stronie, za płotem ze stalowych prętów w betonowej podmurówce. Niski, parterowy budynek o szarych, nieotynkowanych ścianach, z podwójnym garażem. Za płotem rosły drzewa. Trawnik był zaniedbany. Szczelnie zasłonięte okna.

Kierowca zgasił silnik i położył dłonie na kierownicy. Skrzypnęła skóra na siedzeniu, gdy Drukarz nachylił się w stronę przedniej szyby i rozejrzał po okolicy. Była druga po południu. Pochmurny dzień. Sąsiednie domy w znacznym oddaleniu od siebie, bezpiecznie ukryte w przemyślanym układzie zieleni.

Drukarz podał Dzikemu kominiarkę. Gdy Dziki wziął do ręki ten czarny kawałek wełny, powróciło stare, dobrze znane uczucie. Po wciągnięciu jej na twarz nie było odwrotu. Dźwięki stawały się wytłumione, słyszałeś krew huczącą w skroniach, zalewał cię smród przyspieszonego oddechu. Instynkt stadny na pełnych obrotach. Przenośny szalas potu.

– Tabak – Drukarz zwrócił się do kierowcy. – Jak będziemy w środku, puszcze sygnał i wjedziesz pod garaż.

Tabak odpowiedział nerwowym tikiem lewej powieki. Drukarz szarpnął drzwi. Dobrze naoliwione szyny. Wyszli na ulicę. Gładki asfalt, miał służyć pokoleniom. Pas startowy dla złodziei. Ruszyli truchtem wzdłuż płotu. Otworzyli przeplecioną drutem furtkę i wbiegli do ogrodu. Stanęli przed drzwiami. Założyli kominiarki. Wokół panowała cisza. Śpiew ptaków. Dziki spojrział na piaskownicę i plastikową wieżyczkę ze zjeżdżalnią. Karmnik zawieszony na drzewie. Buczenie dzwonka po drugiej stronie rezonowało w jego głowie, napędzając oddech i bicie serca. Szczęk otwieranego zamka. Powoli. Bez żadnych obaw. Dziki przylgnął do ściany.

– Słucham – kobiecy głos, ucięty przez dłoń Roberta, która zacisnęła się

na jej gardle i wepchnęła ją z powrotem do środka.

Drukarz pociągnął za sobą Dzikiego. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, który wychodził na duży salon. Robert przewrócił kobietę, chwycił ją za włosy i przeciągnął nią po podłodze. Kobieta miała na sobie szlafrok, który się podwinął, odsłaniając uda. Wierzgała, żeby zasłonić krocze. Ciemny kolor skóry. Czarne kręcone włosy. Robert posadził ją na kanapie i przystawił jej nóż do gardła.

– Gdzie on jest? – spytał.

Na dłoń przyciśniętą do jej ust spłynęła ślina. Fala gorącego powietrza wyrzucona z płuc pod ciśnieniem. Zewnętrzzną stronę zalewały łzy. Oddawała ciepło.

– Szeptem – powiedział. Rozchylił delikatnie palce, uwalniając wargi, które ułożyły się w dwa słowa według zasad jego gry.

– Nie wiem.

– Jest tutaj?

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy. Robert pochylił się nad jej twarzą.

– Pochlastam ci mordę – szepnął.

Kręciła głową jak zahipnotyzowana, aż Robert zaczął ją naśladować, z tą różnicą, że on się uśmiechał, ona nie. Drukarz pchnął Dzikiego w kierunku schodów prowadzących na piętro. Dziki się potknął, pierwsze dwa stopnie pokonał, nie czując własnych nóg. Scena, która się przed nim rozgrywała, miała w sobie coś z teatralnej inscenizacji. Brązowe zasłony w oknach, świetlne punkty, postacie poruszające się po wyznaczonych torach, skisłe powietrze, w którym był pot, zwietrzałe perfumy, zapach kawy, zapach domu, ale zimnego, przejściowej mety.

Robert pochylił się nad kobietą, która teraz klęczała na podłodze. Ciężko oddychał, próbując wyłapać z jej twarzy jakieś informacje. Nie pozwolił jej obejrzeć się za siebie, więc nie widziała, jak Dziki wchodzi na piętro. Schody

były wyłożone miękkim dywanem. Poruszał się bezszelestnie. Głosy z dołu ucichły. Drzwi po obu stronach korytarza. Sięgnął po nóż. Wszedł do pokoju po lewej. Zasunięte zasłony, półmrok, chłód nieogrzewanych murów. Drzwi po prawej, zwiększona ostrożność. Dziki znieruchomiał. Na łóżku siedział kilkunastoletni chłopiec. Dopiero co się przebudził. Stopy postawił na dywanie. Niepewny grunt. Cisza inna niż zwykle. Ocena dystansu. Przez chwilę patrzyli na siebie, ale żaden nie był w stanie się poruszyć. W dole rozległ się krzyk kobiety. Krótki, szybko stłumiony. Chłopiec go usłyszał, ale nie zareagował. Żadnego strachu, woli walki, jakby siedział w tym pokoju i czekał na ich przyjście. Dziki przycisnął ostrze noża do ust, dając mu znak, aby milczał. Oczy chłopca zrobiły się szkliste, ale on sam nadal trwał w bezruchu. Dziki zrobił krok do tyłu i nie spuszczać wzroku z chłopca, zamknął za sobą drzwi. Przyspieszając kroku, dotarł do końca korytarza, zaglądnął do ostatniego pokoju. Większość mebli wyniesiona. Ściany poszarzały w miejscach, gdzie stały. Zasłonięte okna, na gołej podłodze leżał materac. Wrócił na korytarz i stanął na szczycie schodów. Z zewnątrz dochodził dźwięk silnika. Van podjechał pod garaż. Trzasnęły drzwi. Stukot unoszącej się bramy garażowej. Kobieta siedziała na kanapie plecami do Dzikiego. Drukarz nerwowo krążył przy oknie. Gdy dostrzegł Dzikiego, rzucił mu pytające spojrzenie. Dziki w odpowiedzi pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że na górze nikogo nie ma. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki tam stał, trzymając się lewą dłonią poręczy i lekko kołysząc, jakby zaraz miał stoczyć się w dół.

Do salonu wszedł Robert. W dłoni trzymał kanister z benzyną. Mocno sapał, pod butami chrzęściły mu kawałki szkła. Bez słowa stanął nad kobietą, przechylił kanister i zaczął wylewać benzynę na jej głowę. Kobieta wciągnęła powietrze kilkoma haustami, żaden jednak nie nappełnił jej powietrzem, wręcz przeciwnie, zdawała się dusić, splatając dłonie przy klatce piersiowej i naśladując nimi trzepot ptasich skrzydeł. Jej oddech przyspieszył. Zakrztusiła się tym, co wpłynęło jej do ust. Zapach benzyny wzbił się pod sufit, dotarł na piętro. Robert zaczął się cofać, rozlewając benzynę po podłodze. Gdy resztką spłynęła z wylotu kanistra, cisnął go w kąt, przykucnął i wyciągnął z kieszeni

paczkę papierosów. Kobieta na ich widok wydała z siebie dźwięk przypominający pohukiwanie sowy. Była tak sparaliżowana strachem, że nawet nie podciągnęła szlafroka, który zsunął się jej z ramion, odsłaniając nagie piersi.

– Gdzie on jest? – spytał Robert.

– Nie wiem – odpowiedziała niskim, zmodulowanym głosem. – Przy-się-gam-o-Bo-że – zaczęła sylabizować, a Robert przyklasnął jej do rytmu.

Do salonu weszli Tabak i kark z vana. Poruszali się jak zaprogramowani, nie zwracając najmniejszej uwagi na kobietę, po której spływała benzyna, i Roberta, który od niechcienia wsadził papierosa do ust. Szybko namierzyli najbardziej wartościowe rzeczy w zasięgu wzroku. Były nimi zestaw kina domowego i plazmowy telewizor na ściennym statywie. Tabak zabrał się za odpinanie głośników, a kark zerwał ze ściany telewizor i wlokąc za sobą kable, wyniósł go z salonu.

– Masz jakieś pieniądze? – spytał Robert, grzebiąc palcem w pudełku zapalek, jakby miał tam odłożoną jedną na wyjątkowe okazje.

– Nie – odpowiedziała kobieta.

Dziki wychwycił ruch za swoimi plecami. Odwrócił się. Chłopiec wyszedł z pokoju. Stał przy drzwiach w samych majtkach i zamierzał zrobić kolejny krok. Dziki pokręcił głową, prosząc, aby tego nie robił.

– To jego dom? – spytał Robert i spojrzał przez ramię kobiety na schody. Zobaczył chłopca.

Kobieta przekręciła głowę i niemal od razu ją cofnęła.

– Nie pozwólcie mu na to patrzeć – wykrztusiła, produkując jeszcze więcej śliny.

Dziki cofnął się na piętro. Chłopiec stał nieruchomo. Chwycił go za ramię. Było miękkie, bezwładne. Kobieta wciągnęła powietrze i zaczęła wyć. Po udzie chłopca pociekła strużka moczu, plamiąc dywan. Kobieta spuściła głowę i wyła, mokre włosy lepiły się jej do twarzy. Tabak szarpnął kabel,

posypały się odpryski tynku. Wrócił do salonu i ściągnął ze ściany jakiś gówno warty obraz. Trzask odpalanej zapalki sprawił, że kobieta niemal natychmiast poderwała głowę. Robert przybliżył płomień do końcówki papierosa, rozległ się szelest zasysanego żaru. Ściągnięte kości policzkowe zastygły na moment, gdy uniósł wzrok i spojrzał na kobietę, wypuszczając dym od niechcenia, jakby był on tylko efektem ubocznym jego prawdziwych zamiarów. Potem zacisnął koniuszki palców na filtrze i ustawił papierosa żarem do góry, żeby kobieta mogła dobrze mu się przyjrzeć.

– Gdzie mam go zgasić? – spytał.

Powietrze było gęste od oparów benzyny. Kobieta nie odezwała się. Rozchyliła usta. Oczy skupione na papierosie. Zsunęła dłonie z kolan. Palce zaciskały się i rozluźniały, jakby płynął przez nie prąd o niskim natężeniu.

– Nabierz śliny – powiedział Robert i zaciągnął się po raz kolejny, dmuchając cienką strużką dymu w żar, żeby mocniej go rozniecić.

Kobieta uniosła głowę i zaczęła pracować, wciągając policzki i mieląc szczęką. Wydobycie choć kropli śliny przychodziło jej z wielkim trudem. Robert przez chwilę obserwował jej pełne wysiłku starania, a potem spojrzał na przeciągnięty żar, zwisający z papierosa. Wstał i podszedł do kobiety. Stanął nad nią tak, że jej oczy znalazły się na wysokości jego rozporka, lecz ona była skupiona tylko na jednej przeszkodzie, walce z ograniczoną pojemnością swoich gruczołów ślinowych.

Drukarz przyglądał się całej sytuacji z rosnącym niepokojem. Cofnął się na bezpieczną odległość, na wypadek gdyby żar spadł w rozlaną benzynę. Robert przystawił papierosa do twarzy kobiety. Jej oczy wpatrywały się w żar, coraz głębiej schowany w grudce popiołu, lecz nadal krwiście czerwony, tłący się, zdolny ją zabić.

– Otwórz usta – powiedział Robert.

Otworzyła.

– Wystaw język.



Z jej ust wysunął się język. Zamknęła oczy. Robert zacisnął dłoń na jej twarzy. Przyjrzał się jej z bliska. Gładka cera, drobny kształt, ciepłe usta.

– Czemu takie skurwysyny muszą zawsze zostawiać za sobą coś tak ładnego, żeby ktoś to za nich rozjebał – powiedział i spuścił na żar gluta śliny.

Kobieta drgnęła, słysząc syk gaszonego żaru, ale nie otworzyła oczu. Zrobiła to dopiero wtedy, gdy Robert wcisnął jej w usta ośliniony filtr i pogłaskał ją po głowie.

– Zrób jej zdjęcie – powiedział do Drukarza.

Kobieta zacisnęła zęby na filtrze z wdzięcznością, niemal się uśmiechając. Drukarz skadrował jej twarz telefonem komórkowym. Błysnęła lampka w obudowie. Dodatkowo zrobił zdjęcie z profilu. Robert rozejrzał się po salonie w poszukiwaniu czegoś, co Tabak wraz z karkiem mogli przeoczyć. Potem spojrzął na Dzikiego w połowie schodów i stojącego na ich szczycie chłopca, który cofnął się o krok, wnikając plecami w półmrok korytarza.

– Gdzie są kluczyki do samochodu, który stoi w garażu? – spytał.

Kobieta uniosła wzrok. Wypalony do filtra papieros nadal sterczał jej z lekko wydętych ust. Robert trzepnął ją otwartą dłonią w policzek, tak że papieros spadł na jej kolana, ciągnąc za sobą nitkę śliny. Kobieta podniosła się na drżących nogach i lekko zgarbiona pokuśtykała do przedpokoju. Wróciła ze skórzaną torebką, trzymając ją oburącz na wysokości klatki piersiowej. Usiadła na kanapie, zajrzała do torebki, wyciągnęła z niej kluczyki i podała je Robertowi.

– Powiedz mu, co się tutaj stało – powiedział Drukarz, pochylając się nad nią z drugiej strony. – Znaleźliśmy was, znajdziemy i jego. To tylko kwestia czasu.

Robert zawiesił kluczyki na palcu i dał Dzikiemu znak, aby szedł za nim. Przeszli przez kuchnię, potem schodami w dół, do garażu. Przed otwartą bramą stał van, którym przyjechali. Tabak odbierał od karka zdobioną lampę.

Ułożył ją starannie na pace, między innymi rzeczami. Zabrali nawet czajnik i kuchenkę mikrofalową.

Tabak zeskoczył z paki i pocierając dłonie, siadł za kierownicą. Kark zatrzaskał za sobą tylne drzwi. Robert podał Dzikiemu kluczyki do stojącej w garażu toyoty rav4.

– Zabierz ją na myjnię i rozbierz na części – powiedział.

Dziki wziął kluczyki, siadł za kierownicą i odpalił silnik. Drukarz wsiadł do vana. Robert stanął przy szybie toyoty. Dziki ściągnął kominiarkę. Głowę miał mokrą od potu.

– Dlaczego nie powiedziałeś o dzieciaku? – spytał Robert.

– Nie zauważyłem go.

– Przeszukałeś pokoje?

– Mówię ci, że go tam nie było.

– Robert! – zawołał Drukarz, wychylając głowę z vana.

Samochód powoli sunął po podjeździe. Robert zmierzył Dzikiego niepewnym wzrokiem, klepnął w maskę toyoty, pobiegł za vanem i wskoczył do środka. Tabak przyspieszył, van poderwał się z piskiem opon, wyjechali na ulicę i zniknęli za zakrętem.

Dziki szarpnął drążek automatycznej skrzyni biegów. Z wyczuciem docisnął gaz i toyota niemal bezgłośnie wytoczyła się z garażu. W środku panowała cisza. Mógł słyszeć własny oddech, ale nie oddychał, jego płuca nadal były wypełnione powietrzem z tego domu. Oparami benzyny. Dopiero gdy skręcił na ulicę i przyspieszył, ściśnięta tchawica zaczęła się powoli rozluźniać. Krótki wdech, głęboki wydech. Włączenie się do ruchu. Jazda zgodnie z przepisami. Kierunkowskaz, światła, niskie zużycie paliwa. Próba odnalezienia w tym jakiegoś rytmu. Uchyłona szyba, wyczerpany zapas tlenu. Żadnej ulgi. Kilometr dalej dłonie nadal zaciśnięte, bo gdy na moment je rozluźniał, zaczynały drżeć tak mocno, że z trudem mógł utrzymać kierownicę.

# 11

Po dwudziestu minutach wjechał toyotą na Hutę. Starał się trzymać bocznych ulic, które wiodły wzdłuż garaży i parkingów. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył w samochodzie tej klasy. Skórzany fotel niemal parzył mu plecy.

Wjazd do garażu mieścił się z drugiej strony myjni, w dolnej kondygnacji budynku. Rozciągał się przed nim plac z popękanych, betonowych płyt. Zatrzymał samochód, otworzył bramę i wjechał do środka. Zamykając bramę, wyrzwał na zewnątrz i rozejrzał się po okolicy. Bloki w tej części osiedla miały coraz mniej lokatorów. Od garaży oddzielał je pas ziemi niczyjej. Trawa musiała być często koszona, bo zapalała się od kawałków rozbitego szkła. Przez akustyczne ekrany izolujące od obwodnicy nie przedostawał się żaden dźwięk. Kiedyś było tu kilka smażalni mety, ale policja zbyt często robiła naloty, więc dilerzy przenieśli interes na wieś, do piwnic.

Zapalił papierosa i okrążył toyotę. Ledwo mieściła się we wnętrzu garażu. Poprzedni samochód wyjechał wczoraj na lawecie. Psiarnia musiała go namierzyć, chłopaki dostali cynk i poszedł do kasacji. Dziki nacisnął włącznik światła. Błysnęła świetlówka. Wyciągnął zza paska nóż, który dał mu Drukarz, i przyjrzał się ostrzu. Z radością przyjął fakt, że jest czyste, chłodne i było mu tam posłuszne. Na myśl, że miałby pociąć tego dzieciaka, aż go zemdlilo. Schował nóż między narzędziami, przebrał się w roboczy kombinezon i poświecił latarką po śrubach wkręconych w stelaż foteli. Wybrał odpowiedni śrubokręt i zabrał się za robotę. Zdemonstrował drzwi, odkręcił fotele i wyciągnął je ostrożnie, żeby nie uszkodzić skóry. Potem rozciął tapicerkę wyściełającą podłogę i zerwał ją do gołej stali. Zdjął podsufitkę, przepatrzył wgłębienia na kable, każdą szczelinę w karoserii dokładnie oświetlił latarką. Wnętrze było czyste, wszystko pachniało nowością. Przeszedł do kokpitu. Gdy zdejmował obudowę kierownicy, zauważył, że jeden z zatrzasków jest niedociśnięty. Delikatnie uniósł element pokrytego sztuczną skórą plastiku. Poświecił we wnękę i wyciągnął z niej

woreczek z białym proszkiem. Zważył go w dłoni. Część została przesypana, ale nadal było tam z pół kilo. Znajome, lekko żółtawe zabarwienie. Rozwinął woreczek, polizał czubek palca, wsadził go do środka, skosztował. Heroina. Czysta, sucha, prawie pół kilo. Hurtem jakieś czterdzieści koła. Spytają go, czy coś znalazł. To mogła być wystawka. Widział już podobne sytuacje na myjni, ale wsunął rękę głębiej w kokpit i przeciskając się przez zwoje kabli, wymacał coś jeszcze. Wyszarpnął zawinięty w folię plik dokumentów. Poświecił w niego latarką. Paszport, akty własności ziemi, umowy najmu lokali. Wszystko na nazwisko Nazima. Wszystko bez wartości, oprócz tej hery.

Rozejrzał się po garażu, szukając miejsca, gdzie mógłby ją ukryć. Przesunął jeden z regałów i wcisnął woreczek za arkusz blachy. Wytarł palce o kombinezon. Ściągnął na język trochę śliny, żeby wypłukać gorzki smak. Zrobił miejsce na stole z narzędziami, choć wiedział, że nic więcej już nie znajdzie i przystąpił do demontażu kolejnych części.

## 12

– Mam kobietę. Chcę was poznać, ale ona się denerwuje. Wiesz, jak jest. Boi się. Mówi, że dziwnie, jakby rozmawiała z umarłym. Przecież to żaden kontakt nie jest, to po co ona ma tu stać i się sztucznie uśmiechać. Ja mówię, że jesteś niegroźna, co możesz zrobić jak unieruchomiona jesteś. Nawet jakbyś chciała jej coś powiedzieć, to nie powiesz.

Wykręcił szminkę ze sztyftu i zaczął sunąć nią po zaciśniętych ustach matki. Zawsze je zaciskała, gdy się do niej zbliżał. Może przeszkadzały jej jego pokancerowane dłonie o grubych, lekko zakrzywionych paznokciach, przypominających szpony starego drapieźnika. Faktycznie, szminka nie bardzo do nich pasowała. Do jej twarzy zresztą też. Każdy tydzień katatonii postarzał ją o rok. Od ataku minęły dwa miesiące, a ona zdążyła już osiwieć.

Dziki skończył malować jej usta i poprawił koniuszkiem palca miejsca, gdzie nałożył zbyt grubą warstwę. Potem zabrał się za czesanie włosów.

– Ja wiem, że w tej główce jest duży mózg. Myślisz tam swoje.

Spojrzał na oblicze matki odbite w lustrze, które przed nią postawił.

– Ewa cię zaniedbała. Przytyłaś. Byłaś chudsza na twarzy i włosy miałaś ładniejsze. – Przeciągnął palcami po jej sztywnych, twardych włosach. – Zabiorę cię do fryzjera. Zrobimy jakąś fryzurę, co?

Przez chwilę bawił się jej włosami, próbując nadać im jakąś wymyślną formę. Uśmiech zszedł z jego twarzy. Pojawił się na niej obojętny wyraz. Taki sam, jaki matka prezentowała w lustrze.

– Moja matka nie będzie warzywem – powiedział, z każdym słowem coraz mocniej szarpiąc grzebień, który zaplątał się w kołtunie.

Gdy skończył ją czesać, podszedł do szafy i wyciągnął z niej kilka sukienek. Wszystkie były starannie wyprasowane. Każda na oddzielnym wieszaku. Rozłożył sukienki na podłodze przed matką.

– Popatrz, jakie piękne rzeczy uszyłaś. Wszystko leży. Pewnie w połowę już nie wejdiesz. – Sięgnął po jedną z sukienek. Zawiesił ją na palcu i zaprezentował matce. – Założymy tą ulubioną ojca. Pamiętasz? – Żadnej reakcji. Położył jej sukienkę na kolanach. Spojrzał na jej twarz. – Co oni ci, kurwy, zrobili w tych szpitalach. – Wsunął jej palec pod brodę i uniósł twarz, próbując wyłapać jej nieobecny wzrok, jakikolwiek znak, że coś do niej dociera. – Poznajesz mnie? – spytał. – Wiesz kim jestem? – Poruszył jej głowę, w lewo i prawo. – Kiwnij tą głowę. Mrugnij oczami chociaż. Daj jakiś znak. – Musnął końcami palców jej policzek. Potem klepnął ją mocniej, z otwartej dłoni. – Poznajesz mnie? – Za trzecim razem głowa matki odskoczyła i wróciła do tej samej pozycji. Dziki pochylił się, ich twarze znalazły się o kilka centymetrów od siebie. – Będę miał dziecko, wiesz? – Przytknął czoło do jej czoła, zezując w kierunku jej nieruchomych źrenic. – Wiesz, kim jestem? – Słowa uwięzły mu w gardle. Dotykał kamienia. – Wiesz? – powtórzył.

# 13

Nadchodził wieczór, a on od godziny plątał się po Rynku, odwlekając moment, gdy będzie musiał pójść do klubu. Zjadł kebaba, usiadł na ławce na Plantach i wypalił kilka papierosów. Przed wyjściem długo czyścił dłonie rozpuszczalnikiem, ale nie zdołał wyskrobać czarnych smug oleju, które zaległy pod paznokciami. Wracał myślami do scen, które rozegrały się w domu na przedmieściach. Wystarczy, że otworzysz czyjeś drzwi, wtargniesz siłą w czyjeś życie i już jesteś jego panem. Ludzie Igora mieli to we krwi. Instynkt łowcy.

Igor opowiedział mu kiedyś o sytuacji, jak kibole wciągnęli ich w pułapkę. On i jego ludzie jechali na trzy samochody. W lesie za miastem zatrzymała ich barykada. Z krzaków wypadli chuligani ze sprzętem. Igor wysiadł z samochodu i pierwszą rzeczą jaką zobaczył, był małolat biegnący na niego z maczetą. Nie było nikogo, kto mógłby go zatrzymać. Tylko ich dwóch, ostrze maczety i prędkość, z jaką zmierzała w jego kierunku, wykluczająca wszelkie wahanie.

Taki moment mógł cię zmienić. Jeśli to przeżyłeś, byłeś już po drugiej stronie, bo doświadczyłeś uczucia, które jest obce większości ludzi wychowanych w cywilizowanym świecie. To nie jest tak, że okazujesz się twardzielem, walczysz, wygrywasz i idziesz do przodu. Coś w tobie pęka. Bezpowrotnie. Przestajesz pasować do świata. Świat staje się twoim wrogiem.

Gdy wszedł do Liquidu, impreza już trwała. Dziewczynom udało się nawet sprowadzić już kilku klientów. Na bramce stali Morfina i Tymon. Tymon był w podobnym wieku co Morfina, znali się od lat, pracowali dla Olafa od samego początku. Tymon miał ciemną karnację i lekko wschodni akcent. Mówili, że jest Cyganem, ale nigdy w jego obecności. Milczący, opanowany, sprawiał wrażenie człowieka, który widział całe zło świata, dlatego lubił przesiadywać z dziewczynami, patrzeć jak się przygotowują,

śmieją, rozmawiają. Te momenty działały na niego wręcz terapeutycznie.

- Słyszałem, że Olaf ściągnął cię z bramki – powiedział Morfina.
- No. Będę woził dziewczyny.
- Weź sobie coś do czytania. To jak robota w taksówce. Nuda.

Tymon potwierdził skinieniem głowy. On też robił za kierowcę. Był porywczy, szybko reagował na brak szacunku, dlatego Olaf tracił przez niego klientów.

– No i radzę uzbroić się w cierpliwość. Laski lubią sobie dać do nosa. Po północy nie idzie z nimi wytrzymać. Czasami trzeba je ustawić, wiesz, doprowadzić do porządku. Musisz też pilnować, żeby za bardzo się nie zrobiły. Klient nie będzie ruchał trupa, a jak już zaczniesz, zrobi się bałagan. Zdejmują wtedy gumy, spuszczaają się na twarz.

Dziki zszedł po schodach. Łukasz przywołał go zza baru. Wręczył mu kluczyki.

– Zawozisz Dagmarę na dwudziestą trzydzieści. W samochodzie jest GPS, umiesz go obsługiwać?

Dziki spojrzał na zegarek. Miał pół godziny.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał Łukasz.

Dziki przysiadł na hokerze. Odpowiedział po kilku sekundach.

– Nie, dzięki.

Wpatrywał się w kluczyki. Na dancefloorze tańczyły dwie dziewczyny. Przeczekał do końca piosenki i ruszył w kierunku zaplecza, trzymając się blisko ściany, poza obrębem kolorowych świateł. Stał przy drzwiach, za którymi ciągnął się wąski korytarz. Muzyka docierała tutaj jako niewyraźne, zmodulowane echo. Z końca korytarza biło światło. Słysząc było śmiechy dziewczyn. Dziki przylgnął czołem do zimnej framugi. Ruszył korytarzem. Gdy stanął w drzwiach pokoju, który służył za przebieralnię dla tancerek, trzy dziewczyny właśnie pochylały się nad ścieżką koksu. Jedna z nich miała



na sobie tylko majtki, druga była nieźle pijana i odchylając głowę, o mało się nie przewróciła. Dagmara siedziała na krześle przy lustrze. Ona pierwsza zobaczyła Dzikiego. Jego widok ją rozbawił.

– Czeeeść – przeciągnęła dziewczyna w samych majtkach i wybuchnęła śmiechem, a druga uszczypnęła ją w sutek.

Dagmara przejechała palcem po nosie i spojrzała w lustro, poprawiając szminkę i sunąc końcówką paznokcia po sztucznych rzęsach. Wstała i pocałowała w policzek dziewczynę, która sypała koks. Podeszła do Dzikiego i jego również chciała pocałować, lecz ten się odsunął. Dziewczyny skwitowały to kolejnym wybuchem śmiechu. Dagmara chwając się na obcasach, oparła się o framugę. Patrzyła, jak Dziki oddala się korytarzem.

Wyszedł z klubu tylnym wyjściem, które prowadziło do oficyny, gdzie Olaf i bramkarze parkowali samochody. Lokal posiadał dobrą izolację, ale dźwięki muzyki i tak przenikały na zewnątrz, dudniąc pośród murów trudną do sprecyzowania kakofonią. Oparł się o maskę i czekał na Dagmarę. Po chwili stanęła w drzwiach. Zmierzyli się wzrokiem, on sięgnął do fikcyjnej kabury przy pasie, ułożył palce w kształt rewolweru i mrużąc oczy, wycelował nimi w Dagmarę. Ta zatrzepotała rzęsami, otworzyła usta w niemym westchnieniu i wyrzuciła ramiona w górę, podkurczając brzuch w rytm oddawanych strzałów. Dziki dmuchnął w czubek wskazującego palca, a Dagmara nieco znudzona swoim występem wsiadła do samochodu, rzucając w kałużę do połowy wypalonego papierosa.

Dziki bez słowa odpalił silnik. Położył obie dłonie na kierownicy i uważając, żeby nie zahaczyć lusterkami o śmietniki, wyjechał na ulicę. Zatrzymali się na światłach. Dagmara sięgnęła w stronę radia. Odtrącił jej dłoń.

– Ej, co jest – zaprotestowała. Śmierdziało od niej alkoholem. Słodki smak drinka, szminki, mokrego futra, które na siebie założyła, choć było w miarę ciepło. Rozchyliła lekko usta, ukazując białe zęby, ciągle białe pomimo kawy, papierosów i pigułek, które niszczyły szkliwo. – Chcę posłuchać muzyki.

Naparła dłonią po raz kolejny, lecz tym razem Dziki chwycił ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że jęknęła. Światło zmieniło się na zielone i samochód ruszył z piskiem opon. Dagmara potarła nadgarstek. Łzy nabiegły jej do oczu, ale starała się to ukryć, patrząc przez szybę na miasto. Dziki sięgnął prawą ręką do kieszeni i wyjął z niej kilka banknotów. Przeliczył w palcach, odrywając wzrok od drogi i położył je Dagmarze na kolanach. Zmienił bieg i wziął ostry zakręt.

– Co to jest? – spytała Dagmara, spoglądając na pomięte banknoty.

– Popierdol to – powiedział Dziki. Spojrzał w tylne lustro, potem przelotnie na Dagmarę, która szybko z powrotem odwróciła się w stronę szyby. – Przywiozę mu inną dziewczynę. Za chwilę jakąś znajdę, ściągnę ją z ulicy, podobną do ciebie. Nie zorientuje się, a my pojedziemy coś zjeść.

– Dziki, skończ. – Pokręciła głową.

– Co skończ. Płacę ci.

– Skończ.

Zaczął przyspieszać. Wyprzedził dwa samochody, ledwo unikając zderzenia z trzecim. Wyszarpnął z kieszeni kilka setek i cisnął nimi w Dagmarę.

– Możesz zrobić to ze mną – ciągnął coraz bardziej nakręcony. – Zapłacę podwójnie. Za dwóch, kumasz? Ile tam jest? Przelicz. No przelicz.

Dagmara zaczęła powoli składać banknoty. Po jeden się schyliła, bo wpadł pod siedzenie.

– Za dupę w ciąży zapłacę potrójnie. Tak, dzisiaj chcę poruchać dziwkę w ciąży. Na to mam, kurwa, ochotę. Licz, kurwa, słyszysz?! – krzyknął.

Ona się nie odezwała. Dalej składała banknoty. Gdy skończyła, ścisnęła je w dłoni. Dziki przyhamował i wjechał na osiedle. Krew dudniła mu w skroniach. Uchylił szybę, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Jadąc wzdłuż bloków, zaczął odczytywać numery. Zatrzymał się pod właściwym. Dagmara podała mu pieniądze. Odebrał je i chciał coś powiedzieć, ale ona

wysiadła bez słowa. Pozwolił jej iść przodem. Sycił wzrok jej lekko rozchwianym krokiem, drobną figurą pod napuszonym futrem. Stanęli przy domofonie. Dziki wstukał kod. Dagmara oparła się plecami o ścianę. Unikała jego spojrzenia. Nadal miała łzy w oczach, ćwicząc mimikę, która wchodziła w cenę jej występu.

– Halo? – odezwał się głos w domofonie.

– Przywiozłem dziewczynę – powiedział Dziki.

Brzęknął domofon. Weszli na klatkę. Klient mieszkał na trzecim piętrze. Pokonując ostatnie stopnie, Dagmara dostała lekkiej zadyszki. Przystanęła na chwilę, z dłonią zawieszoną na poręczy. Dziki dyskretnie zapukał do drzwi. Otworzył mu facet po czterdziestce. Miał pomarszczoną, naciągniętą skórę, jakby przeszedł kilka operacji plastycznych. Wąsik nad górną wargą też wydawał się sztuczny. Zbyt czarny, zbyt gęsty i zbyt szorstki. Miał na sobie luźny szary dres, rozpięty na wygolonym torsie. Był niesamowicie chudy. Drobnie, bose stopy zakończone wypielęgowanymi paznokciami. W mieszkaniu unosił się zapach świeżej kąpieli. Ciepłe, wilgotne powietrze.

– Dobry wieczór – powiedział facet i cofnął się głębiej w przyciemniony korytarz. Zadbął o nastrój. Pogasił wszystkie światła. W pokoju po lewej zapalił świece. Włączył nastrojową muzykę. To musiała być dla niego wielka chwila.

Dziki przypomniał sobie, z jaką czcią Olaf spożywał chińszczyznę. Obejrzał się przez ramię.

– Dagmara. – Od razu pożałował, że wypowiedział jej imię. Klienta również to zdziwiło. Dagmara się uśmiechnęła. Leniwie postawiła kolejny krok. – Muszę sprawdzić mieszkanie – powiedział Dziki.

– Proszę – powiedział klient, nie spuszczając wzroku z Dagmary, która stanęła w przedpokoju i wpatrywała się w ścianę.

Dziki wszedł do kuchni, zajrzał do łazienki. Facet wyczyścił każdy kąt. Aż mdliło go od tej czystości, która i tak zdawała się być lepka, powierzchowna. Wszedł do sypialni. Zapalił światło. Przy ścianie stał

rozłożony statyw, a na nim kamera z obiektywem wycelowanym w łóżko.

– O co chodzi z tą kamerą? – spytał Dziki.

– Uzgodniłem wszystko przez telefon – zaczął klient, ale Dziki mu przerwał, unosząc rękę.

– Chuj mnie to obchodzi. Żadnych kamer.

Klient wzruszył ramionami. Dziki podszedł do kamery. Obejrzał ją, szukając wyłącznika. Klient stanął w drzwiach. Do sypialni weszła Dagmara. Usiadła na łóżku. Dziki trącił butem statyw.

– Wyłącz to albo to rozjebię.

Klient podszedł, zdjął kamerę ze statywu, wyciągnął z niej kartę i położył ją na biurku.

– Spokojnie – powiedział. – Nie chcę problemów.

– Wygląda na to, że właśnie je masz.

Dziki wycelował palec w kamerę. Na urządzeniu nadal świeciła się czerwona lampka. Wpatrzył się w nią, żeby nie przenosić wzroku gdzie indziej. Dagmara przeciągnęła się na łóżku. Zaszleścił materiał jej obcisłych spodni. Mlasnęła, przerzucając gumę między zębami. Wiedział, że patrzy na niego, lekko senna, obojętna na to, czy ma zamiar tutaj zostać, czy czekać w samochodzie. Klient stanął obok łóżka. Dziki spojrzął przez okno na rozświetlone miasto. Gdy się odwrócił, klient ścisnął w dłoni banknoty.

– Zapłacisz dziewczynie – powiedział Dziki i skierował się do wyjścia. – Macie godzinę.

# 14

Czekał na nią w samochodzie. Upływ czasu. Kurewsko powolny. Rozciągnięty jak wyrzygana guma. Gdy ją całował, zawsze pachniała czymś sztucznym. Szminką, perfumami, żelem pod prysznic. Bardzo chciał poznać jej prawdziwy zapach. To, czym śmierdziała po nocy na mieście. Może miał na to szanse teraz. Gdyby tam wszedł. Mógł to zrobić, tak jak zrobił to w tym domu. Nikt nie był mu w stanie zabronić. Każdy, kto ściągał dziwkę do mieszkania, z góry skazywał się na poddanie. Gorsza kategoria. Tych, co musieli być pod nadzorem, bo nie było ich stać, żeby na godzinę dziewczyna stała się ich pełną własnością. Musieli uważać. Chłopcy do bicia.

Spojrzał na okno. Przygaszone światło. Żadnych cieni. Wszystko tam działo się bliżej podłogi. Mieli jeszcze czterdzieści minut. W tym czasie nie miało się wydarzyć nic ważnego. Był tutaj, żeby ją chronić, ale z każdą minutą bezczynnego siedzenia sam tracił na wartości. Zużywał się. Mogliby zadzwonić z misją, po której wróciłby nieco znieczulony. Tak więc to wyglądało. Nic specjalnego. Bardziej jak medytacja. Zostawiał ją i znikał. Wcale nie zamierzał czekać ani sekundy dłużej. Dziecko. Jeszcze zarodek. Pokazała mu wielkość. Odmierzył ją w palcach. Żadnych skutków ubocznych. Ciało się oczyszcza. Wystarczy trochę wody.

Często mu mówiła, że stara się w tych momentach zasnąć. Oni skupiają się na sobie, na dolnych partiach jej ciała. Tam jest niemal zawsze gotowa, to wystarcza. Że dlatego jeździ nawalona, żeby nie odróżniać przewijających się nad nią twarzy, zasnąć, że daje im tylko ciało, a reszta należy do niego. Tylko co zostaje z tej reszty.

Wślizgnęła się niepostrzeżenie pięć minut przed czasem. Położyła się na tylnych siedzeniach, bez słowa, zresztą nie było o czym rozmawiać, nie teraz, były kolejne adresy, a on nie chciał się rozpraszać. Śpisz? – chciał zapytać. Śpij. Jedziemy. Nie potrzebował żadnego GPS-a. Znał całe to miasto. Poznał je w innym wcieleniu. Od kanałów po szczyty wieżowców. Znam drogę.

Dowiozę cię bezpiecznie. Potem znowu zaryzykujesz. Dlatego nie powiem ci, gdzie. Żebyśmy mogli udawać, że się zgubiliśmy.

# 15

Olaf mieszkał w kamienicy na Podgórzu. W bramie nie było zamka, śmierdziało szczynami, w oficynie rosły badyle, a ktoś w tym wszystkim suszył pranie na poluzowanych sznurkach.

Dziki zapukał. Potem walnął pięścią. Po jakiejś minucie szczęknęły otwierane po kolei zamki, bez pośpiechu, niosąc się echem po klatce. W wąskim przesmyku pojawiła się twarz Olafa. Miał dziko wybałuszone oczy i pociągał nosem.

– Czego chcesz? – spytał.

– Wpuść mnie.

Olaf zerknął mu przez ramię na klatkę schodową. Był wyczulony na bodźce, szukał zagrożenia. Powoli lądował na ziemi. Gdy otworzył szerzej drzwi, Dziki zrozumiał, że właśnie przed chwilą musiał dać w żyłę. Prawy rękaw koszuli miał podwinięty, żyły nadal nabrzmiałe. Kręcił nadgarstkiem i zaciskał dłoń, wpuszczając narkotyk głębiej w krwiobieg. Cofnął się o krok. Za szerokie spodnie zwisały mu na biodrach, bo nie dopiął paska. Zza rozpiętej koszuli widać było wysuszoną, ogoloną klatę, cienkie plasterki mięśni rozciągnięte na zapadniętym mostku.

– Wchodź – powiedział i skinął głową, której zwiotczały kark nie zdołał od razu cofnąć do pionu.

Korytarz był długi, wąski, o wysokim suficie. Światło wpadające przez okno z przeciwległego końca docierało jedynie do połowy, dalej był półmrok, w którym białe ściany zdawały się być brudne. Okno nie miało zasłon. Ostre, białe światło przypominało zatrzymany błysk z lusterka.

Olaf ruszył korytarzem. Zakurzony, lepki parkiet skrzypiał pod nogami. Minęli drzwi do łazienki, z firanką przewieszoną po drugiej stronie prostokątnej szyby. Korytarz kończył się rozwidleniem. Po prawej był pokój

dziewczyn. Dziki przystanął i zajrzał przez uchylone drzwi do środka. Zasłony w oknach filtrowały światło w bordowy półmrok. Przy ścianach stały rzędy piętrowych łóżek. Spały na nich dziewczyny. Niektóre się przebudziły. Paliły papierosy, dochodząc do siebie po nocy. Z pokoju było ciepło. Zarysy leniwych ruchów, zapach zwietrzałych perfum. Jedna z dziewczyn wstała i przemaszerowała w samych majtkach przez pokój, kierując się do łazienki. Dziki patrzył, jak drapie się po tyłku, ledwo namierzając kłamek.

Olaf zajmował salon po przeciwległej stronie. Trzy wysokie okna oświetlały równomiernie całą przestrzeń. Kiedyś mogło tu być studio fotograficzne, galeria sztuki albo szkoła tańca. Coś, w czym człowiek mógł się zgubić. Na środku stała przykryta folią kanapa, zwrócona w stronę ściany, przekrzywiona pod dziwnym kątem, który zdawał się przed czymś ostrzegać. Naprzeciwko kanapy nieudolnie podpięty zestaw kina domowego, zawieszona na ścianie plazma, pudła po sprzęcie, wokół których piętrzyły się resztki styropianu. Pomiędzy kanapą a plazmą stał rzeźbiony w indyjskie wzory stolik, a na nim butelki z wodą i sprzęt do grzania hery. W mieszkaniu było chłodno, panowała wilgoć. W rogach sufitu ciemniały plamy grzyba. Wokół kaflowego pieca walały się kawałki drewna i wysypany z paleniska popiół.

Olaf usiadł na kanapie i zapalił papierosa. Powoli dochodził do siebie, choć ręce mu nadal drżały. Zacisnął lekko palce, jakby się tego wstydził. Mrużąc oczy spojrzał na Dzikiego, który stał przed nim z rękami w kieszeniach kurtki. Przesunął się w róg kanapy i wskazał mu miejsce obok siebie. Dziki usiadł.

– Podoba ci się u mnie? Jest dużo miejsca – powiedział Olaf. – Lubię jak jest dużo miejsca. I światła. Dlatego nie wstawiłem tu żadnych mebli. Dziewczyny od tego uciekają. Zasłaniają okna w swoim pokoju, a ja im mówię, że światło jest zdrowe, że powinny wychodzić w dzień, wychodzić na ulicę, a one tylko śpią, w nocy też śpią, bo są na haju, skóra robi się brzydka i tracą na wartości.



– Dagmara nie może jeździć do klientów – powiedział Dziki.

Olaf poruszył bezgłośnie ustami, powtarzając jej imię.

– Jest w ciąży.

– Z klientem?

– Mówi, że ze mną.

Żrenice Olafa zrobiły się jeszcze szersze. Zassał resztki śliny i skrzywił się od jej smaku.

– Wierzysz we wszystko, co ci mówi?

– Nie mogą jej pierdolić, jak jest w ciąży.

– Mogą. I to robią. A ona najwyraźniej nie ma z tym problemu.

– Nie, Olaf.

– Nie, kurwa, co. Poza tym masz jakiś dowód? Cokolwiek? Odechciało się jej dawać dupy? Prosiła cię o jakieś pieniądze?

Dziki pokręcił głową.

– Ona dalej chce pracować.

Olaf klasnął w dłoń.

– To po chuj do mnie przychodzisz?

– Zapłacę ci za jej robotę.

– Zacznieś dawać dupy?

– Zapłacę ci.

– Będziesz odstawiał robotę kurwy?

Dziki zamilkł. Olaf dopalił papierosa, zgasił go w popielniczce i przez chwilę przyglądał się Dzikiemu. Potem wycelował palec w środek salonu, jakby wskazywał nim jakąś niewidzialną osobę.

– Jej matka przestała dawać, bo tak wychudła od heroiny, że jak się

pierdoliła, to jej klient żebra połamał – powiedziawszy to, znowu się zawiesił. Wymamrotał coś pod nosem i uśmiechnął się do siebie. – Wiesz, o co mnie prosiła, jak leżała tak na podłodze, w tych bandażach, chuda jak worek patyków? – ciągnął z zamkniętymi oczami, odtwarzając w myślach każdy detal tej chwili. Pokręcił głową. – To są geny. To są, kurwa, geny.

– Czemu tak ci na niej zależy? Masz przecież dziewczyny.

– Bo pociągniesz ją jeszcze niżej w dół. Jedziesz na prochach i wszystko wydaje ci się takie łatwe. Potrafisz sobie wyobrazić świat bez tego? Świat, w którym jesteś słaby? Boisz się, kurwa, żreć, spać, chodzić?

Dziki zerknął na kreski amfetaminy rozsypane na stole. Olaf wciągał ją na orzeźwienie. On potrzebował tego, żeby dożyć do południa. Ścisnęło go w żołądku. Olaf to zauważył. Wskazał palcem stół. Dziki odmówił.

– Ludzie twojego brata zgwałcili mi jedną z dziewczyn – powiedział Olaf.

– Kto?

– Nie wiem. Była impreza, narkotyki. Włazili na nią po kolei, grozili, że potną jej twarz, a potem wyrzucili ją z mieszkania.

– Skąd wiesz, że to jego ludzie?

– W kryminale mówiłeś, że nie będziesz dla niego pracował.

– Nie pracuję dla niego.

– Bo cię tam nie chcą.

– Jakbym się postarał, to może by i chcieli.

– To czemu się nie postarasz?

– Konflikt interesów.

– Będziesz mi tutaj potrzebny. Mam nowe plany, ale tracę do ciebie zaufanie.

– Puść dziewczynę, to nie będziesz się musiał o to martwić.

– Ja jej nie trzymam. Może iść wolno. Ale nie pójdzie, bo przy mnie zarabia pieniądze.

Do pokoju weszła Ola, kołysząc tyłkiem. Na bosych stopach miała frotowe pantofle, bluza w rozmiarze XL osunęła się do połowy jej nagich ramion, z dołu opadała do połowy ud. Miała zachrypnięty głos, ledwo co wstała. Była po czterdziestce, u Olafa robiła za burdelmamę. Dbała, żeby dziewczyny nie przeginały z ćpaniem i regularnie posyłała je na badania.

– Dzwonił Łukasz – powiedziała. – Jadą po dziewczyny i potrzebują kierowcy.

Olaf wyciągnął rękę, a gdy Ola ją pochwyciła, ściągnął ją sobie na kolana. Usiadła, lekko rozkraczając nogi. Olaf przystawił nos do jej pleców i wchłonął jej zapach. Dziewczyna sięgnęła po pilota i włączyła telewizor.

– Daga jest w ciąży – szepnął jej do ucha.

Ola westchnęła. Rutyna. Zsunęła się z kolan Olafa i wyszła z pokoju. Dziki czekał. Wróciła ze srebrnym blistrem. Podała go Dzikiemu. W środku była tabletką.

– Daj jej to, niech połknie.

Dziki cisnął w nią tabletką.

– Weź to w chuj.

– Co mu się dzieje?

– Weź to – powiedział Olaf. – Nie musisz jej od razu dawać. Ale weź.

– Ona nie chce usuwać dziecka.

– No – powiedziała Ola i wybuchnęła śmiechem.

Olaf ją uciszył.

– Co z tym kierowcą? – spytała.

Dziki podniósł tabletkę z podłogi.

– Pojedziesz z nimi? – spytał Olaf.

– Gdzie?

– Pod granicę.

– To jest twój nowy plan?

– Jedź z nimi, to się przekonasz.

Ola wybrała numer i przystawiła telefon do ucha. Ze znudzoną miną czekała na połączenie.

# 16

Dwadzieścia minut później podjechali po niego. Tyle co zdążył się odlać i wciągnąć kreskę. Potrzebowali kierowcy, bo nie byli pewni, co ich tam czeka. Zawsze to o jednego chłopą więcej. Dziki już samym swoim wyglądem budził niepokój. Więzienie wypaliło w nim połowę człowieczeństwa. Działał w slow motion. Gdyby chodziło tylko o dziewczyny, Łukasz nie potrzebowałby obstawy. Nikt nie potrzebuje obstawy przy zakupie mięsa. A on zabrał jeszcze ze sobą Morfinę i Kwolka, doświadczonego chuligana, który jeździł obstawiać spotkania, transakcje, wymiany. Kwolek był ciągle na kuracji, podskakiwał i pocił się od testosteronu. Mówił, że ciągle ma gorączkę i szcza krwią. Boldenon działał. Morfina jak zwykle spokojny. Mówił coś o działce za miastem. Kupił drewniany dom w lesie. Kiedyś należał do księdza i była w nim kaplica. Jeździł tam w weekendy i szorował drewniane bale, choć już dawno wżarło się w nie robactwo i było tylko kwestią czasu, aż zaczną się sypać.

Łukasz siedział obok Dzikiego i patrzył, jak ten prowadzi. W świetle dnia był jeszcze młodszy i bardziej roztrzęsiony. Miał ładną twarz, ale szpecił ją płaski, kilkakrotnie złamany nos. Twierdził, że złamali mu go sanitariusze w szpitalu psychiatrycznym, gdzie spędził pół roku, próbując uniknąć wyroku za pobicie dziewczyny.

Dziki prowadził, a ci próbowali rozładować atmosferę, chociaż byli na niezłym ciśnieniu. Jak wyjechali za miasto, przestali się odzywać. Łukasz zerkał na GPS-a i kierował Dzikiego na jakieś zadupia. Kwolek wyciągnął kanapkę z kurczakiem i od niechcienia zaczął ją mieć w zębach, żeby dostarczyć mięśniom białka. Przejechali przez wieś i wjechali w leśną drogę. Dziki zwolnił, droga była nierówna, trawa i drzewa mokre po deszczu. Za zakrętem na poboczu dostrzegli upapranego błotem transita. Dziki zjechał na przeciwną stronę i zatrzymał się kilka metrów za nim. Nieproporcjonalnie małe koła, zacieki rdzy na białym lakierze.

– Czekaj – powiedział Łukasz, jak Kwolek sięgnął do klamki i już chciał wychodzić.

Morfina trzymał w dłoni telefon i rozglądał się na boki. Zewsząd otaczała ich zieleń. Kierowca transita wystawił ramię przez szybę i pomachał do nich. Był takich rozmiarów, że ledwo mieścił się na fotelu. W cieniu za nim siedziała chuderlawa postać. Oboje mieli lekki zarost, jego kompan krzyknął coś na tyły samochodu.

– Nie gaś silnika – powiedział Łukasz.

Dziki docisnął gaz, koła zabuksowały w błocie.

– Chyba się wpierdoliłem.

– Kurwa – rzucił pod nosem Łukasz.

Wysiadł szybko z vana, Dziki delikatnie pompował silnik, żeby koła złapały przyczepność. Łukasz wrzasnął coś do niego zza szyby, bo ochlapał mu spodnie. Kwolek wysiadł i obaj ruszyli w kierunku transita. Morfina został w samochodzie, patrzył za nimi przez otwarte drzwi. Łukasz podszedł do szyby, przywitał się z kierowcą. Kompan kierowcy wysiadł z drugiej strony, mały, pokurczony, w za dużej skórzanej kurtce, wyglądał na Cygana. Koła złapały przyczepność i Dziki zaczął nawracać. Cygan poprowadził Łukasza na tyły transita. Kwolek wsadził ręce do kieszeni dresowych spodni i trząśniętym głosem powiedział coś do niego zagadywając po rosyjsku, Kwolek przytakiwał, patrząc za Łukaszem. Dziki wyprowadził samochód na prostą i zatrzymał się. Morfina pisał SMS-a. Cygan otworzył tylną klapę i wyciągnął ze środka dziewczynę. Na oko miała szesnaście lat. Ujęła dłoń Cygana, jakby ten zapraszał ją do tańca. Postawiła obcas w błocie, rajstopy do kostek od razu nasiąkły wodą. Miała nieobecny wyraz twarzy, chwiała się i mrużyła oczy pod światło. Cygan klepnął ją w tyłek. Dziewczyna zatoczyła się i o mało nie upadła w błoto. Potem chwycił ją za szyję i zaprezentował Łukaszowi jej twarz. Łukasz przyglądał się jej, sprawdził źrenice i zaczął coś narzekać. Wtedy kierowca zaczął machać rękami, podwijając dziewczynie spódnicę, a na końcu krzyknął na nią. Dziewczyna sztucznie się uśmiechnęła

i zaczęła mówić, wyprostowana na baczność jak na szkolnym apelu. Łukasz wybuchnął śmiechem. Cygan przytulił ją, pocałował w czoło na pożegnanie i pchnął w stronę Łukasza. Kwolek ustawił dziewczynę obok siebie, Cygan wyciągnął z transita dwie następne. Łukasz nie był zadowolony, ale Kwolek zaczął mu coś tłumaczyć, więc zgodził się je zabrać. Jedna z dziewczyn, starsza od reszty, drapała się po całym ciele, jakby oblaży ją pchły. Jak Kwolek prowadził ją do samochodu, zrzygała się na własne buty.

– Kurwa, dziewczyno – Kwolek się cofnął. Popatrzył po ubraniu, czy rzygi go nie trafiły.

Dziewczyna zacharczała i wygięło ją do kolejnego pawia.

– Zdejmij buty – nakazał Kwolek. Miała kozaki, nie dość że ubłocone, to obrzygane.

– Pojebało cię chyba – powiedziała.

– To idź je wymyj. Tak nie pojedziesz.

Dziewczyna, chwając się, zaczęła wycierać buty o trawę. Potem się rozplakała. Łukasz stał przy transicie i rozmawiał z Cyganem. Potem odwrócił się i skinął głową na Morfinę. Ten sięgnął za siedzenie, wyjął torbę i wysiadł z nią z samochodu. Podszedł do Łukasza, przekazał mu torbę, ten zaglądnął do środka i podał torbę kierowcy. Ten wsadził tam nos, poniuchał, uśmiechnął się i przekazał torbę Cyganowi, który zniknął z nią w środku. Łukasz popatrzył na boki, spojrzał na Morfinę i wsiadł za Cyganem do transita.

Dziewczyny zaczęły posłusznie pakować się do vana. Kwolek nawet podał jednej rękę, żeby się nie przewróciła. Trzecia robiła problemy. Była kompletnie pijana. Zwaliała się na siedzenia, spod miniówki wystawały jej stringi.

– Kurwa, jak tu capi.

– To twoje rzygi – powiedział Kwolek. – Siadam z przodu.

Łukasz wysiadł z transita i omijając kałuże, ruszył wraz z Morfiną w

stronę vana. Usiedli na tyłach. Pijana dziewczyna zaczęła się rozpychać, więc Morfina chwycił ją za włosy i wcisnął jej twarz w siedzenie. Nie mówiąc ani słowa, przytrzymał ją tak kilkanaście sekund, a gdy puścił, dziewczyna ledwo oddychała, miała łzy w oczach, rozmazany makijaż, czerwoną skórę i nic już nie powiedziała. Skuliła się w kącie, poprawiając włosy. Dziki ruszył, a chłopaki rozluźnili się dopiero, jak wyjechali na asfaltową drogę. Łukasz rozsypał koks po dłoni i wciągnęli razem z Morfiną.

– Jak masz na imię? – Łukasz zaczął się podwalać do najmłodszej, bo była najładniejsza i naćpana czymś kolorowym.

– Lidia. – Dziewczyna miała zachrypnięty głos i zaciągała po ukraińsku.

Łukasz zaczął ją głaskać po włosach.

– Lubisz narkotyki, Lidia?

Dziewczyna wciągnęła, bardziej jak lekarstwo.

– Zimno ci?

– Kurwa, jak tu śmierdzi – powiedział Kwolek, nadal pobudzony po spotkaniu.

Dziki spojrzał w lusterko. Morfina siedział przy szybie, a Łukasz całował się z dziewczyną. Chwycił ją za rękę i położył na swoich jajach. Sapał z podniecenia. Kwolek, patrząc na to, zaczął rechotać. Dziewczyna zaczęła się wzbraniać, ale to jeszcze mocniej go stymulowało.

– Skręć tutaj – powiedział Łukasz.

Dziki nie zwolnił.

– Mówiłem, kurwa, skręć! – wrzasnął.

– Gdzie.

– Ej, ta druga jest świeża? – spytał Kwolek.

– Sprawdź – powiedział Łukasz, grzebiąc pod miniówką dziewczyny.

Kwolek się oblizał.



– Tu skręć – powiedział, wskazał drogę prowadzącą w las i przeskoczył na tylne siedzenia.

Dziki skręcił. Dziewczyny zaczęły stawiać nieudolny opór, gdy manewrował na wertepach. Przejechał jakieś stometrów, a gdy jedna z nich zaczęła krzyczeć, zatrzymał się. Łukasz na wpół obłąkanym wzrokiem tylko obejrzał się, czy są w bezpiecznym miejscu. Kwolek ułożył sobie dziewczynę w zarzyganych rajstopach i zaczął kopulować.

Dziki wybiegł z vana. Powietrze było zimne, czyste, pachniało lasem. Van się kołysał, szyby zaczęły parować, z wnętrza dochodziły stłumione powarkiwania. Drzwi z drugiej strony się otworzyły. Morfina wysiadł i zapalił papierosa, a Dziki zaczął biec. Przeskoczył rów, poślizgnął się i przewrócił. Stopy zsunęły się w błoto. Przeorał palcami ziemię i biegł dalej, pochylony, osłaniając twarz przed gałęziami, które pruły mu materiał kurtki. Biegł, aż stracił oddech. Wtedy upadł na kolana, doczołgał się do zbutwiałego, przewróconego drzewa i oparł się o nie plecami. Otaczały go wysokie drzewa, tak wysokie, że przestrzeń wokół nich się zakrzywiała, sprawiając wrażenie, jakby odkształcały się na ścianach szklanej kuli. Ciężko dysząc, zaczął zdejmować z siebie ubrania, bluzę, koszulkę, poczuł na skórze chłód wilgotnej kory. Położył dłonie na leśnym poszyciu. Pod palcami wyczuł jakiś wypukły kształt. Spojrzał w dół i rozgarnął palcami ziemię, spod której zaczęły wyłaniać się zarysy kości. W miarę jak odkrywał kolejne fragmenty, kości zaczęły nabierać jednolitej formy, długiego na ponad pół metra szkieletu zwierzęcia. Po jakimś czasie dokopał się do czaszki. Zagłębiając dłonie w miękkiej glebie, dokładnie obmacał jej kształt i ostrożnie wy dobył ją na powierzchnię. W czaszce nadal tkwiły mocne zęby. Oddzielił czaszkę od reszty szkieletu, ułożył ją między nogami i długo siedział tak, bez ruchu, pogrążony w ciszy, słuchając echa nawołujących go głosów.

# 17

Znaleźli go i zawieźli do miasta. W samochodzie miał kolejny zjazd po dragach, poczuł go dopiero tutaj, w zamkniętej przestrzeni, gdzie nadal kiło się miejskie powietrze i od razu powaliło go zmęczenie. Nie wiedział, ile czasu spędził przy kościach zwierzęcia, powoli się ściemniało, a potem zaraz nastąpiła noc. Leżał na tylnych siedzeniach wana, wdychając słodki zapach tanich perfum i spermy. Otaczały go szczupłe kolana śpiących dziewczyn, nowego nabytku Olafa. Łukasz podsuwał mu pod nos ścieżki z kokainą, ale koks go już nie kopał. Jechał na oparach. Poddał się. Za dwie godziny zaczął bramkę w Energy, na zastępstwo. Stał tam w czwartki, a raczej wysypiał się, bo bramkarzy było kilkunastu i awantury zdarzały się rzadko.

W mieszkaniu wziął prysznic, zmywając z siebie błoto. Przebrał się i uderzył do bloku obok po kilka gramów fety, żeby przetrwać noc. Wciągnął prosto z woreczka, coś tam zaiskrzyło. Dwóch bramkarzy odebrało go spod klatki. W dyskotecce grał jakiś zagraniczny didżej, pełno małaolat na wysokich szpilkach i gówniarzy z okolicznych wsi. Dziki przez godzinę kasował bilety i wsuwał łapy pod bluzy, potem położył po sali, aż wreszcie zaszył się w szatni między stosami kurtek i zasnął. Obudził go któryś z bramkarzy. Szarpnął go, bo Dziki nie reagował, aż nagle wybałuszył oczy i uniósł sztywno ramiona. Bramkarz wsunął mu w dłoń telefon.

– Do ciebie – powiedział.

– Halo? – spytał Dziki i przełknął glut gorzkiej śliny. Rana w gardle zdawała się sięgać stóp. – Stoję na bramce.

– Słuchaj, kierowca nam się wysypał, a mamy kilka kursów. – Łukasz nadal na pełnych obrotach.

– Nie mogę, jestem na bramce.

– Chłopaki cię puszczą, gadałem z nimi.

- Nie wiem, kurwa, ledwo stoję.
- Dagmara tutaj jest.
- Dagmara?
- No.
- Co ona tam robi?
- Pracuje.
- Pracuje? Miała dzisiaj zostać w domu.
- Słuchaj, będziesz czy nie.
- Powiedz jej, że po nią przyjadę.

W słuchawce rozległ się śmiech, kilka głosów.

- Dziki, ktoś musi je zawieźć do klientów.
- Do klientów, rozumiem.
- Będziesz?
- Ktoś mnie musi podwieźć.
- Załatwię to.

Łukasz się rozłączył, a Dziki tępo wpatrywał się w słuchawkę. Zza ściany dudniła muzyka. Szatniarz palił jointa i grał w grę na telefonie komórkowym. Dziki minął go i wyszedł na korytarz. Przepchnął się przez kolejkę do kibli. Przy wyjściu podszedł do niego jeden z bramkarzy.

- Dziki, mam cię zawieźć na Rynek.
- Kto ci tak powiedział?
- Olaf.

Dziki zakręcił palcem w powietrzu. Widział, jak usta bramkarza się poruszają, ale on nie rozumiał wypowiedzianych przez niego słów, muzyka bębniła dookoła, trącali go ludzie.

– Jedziesz?

Dziki przebrał się w swoje ciuchy. Wyszli z dyskoteki. Dziki wciągnął proszek. Krew puściła mu się z nosa.

– Kurwa, nie na siedzenia – jęknął bramkarz.

Dziki uniósł dłoń. Krew spłynęła po palcach, trochę połknął. Przed klubem Olafa stali Morfina i Kwolek. Gadali z jakimiś dwoma bramkarzami z klubu obok. Dziki wszedł na salę. W łóżach siedziało kilku klientów, dziewczyny tańczyły na rurach. Feta zaczęła buzować mu w głowie. Towar był mocny, pompował krew. Ruszył w stronę zaplecza. Miał wrażenie, że rozpycha materię jakiegoś koszmaru. Powietrze wokół niego było tłuste, muzyka wibrowała niemal pod skórą. W drzwiach prowadzących na zaplecze zobaczył Łukasza. Jakaś dziewczyna wieszała się po nim, całując go po szyi. Dziki ją kojarzył. Mieszkała z Olafem, miała na imię Kaja. Łukasz odepchnął ją i chwycił za twarz, próbując jej coś przetłumaczyć, ta jednak nadal się śmiała.

– Dziki! – zawołał Łukasz.

Dziki zbliżył się niepewnie, Kaja zrobiła szerokie oczy. Była ostro naćpana. Stał przed nią, zaczęła się do niego łąsić, wydymając usta. Zaglądnął jej przez ramię do pokoju za drzwiami. Dagmara siedziała na krześle, wchodził jej jakiś mocny drag, bo przyglądała się tępo swojemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie wczorajszą kieckę, włosy jak druty, twarde od lakieru. Puste spojrzenie trupa, tandetnie wystrojonego do trumny.

– Dziki, zawieziesz je do klientów – usłyszał przy uchu głos Łukasza. Wydobył się ze ścieżki dźwiękowej jak słowa piosenki. Kaja również zdawała się ją nucić. Dziki wybuchnął śmiechem.

– Widzisz, w jakim one są stanie? – Wskazał je palcem.

– Ogarną się po drodze.

– Po drodze? Gdzie?

– Do centrum.

– Nie możesz posłać innych dziewczyn?

– Zostały mi tylko te. Klient w chuj dobrze płaci. A dziewczyny są na chodzie. Zobaczysz. To centrum miasta, banda japiszonów, nawet pewnie nie będą ruchać.

– Masz coś proszku?

Łukasz od razu sypnął kreskę, Dziki wciągnął. Dagmara opuściła głowę. Podniosła się sztywno, poprawiła włosy. Kaja też wciągnęła. Łukasz podał Dzikemu kluczyki. Potem kartkę z adresem. Dziki poczuł dziwny spokój. Świat zaczął działać w zwolnionym tempie. Widział jak Dagmara się odwraca, pierwsze nagie ramię, połysk skóry, potem oczy, które starały się patrzeć przez ściany. Odwrócił się i ruszył korytarzem. Płynął nad ziemią, w opiłkach żelaza.

Wsiedli do samochodu. Dziewczyny na tylnych siedzeniach zaczęły coś do siebie szeptać. Dziki odpalił silnik i ruszył. Światła miasta rozlewały się po szybie. Jechał, coraz mocniej poddając się fазie. Kaja odpaliła skręta. Podała Dzikemu. Zaciągnął się. Spojrzał w lusterko. Dagmara się ożywiła. Podciągała nagie kolana i śmiała się. Obserwował ją w lusterku i sprawiało mu to dziwną radość. Widział ją uśmiechniętą, łatwo było sobie wyobrazić, że wiezie ją w inne miejsce. Kaja wpuściła jej dym ze skręta w usta. Dagmara wciągnęła go, oblizwała wargi. Nie spojrzała na niego. Znowu byli w grze, takie były jej reguły. Trzymać dystans.

Poddał się rytmowi muzyki płynącej z radia. Światło, wpadając przez współprzymknięte powieki, układało się w dziwne formy. Znał adres. Kilka razy zawoził tam sterydy. Japiszony lubiły się kłuć. Brali towar tylko na rzeźbę. Bogate osiedle w centrum miasta. Strzeżone parkingi, lofty z cegły, szkła i stali. Mijał przeszklone, nowocześnie urządzone biura, wypełnione zielonkawym światłem, a nad nimi czarne szyby pustych mieszkań. Zatrzymał samochód. Wysiedli. Dziewczynom od razu zrobiło się zimno. Dagmara kaszlała, zaciągając się skrętem. Podeszli do drzwi. Dziki wstukał numer na domofonie. Drzwi otworzyły się po kilkunastu sekundach. Weszli na klatkę schodową. Wszędzie elektronika, marmur, czujniki światła. Na

kartce zapisany numer, dwadzieścia trzy, dziesiąte piętro. Dziki przywołał windę. Żadnego dźwięku, tylko cyfry zmieniające się na wyświetlaczu. Rozsunęły się drzwi, wsiedli. Rozmiarem przypominała windę towarową, ale taką do wożenia diamentów. Światło raziło po oczach. Dziki spojrzał na swoje pokrzywione odbicie w nierdzewnej stali. Wybrał numer piętra. Dziewczyny w milczeniu spoglądały w górę, podczas gdy winda nabierała tempa. Faza zeszła im w złym momencie. Dziki spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Winda się zatrzymała. Wyszli na klatkę. Po piętrze niesły się stłumione dźwięki muzyki. Światła w dalszej części korytarza były wygaszone. Dziki stanął przed drzwiami, za którymi dudniła muzyka. Nacisnął dzwonek. Przytrzymał go przez chwilę. Grali techno, ale ciężkie, bojowe. Drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna. Wysoki na prawie metr dziewięćdziesiąt, w białej koszuli rozpiętej pod szyją i czarnych spodniach od garnituru. Na twarzy miał białą plastikową maskę. Maska była prostym odlewem twarzy z otworami na oczy, nos i usta. Nie wyrażała żadnych emocji, dopasowana do kształtu twarzy tak, że nie prześwitywał spoza niej najmniejszy fragment skóry. Wilgotne, cofnięte oczy wpatrywały się w Dzikiego przez wąskie otwory. Facet był dobrze wyrzeźbiony, skóra na przedramionach i klatce piersiowej dokładnie wygolona. Przekrzywił lekko głowę, przyglądając się Dzikiemu.

– Kim ty, kurwa, jesteś człowieku – wymamrotał Dziki. Mężczyzna się odwrócił i ruszył w głąb mieszkania. Dziki stał przez chwilę i się wahał. Muzyka i światło bijące z końca korytarza działały na niego hipnotyzująco. Przystąpił próg i obejrzał się za siebie. Dziewczyny stały i czekały, aż wykona swoje zadanie.

Korytarz wychodził na otwartą przestrzeń nowoczesnego loftu. Przeciwległa ściana w całości przeszklona, rozciągał się za nią widok na przemysłową część miasta. Ściany i podłoga wylane szarym betonem. Wnętrze puste, nieumeblowane, z wyjątkiem kanapy postawionej na środku i aneksu kuchennego w dalszej części. Na kanapie siedziało dwóch mężczyzn. Też mieli na sobie białe koszule, czarne spodnie i maski. Podwinięte rękawy odsłaniały wytatuowane przedramiona. Czwarty mężczyzna stał w rogu i

kołysał się w rytm muzyki, którą puszczał z laptopa. Jego ruchy przyspieszały, wraz z pompującym bitem stawały się coraz mniej skoordynowane. Oświetlał go ledowy halogen postawiony na podłodze, kilka metrów od jego stóp. Obok laptopa stał projektor, rzutując na jedną ze ścian psychodeliczne, kolorowe wzory. Ten, który otworzył Dzikemu, stanął nad blatem w części kuchennej, podciągnął maskę na wysokość górnej wargi i przypalił towar ze szklanej fiki. Dziki poczuł dobrze znany, słodki smród palonej mety. Jeden z tych co siedzieli na kanapie przechylił głowę, spoglądając za plecy Dzikiego. Dziki się odwrócił. Dagmara stała u wylotu korytarza. Kaja szarpnęła ją za rękę, ciągnąc ją w kierunku kanapy. Dagmara zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę na zbyt wysokich obcasach. Koleś, który na nią patrzył, był mocno napakowany. Kark zlewał mu się z szyją, na której pęczniały żyły. Wyciągnął w stronę Dzikiego butelkę whisky.

– Napijesz się, żołnierzu? – zawołał, przekrzykując muzykę.

Ten obok niego kołysał się mechanicznie w przód i w tył z dłońmi ułożonymi na kolanach. Obaj byli złani potem, choć w mieszkaniu było zimno.

– Muszę sprawdzić mieszkanie – powiedział Dziki. Napakowany koleś przyglądał mu się z lekkim uśmiechem. Zdawało się, że odczytał odpowiedź z ruchu jego warg. Dziewczyny z fascynacją rozglądały się dookoła. Dziki utkwiał wzrok w spirali na ścianie, pęczniejącej w takt muzyki. Napakowany koleś znowu coś krzyknął i się roześmiał.

– Muszę sprawdzić mieszkanie – powtórzył Dziki, choć nie był pewien, czy wypowiedział te słowa, rozległy się jednak na pewno w jego głowie, niczym podświadomy nakaz, pobudzając jego na wpół znieczulone ciało do działania.

Ruszył wzdłuż ściany, oglądając się na dziewczyny. Stanęły przed kanapą. Napakowany koleś rozłożył ramiona na oparciu i przyglądał się im. Zakręcił dłońią, nakazując, aby Dagmara się odwróciła. Kaja zaczęła kołysać się w takt muzyki. Didżej płynnie przeszedł w mocniejszy utwór, w co czwarte uderzenie stopy wplatając coś jak dźwięk alarmu w hali

przemysłowej. Dziki zmrużył oczy, gdy przeciął wiązkę światła rzucaną przez projektor. Na moment stracił orientację, ale zaraz pojawiły się przed nim drzwi. Otworzył je, wymacał na ścianie włącznik światła i zaglądnął do środka. Łazienka w nowoczesnym stylu, betonowe, zimnoszare bryły. Zlew, wystający ze ściany kibel, szyba kabiny prysznicowej. Wszystko lśniące, czyste, nigdy nieużywane. Otworzył szafkę nad zlewem. Żadnych kosmetyków, papieru toaletowego, ręczników. Wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Ściana po prawej zakręcała, wąskie przejście prowadziło w dalszą część loftu. Na końcu korytarza dostrzegł rozlaną po podłodze plamę pomarańczowego światła. Zaczął zmierzać w jej kierunku. Muzyka stopniowo się wyciszała. Sunąc dłonią po ścianie, wyczuł, że jej powierzchnia robi się bardziej chropowata, pozbawiona tynku. Po podłodze wałały się sterty gruzu. Dziura w ścianie, wykuta na kształt drzwi, bez framug. Na podłodze przewrócona lampka. Puste pomieszczenie, nie licząc zawieszanej na ścianie rzeźby z kłębowiska drutów i aluminiowego stolika, przy którym siedział czarnoskóry mężczyzna. Ten jako jedyny nie miał na twarzy maski. Był potężnie zbudowany, największy z nich wszystkich i czarny jak smoła. Na blacie leżał wielki, myśliwski nóż, a wokół niego rozsypane pigułki, część pozgniatana, roztarty proszek zmieszany z czymś, co wyglądało jak krew. Murzyn kołysał się na krześle, pochylając się w kierunku podłogi. Lewym przedramieniem wsparł się o blat, drugie bezwładnie zsunęło się po kolanie. Podniósł na Dzikiego zacpane, przekrwione oczy. Oczy zaszczutego zwierzęcia. To, co działo się poza jego kryjówką, zdawało się w ogóle do niego nie docierać. Dygotał na całym ciele. Gdy się poruszył, Dziki dostrzegł zwisający z jego szyi nieśmiertelnik. Murzyn patrzył na niego, otępiały, odcięty od świadomości, myślami w swoim koszmarze. Chciał dać Dzikiemu jakiś znak, ale jego dłoń drgnęła i znieruchomiła. Obląkanym wzrokiem namierzał jakiś cel w ciemności.

Dziki wycofał się na korytarz. Chciał wytrzeźwieć, ale było już za późno. Ziolo, które wypalił w samochodzie, było mocno zakwaszone, a zaciągał się głęboko i teraz odlot wszedł w najmocniejszą fazę. Do tego brak snu i nieprawdopodobne ilości fety rozpuściły mu kości i miał wrażenie, że



rozpływa się po podłodze. Kolorowe światła pulsowały na drugim końcu korytarza. Przytrzymując się ściany, skierował się w ich stronę. Rzygi podeszły mu do gardła, ale je połknął. Obraz rozmazywał mu się przed oczami. Kaja nie miała już na sobie bluzki i stanika. Kręcąc tyłkiem, zabierała się za zdejmowanie spódniczki. Napakowany koleś rozpiął koszulę i obnażył szeroką klatę ze sterczącymi sutkami. Na lewej piersi miał tatuaż, pośrodku zwisał nieśmiertelnik. Teraz prezentował go z dumą. Spod maski prześwitywały smugi ciemnozielonej farby, tworzące coś na wzór wojskowego kamuflażu. Rozwalił się na kanapie i poruszał dłonią, dyrygując ruchami Kai. Dagmara stała oparta o ścianę, na lekko ugiętych nogach, przyglądała się wszystkiemu z dziecięcym zaciekawieniem. Dziki podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

– Idziemy stąd – powiedział.

Dłoń Dagmary była wiotka, nie sprzeciwiła się. Żaden z koleś nie zwrócił na niego uwagi. Ten z dłońmi na kolanach zaczął powoli rozpinąć koszulę. Dziki szarpnął Kaję za rękę.

– Idziemy! – krzyknął jej do ucha.

W pierwszej chwili go nie zrozumiała. Muzyka była zbyt głośna. Uśmiechnęła się, zamknęła oczy. Rozchylone w podnieceniu usta. Znowu myślała, że jest sama na podeście w stripklubie, bezpieczna, w zamkniętym kręgu światła. Dziki szarpnął ją za rękę, wytrącając ją z rytmu. Kolesie na kanapie dopiero teraz zauważyli jego obecność. Wpatrywały się w niego białe maski, a pod nimi mokre, lekko zezujące oczy. Odwrócił się i poczuł, że ktoś go trąca. Napakowany koleś trzymał w wysuniętej dłoni plik banknotów. Dagmara przestępowała sztywno z nogi na nogę, zaciskając lewą pięść. Bluzka zsunęła się po jej lewym ramieniu, odsłaniając zapadnięty obojczyk. Kaja wyrwała mu się, zatoczyła i wrzasnęła jakieś wyzwisko. Dziki poczuł, że go popycha. Chciała się bawić. Przykucnęła przy stole, sięgnęła po zwinięty banknot i wciągnęła kreskę. Kolesie cierpliwie czekali, aż Dziki sięgnie po pieniądze. Czekali, aż przeliczy i podejmie decyzję. Było tam z osiem stów. W sam raz na zakup kilku dodatkowych nocy. Ten napakowany

skinął głową. Dziki się wycofał. Jeszcze raz spojrzął na Dagmarę. Ona też kiwnęła głową na znak, że się zgadza. Widział tylko jej zarys na tle psychodelicznych projekcji. Ruszył w kierunku drzwi. W korytarzu obejrzał się za siebie. Koleś, który rozpiął koszulę wstał, wziął Kaję za rękę i zniknęli mu z pola widzenia. Dagmara odwróciła się i wypięła tyłek. Koleś w masce położył na nim łapy.

Dziki zamknął za sobą drzwi. Muzyka ucichła, przechodząc w stłumione dudnienie, a może to krew dudniła w jego głowie. Przez chwilę stał pod drzwiami i nasłuchiwał, próbując wyłapać jakieś głosy. Gdzieś w górze trzasnęły tryby windy. Nowoczesne urządzenie bezszelestnie zsunęło się po piętrach. Dziki zaczął chodzić po korytarzu, od ściany do ściany, pocierając dłońmi skronie. Po raz pierwszy w życiu tak kurewsko chciał wytrzeźwieć. Czuł, że wszystko zmierza do katastrofy.

Spojrzął na zegarek, usiadł na schodach i zaczął kołysać się w takt bitu dochodzącego zza drzwi. Panika powoli ustępowała. Ułożył głowę na ramionach. Fizyczne wyczerpanie dawało o sobie znać. Utrata świadomości zdawała się trwać kilka sekund.

Przebudził się, podrywając głowę. W pierwszej chwili nie mógł rozpoznać, gdzie się znajduje. Wszystko nabrało ostrości, wręcz kłując go po oczach. Faza kompletnie z niego zeszła. Za drzwiami nadal dudniła muzyka. Spojrzął na zegarek. Minęła prawie godzina. Rzucił się w stronę drzwi, szarpnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Zaczął walić w nie pięściami. Pierwsze, nasadą dłoni, potem kostkami, z których po czwartym uderzeniu pociekła krew. Z każdym kolejnym ciosem plama krwi się powiększała, a on walił bez opamiętania, choć drzwi były solidne, wzmacniane i nie amortyzowały ciosów, niemal łamiąc mu kości.

Z jego gardła wydobył się bezsilny ryk. Wyciągnął telefon i zaczął szukać numeru Dagmary. W tym momencie klamka się poruszyła, ktoś od wewnątrz ją docisnął i drzwi się uchyliły. Z wnętrza huknęła muzyka. Dziki cofnął się i odczekał kilka sekund.

Pierwsze, ujrzął Dagmarę. Stała w połowie korytarza. Miała na sobie

podartą sukienkę, założoną tyłem do przodu. Trzęsła się na całym ciele, z trudem łapiąc oddech. Z rozciętej wargi ciekła krew, wokół szyi rozlewały się sine plamy. Robiła małe, sztywne kroki, posuwając się w żółtym tempie, ale z jakąś zaciekłą determinacją, która wyznaczała drogę ewakuacji poza udziałem świadomości.

– Nie idź tam. – Pokręciła głową.

W mieszkaniu zrobiło się ciemniej, kolory z projektora za jej plecami były mniej rozproszone. Dziki ledwo widział, co dzieje się na końcu korytarza. Muzyka była tak samo głośna, tylko tempo nieco zwolniło. Wbiegł do salonu i od razu się zatrzymał, unosząc ramiona. Wytatuowany koleś siedział nagi na kanapie i celował do niego z czegoś o dużym kalibrze. Był cały umazany krwią. Na twarzy nadal miał maskę, wygolony kutas w erekcji sterczał mu aż do pępka, nogi wyprostowane i rozrzucone na boki, mięśnie napięte, jakby szarpały nim ostatnie skurcze orgazmu. Dziki wrzasnął w jego stronę, a on tylko przechylił głowę, zapraszając go, aby wykonał jakiś ruch.

Naga Kaja klęczała kilka metrów od kanapy i zbierała z podłogi swoje ciuchy. Miała mokrą skórę i włosy. Koleś, który puszczał muzę, nadal stał nad laptopem, tym razem nagi, miał na sobie tylko maskę i nieśmiertelnik i poruszał się dziko w takt muzyki, bawiąc się pokrętłami miksera. Dziki podszedł do Kai, wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, lecz ona go odtrąciła. Wstała boso, ślizgając się w kałuży czegoś, co wyglądało jak szczyzny. Prawe ramię miała wygięte pod dziwnym kątem. Koleś na kanapie nie przestawał w niego celować.

Dziki, osłaniając Kają, zaczął się wycofywać. Kaja szła przed nim kulejąc, na plecach miała rany po cięciu nożem. Gdy znaleźli się w korytarzu, mężczyźni zaczęli piszczeć. Pierwsze pojedyncze odgłosy, jakby nawołujących się w dżungli małp, po chwili zmieniły się w szalony skrzek, który niósł się po klatce schodowej, ciągnąc się za Dzikim aż do wyjścia.

# 18

– Nie jedź do szpitala – mamrotała Kaja.

– Dali ci coś?

Zebrało ją na rzygi. Zatrzymał się, wysiadł, otworzył drzwi po jej stronie, przytrzymał jej głowę i wsadził palce w usta. Zwymiotowała. Dagmara siedziała dziwnie spokojna, Dziki z trudem mógł znieść ten spokój, bo zdawało mu się, że coś bezpowrotnie w niej umarło. Zadzwoił telefon, ale nie odebrał. Po chwili zaczął dzwonić telefon Dagmary. Na moment ekran rozświetlił jej twarz, gdy patrzyła, kto dzwoni. Odrzuciła połączenie. Smród szczyln stawał się nie do zniesienia. Otworzył okno. Kaja cicho płakała, ściskając się za łokieć.

Piętnaście minut później wjechał na tyły kamienicy, w której mieszkał Olaf. Zatrzymał samochód na włączonym silniku. Kaja znów zaczęła przysypiać. Ostro ją naszprycowali. Gdy wysiadł, sam o mało nie zwymiotował. Oparł się o maskę i przez chwilę głęboko oddychał. Zza szyby błysnęła mu twarz Dagmary. Szukała klamki, jakby obudziła się w statku kosmicznym. Drzwi na piętrze otworzyły się i stanął w nich Olaf. Spodnie od dresu, goła klata, pokrzywiony kościotrup w świetle żarówki, które biło zza jego pleców tak, że nie było widać twarzy. Oparł się o framugę, ktoś krzyknął coś ze środka. Olaf odpowiedział, nie ruszając się z miejsca. Obok niego pojawił się Łukasz. Spojrzał w dół, zbiegł po schodach. Nagi od pasa w górę, grube pierścienie zwisające z sutków, włosy miał zburzone, spocona twarz. Pałac papierosa, okrążył samochód. Olaf przywołał chłopaków. Z mieszkania wybiegł Morfina, rozpędzona masa gotowa do działania. Dziki szarpnął klamkę. Kaja zmrużyła oczy, choć tu na dole było ciemno.

– Wysiadaj – powiedział. Chwycił ją za rękę. Wyrwała mu się i cofnęła głębiej na siedzenia. – Wysiadaj – powtórzył i szarpnął ją. Bała się. Widział to w jej oczach. – Jesteśmy u Olafa.

Za jego plecami stanął Morfina. Dopiero wtedy uwierzyła. Dała mu się wyciągnąć z samochodu. Morfina uniósł jej ręce i popatrzył, gdzie może jej dotknąć, żeby się nie ubrudzić. Nie było takiego miejsca, więc Kaja przez chwilę stała nieruchomo, boso, nadal mrużąc oczy.

– Weź ją stamtąd, kurwa! – zawołał Olaf.

Morfina pochylił się i zajrzał do samochodu.

– Daga – powiedział.

Dagmara się nie poruszyła. Łukasz zbiegł po schodach.

– Dziki, adres – powiedział.

Olaf przyglądał się wszystkiemu z góry.

– Dziki – pchnął go Łukasz.

Dziki zatrzaskał drzwi i zaczął okrążyć samochód. Ci stali i patrzyli na niego, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Ona jedzie ze mną! – zawołał, wodząc dookoła ramieniem, jakby wyznaczał granicę, której nikt nie ma prawa przekroczyć.

Łukasz spojrzał w górę na Olafa.

– Już tu nie wróci, słyszysz?! – zawołał Dziki, obmacując karoserię w poszukiwaniu klamki. Otworzył drzwi i siadł za kierownicą, nie spuszczać wzroku z Łukasza i Morfiny.

Dagmara zaczęła coś mówić, ale jej słowa zagłuszył ryk silnika. Zawrócił, pakując się tyłem w kubły na śmieci, i wyjechał z oficyny.

# 19

Szła powoli w górę schodów. Nie pozwoliła mu się prowadzić. Co jakiś czas przystawała i kładła dłoń na kroczu. Sukienka w tym miejscu przesiąkła krwią. Krew kapiała jej spomiędzy ud na schody. Nic nie mówiła, starała się nie oddychać.

– Możesz iść? – spytał. Dłonie lepiły mu się od zaschniętej krwi. Nie odpowiedziała, pokonując kolejne stopnie. – Masz klucze? – spytał, gdy stanęli przed drzwiami.

Wyciągnęła je z torebki, podała mu, otworzył, szarpnął klamkę i wciągnął ją do środka. Przez chwilę błądził ręką po ścianie, próbując odnaleźć włącznik światła.

– Zdejmij to z siebie – powiedział.

Wyjął telefon i wybrał numer Igora. Po raz trzeci, odkąd zostawił Kaję u Olafa. Trzy sygnały i poczta. Zostaw wiadomość. Zostawił już dwie. Igor, daj znać. Mocno się wszystko pojebało.

Dagmara powoli zdejmowała kurtkę, wykrzywiając ramiona pod nienaturalnym kątem, jakby materiał przykleił się jej do skóry. Podeszedł do niej i szarpnął ją za rękaw. Wtuliła się w kąt, zaciskając dłonie na strzępach potarganej sukienki. Miała połamane paznokcie, wyraz twarzy skrzywdzonego dziecka.

– Zdejmuj te ciuchy i idź się umyć – powiedział Dziki i wszedł do kuchni. Zapalił światło i zaczął chodzić nerwowo od ściany do ściany.

– Idź się umyć, słyszysz?! – krzyknął.

– Co się, kurwa, dzieje – usłyszał zachrypnięty głos Baški. Wystawiła głowę ze swojego pokoju. Bez makijażu, w rozpuszczonych włosach, powiodła zaspanym wzrokiem po korytarzu.

– Nic, wracaj do siebie – powiedział Dziki.

– Jestem, kurwa, u siebie – wymamrotała, cofnęła się i wyszła, narzucając szlafrok.

– Daga? – Stała obok niej, wyciągając rękę.

Dagmara, widząc ją, zaczęła pękać. Pierwsze usta wykrzywiły się, jakby miała rzucić wyzwisko albo wypluć zebraną tam krew, ale zamiast tego cicho zawyła, wydając z siebie jakiś pierwotny dźwięk, głęboko z trzewi, aż Dziki poczuł go w środku, jakby żyletka przecięła mu flaki. Potem otworzyły się oczy, wypłynęło z nich przerażenie.

– Daga, kto ci to zrobił – jęknęła Baśka. Wzięła ją za rękę.

– Zaprowadź ją do łazienki.

– Ja pierdolę, kto ją tak skatował?

– Była u klientów.

– I ty byłeś z nią?

– Czekałem na zewnątrz.

– A oni cięli ją kosami.

– Zdejmij z niej, kurwa, te szmaty.

– Czemu nie zawiozłeś jej do szpitala?

– Bo jest najebana.

– Czym.

– Wszystkim.

Baśka zaprowadziła Dagmarę do łazienki. Dziki usłyszał, jak rozmawiają. Baśka ją uspokajała, miała w tym doświadczenie. Dagmara rzucała pojedyncze słowa, urywki krzyku, jakby dzieliła go na sylaby. Potem zagłuszył ją szum prysznic.

Dziki usiadł na krześle. Zdjął z siebie moką, przepoconą bluzę. Nie prał

ciuchów od tygodnia, zaczynały śmierdzieć. Przejechał dłonią po twarzy. Wyczuł pod palcami kilkudniowy zarost. Głębokie dziury w miejscu kości policzkowych, jakby coś wsysało je do środka.

To musiało się stać. Punkt kulminacyjny całorocznej imprezy. Przez ostatnie trzy dni niemal lunatykował, umysł wyłączony, łapy wyciągnięte przed siebie, żeby nie zderzyć się z przeszkodą i spacer po dziurawym dachu, podczas gdy świat na dole pożerał kolejne ofiary. Zacisnął pięść i potarł nią o czoło. Przebitki z loftu atakowały go w różnych sekwencjach. Dominował Murzyn siedzący przy stole zasypianym halucynogenami, którymi świadomie sprowadził się do stanu żywego trupa.

Przez chwilę myślał, żeby tam wrócić, ale to było jeszcze w samochodzie, gdy adrenalina podgrzewała resztki dragów w jego żyłach. Teraz, gdy napięcie z niego zeszło, poczuł strach. Paraliżujący strach, który nie pozwalał mu ruszyć się z miejsca.

Baśka wyszła z łazienki. Stała w drzwiach kuchni i spojrzała na niego, jak pocierał dłońmi zabrudzone nogawki, wykrzywając twarz w nieudolnej próbie rozplakania się.

– Idź do niej – powiedziała.

Zdziwił się, bo patrzyła na niego ze współczuciem.

– Nie pocięli jej tak bardzo, wyglądało źle, bo połała się krew, ale ją dusili i chyba do czegoś przywiązali, bo ma sine kostki i nadgarstki.

Dziki wstał z krzesła. Baśka spojrzała na jego spuchnięte kostki.

– Przemyć ci to? – spytała.

Nie odpowiedział. Patrząc w podłogę, wyszedł z kuchni. Uchylił drzwi do łazienki. Wszedł, zamknął je za sobą i stanął nad wanną. Dagmara leżała na plecach, zanurzona niemal po szyję. Woda była mętna, lekko brunatna od krwi, która nadal sączyła się z ran. Dziki przez chwilę przyglądał się jej drobnemu, płaskiemu ciału pod taflą nieruchomej wody.

– Jak się czujesz? – spytał i przysiadł na ubikacji.



Nie odpowiedziała, więc przyklęknął obok wanny i pogłaskał ją po włosach.

– To był wypadek – powiedziała.

– Bili cię po brzuchu?

Spojrzała między uda, trzymając dłonie na krawędziach wanny.

– Nie. Powiedziałam im o tym i żaden mnie tam nie uderzył. Tylko dociskali, ale ja się zasłaniałam.

Dziki głaskał jej zimne, sztywne włosy. Dagmara uniosła ręce i wyciągnęła je do niego. Zanurzył ramiona w wodzie i uniósł ją, ciepłą, lekką, ociekającą pianą. Jego mięśnie były w strzępach, bał się, że zaraz strzelą mu stawy, ze słabości, poczucia winy. Wtuliła się w niego, w ten strzęp człowieka. Gdyby chciała, mogłaby go skruszyć jak śniegową figurkę, ale była delikatna.

Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku. Naciągnęła na siebie pościel, a on przysiadł na krawędzi materaca, z dłonią wyciągniętą w jej stronę, bojąc się sięgnąć dalej.

– I co teraz? – spytała.

– Jak się obudzisz, mogę cię stąd zabrać – powiedział.

– Gdzie?

Zacisnął dłoń, przyłożył ją do ust i udał, że zaciąga się skrętem.

– Do Amsterdamu – odpowiedział na wdechu.

Dagmara odwróciła głowę i uśmiechnęła się, jednak z jej oczu bił chłód. Pełne skupienie.

– Chcesz mnie jeszcze?

– Czemu mnie o to pytasz. To ja zjebałem.

– Ale to na mnie położyli swoje łapy.

– Dla mnie jesteś czysta. Zawsze byłaś.

– Mogli mnie czymś zarazić.

– To będę cię leczył. Jestem dobry w zastrzykach. Wbijam bezboleśnie.

Milczeli przez chwilę.

– Masz jakieś pieniądze? – spytała.

– Mam pół kilo brauna.

– Twój brat wie, że masz pół kilo brauna?

– Nie musi wiedzieć.

– To jak chcesz to sprzedać?

– Jak wyjedziemy, on nie będzie mi już potrzebny.

Uśmiechnęła się.

– Głupi jesteś.

– Dlaczego?

– Bo nie myślisz.

– Skoro mam te pół kilo, to chyba myślę.

– A skąd je masz?

– Ktoś zwrócił mi dług.

– Nikt już tym nie handluje.

– Kogoś bym znalazł. Znam kilku dilerów, co biegają dla siebie. –  
Poskrobał paznokciem prześcieradło.

– O tym, co się dzisiaj stało, też mu nic nie powiesz?

– A po co mam mu mówić?

– Bo jest nam potrzebny – powiedziała z naciskiem, unosząc lekko  
głowę.

Dziki wyłapał w ciemności jej szkliste spojrzenie.

– Do czego on ci jest potrzebny?

Jej głowa opadła z powrotem na poduszkę. Westchnęła z rezygnacją.

– Mogę sprzedać ten towar nawet zaraz – powiedział.

– To za mało – przerwała mu.

– Za mało czego.

– Pieniądzy.

Miał wrażenie, że wymawia to słowo przez zaciśnięte zęby. Po brzmieniu jej głosu i napięciu z jakim jej ciało reagowało na jego dotyk, mógł stwierdzić, że ofiara, którą wyprowadził z tamtego mieszkania, zmieniła się w trzeźwo myślącego drapieżnika. W tym świecie przetrwanie zależało od tego, jak szybko jesteś w stanie zapomnieć o wyrządzonej ci krzywdzie. Jej przyszło to z łatwością. Roztrzęsienie, panika minęły. Pozostała sucha kalkulacja, w której on z jakiegoś powodu nadal miał dla niej jakąś wartość.

– Igor mi w tym nie pomoże – powiedział, spoglądając na nią w próbie rozeznania, czy o to jej chodzi.

– A jeśli sam coś z tego będzie miał?

– Z czego.

Dźwignęła się na łokciu i nagle znalazła się blisko niego. Chciała chwycić go za rękę, ale ją cofnął. Oparła się o ścianę i zapaliła papierosa. Dotknęła rozcięcia na górnej wardze, opuchlizna się powiększała. To sprawiło, że łzy napłynęły jej do oczu, ale szybko się opanowała. Przełknęła dyskretnie ślinę i spojrzała na niego.

– Jesteś w stanie zaopiekować się swoją kobietą?

## 20

W domu Igora za miastem był tylko raz. Tego dnia, gdy wyszedł na wolność po pięcioletniej odsiadce, Igor czekał na niego pod bramą więzienia. Zaplanował, że spędzą ten wieczór razem. Pojechali się napić. Pogadać o tym, co się zmieniło. Zaczynamy nowy rozdział. Pokażę ci, gdzie przez te wszystkie lata lokowałem pieniądze. Chęć ucieczki z miasta nadal silna. Może czekało tam na niego zbyt dużo zastawionych pułapek. Dobrowolne wygnanie. Nikogo tu nie przywożę, jesteś pierwszy, więc możesz czuć się wyróżniony. Będzie jakiś komitet powitalny? Nie bardzo. Tam nikt na ciebie nie czeka. To chciał mu uświadomić. Że minęło dużo czasu.

Dom był w niemal surowym stanie, a już otaczał go wysoki na ponad dwa metry, betonowy mur. Mur i kamery, dopiero potem fundamenty, kanalizacja i doprowadzenie wody do basenu. Takie były plany. Igor rozglądał się po działce, jakby to wszystko już tam widział, a był tylko mur i bryła z betonu, co wcale nie przeszkadzało mu tam mieszkać. W środku wylewka zamiast podłogi, ściany nieotynkowane, mówił jak zamierza to wykończyć, używał jakichś dziwnych, nieznanym Dzikim terminów, plątał się w jednostkach miary, trudno zagospodarować tak wielką przestrzeń. Mieszkasz tu sam? Potrzebuję tylko spokoju. A masz tu spokój?

Igor całe dni spędzał na mieście, wracał tu w nocy, na zgaszonych światłach, potajemnie, jakby włamywał się do cudzego domu. Spał na materacu w pustym salonie. Przeszklone drzwi wychodziły na ogród rozświetlony budowlanymi halogenami. Jedyne meble, jakie ze sobą przywiózł, to biurko, na którym postawił dwa monitory podłączone do kamer. Na podłodze kłębiły się zwoje kabli. Szklanki pełne zwiertzałej whisky, bo nalewał i nie dopijał, zasypiając przed monitorami, na których zmieniały się ujęcia działki wokół domu.

Tamtej nocy siedzieli przy postawionych na podłodze świeczkach i pili wódkę. Igor bosy, próbował udawać rozluźnionego, ale pił szybko, nerwowo

i co jakiś czas spoglądał na te monitory, a jak się upił, to włączał mu się instynkt łowcy, sięgał po gnata i robił obchód wokół domu, ciągnąc za sobą Dzikiego. Pierwszy dzień na wolności, a żadnej różnicy, ekskluzywna cela z większym metrażem i wyjściem na ogród, gdzie zawsze ktoś mógł czekać, żeby odrąbać ci głowę. Dom przypominał strzeżoną twierdzę, w której Igor był dziwnie zaszczuty. Nie pasował do tego miejsca, na siłę próbując odgrywać rolę kogoś o wyższym statusie. W łazience Dziki otworzył szafkę nad zlewem. Zamiast kosmetyków, puste opakowania po lekach. Mieszanka psychotropów na depresję, to one podkręcały jego czujność. Spadek adrenaliny przypominał objawy odstawienia mocnych dragów, a tą produkowaną na wjazdach i ustawkach trudno było czymkolwiek zastąpić.

Gdy na zewnątrz nieco się rozjaśniło, usiedli przy pustym basenie i zasnęli na leżakach. Igor krzyczał przez sen. Wyrywał się niewidzialnym wrogom. Potem już rzadko się widywali. Minęło pół roku. Spotkania na myjni. Przepływ gotówki, on poza głównym nurtem. Pokraka w za dużych ciuchach. Ktoś sypnął fety, powąchał, szedł na układ. Zabawa jak z dzieckiem. Ataki kaszlu. Wykańcza się. Nikt w ciebie nie zainwestuje.

Teraz jechał tam po raz drugi. Igor oddzwonił. Nasze drogi się rozeszły, a nie powinny. Winisz mnie za to? Gwałt. Chłodny, niemal medyczny termin. Dodaj zbiorowy. Mocna reakcja na słowo cięża. Trzeci miesiąc. Jeszcze mocniejsza. Nie mieszkam już tutaj sam, ale przyjedź. I nie zabieraj jej ze sobą.

Nie bardzo wiedział, jak tam trafić. Igor dał mu jakieś wskazówki, ale Dzikiego z trudem rozpoznawał je w terenie. Jechał za szybko, zawracał, a jak się zatrzymywał, by spytać ludzi, to ci nie rozumieli, co do nich mówi, gardło miał zdarte od krzyku i odjeżdżał, gdy tylko zaczynali się do niego zbliżać.

Minął kilka wsi. Ktoś wskazał mu wreszcie właściwą drogę. Gdy tylko zjechał z głównej, zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Musiał się uspokoić. Ciuchy miał mokre od potu, dobrze, pozbywał się chemii. Świeciło słońce. Łzawiły mu oczy. Rano Baśka zawiozła Dagmarę do szpitala, żeby sprawdzić, czy płód nie został uszkodzony. On wypił kawę, zmusił się do

zrobienia kilku pompek. Myjąc w łazience zęby, zobaczył w koszu podartą sukienkę Dagmary. Zemdliło go i zwymiotował do umywalki glut żółci. Przyjrzał mu się. Na szczęście nie znalazł w nim śladów krwi, choć czuł ją w ustach, piekące ranki na dziąsłach, spuchniętych od wcierania proszku. Nabrał wody w usta, przepłukał dziąsła i ostrożnie zacisnął zęby, czując, że niektóre się poruszają, jak zanurzone w słonej galarecie. Ogolił głowę i obciął żyłką paznokcie, wydłubując spod nich czarne grudki brudu i zaschniętej krwi, które zagnieździły się tak głęboko, że musiał ciąć do żywego mięsa, zlizując z palców krew i obierając płytkę paznokcia z kolejnych warstw. Gdy skończył, obejrzał się w lustrze. Stał na wadze. Licznik pokazał sześćdziesiąt pięć kilo. W ostatnim miesiącu schudł aż pięć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio na trzeźwo prowadził samochód. Bez zioła, fety i sterydów. Przez ostatni rok żył jak we śnie. Teraz wszystko stało się wyraźne, rzeczywiste, a on poczuł się słaby. I stary. Byle burak mógł się zatrzymać na skrzyżowaniu i wyjechać mu w ryj, a on skuliłby się na siedzeniu i wył z przerażenia.

Wąska, asfaltowa droga wiła się pod górę między drzewami i wychodziła na otwartą przestrzeń niezagospodarowanych działek. Dom Igora stał na wzgórzu. Betonowy mur nadal nieotynkowany, szara bryła widoczna już z oddali, kładąca się cieniem na hałdy wyschniętej ziemi, którą podsypane były fundamenty.

Dziki zatrzymał samochód przed bramą ze stalowej płyty, zamontowaną pod złym kątem i pełną rdzawych zacieków. Z góry celowała w niego kamera. Odczekał i zatrąbił. Brama ze zgrzytem zaczęła się przesuwać. Wjechał na podjazd i wyłączył silnik. Dom miał białe ściany i czarny dach, typowa zabudowa jednorodzinna z garażem i wysepką z kostki brukowej. Równy przycięty trawnik zdawał się być jedyną rzeczą, o którą ktoś tutaj dbał. Kilka świeżo posadzonych drzewek uschło. Otoczona siatką zagroda dla psa była pusta, drzwiczki otwarte. Miska wypełniona deszczówką. Nieuprzątnięte gówna. Mur zasłaniał cały widok. W każdym z rogów umieszczone były kamery.

Dziki wysiadł z samochodu. Gdyby nie rozlewający się nad jego głową

błękit nieba i zapach świeżo skoszonej trawy, poczułby się jak na więziennym deptaku. Martwa cisza. Zamknął oczy i stał przez chwilę nieruchomo, próbując się do niej przyzwyczaić. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła mu laska w szlafroku. Znudzony, kurewski wizus, ale wyższa półka, zadbana, przyzwyczajona do luksusu. Igor wyrwał ją pewnie na jakiejś dyskotece, gdzie ustawiał bramkarzy. Królowa wsi. Spojrzała na Dzikiego z lekkim niesmakiem, jakby burzył jej poczucie estetyki.

– Ja do brata – powiedział cicho, ze spuszczoną głową. W głębi korytarza zaszczekały psy.

– Wchodź! – zawołał Igor. – Sylwia, zabierz psy.

Dziewczyna rzuciła Dzikiemu obojętny uśmiech, choć jej spojrzenie mówiło, że w jakimś sensie są pokrewnymi duszami, oboje na łasce tego samego pana. Zdawać się mogło, że na tym polega jej robota, na otwieraniu drzwi i prezentowaniu się w wydaniu rozleniwionej kurewki, jako dodatkowy element wystroju wnętrza i gdyby nie dyskretne działki kokainy, od której szklily się jej oczy, już dawno by go zostawiła.

Gwizdnęła na psy, które posłusznie pobiegły za nią korytarzem. Dziki wszedł do salonu połączonego z kuchnią. Igor stał przy blacie, odwrócony do niego plecami. Miał na sobie tylko luźne spodnie od dresu. Na plecach posterydowe wypryski, sine, zabliznione.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Jak masz coś zimnego.

Igor otworzył lodówkę. Nalał mu sprite'a i wrócił do robienia owocowego koktajlu. Wrzucił do miksera pokrojone banany, dodał kilka kostek lodu i chlusnął na to wódką prosto z butelki. Włączył mikser, który z hukiem zaczął wszystko mielić. Dziki skinął głową w kierunku Bolca. Ten spojrzał na niego zza wąskich szkiełek i wrócił do przeglądania rozłożonych przed nim dokumentów. W powietrzu unosił się zapach skręta. Igor wyłączył mikser, wlał koktajl do szejkera i mijając Dzikiego, podał mu sprite'a.

– Siadaj – powiedział wskazując miejsce w rogu kanapy.

Dziki usiadł. Bolec połączył papiery w jeden plik, postukał nimi o blat, wsadził je do teczki i napił się kawy. Igor postawił koktajl na blacie i odpalił przygaszonego wcześniej skręta. Zaciągnął się i przytrzymując dym w płucach, podał skręta Dzikiemu. Dziki odmówił. Igor obrzucił go nieco lekceważącym wzrokiem i zaciągnął się po raz kolejny, tym razem głębiej, jakby dawał mu przykład.

– Słyszałem, co się stało – powiedział na wdechu i wypuścił z płuc potężną chmurę. – Wyruchali ci dziwkę.

– Ona ma imię.

– Ci co ją ruchali, mówili jej po imieniu?

Wziął kolejnego macha, przyglądając się żarzącej się końcówce skręta. Dziki zagryzł zęby. Jego reakcja zdawała się bawić Igora. Zaczął krążyć wokół niego, dyrygując skrętem i kołysząc się na boki.

– Chcesz obracać wielkim hajsem, a nie potrafisz przypilnować dziwki.

– Nie... ja... – zająknął się Dziki.

– Tak czy, kurwa, nie, proste! – krzyknął Igor.

Ich spojrzenia się spotkały. Dziki odchylił głowę, zacisnął wargi. Igor z ochotą przyjął wyzwanie. Pochylił się nad nim i kontynuował nieco ściszym głosem, który szybko zaczął nabierać mocy.

– Słyszę o tobie same negatywy. Mają cię za zjeba, kumasz? Ja mówię, że pięć lat więzienia może pojebać człowiekowi w głowie, a oni na to, że spedałeś się z tym typem od burdeli.

– On dał mi robotę, jak wyszedłem.

– Ja też ci dałem robotę.

– Bieganie ze szmatą? Pierdolę to.

– Pięć lat w cipie niczego cię nie nauczyło?

– Odjebałem te pięć lat za ciebie. – Dzikiemu do oczu napłynęły łzy. – Ty



jesteś mi winien te pięć lat.

Igor porozumiał się wzrokiem z Bolcem.

– W pierdłu niczego ci nie brakowało, a wjechałeś się w dragi. Mówiłem, nie trzymaj z tym ćpunem, a ty nie dość, że ładowałeś z nim towar, to od razu po wyjściu zacząłeś robić w jego biznesie.

– Powiedziałeś, że będę bezpieczny, a dwa razy chcieli mnie zająć.

– Bo robiłeś długi na towarze.

– Bo ujechałeś Hanysowi rękę, żeby wykluczyć go z interesu, a on też miał braci i swoich ludzi.

Igor wycelował w Dzikiego palec, ostrzegając, że zbliża się do niebezpiecznej granicy. Bolec przestał przeglądać dokumenty i skupił się na słowach Dzikiego.

– Nie tak to miało wyglądać. Powiedziałeś, zbudujemy mocną organizację. Jak wyjdiesz, będziesz ustawiony. Zapewnię ci dobre miejsce w grupie.

– Oblałeś wszystkie testy, jakie ci dałem.

– Odjechałem za ciebie pięć lat. Przez pięć lat byłem chodzącym celem i nie wydałem cię. To nie był wystarczający test?

Igor skinął głową.

– Ale wyszedłeś i znowu w ćpanie. Okradałeś mnie z towaru. Powiedziałem, żadnych narkotyków.

– Koniec z narkotykami.

– Wiesz, ile razy już to słyszałem?

– Nie rozumiesz? – ciągnął Dziki, błędząc wzrokiem po podłodze, jakby w natłoku poruszanych tematów zgubił główny wątek. – W dziewczynie coś pękło. Wie, gdzie pieniądze, wymiana, heroina – zaczął dukać pojedyncze słowa, samemu z coraz większym trudem odnajdując w nich jakiś sens, aż

Igor powstrzymał go, oporując dłońmi przed jego twarzą.

– Ej, rozumiem, jesteś na głodzie, miałeś ciężki weekend, ale nie pierdol mi o rzeczach, do których nie dorastasz.

– Niech powie, o co chodzi – wtrącił milcząco do tej pory Bolec.

Igor uniósł ramiona na znak, że się wycofuje.

– Czemu nie pójdziesz z tym do Olafa? – spytał.

– Bo to on jest winien temu, co się stało.

– Nie, ty jesteś winien. Ty, bo miałeś ją chronić i zjebałeś. Ty, kurwa, i nikt inny – Igor znowu podniósł głos.

Bolec dał mu znak, żeby się uspokoił. Z góry huknęła muzyka. Igor pochylił się nad Dzikim, zawiesił dłonie nad jego twarzą i nie dotykając jej, przekrzywił głowę, jakby dobierał odpowiedni kadr.

– Chcesz okraść alfonsa, żaden problem, ale pogódź się z tym, że laskę skatowali w ciąży, bo ty ją tam zostawiłeś.

Dziki, milcząco, potwierdził skinieniem głowy. Igor stał nad nim jeszcze przez chwilę, a potem zgarnął ze stołu koktajl i pchnął przeszkłone drzwi. Założył japonki i wyszedł na drewniany taras. Bolec wskazał Dzikiemu, aby szedł za nim. Wyszli na zewnątrz i usiedli na leżakach, obok pustego koryta basenu. Do dna lepiły się zgniłe liście, miejscami zalegały kałuże zielonkawej wody. Plastikowy stolik, dwa leżaki i huśtawka ogrodowa. Każde z innego kompletu, nie pasowały do siebie. Materiał tworzący daszek huśtawki zaszedł grzybem, siedzisko było mokre. Igor usiadł na plastikowym leżaku, koktajl postawił między stopami.

– Mów, o co chodzi – powiedział, wpatrując się w Dzikiego zmęczonym, lekko otępiłym wzrokiem.

– Olaf od roku pośredniczy w transakcjach przerzutu heroiny.

– Ona ci to powiedziała?

– Widziałem, jak jego ludzie odbierali mniejsze ilości.

– Olaf nie ma ludzi.

– Ale ma kontakty. Zrobił je w więzieniu. Znał się tam z jednym Serbem. Nazywa się Radec. Mocny typ. Siedział za głowę. To z nim Olaf założył klub i prawdopodobnie dzieli się z nim częścią zysków.

– Wiesz coś o tym? – Igor zwrócił się do Bolca.

Bolec zaprzeczył prawie niedostrzegalnym ruchem głowy.

– Kto jest odbiorcą? – spytał Igor.

– Jakie to ma znaczenie? I tak dojadą za to Olafa.

– Myślisz, że zadadzą mu kilka pytań, a jak źle na nie odpowie, to go odpierdolą i wrócą do domu?

– Tylko on zna szczegóły, adres.

– Ty też będziesz je znał.

– Ja się dla nich nie liczę. Jestem tylko chłopcem na posyłki. Ostatnio wzięli mnie ze sobą, jak jechali po dziewczyny. Przy mnie płacili za towar. Myślą, że dragi wyprały mi mózg i nie rejestrują tego, co się wokół dzieje. Olaf prędzej czy później sam by mi o tym powiedział, bo do kogo niby miałbym z tym pójść. Wie, że nie mam co liczyć na twoje wsparcie, tak to bym z nim nie siedział.

Igor przejechał dłonią po wygolonej czaszce.

– Nie wiem, ja nie jestem w temacie. To wszystko wydaje mi się grubo pojebane. Macie tam swój mały świat, nagle pojawiają się narkotyki. Olaf ma swoich ludzi, którym się opłaca.

– Oni o niczym nie wiedzą. Jedyni ludzie, z którymi Olaf się liczy od samego początku, to Serbowie. W więzieniu robił co mówili, pociął dla nich chłopaka. Teraz Radec chyba wyszedł, bo zaczęły się jakieś ruchy. Dowożą dziewczyny, może chcą otworzyć drugi lokal. Poza tym Olaf jest już wrakiem, jeśli Radec wyczuł w tym zysk, będzie chciał to przejąć. Pierwsze, burdel, potem wprowadzi na rynek narkotyki.

– Nie będę zaczynał wojny z mafią, bo ktoś wyszedł z więzienia i chce przejąć klub z dziewczynami.

– Wątpię, czy to mafia – wtrącił Bolec. – Mafia nie ustawiała się z takimi zerami jak Olaf.

Igor dopił koktajl i cisnął kostki lodu na dno basenu.

– Mogą pracować dla mafii. Wozić narkotyki. To ryzykowna robota. Takie zera dobrze się do niej nadają. Nie mają zaplecza, żeby spróbować to odbić.

W ciszy, która nastąpiła, rozległo się skrzypienie huśtawki, którą Bolec wprawiał w delikatny ruch, rozparty wygodnie na siedzisku.

– Fakt jest taki, że wina i tak spadnie na ciebie – powiedział. – Będą podejrzewać jedyną grupę stąd, a nasza jest największa.

– Nie chodzi o to, kogo będą podejrzewać, bo mnie to pierdoli. Chodzi o to, że nie ma żadnej pewności, że dziewczyna mówi prawdę. Mam tam wjechać, jak ona mi powie, że jest bezpiecznie?

– Ona tam będzie – powiedział Dziki.

Igor się zainteresował.

– Mów dalej – powiedział.

– Olaf posyła kilka dziewczyn. Ci, co przyjadą, zrobią imprezę. My poczekamy aż się rozluźnią, zmiękną, wtedy Dagmara da znać.

– Wygląda na czystą robotę – stwierdził Bolec. – Jeśli dziewczyna mówi prawdę.

– Kiedy to ma być? – spytał Igor.

– Nie wiem, może na dniach. Pasuje być gotowym. Dziewczyny pewnie dostaną informację przed samym wyjazdem.

Igor myślał.

– Możesz zorganizować broń? – spytał Boleca.

– Da się zrobić.

Igor wpatrzył się w dno basenu.

– Chcę z nią porozmawiać, Dziki. Muszę ją poznać, zobaczyć, co to za dziewczyna.

– Przywiozę ją tutaj, jeśli chcesz.

– Nie. Tutaj widzimy się po raz ostatni. Zadzwoń do ciebie, jak coś ustalę, ale nic nie obiecuję. Tak czy inaczej trzymaj te wszystkie informacje dla siebie, bo nawet jeśli to zrobimy, to w kilka osób, poza grupą, więc nikt w mieście nie może o tym wiedzieć.

Dziki posłusznie skinął głową. Wstał z leżaka, w pomiętych, za dużych ciuchach, przygarbiony, jakby ta rozmowa pozbawiła go resztek sił. Był na głodzie. Dopiero gdy zamilkli, usłyszał zgrzyt własnych zębów.

– Miałeś posadzić drzewa – powiedział, rozglądając się po ogrodzie.

– Czekam na lepsze czasy – odparł Igor. Nadal siedział na leżaku i nadal spoglądał na Dzikiego, jakby nie do końca mu ufał. Uścisnęli sobie dłonie. – Wyjdź przez salon, żeby nie deptać trawnika.

Dziki przeszedł przez rozsuwane drzwi. Z góry nadal dudniła muzyka. Wiało emocjonalną pustką. Na jednej ze ścian zauważył obraz, który wisiał w domu Nazima. Rozpoznał go po poślacanej, zdobionej ramie, która okalała głowę Roberta jak aureola, gdy ten pochylał się nad żoną Nazima z kanistrem benzyny. Obraz nie pasował do tego wnętrza. Zamiast tworzyć domową atmosferę, nadawał mu wygląd sali muzealnej, w której zgromadzono wojenne łupy.

Dziki wyszedł na podjazd. Gdy zamknął za sobą drzwi, usłyszał piknięcie włączającego się alarmu. Wsiadł do samochodu i wycofał, brama znowu zaczęła się przesuwac, odsłaniając widok na pola, które dryfowały w oddali, jakby były częścią innej planety.

Gdy wrócił do mieszkania, ujrzał Baškę klęczącą w przedpokoju nad kałużą krwi. Wycisnęła szmatę do wiadra, trzymając ją między kciukiem a

palcem wskazującym, żeby nie uszkodzić świeżo zrobionych paznokci. Żując gumę, dmuchnęła na kosmyk włosów, który opadł jej na twarz. Dziki stanął nad nią. Spojrzał na uchylone drzwi do łazienki, skąd ciągnęły się krwawe zacieki.

– Co się stało? – spytał.

Baśka rozłożyła szmatę na podłodze i odczekała, aż nasiąknie krwią.

– Dagę zabrało pogotowie. Chyba poroniła – odpowiedziała i zaczęła zagarniać szmatę ciężką od nieco zgęstniałej już krwi. – Lekarz ją zbadał i powiedział, że musi się położyć do szpitala. Nie chciała. Ale jak wróciła, to nagle krew jej poszła i lała się tak, że myślałam, że się wykrwawi.

Baśka zanurzyła szmatę w wiadrze. Wstała, przeszła do łazienki, wylała wodę do kibla i zaczęła nalewać świeżej nad wanną. Dziki ominął ślady po myciu, wszedł do pokoju i przysiadł na krawędzi łóżka. Ścisnął w dłoni fragment zakrwawionej pościeli i zaczął powoli nawijać ją na siebie. Nie zdejmując butów, położył się, wdychając metaliczny zapach krwi. Baśka zakręciła wodę, wróciła na korytarz, szmata znowu piasnęła o podłogę.

– Zalała całe mieszkanie – powiedziała. – Patrz, jaki, kurwa, syf.

## 21

Wjechał na szpitalny parking. Niedziela, popołudnie, pełno samochodów, rodziny odwiedzające pacjentów. Skasował bilet, zaparkował w dalszej części, żeby ktoś nie wyprowadził go z równowagi, blokując miejsce, i ruszył w stronę betonowego kolosa, wysokiego na kilkanaście pięter. Zadanie zaczęło go przerastać, gdy tylko rozsunęły się przed nim automatyczne drzwi i znalazł się na głównym korytarzu. Ludzie tłoczący się przy okienku do rejestracji, szmery rozmów, zapach leków. Teraz zaczął się pocić na poważnie. Próbował zachować spokój, ale wewnątrz chodził jak ćpun na głodzie, narastał w nim paniczny strach, że zaraz się rozsypie w tłumie nieznanymi ludźmi.

Kolejka szła w żółtym tempie. Każdy miał jakiś problem. Dziki zarezerwował sobie miejsce i ruszył do automatu z napojami. Wsypał drobne, wypił duszkiem puszkę coli. Stał przed tablicą informacyjną i zaczął studiować rozkład oddziałów. Ta umysłowa łamigłówka zaczęła go nieco uspokajać. Chirurgia, siódme piętro. Jak była krew, musieli ją zszywać. Wsiadł do windy z kilkoma pacjentami i przykleił się do ściany. Gdy winda ruszyła, żołądek podszedł mu do gardła. Zauważył, że jedna z kobiet nieznacznie się od niego odsuwa. Być może zauważyła niedomyte plamy krwi na rękawach bluzy. Zatrzymali się na piątym piętrze. Dziki wysiadł i ruszył schodami, przeskakując po dwa stopnie, aż dostał zadyszki. Gdy znalazł się na oddziale, przez kilka minut błędził po korytarzu, zaglądając do sal i szybko cofając głowę, gdy ktoś zwrócił na niego uwagę. Zaczepił pielęgniarkę.

- Szukam mojej dziewczyny. Dagmara Woronin. Poroniła dziecko.
- Proszę zgłosić się do dyżurki.

Wyjaśniła mu, jak tam dojść. Dziki kiwał głową, udając, że zapamiętuje, ale rozumiał tylko gesty, słowa docierały do niego pojedynczymi sylabami,

które nabierały głośności i cichły, jak dźwiękowy stroboskop. W dyżurce powiedzieli mu, że musi poczekać na lekarza. Usiadł na plastikowym krześle, mieląc gorzką ślinę i pocierając dłońmi o spodnie, jak w jakimś rytuale, który miał go uchronić przed zaśnięciem. Po kilku minutach pojawił się lekarz. Szedł lekko rozkołysanym krokiem, ze zwieszoną nisko głową. Choć widział Dzikiego już z oddali, podniósł wzrok dopiero w momencie, gdy zatrzymał się przed nim, jakby liczył na to, iż pierwsze wrażenie pozwoli mu go lepiej rozszyfrować.

– Dagmara Woronin to pańska dziewczyna? – spytał.

Dziki uniósł na wpół przymknięte oczy. Namierzył lekarski fartuch, młodą, niedogoloną twarz, obrączkę na palcu.

– No. – Kiwnął głową i wyprostował się na krześle.

– Wyjaśni mi pan, co się jej stało?

– Miała wypadek.

– Tak panu powiedziała?

– Nie musiała mi mówić, bo przy tym byłem.

– I pozwolił pan na to?

Dziki zastanowił się nad jego pytaniem. Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili, lecz zatrzymał ją dla siebie.

– Dagmara jest prostytutką – powiedział.

Lekarz spojrział na niego, jakby nie do końca coś rozumiał. Dziki wzruszył bezmyślnie ramionami.

– Nie obronię jej przed całym światem.

Lekarz był chyba zbyt zmęczony, żeby ciągnąć tę dyskusję. Miał za sobą długi dyżur, na koniec przywieźli mu Dagmarę i musiał się babrać w jej krwi. Ciekawe, czy on ją badał, zaglądał tam do środka. Czy to on wyciągnął z jej brzucha martwe dziecko. Może nawet współczuł Dzikiemu, choć ten nie mógł się w tym rozeznaczyć, miał już dosyć tego oskarżycielskiego spojrzenia i



najchętniej zmasakrowałby mu twarz, ale to był jego teren, cywilizacja, jak nazywał to Olaf, tutaj liczyło się ich prawo, i to prawo mogło go teraz dopaść, więc musiał być ostrożny.

– Proszę za mną – powiedział lekarz i zaprowadził go na salę.

Dagmara leżała na jednym ze środkowych łóżek. Miała rozpuszczone włosy, pozbawiona makijażu twarz zrobiła się płaska i wyprana z emocji. Gdy Dziki stanął przy łóżku, przeniosła na niego zamyślony wzrok. Zdawała się być skoncentrowana, ponad to skatowane ciało. Lekarz stanął za plecami Dzikiego, próbując wy badać jej reakcję na jego pojawienie się. Dagmara ujęła dłoń Dzikiego i przyciągnęła ją do siebie.

– Powiniennem zawiadomić policję – powiedział lekarz.

– Nie ma takiej potrzeby. – Dagmara pokręciła głową. Mówiła cicho, jej usta ledwo się poruszały.

– Nie rozumiem.

Dagmara puściła mu przymilny uśmiech.

– Czasami za to mi płacą. Niektórych ponosi i wtedy dochodzi do takich sytuacji. – Uśmiech przeszedł w gorzki wyraz udawanej sympatii. – To był wypadek, doktorze.

Lekarz spojrział na ich zakleszczone w uścisku dłonie, starając się odnaleźć w tym jakiś dowód na to, że dziewczyna mówi prawdę. Gdy tylko zostawił ich samych, Dagmara puściła dłoń Dzikiego i wysunęła spod pościeli nagie kolano. Odgarnęła włosy. Była blada, odwodniona, musiała stracić dużo krwi.

– Rozmawiałeś z Igorem? – spytała.

Dziki zmarszczył czoło, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał, a potem odwrócił wzrok i się rozplakał, choć bardziej przypominało to atak kaszlu.

– Patrz na mnie – syknęła Dagmara przez zaciśnięte zęby.

Nie był w stanie. Przepęłniał go wstyd. Chciał przed nią uklęknąć. Wreszcie spojrział. Po raz pierwszy wyglądała na swoje dwadzieścia trzy lata. Bił od niej chłód. Rzeczywiście coś w niej pękło. Teraz zacznie się szybko starzeć.

– Dziki – powtórzyła.

Przetarł oczy rękawem bluzy i skinął głową.

– Zrobią to – powiedział.

Uciekła wzrokiem, jakby sama chciała uporać się z tą wiadomością. Dziki zacisnął powieki, teraz zły na siebie, że się rozkleił.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Lepiej – odpowiedziała. – To dziecko. Nie było nam potrzebne. Nie teraz. – Przygryzła paznokiec i spojrzała na niego. – Nie mówmy już o tym.

Dziki stał przy łóżku, wyprostowany, z rękami w kieszeniach bluzy, nadal próbując odgrywać rolę jej opiekuna.

– On będzie chciał się z tobą spotkać – powiedział i odchylił nieco głowę. Mięśnie szyi mu się napięły, bo starał się mówić opanowanym głosem.

– Powinni mnie dzisiaj wypuścić.

– I co zrobisz?

– Spotkam się z nim.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Powiedziałeś, że się zgodził.

– Ale nie powiedziałem, za jaką cenę.

– To jest kwestia do ustalenia.

– No właśnie nie jest. Z nimi nigdy nie da się ustalić tej jednej rzeczy, co będzie, jak sprawy wymkną się spod kontroli. Oni mają na to tylko jedną odpowiedź.

– Nie znasz mnie – odpowiedziała. – Nie wiesz, z jakimi ludźmi miałam do czynienia, zanim tutaj przyjechałam. Wiem, jak się zachować, kiedy sprawy wymkną się spod kontroli, choć mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Jej opanowanie zaczynało go drażnić.

– W tym mieszkaniu nie krzyczałaś, po prostu wyszłaś, jak z tobą skończyli. To nazywasz radzeniem sobie?

– Liczy się tylko przetrwanie, Dziki. Za wszelką cenę. I to właśnie robimy. Próbujemy przetrwać.

Znowu na moment przebudziła się w niej ta głęboko skrywana drapieżność i Dziki miał wrażenie, że patrzy na całkowicie inną osobę, zaszczute zwierzątko, które każdemu chce rzucić się do gardła. Spuścił wzrok i przysiadł na krawędzi łóżka.

– Łukasz widział, w jakim jestem stanie, jak mnie tam posyłał. Obaj chcieli mnie ośmieszyć. Udowodnić, że na ciebie nie zasługuję.

– Powiedziałaś Olafowi, że jestem w ciąży? – spytała.

Skinął głową.

– Powiedziałaś?

– Tak.

– No to masz odpowiedź. Znalazł ryzykownego klienta i pozbył się problemu, a ty straciłaś całą reputację, na którą tak ciężko pracowałaś. Kto w tym mieście powierzy ci jakieś poważne zadanie, skoro nie potrafisz zadbać o parę dziwek.

Siedział ze spuszczoną głową. Powoli uodparniał się na jej słowa. Kawałek po kawałku odbudowywał swój pancerz.

– Rozumiem, że skoro chcesz tam pojechać, musisz do niego wrócić – powiedział.

– Ty też powinieneś to zrobić. Powiesz mu, że poroniłam i że z nami już koniec, bo ja nadal nie chcę zrezygnować z pracy dla niego. Nie możemy

dopuścić do tego, żeby zaczął coś podejrzewać. Nadal musisz być jego złotym chłopcem.

Potrząsnął głową, próbując doszukać się jakiegoś sensu w tym wyrażeniu.

– A skąd w ogóle masz pewność, że pośle cię tam z resztą dziewczyn? Pójdiesz do niego i powiesz, że masz ochotę na więcej? Z takim bagnem między nogami?

Złączyła kolana pod pościelą i podwinęła je ku sobie. Spowolnione ruchy, lekko przepraszający ton, może wyuczony na takie okazje, gdy udawała, że jest słaba, choć Dziki wyczuwał, że jest na odwrót. Mówiła o tym wszystkim z zimną precyzją, jakby nie istniało dla niej żadne ryzyko, jakby plan powstał już dawno temu, a teraz pojawiła się tylko odpowiednia okazja, żeby go zrealizować.

– Ogarnij sprawy z Igorem, mi zostaw Olafa – powiedziała dziwnie nieobecny głosem, wplatając w to krótkie uśmiechy, którymi starała się go przekonać, że nad wszystkim panuje. – Jego można ustawić o wiele łatwiej, a jeśli Igor przejmie dostawę, nie będziemy już od niego zależni. – Chyba nie czuła się dobrze z obciętymi, krótkimi paznokciami, bo zacisnęła palce w pięści, sprawdzając na skórze wytrzymałość tego, co tam zostało. Skupiła wzrok na Dzikim, choć zdawała się nim obejmować coś, co wykraczało poza tę salę. – A ja nie mam zamiaru być już zależna od nikogo.

Dziki przysunął się do niej. Jego dłoń zacisnęła się na jej odkształconym w pościeli udzie. Powędrowała wyżej, nakreślając jego kształt. Potem uniósł ramiona, otoczył ją nimi, jakby chciał zbadać jej wymiary, stopień kruchości, zanim łąpczywie do niej przylgnął.

## 22

Na drugi dzień spotkał na siłowni Tymona. Spytał, co z Kają. Miała złamaną rękę, choć na resztę z cięciem i wiązaniem się zgodziła, zapłacili jej dodatkowy hajs, na kokainie nawet w szczaniu po niej i lizaniu dupy odnalazła jakąś przyjemność, chociaż złamana ręka ją bolała, czuła, jak po niej deptali, za duży nacisk siły w jednym punkcie, gdy próbowała się podnieść. Olaf pochucha, przejdzie. Miesiąc unieruchomienia albo dłużej. Musi o siebie dbać, żeby się nie spała, bo wyleci na ulicę. Czy na mieście już wiedzą? Nikogo to nie interesuje. Klient zapłacił, Kaja przyniosła w majtkach małą fortunę, wszystkie szkody wynagrodzone podwójnie. Dziwki znowu były górą. Tymon powiedział, że on i Morfina tam pojechali, Olaf się sprzeciwiał, ale dziewczyny co ją myły, kazały im tam jechać i stłuc im jajca na miazgę, pod amputację. Wzięli metalowe rury, nawet kamerę, żeby to nagrać, ale jak dojechali na miejsce, nikogo już nie było.

Poszli razem na saunę, Dziki zaczął snuć swoją bajkę. Dagmara go zostawiła, albo on ją, oboje nie wiedzieli, po czymś takim nawet największa miłość może się wypalić, choć on tam wrócił, Tymon znał całą historię, tamci mieli gnaty, nie wiadomo skąd, cały arsenał, Baśka powiedziała, że dobrze wykonał swoją robotę, Olaf chciał go z powrotem, pierwsza część misji zaliczona. Dziki pograżał się w oparach, patrzył na rozłożone wokół niego, opuchnięte od sterydów, lśniące, wygolone brzuchy i snuł wizję własnego tryumfu.

Cztery dni bez amfy. Znowu zaczął jeść i pić, spuchł nieco na twarzy, nabierał masy, choć teraz bardziej wylękniony, bo to gówno mu dawało, i tak łapały go lęki, Igor nie dzwonił, na osiedlu każdy go unikał, a on zaszył się w mieszkaniu i czekał, kłując się sterydami, rosnąc, dojrzewając.

Dagmara znowu zaczęła tańczyć w klubie, samoopalacz, włosy na twarz i zero śladów spadku formy. Nowe dziewczyny podobno przećpane, niektóre chore, żółtaczką wszczepienną, grzybica, Ola odesłała dwie do domu. W

mieszkańcu Olafa zrobiła się melina, bo ma kasę na towar i bierze większe dawki, tak że leje pod siebie. Żadnych informacji o transakcji, czekanie, gnicie w czterech ścianach.

Piątego dnia Igor wreszcie zadzwonił. Musiał domknąć kilka spraw, zrobić rozeznanie i wygląda na to, że w to wejda, dopiero teraz mówił to na poważnie. Powiedział, żeby spotkali się na stacji benzynowej Shella przy autostradzie na Katowice. Najlepiej teraz, on już tam jedzie. Dziki ściągnął Dagmarę z miasta, robiła zakupy za resztę ich wspólnej kasy, kupiła mu ciuchy, coś, w czym miał wyglądać modnie, wąskie spodnie, obcisły sweter, dostał wysypki od szorstkiego materiału albo jego świeżości, ale założył, żeby lepiej wpasować się w nową rolę. Daga zrobiła mocny makijaż, żeby ukryć siniaki na twarzy i szyi, ale do tego założyła proste džinsy i luźną bluzkę, skromnie, bez fragmentu nagiego ciała, upięła włosy, mogła tak iść na studia, zostać lekarzem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz wychodzili gdzieś razem w dzień, mijając tych wszystkich ludzi, nad którymi sprawowali władzę w nocy. To było dla niego tak rzadkie i niespotykane uczucie, że wisiała nad nim jakaś groźba. Gdy wyjechali za miasto, Dagmara otworzyła szybę. Dziki przyspieszył, wiatr zaczął rozwiewać jej włosy. Nie włączył muzyki, słuchał tego szumu, jak dudni mu w uszach, oznaka tempa, progresu.

Pół godziny później zjechali na stację. Duży parking dla tirów, nieobjęty zasięgiem kamer. Za głównym budynkiem ciągnął się parterowy motel, niewidoczny z autostrady. Dziki zatrzymał się, rozejrzał. Byli piętnaście minut przed czasem. Weszli do środka, zamówił dwie kawy. Usiedli na drewnianych hokerach przy szybie, obserwując nadjeżdżające samochody. Dagmara zdjęła z półki kilka pism i kartkowała je, nie zwracając uwagi na treść. Po dwudziestu minutach na parking wjechał range rover Igora. Zatrzymali się za samochodem Dzikiego i zgasili silnik. Dziki i Dagmara wyszli na zewnątrz, trzymając się za ręce. Igor wysiadł z rovera, z drugiej strony wysiadł Tabak i skinął na Dzikiego głową, jakby po wspólnej akcji w domu Nazima łączyła ich jakaś tajemna nić porozumienia. Dagmara wyciągnęła dłoń w stronę Igora.

– Cześć, jestem Dagmara.

– Igor.

Dziki od razu zauważył, że mu się spodobała. Długo ścisnął jej dłoń. Potem wskazał dwoma palcami swoje oczy, dając jej do zrozumienia, czym się zachwyca. Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Idź po klucz do kibla – powiedział do Tabaka i nie puszczał jej dłoni, zaczął ją ciągnąć na tyły stacji.

Dagmara odwróciła się i spojrzała na Dzikiego, ten jednak nerwowym skinieniem głowy dał jej znać, żeby robiła, co jej każą.

Tabak wrócił z kluczem, otworzył drzwi do kibla i wpuścił Igora z Dagmarą. Dziki wszedł na końcu, Tabak został na zewnątrz. Znudzony zapalił papierosa – rutynowe działanie przy każdym spotkaniu. Toaleta miała kabinę, pisuar i lustro nad zlewem. Świetlówka jarzyła się zielonkawą poświatą, wyciągając kontury z ich mocno napiętych twarzy. Tabak zamknął za Dzikim drzwi. Dagmara stanęła przy umywalce, plecami jak najbliżej ściany.

– Rozbieraj się – powiedział Igor.

Spojrzała na Dzikiego, ten jednak zdawał się być kompletnie uległy wobec brata. Zdjęła bluzkę i zaczęła rozpinąć guziki dżinsów. Przy ostatnim jej palce zaczęły delikatnie drżeć, oddech nieco przyspieszył. Z pochyloną głową, zsunęła powoli spodnie, odsłaniając krwistoczerwone krwiaki po wewnętrznej stronie ud. Zdjęła adidas i stanęła boso na lepkiej od brudu posadzce. Po chwili miała już tylko na sobie majtki i stanik, w blad różowym kolorze, i choć nie była naga do końca, skrzyżowała uda i złożyła ramiona na piersiach, jakby czuła się stworzeniem jakiejś gorszej kategorii.

– Do gołej pizdy – nakazał Igor i sięgnął po zawieszony na krawędzi umywalki ubrania. Przeszukał dokładnie kieszenie dżinsów, potem wywrócił je na drugą stronę i obmacał materiał bluzki.

Dagmara wygięła ramiona, by odpiąć stanik. Wykrzywiła usta, próbując znaleźć ujście w przepelniającym ją bólu, który promieniował z naderwanych

ścięgien w prawym barku. Dziki poruszył się, ale wyciągnęła dłoń, nakazując mu, aby się nie zbliżał. Zdjęła stanik i podała go Igorowi. Ten zmiął w dłoniach miseczki i zaczął przyglądać się, jak Dagmara ściąga majtki. Dziki odwrócił wzrok. Na lewym udzie skaleczenia sięgały aż do pachwiny. Z majtek wypadła zabrudzona krwią wkładka. Zacisnęła je w dłoni i wyprostowała się.

– Podnieś rękę.

Wysłuchiwała go.

– Odwróć się.

Wciągnął jej zapach, wsunął rękę w jej włosy. Poczula, że przebiera palcami po jej skórze. Potem odsunął się i ponownie zlustrował każdy ślad, jaki na niej zostawili. Wyjął telefon, kazał się jej odwrócić w swoją stronę i manewrując jej podbródkiem, ustawił jej twarz do światła. Skadrował, złapał ostrość i zrobił zdjęcie. Potem podał Dzikiemu jej ubrania i wyszedł na zewnątrz. Dagmara stanęła przed lustrem, puściła wodę z kranu i obmyła twarz. Gdy wyszli na parking, Igor stał przed swoim roverem. Otworzył drzwi i wskazał Dagmarze miejsce na tylnych siedzeniach.

– Wsiadaj – powiedział.

Wsiadła.

– Daj mi kluczyki – powiedział do Dzikiego.

Dziki podał mu kluczyki, a ten przekazał je Tabakowi. Igor siadł na tylnym siedzeniu obok Dagmary.

– Poprowadzisz – powiedział do Dzikiego.

Dziki siadł za kierownicą. Odpalił silnik, zapiął pas.

– Gdzie mam jechać? – spytał.

– Na Katowice – odparł Igor, pisząc SMS-a.

Dziki wyjechał na autostradę. Włączył się do ruchu. Dźwięk silnika na wyższych obrotach przestawał być słyszalny. Igor skończył pisać i przez



chwilę przeglądał coś w telefonie. Potem uniósł go i pokazał Dagmarze.

– Poznajesz ich? – spytał. Przekręcił ekran w stronę Dzikiego.

Dziki obejrzał się przez ramię. Na rozedrganym ekranie zobaczył zdjęcie kolesia, który celował do niego z desert eagle'a. Rozpoznał go po tatuażu na szyi i nieśmiertelniku. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę. Ktoś trzymał go za włosy i nakazywał mu patrzeć w obiektyw. Igor przesunął palcem po ekranie. Kolejne zdjęcia ukazywały okaleczone fragmenty ciała i twarze pozostałych uczestników imprezy. Wszyscy ledwo przytomni, zmasakrowani, uchwyceni w błagalnych grymasach, a w tle napakowane łąpska, kominiarki, metalowe rurki.

– Masz u mnie dług, chłopaku – powiedział Igor i wsunął telefon do kieszeni dresu. – Oboje macie.

Ktoś z tyłu mignął światłami, zatrąbił. Dziki zjechał na prawy pas. Zwolnił.

– Jak ich znalazłeś? – spytał.

Igor pociągnął nosem. Położył lewą dłoń na kolanie i wypiął klatkę.

– Nie ja ich znalazłem, tylko moje narkotyki. – Przekrzywił głowę, jakby szukał odpowiedniego kąta, by uchwycić w Dagmarze tylko to, co prezentowała, tańcząc na rurze. Interesowała go tylko czysta seksualność, którą nadal emanowała, pomimo tego, że założyła skromne ciuchy. – Każda sprzedana ścieżka zostawia po sobie ślad. – Przeciągnął dłonią w powietrzu, pocierając o siebie opuszki palców. – A oni kupili dużo tych ścieżek.

– Skąd mieli takiego gnata?

– To żołnierze z Afganistanu. Dwóch Polaków i trzech Amerykańców. Zbunkrowali się tam i ćpali przez trzy dni. Amerykańce przeżywali jakąś traumę, podobno rozjebali wioskę pełną dzieciaków. Tak się złożyło, że ty przywiozłeś dziewczyny, a oni byli na kwasie i kompletnie im odjebało. W normalnej sytuacji miałbym na to wyjebane, ale jeśli ona ma urodzić ci dziecko...

– Poroniłam – przerwała mu Dagmara.

Igor zaniemówił. Odezwał się dopiero po chwili.

– Masz tu jakąś rodzinę?

– Nie.

– A tam, skąd cię przywieźli?

– Nie wiem. Dawno mnie tam nie było.

– Myślisz, że on się tobą zaopiekuje, jak robi się kocioł?

– Sama potrafię o siebie zadbać.

Spojrzał na nią, jakby wcale w to nie wątpił, choć budziło to w nim mocny niepokój. Ułożyła dłonie na kolanach. Umiała grać pokrzywdzone dziecko, budzić litość, ale pod tą powłoką czaiła się jakaś pierwotna drapieżność. Igor od razu to wyczuł. Instynktownie wyczuwał wszelkie przejawy dominacji.

– Dziki mówił, że jeździłaś już na te spotkania.

– Byłam dwa razy.

– Za każdym razem przywozili narkotyki?

– Wtedy jeszcze wozili dziewczyny. Czasami broń.

– Jak to wyglądało?

– Wynajmowali dom na uboczu, w jakiejś wsi przy wschodniej granicy. Robili wymianę, a potem imprezę.

– Jak będą narkotyki, mogą być bardziej ostrożni.

– Wątpię. Myślą, że Olaf zapewnia im bezpieczeństwo. Poza tym to nie są duże ilości.

– Od kiedy Olaf się tym zajmuje?

– Mówisz o narkotykach? Nie wiem. Ale myślę, że dopiero zaczyna. Być może robi grunt pod Serbów.

– Serbska mafia.

– Chłopcy na posyłki i kilka dziwek.

Igor spojrział przez szybę. Zastanawiał się przez chwilę, pocierając usta zgiętym kciukiem.

– Dobra, przyjmijmy, że tam wjedziemy, zrobi się rzeź i padnie kilka głów, bo jest taka możliwość. Jeśli pójdzie po waszej myśli, za wszystko odpokutuje Olaf. Poradzicie sobie z tym?

Dziki próbował wyłapać w lusterku jej spojrzenie, ale ona skupiła je na Igorze.

– Chcecie go upierdolić? Nie widzę w tym problemu. Ale ja jestem tu tylko cynglem, krew jest na waszych rękach.

– To proste zadanie – powiedziała. – Nikt nie musi zginąć, jak zrobisz to precyzyjnie.

– Precyzyjnie to można kogoś zszyć, a nie rozjechać. On zatrzyma samochód, ja wysiądę i zostaniecie sami. I tak będzie dalej. Duch opiekun zniknie. Jeden i drugi. Pusta droga. – Igor wskazał przed siebie. – Pościg. – Odwrócił palec w kierunku tylnej szyby, a następnie skierował go ku dołowi. – Klatka – dokończył. – I coraz mniej powietrza w środku.

Przez chwilę jechali w ciszy. Dziki starał się trzymać stałą prędkość, nadal nieoswojony z luksusowym wnętrzem samochodu.

– Zatrzymaj się tu – powiedział Igor.

Dziki spojrział w lusterko, włączył kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Tuż za nim zatrzymał się Tabak jego seatem. Dziki wysiadł z rovera. Wiał mocny wiatr. Tabak oddał mu kluczyki i siadł za kierownicą rovera. Dagmara przysiadła na rozgrzanej masce seata. Obok z hukiem przejeżdżały samochody. Tylne szyby w roverze opadły, Igor przywołał Dzikiego skinieniem głowy.

– Teraz się nie wychylaj. Skończ z dilowaniem sterydami, żeby Olaf wiedział, że nie robisz ze mną żadnych interesów.

- Zostało mi tego trochę.
- Zanieś Bolcowi na sekcję.
- OK.
- Zaczniemy już przygotowania. Jak tylko ustalą termin, będziemy gotowi.

Szyba zaczęła się unosić. Dziki postukał w nią palcem.

– Igor.

Szyba zatrzymała się na wysokości jego oczu.

– Jutro są urodziny matki.

Igor domknął szybę, dał znak Bolcowi, żeby ruszał, i wyjechali na autostradę. Dziki wolnym krokiem wrócił do Dagmary, która nadal stała oparta o maskę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Silny wiatr targał jej włosami, a ona wpatrywała się w drogę, po której mknęły rozpędzone samochody.

## 23

Na sali właśnie kończył się trening dorosłych, zaraz miała wchodzić grupa dziecięca. Kilkunastu chłopów sparowało w stójce na mokrej od potu macie. Ostatnie ciosy, wyprowadzane resztką sił. Okrzyki Bolca, który wręcz siniał z zachwytu nad ich formą. Stłumione jęknięcia, przyspieszone oddechy, suche odgłosy uderzeń.

Na ławkach siedziało dwóch dilerów. Ci byli chudzi, ale dziani, pachnieli, jakby co dopiero wyszli spod prysznic. Dziki przywitał się z nimi. Bolec skinieniem głowy dał mu znać, żeby zaczekał. Dziki usiadł na ławce w ostatnim rzędzie. Po minucie Bolec gwizdnął, ogłaszając koniec treningu. Wszyscy ruszyli do szatni. Dziki większość z nich kojarzył. Nowa ekipa Igora. Mocni chuligani do ulicznych zadań, niebawem puszczą ich w świat. Tutaj Bolec ich ustawiał, uczył samokontroli, opanowania, techniki. Igor dbał o swoją prywatną armię.

Bolec miał na sobie spodenki i bezrękawnik ze spandexu. Dłonie owinięte bandażami bokserskimi. Pot lał się z niego strumieniami. Wytarł się ręcznikiem i wskazał wzrokiem torbę.

- Co to jest? – spytał.
- Sterydy. Igor kazał przynieść to, co zostało.
- Dużo tego jest?
- Dużo hormonu wzrostu, bo Igor rzucił za dużą cenę.

Bolec wytarł twarz, odrzucił ręcznik i sięgnął po bidon z odżywką. Wziął kilka łyków i podał mu kluczyk.

- Schowaj to do mojej szafki.

Dziki wziął od niego kluczyk i ruszył w kierunku szatni.

- Potrenujesz? – zawołał za nim Bolec.

- Nie, jestem rozjebany.
- Włóż na matę, masz przecież rzeczy.
- No mam.
- No to chodź, poboksujesz. Sprawdzimy twoją formę.

Dziki uniósł ramię na znak, że się zgadza. Wszedł do szatni. Ciasnota. Dudnienie ciężkich oddechów. Unoszące się klaty, które swą pojemnością wysysały niemal cały tlen. Zasapani koleś ścigali z siebie elementy treningowego pancerza, rękawice, ochraniacze na golenie. Część stała nago w kolejce pod prysznic. Dziki odnalazł szafkę Bolca, otworzył ją i wcisnął w nią torbę.

Szatnia męska była podzielona na dwie części. W dalszej, nieco węższej, gdzie nie było półek tylko wieszaki, przebierała się grupa dziecięca. Chłopcy w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Wyjmowali z plecaków rękawice bokserskie, niezdarnie zakładali owijki. Dziki podszedł do swojej szafki, otworzył ją i zaczął wyciągać treningowe ciuchy. Były pomięte i śmierdziały zwietrzałym potem, bo po ostatnim treningu wsadził je tutaj mokre. Wnętrze rękawic też było wilgotne, za to owijki suche. Zdjął ubranie, założył spodenki i koszulkę. Odkąd lepiej się nawadniał, mięśnie nieco spuchły. Gdy zacisnął pięści, na przedramionach wystąpiły żyły. Chłopaki z poprzedniego treningu szybko opuszczali szatnię, zostało tylko kilku, każdy skupiony na uważnym pakowaniu swoich rzeczy, jakby niezbyt jeszcze kontaktowali po ciosach przyjętych na głowę.

Dziki zamknął szafkę. Obok niego przeszło kilku chłopców z dziecięcej grupy. Mieli łyse głowy, gadali szybko w ulicznym slangu, pomimo młodego wieku ich mięśnie były dobrze wyrzeźbione, twarze czujne, znali się ze starszymi, na Dzikiego natomiast patrzyli z rezerwą. Dziki spojrzał na jednego z tych, którzy zostali w szatni. Chyba zamierzał wyjść jako ostatni albo w ogóle nie chciał się stąd ruszać. Zakładał ochraniacz na piszczel, nieco za duży, mocno poluzowany na chudych nogach. Dziki od razu go rozpoznał. Po gęstych, czarnych włosach. Wylęknionym spojrzeniu. Dzieciak, któremu

przystawił nóż do gardła. Dzieciak, który patrzył, jak polewają jego matkę benzyną.

Dwaj inni chłopcy stanęli przed nim, zasłaniając Dzikemu widok. Jeden z nich, nieco starszy, pochylił się nad synem Nazima, chwycił go za gardło i przydusił, wciskając mu głowę w ścianę. Syn Nazima się nie bronił, kumpel tego, co go dusił, odciągnął go od niego i wyszli z szatni. Gdy zauważyli, że Dzik obserwował całą sytuację, ten starszy rzucił mu zaczepne spojrzenie. Dzik spuścił wzrok. Udał, że przeszukuje szafkę. Gdy tamtych dwóch wyszło, syn Nazima zabrał się za dopinanie ochraniaczy. Miał łzy w oczach, ale udało mu się przybrać bojowy grymas. Wciągnął kilka razy powietrze i ruszył na salę. Minał Dzikiego ze spuszczoną głową. Dzik ukrył twarz za drzwiczkami szafki, choć niemożliwe było, żeby chłopiec go rozpoznał. Miał wtedy na sobie kominiarkę, nie powiedział ani słowa. Ruszył za nim na salę. Bolec prowadził rozgrzewkę. Jego podopieczni biegali dookoła maty, robili przysiady, przewroty, potem zaczęły się interwały na skakankach. Dzik stanął przy worku treningowym, zrobił krótką walkę z cieniem i zaczął boksować. Z początku wyprowadzał każdy cios precyzyjnie, z dobrej odległości, unosząc pięty, z czasem jednak zaczął uderzać z coraz większą mocą, pod różnymi kątami, rękawice się ześlizgiwały i czuł ból w łokciach i nadgarstkach, ale pomimo to wkładał w każdy cios całą siłę.

Bolec rozstawił chłopców w parach po macie i zaczął pokazywać technikę. Gdy wyjaśniał szczegóły, Dzik przestał boksować, żeby złapać oddech. Bolec tłumaczył prawidłowe wykonanie niskiego kopnięcia na udo. Zasłonić barkiem szczękę, skrócić biodra, unieść kolano, kopać nieco z góry, by cały ciężar spłynął w dół, zgodnie z prawem grawitacji. Chłopcy wrócili do swoich partnerów i zaczęli ćwiczyć. Dzik rozpoczął drugą rundę na worku, kątem oka przez cały czas obserwując syna Nazima. Chłopak niezbyt sobie radził. Miał wątły kościec, chude nogi, problemy z koordynacją. Choć bardzo się starał, kopnięcia były nieporadne, noga zbyt szybko opadała, nie celowała w punkt, tracił równowagę. Któryś z chłopców podbiegł do Bolca i zaczął mu coś szeptać na ucho. Bolec słuchał z uwagą, powoli przenosząc wzrok na syna Nazima, który z wyrazem bólu na twarzy przyjmował

kopnięcia od swojego sparing partnera.

– Stop! – zawołał Bolec.

Chłopak, który szeptał mu na ucho, stanął z boku i uśmiechał się do znajomych. Reszta przerwała trening. Dziki nadal zadawał pojedyncze ciosy, nie zorientowawszy się, że na sali zapanowała cisza. Bolec wyszedł na środek maty i przywołał syna Nazima. Chłopak stanął przed nim, otarł rękawicą pot z czoła. Bolec przyjął pozycję, uniósł ręce do gardy.

– Kopnij – powiedział, wskazując swoje udo.

Chłopak zdawał się być zdezorientowany. Potoczył zaszczutym wzrokiem po zbierającej się wokół niego grupie.

– No, kopnij – powtórzył Bolec, zwieszając nisko głowę na przerośniętych mięśniach karku.

Syn Nazima wziął zamach i wyprowadził niezdarne kopnięcie. Dziki przestał boksować. Opuścił spompowane ramiona. Krew huczała mu w skroniach. Bolec cmoknął i pokiwał głową.

– Źle – oznajmił z rezygnacją. Poprawił pozycję chłopca.

Syn Nazima rozstawił szerzej nogi, przytulił rękawice do szczęki. Bolec znowu stanął naprzeciwko niego. Zmierzył go wzrokiem, chłopak był tak skupiony, by utrzymać ustanowioną przez niego pozycję, że prawie nie oddychał.

– Musisz kopać z biodra, inaczej nic z tego nie będzie, o, tak – powiedział Bolec i wyprowadził kopnięcie. Szybko, precyzyjnie, w zewnętrzną stronę uda, tuż nad kolaniem. Rozległo się głośne plaśnięcie, gdy stopa przykleiła się do mięśnia z taką siłą, że chłopak niemal wystrzelił w powietrze.

Cofnęło go o jakieś dwa metry, upadł na matę. Instynktownie zawinął nogi pod siebie, bólu jeszcze nie poczuł, bo działała adrenalina.

– Wstawaj – powiedział Bolec. – No, wstawaj. – Wyciągnął rękę w jego stronę.



Chłopak zasłonił się, spodziewając się kolejnego ciosu, Bolec jednak znowu grał rolę dobrego opiekuna, jakby to, co się przed chwilą stało, rozegrało się tylko w jego wyobraźni.

– Wstaniesz, czy mam cię postawić?

Syn Nazima dźwignął się do pionu, wspierając się dłońmi o matę i przekładając ciężar ciała na lewą nogę.

– Teraz ty – powiedział Bolec, unosząc ręce do gardy. – Kop.

Syn Nazima ledwo stał, nogi mu drżały.

– Kop – powtórzył Bolec, napinając uda.

Chłopak wziął zamach, lecz w połowie lotu jego noga jakby uwiędła, stając się miękkim, bezwładnym, pozbawionym kości kawałkiem mięsa, który tylko musnął udo Bolca, i niemal od razu się cofnął. Piszczel odbiła się od twardego mięśnia, chłopak jęknął z bólu.

– Salim, czy ty mnie słuchasz? – spytał Bolec.

Syn Nazima posłusznie skinął głową, choć zdawał się nie rozumieć pytania, przeczesując wzrokiem mały kawałek przestrzeni wokół siebie, by w porę zareagować na kolejny cios. Jego zachowanie rozbawiło otaczających go chłopców, kilku wybuchnęło śmiechem.

– Nie, wcale mnie nie słuchasz. Gdybyś mnie słuchał, kopałbyś poprawnie. Jeszcze raz. Połóż płasko stopę, potem unieś kolano i przekręcając biodra, kopnij z góry, pod kątem. Jak ścinasz wystający z ziemi badył, tniesz z góry, pod kątem i tak właśnie musisz kopnąć. Chcę mieć tutaj wielkiego krwiaka, nie wyjdiesz stąd, dopóki mi go nie zrobisz.

Salim trzymał gardę, lecz ramiona miał wiotkie, rękawice skierowane do wewnątrz, tułów sztywny, prosty, jak bokser na starych rysunkach. Nastąpiła cisza, bo jeśli Bolec znowu miał zamiar kopać, zaraz z pewnością usłyszą trzask pękającej kości.

Bolec dał mu chwilę czasu na przetrwanie jego słów, jakby bardzo mu zależało, aby chłopak prawidłowo wykonał zadanie. Jego muskularne udo

pęczniało pod wpływem ciężaru, gdy przenosił go z przodu na tył, pracując nad odpowiednim balansem. Salim skupił wzrok na celu, choć ból w prawej nodze promieniował z coraz większą mocą. Bolec pochylił głowę, wyłapał jego spojrzenie, brwi ścięły się pod powałą masywnego czoła. Salim wziął zamach i wydając z siebie krótki krzyk, oderwał lewą stopę od maty, lecz ból w prawym udzie znowu go sparaliżował. Poczul tylko, jak stopa dosięga celu i odbija się bezwładnie od czegoś, co teraz przypominało pofałdowane, sztuczne tworzywo, stabilną fortecę, której nie dało się rozbić, a potem iskry bólu znowu rozprysły mu się przed oczami i chyba na chwilę stracił przytomność, gdy Bolec kopnął go z całej siły w to samo miejsce.

Salim upadł na podłogę i zawył, zasłaniając nogę rękami. Dziki chciał zareagować, ale wiedział, że nie może. Jeśli Bolec właśnie dowiedział się, że Salim to syn Nazima, chłopak był skończony. Igor wszędzie miał na mieście swoje czujki, chuligani węszyli dla niego, znaleźli chłopca i ściągnęli go do klubu. Z drugiej strony Bolec musiał wiedzieć o akcji w domu Nazima, wiedział, że Dziki tam był, i od razu spytałby, czy go rozpoznaje, a jednak tego nie zrobił.

– Wstawaj – wysapał Bolec. Przebiegł wzrokiem po swojej młodocianej armii. – Chłopak ma chyba problem z podniesieniem się! – zawołał. – Chcecie mu pomóc?

Salim zaczął cicho kwilić. Żaden z chłopaków się nie poruszył.

– Wstawaj! – wrzasnął Bolec, pochylając się nad Salimem.

Salim podniósł się na zdrową nogę i zaczął kuśtykać w stronę szatni.

– Brawa za odwagę! – Bolec klasnął w dłonie. – Brawa! – ponaglił wpatrujących się w niego z szacunkiem chłopców, a ci zaczęli zdejmować rękawice i klaskać razem z nim. – Wracamy do roboty – powiedział Bolec. – Szybciej, szybciej.

Chłopcy rozproszyli się po sali.

Dziki zrobił jeszcze jedną rundę na worku. W ostatniej minucie Bolec podszedł, stanął z drugiej strony i przytrzymał mu worek, motywując go do

uruchomienia głębszych pokładów agresji. Minutnik zaczął pikać, Dziki skończył, odpiął zębami rzep w lewej rękawicy.

– Chcesz potarczować? – spytał Bolec.

– Nie, na dzisiaj wystarczy.

– Znasz tego gnoja?

Dziki pokręcił głową.

– Nie.

– Wiślacka wtyka. Chuj wie skąd.

– Był tu pierwszy raz?

– No co ty. Chodził od miesiąca. Musiał wiedzieć, że to sekcja Cracovii, chyba że nie jest z miasta.

– To skąd wiesz, że biega dla Wisły?

– Bo nie chce biegać dla nas.

Dziki skierował się do szatni. Salim siedział na ławce i się ubierał. Szarpały nim spazmy płaczu, tym razem nie zdołał nad tym zapanować. Dziki stanął w drzwiach i zdejmując rękawice, przyglądał się przez chwilę chłopcu. Gdy zauważył, z jakim trudem ten próbuje nawlec na udo nogawkę spodni, przyklęknął i przyjrzał się krwioskowi na jego udzie.

– Może być złamana – powiedział.

Chłopiec wstydził się spojrzeć mu w oczy. Spod linii włosów opadających mu na twarz Dziki widział jego zaciśnięte usta.

– Nie jest – odpowiedział.

– Możesz chodzić?

– Nie wiem.

– Jeśli nie, to jest złamana i musisz jechać do szpitala.

Dziki ściągnął koszulkę. Salim nieznacznie uniósł wzrok i popatrzył na

jego tatuaże. Przez moment Dzikiego ogarnęła panika, że chłopiec go rozpoznał. Może gdy zamykał mu usta, rękaw bluzy się podwinął i tatuaż, który kończył się na nadgarstku, stał się widoczny, on jednak tylko patrzył z ciekawością i lekkim zdumieniem, jakby rzadko ktoś okazywał mu jakąkolwiek troskę.

– Spróbuj na niej stanąć.

Salim wciągnął spodnie i podpierając się ręką o szafkę, wstał, gdy jednak dołączył prawą stopę, jego twarz wykrzywił grymas bólu, po chwili jednak udało mu się rozłożyć ciężar ciała na obie strony. Zrobił dwa kroki.

– Złamana chyba nie jest, ale i tak powinieneś zgłosić się z tym do lekarza. Nieźle ci przyjechał.

Salim uniósł głowę i spojrzał w sufit, koncentrując się na postawieniu kolejnego kroku.

– Mogę cię podwieźć – powiedział Dziki.

Chłopak rozważał przez moment jego propozycję, twarz mu dziwnie zubożniała, jakby nagle zapomniał o bólu. Poderwał głowę i pokręcił nią w szybkim zaprzeczeniu.

– Nie mogę. Muszę wracać do domu.

– Sam nie dojdiesz nawet do tramwaju – powiedział Dziki. Stał przy swojej szafce i zaczął wyjmować z niej pomięte ciuchy. – Teraz jeszcze działa adrenalina, ale za pięć minut będziesz się czołgał – dodał, wygrzebując z szafki stary poźółkły ręcznik. Powąchał go. Śmierdział, jak wszystko w tej zagrzybionej norze. Zarzucił go na ramię i wszedł pod prysznic. Puścił wodę, kątem oka obserwując wyjście z szatni. Przemył się pod zimną wodą, wytarł i ubrał. Ciuchy treningowe zapakował do torby i zarzucił ją na ramię.

Syn Nazima siedział na ławce, spakowany, gotowy do drogi.

– Musisz się jakoś dotaszczyć do samochodu, żeby tamci nie widzieli, że cię stąd zabieram – powiedział Dziki. – Wyjdź pięć minut po mnie.

Chłopak nie odpowiedział. Siedział ze spuszczoną głową, nadal niepewny

albo złamany wstydem. Dziki przeszedł przez salę. Machnął ręką w stronę Bolca, który odpowiedział mu tym samym i odprowadził go wzrokiem do samego wyjścia. Dziki wyszedł z budynku, wsiadł do samochodu i podjechał pod wejście. Salim pchnął ciężkie, stalowe drzwi i podpierając się o ścianę, zszedł po betonowych schodkach. Miał brudne, rozłożące się buty. Szedł przygarbiony, z przetłuszczonymi włosami, wylęknionym spojrzeniem bacznie lustrując teren. Dziki otworzył mu drzwi. Salim wsiadł do samochodu, ściskając się za udo. Dziki niemal natychmiast ruszył, patrząc w lusterko, by sprawdzić, czy nikt nie wyszedł za chłopcem.

– Jesteś pewien, że nie chcesz jechać do szpitala? – spytał, gdy wyjechali na ulicę.

– Nie, muszę wracać do domu.

– Zrobią ci prześwietlenie, a potem zawiozę cię do domu. Albo zadzwonimy po twoich rodziców.

Chłopak poderwał głowę i znowu rzucił mu to dziwnie dojrzałe, przenikliwe spojrzenie istoty, która przyjęła dawkę bólu zbyt dużą jak na swój wiek.

– Masz rodziców? – Dziki nie miał doświadczenia w takich psychologicznych gierkach, chłopak natomiast grał już od dłuższego czasu.

Posłali go na miasto, żeby chodził do szkoły i na treningi, prowadził normalne życie, żeby w każdej chwili mógł powiedzieć, że nie ma żadnego kontaktu ze swoim ojcem, ale w jego oczach Dziki wyczytał, że to nieprawda.

– Niech pan tutaj skręci – poinstruował go Salim.

– Gdzie jedziemy?

– Na Kalinowe.

– Skoro mieszkasz na Kalinowym, powinieneś wiedzieć, że to osiedle Cracovii. Kiedyś było Wisły, ale teraz jest Cracovii. I sekcja, którą wybrałeś, też jest. Chyba mieszkasz tu od niedawna, skoro popełniasz takie błędy.

Salim milczał, patrząc przez szybę na mijane bloki.

– Podasz mi dokładny adres?

– Niech pan jedzie na Kalinowe. – Po dziesięciu minutach wjechali na osiedle. – Niech pan się tutaj zatrzyma – powiedział Salim.

Dziki zjechał na zatoczkę parkingową. Wcisnął się między stłoczone w rzędzie samochody. Za wąskim pasem trawnika ciągnęły się niskie, pomalowane na żółto bloki. Z okien zwisało pranie i kable antenowe. Po prawej stronie był plac zabaw, dalej szkoła, do której Dziki chodził przez rok, zanim nie przenieśli go do następnej. Posadzone wokół drzewa obumarły, zbyt często szczały po nich psy. Próby obsiania tej ziemi czymkolwiek spełzały na niczym. Salim popatrzył przez szybę na chodnik ciągnący się między blokami. Dziki zaciągnął ręczny i wyłączył silnik.

– Co pan robi? – spytał chłopiec.

– Mieszkasz na parterze?

– Niech pan zostanie w samochodzie.

– Jak jest złamana, to takim kuśtykaniem tylko pogorszysz sprawę – powiedział Dziki, starając się wcielić w rolę Igora, który tak szybko potrafił sprawić, że mogłeś mu bezgranicznie zaufać. Poczucie, że jest twoim najlepszym przyjacielem, nie mając pojęcia o jego drugiej, mrocznej stronie, zdolnej do dokonania najgorszej zbrodni na tobie, w mgnieniu oka, lecz najwyraźniej nie posiadał jeszcze tej cechy.

Chłopak musiał zauważyć jego zdenerwowanie, gdyż zaczął obmacywać drzwi w poszukiwaniu klamki.

– Po co pan to robi? – spytał.

– Po prostu chcę ci pomóc.

– Pójdę sam.

– W porządku.

Chłopiec szarpnął klamkę, pchnął ramieniem drzwi, wystawił na

zewnątrz stłuczoną nogę, potem następną i przytrzymując się dachu, podźwignął się tak, by prawą stopą nie dotykać ziemi.

– Dziękuję – powiedział, pochylając się ku szybie i zatrzasnął za sobą drzwi. Kuśtykając, przeszedł przez trawnik i ruszył chodnikiem, starając się utrzymać cały ciężar ciała na zdrowej nodze.

Dziki już zamierzał się wycofać, by wysledzić dalszą drogę chłopca, lecz nie zrobił tego. Siedział jak skamieniały, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy i czekał, aż chłopiec zatrzyma się i odwróci, by sprawdzić, czy on nadal tam jest, co mogło oznaczać tylko jedno – że wykorzystując jego słabość, wytropił ich kolejną kryjówkę.

Salim dobrnął do ściany bloku. Przystanął i tknięty jakimś nagłym impulsem przekręcił głowę, zatrzymując wzrok na samochodzie Dzikiego. Jeszcze nie jest za późno. Może udać, że sięga po telefon, albo sprawdza w lusterkach, czy ma wolną drogę, jednak zamiast tego siedział bez ruchu i gapił się na chłopca, z dłońmi przyklejonymi do kierownicy i kamienną, obojętną twarzą, która dawała jasny przekaz – to ja jestem tym złym wilkiem i przyszedłem po ciebie i twoją rodzinę. Uciekaj, skoro daję ci szansę, reakcja chłopca była jednak inna. Nie zerwał się, by pognać z ostrzeżeniem, jakby wiedział, że dotarł do punktu, z którego ucieczka jest niemożliwa. Zamiast tego uniósł prawe ramię w geście pożegnania. Dziki na wpół świadomie odkleił dłoń od kierownicy i odpowiedział mu tym samym. Trwali tak przez chwilę, zjednoczeni w jakimś porozumieniu, którego sami do końca nie rozumieli. Po chwili Dziki się otrząsnął, szarpnął dźwignię zmiany biegów i nie patrząc w lusterko, wyjechał na ulicę. Chłopak nadal tam stał i patrzył, jak Dziki odjeżdża. Dzikiemu mignęła przed oczami seria obrazów. Matka chłopca, którą Robert ciągnął za włosy po podłodze. Krople benzyny spływające po jej skórze. Przerażony wzrok, wpatrzony w żar papierosa krążący wokół jej twarzy. Zauważył, że ręce trzęsą mu się tak samo, jak gdy wyjeżdżał tamtego dnia z garażu Nazima.

Zjechał na pobocze, sięgnął po telefon, przejechał kciukiem po ekranie, lecz go nie odblokował. Tym razem ich spała albo każą zrobić to jemu.

Nazim powie o narkotykach w samochodzie. To jedyne, co mu zostało, skoro przeniósł się do takiej rudery. Tam jest pół kilo brauna, mój bilet na tropikalną wyspę, jednak ktoś zmienił na nim nazwisko i cel podróży. W tym polowaniu role mogły się w każdej chwili odwrócić, dlatego im więcej potencjalnych ofiar było na chodzie, tym lepiej dla tych, którzy w najbliższej przyszłości mogli się nimi stać. Mgliste wyobrażenie kary za niesubordynację. Duży ruch, klaksony, krzyki przez szybę, bo koła po lewej zostały na jezdni. W dole bloki z płyty. Teren igrzysk. Gdyby Igor teraz zadzwonił i powiedział, że decyzja zapadła, wtajemniczył go w plan, dał mu do zrozumienia, że ma dla grupy jakąś wartość, Dziki wydałby tę rodzinę. Czekał, wpatrując się w ekran telefonu. Zmieniła się jedna z cyfr wskazujących godzinę. Mógł tu zostać i je liczyć, bo tak miały wyglądać jego kolejne dni, koszmar bezczynnego czekania, aż zadzwonią. Wasz świat, powiedział Igor. Postawię na nim stopę i zetrę go w pył. Chłopiec. Kopnięcia Bolca. Dziki pamiętał. Sam przez to przechodził. Od małolata katowali swoich żołnierzy. Coś, od czego nie da się uciec. Coś, co warto zamienić w nienawiść. Odłożył telefon. Włączył kierunkowskaz i ruszył w stronę centrum.



## 24

Olafa nie zastał w mieszkaniu, była za to Kaja. Gdy mu otwierała, wypuszczała właśnie słabą chmurkę cracku. Miała rękę w gipsie i była nieźle przyćpana.

– Czego chcesz – rzuciła, wywalając jęzor. Jeszcze kilka dni temu miała tam kolczyk, teraz ranę, więc koleś w maskach musieli go jej wyrwać. Wargi też miała opuchnięte, ale to chyba od chlania, do tego brudne stopy, sine palce od gipsu, odrapany lakier schodził jej z paznokci.

– Jest Olaf?

– Nie ma. – Rozejrzała się po korytarzu, jakby dostawała od tych dragów jakiejś paranoi. – Masz coś do posypania? – spytała po chwili, bardziej łagodnym tonem.

Tak się złożyło, że miał, zawsze miał coś przy sobie, więc podarował jej cały woreczek. Rozerwała go paznokciami i zanurzyła w nim nos, niezdarnie, bo usztywniona gipsem ręka ograniczała jej ruchy.

– Muszę z nim pogadać o tym, co się stało.

Wciągnęła i na moment oczy wyszły jej z orbit. Ból zniknął, rozluźniła się.

– Zadzwoń do niego.

– Nie odbiera.

– Bo jest impreza. Dzisiaj z nim nie pogadasz.

– Gdzie?

– W klubie. Znowu przywieźli jakieś dziewczyny.

– OK, na razie. Poradzisz sobie?

– Kurwa, siedzę w domu i oglądam telewizję. Przeżyję.

– Zostaw sobie coś na zapas.

– Idę spać w chuj.

– Idź.

Zbliżał się wieczór. Dziki wciągnął kreskę, bo dopadało go zmęczenie. Pojechał na myjnię. Na stanowiskach stały dwa samochody. Marek pucował tapicerkę. Jak zawsze jechało od niego wódą, ale robotę wykonywał starannie. Hiro był na zapleczu. Pogadali o całej sytuacji. Hiro powiedział, że rozumie. Niech weźmie kilka dni wolnego, zaopiekuje się kobietą.

Pojechał do centrum. Zaparkował blisko Rynku, przy Plantach. Była środa, klub zamknięty. Prywatna impreza. Rynek nieco opustoszały. W nim spokój, mięśnie przeciążone po treningu, psycha w kupie, w nosie trochę proszku, lekko znieczulony. Czuł, że zaczyna wygrywać.

Stanął przed drzwiami. Zadzwoił. Z dołu huczała muzyka. Niosła się po piętrach. Stał i czekał cierpliwie, aż ktoś go zauważy. Pomachał do kamery. Drzwi się otworzyły. Stał w nich Tymon, spocony, w mokrej koszulce, czerwony na twarzy. Spuchnięte powieki, zwężone źrenice, pulsował jak podgrzewana galareta.

– Włazisz? – spytał.

– Kto tam jest?

– Wszyscy.

Zeszli po schodach. Karnawałowy wystrój. Kolorowe, sflaczałe baloniki, lampiony i światła choinkowe. Burdel zmieniony w bożonarodzeniową szopkę. Stanowisko didżejskie na podeście dla tancerek. Dwa stoły, CD-playery i Morfina ze słuchawką fachowo przyciśniętą do ucha. Dziewczyny chcą r'n'b, a on gra techno. Lekkie, ale słabo się do tego tańczy. Zwłaszcza na obcasach i luźnych od dragów nogach, dlatego kilka panienek po prostu stoi na floorze i kiwa biodrami. Koksy się przed nimi prężą. Obcisłe koszulki, czerwona skóra, naoliwieni świecą się w ciemności jak psie jaja. Kręcą napompowanymi łapami, z trudem łapiąc rytm, bo muły się w nich

przelewają, a kościec ledwo to dźwiga.

Ekipa Olafa rozsiadła się po łóżach. Halogeny skierowane na środek stołów, śmietnik butelek i dragów, białe, zielone, pomarańczowe, we wszystkich stanach skupienia. Kilka dziewczyn spełzło tam z flooru, inne krążą po całej sali, oswajając się z nową przestrzenią. Nową klatką.

Olaf od razu go zauważył, ale nie zareagował. Rozmawiał z kolesiami, których Dzik widział w lesie. Tymi, co przywieźli dziewczyny. Pili wódkę, rzucali pojedyncze słowa, kiwali głowami, lekko znudzeni. Olaf próbował grać gospodarza, ale był zbyt nufurany. Mamrotał coś pod nosem, a Łukasz siedział obok niego i przyglądał się wszystkiemu z rosnącym niepokojem.

– Dzik? – usłyszał głos. Przebijał się przez muzykę.

Ola szła do niego z wyciągniętymi ramionami. Przytuliła go do piersi, po matczynemu.

– W porządku? – spytała, patrząc mu w oczy. Pokiwał głową. – Trzymasz się?

– Tak.

– Chodź, zjesz coś.

Zaprowadziła go do kuchni. Na stole i blacie przy zlewie walało się pełno żarcia, głównie z fast foodów. KFC, chińszczyzna, tele-pizza, wszystko zimne, suche, rozbabrane. Był głodny jak sam skurwysyn. Zanurzył kawałek pizzy w sosie, zaczął żuć. Dziewczyny ciągle tu łaziły, chyba zrobiły sobie tu punkt do palenia cracku, w ciszy, żeby słyszeć szelest spalanej grudy. Prymitywna forma dawkowania. Klepały Dzikiego po plecach, jeździły mu dłońmi po szyi.

– Co u Dagi? – pytały. – Trzyma się jakoś?

Odpowiadał nie wiem. Nie mają kontaktu. Że Daga nie chce go widzieć. Zostawiła go, bo spierdolił sprawę. Po każdym wyznaniu wypijał kieliszek. Ciągnął kreskę. Łapy z towarem pojawiały się znikąd, a on za każdym razem powtarzał to samo. Że nie zasługuje na ich łaskę. Potem, nawet nie wiedząc

kiedy, zaczął płakać. Któraś z dziewczyn tuliła go do piersi, a on ryczał jak dziecko z twarzą wtuloną w jej ramię. Dragi go rozkleiły. Wrócił na floor, bez koszulki, mocno zrobiony. Zaczął tańczyć, krążyć po parkiecie. Zalewały go kolorowe światła, obejmowały go jakieś dłonie, kilka razy ktoś go pchnął i upadł. Zaczął się czołgać w stronę łoża. Rozłożył się na siedzeniu, zamknął oczy, odchylił głowę. Ktoś tknął go palcem. Otworzył oczy. Ujrzał Olafa. Siedział obok niego, w obwisłej koszulce bez rękawów. Ich więzienne dziury przedstawiały podobne motywy. Ramiona Olafa szczuplejsze, pokłute, szponiaste palce wyciągnęły z paczki papierosa, oczy niemal wyłaziły mu z orbit. Przez chwilę rozglądał się po sali nieprzytomnym wzrokiem, potem odwrócił się do Dzikiego i spojrział na niego, zasysając papierosa. Pochylił się w jego stronę i powiedział mu na ucho, z bliska, tak że Dziki niemal czuł ciepło jego języka, żar mocno naspidowanej krwi.

– To był wypadek. Dziewczyna za dużo bierze. Nie kontroluje się.

Dziki namierzył jego twarz, skupił się na złapaniu ostrości.

– Straciła dziecko – wybełkotał. Uniósł dłonie i zawiesił je w powietrzu, formując jakiś kulisty kształt. – Chciałem, żeby mi je pokazali, ale powiedzieli, że jest takie, jak ten palec.

Olaf skrzywił się z niesmakiem gdzieś z głębi swojego wycofania. Oczy zamykały się powoli, jakby filtrował każde słowo, przetrawiał je, tak jak miał to w zwyczaju robić w więzieniu, tym razem jednak nie był obojętny. Dziki wyczuł, że każde wypowiedane przez niego słowo, wspomnienie tego, co się stało, jest dla niego tak samo bolesne.

– Słuchaj Olaf...

– Nie. – Powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Nie musisz nic mówić. Tutaj zawsze jest dla ciebie miejsce. Wiesz o tym.

Dziki poczuł suchość w gardle.

– Dziękuję – zdołał wydukać, kiwając głową. Sięgnął po kufel ze zwietrzałym piwem. Napił się.

Olaf przetarł dłonią spoconą szyję. Zaciągnął się papierosem. Któraś z dziewczyn chciała go wyciągnąć na parkiet, ale odmówił.

– Co to za ludzie? – spytał Dziki, wskazując Serbów.

Olaf powiódł palcem po sali, próbując ich namierzyć. Odkąd przysiadł się do Dzikiego, tamci dokładnie go obserwowali. Olaf uniósł dłoń, posyłając im pozdrowienie. Jeden z nich wyciągnął w jego stronę kieliszek. Dziki zauważył, że dołączył do nich trzeci koleś, wysoki, o ciemnej karnacji, z czarną, równo przyciętą brodą i czujnym spojrzeniem. Nie pił, nie ćpał, obserwował. Pijane dziewczyny zdawały się go drażnić. Rozmawiał z Łukaszem, który jako jedyny zdawał się być trzeźwy. I zdenerwowany. Impreza wcale go nie cieszyła, gubił się w natłoku obcych twarzy.

– To moi nowi przyjaciele. Radeca już chyba poznałeś – powiedział Olaf.

Nie rozpoznał go, bo schudł, a może przez to, że zapuścił brodę. W kryminale się unikali. Serb trzymał ze swoimi. Poza tym tam wcale nie musiał zabiegać o znajomość z Dzikim, popychadłem Olafa. Potem go przenieśli.

– Co on tu robi?

– Nic, przyszedł popatrzeć na dziewczyny. Niedawno wyszedł z kryminału i potrzebuje rozrywki.

– Olaf, mam nadzieję, że nie wpierdalasz się w coś, czego nie będziesz w stanie udźwignąć.

Olaf rozłożył ramiona.

– Dziki, tu są sami przyjaciele – powiedział i w jego dłoni pojawiła się szklana fajka. Rozkruszył crack nad sreberkiem i podał fajkę Dzikiemu. – Saaami przyjaciele – powtórzył. – Jedna, wielka rodzina.

Dziki zobaczył trzaskający płomień zapalniczki i zanim zdążył zaprotestować, poczuł na wargach ciepłe szkło, a potem ściągnął chmurę słodkawego dymu. Wszystko zaczęło się wyciszać. Postacie na floorze znieruchomiały. Poczul, że Olaf kładzie mu dłoń na głowie. Usłyszał jego

szept.

– Wyłącz się, żołnierzu. Odpocznij.

Olaf wyslizgnął się z łoża niczym obleczony w ludzką skórę wąż. Dziki odczekał, aż minie paraliż, gdy zalała go pierwsza faza odlotu. Podniósł się, wspierając o blat, i ruszył przez dancefloor. Ciało sztywniało, jakby ktoś zalał je od środka betonem, który szybko wysychał, z każdym krokiem w coraz większym stopniu ograniczając jego ruchy, a on dalej szedł przed siebie, w stronę świateł bijących z didżejki. Ci, co tańczyli na floorze, widząc, w jakim jest stanie, ustępowali mu miejsca. Dziewki się śmiały. Wstąpił na podest, stanął obok Morfyny, przez chwilę obserwował, jak ten jeździ palcami po suwakach miksera. Szepnął mu coś na ucho, Morfina odstąpił mu miejsca. Dziki stanął nad stołem do miksowania, założył słuchawki, podkręcił tempo i płynnie przeszedł w drugi numer. Na floor powyłaziły kolejne pary, koksy pościągały koszulki, Dziki puścił coś, co lubili i teraz machali do niego łapami, jak banda dzikusów, na których spadł wymodlony deszcz. Dziki rozłożył szeroko ramiona, cofnął się i zalało go światło reflektorów. Stał na scenie przed wielką publicznością, która biła mu brawo i skandowała jego imię.

## 25

Film mu się urwał, ktoś zawiózł go do domu, a gdy się obudził, Ewa kazała mu udekorować tort. Rzygał już dwa razy, ale dalej go zbierało, choć było już południe, do tego pocił się i trzęsły mu się ręce, a ona przyniosła kilkadziesiąt małych świeczek i kazała mu je wkładać w kilkuwarstwowy tort, który piekła od rana. Posprzątała z grubsza kuchnię, ale i tak na podłodze zostały ślady po mące, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, bo musiała się zabrać za wystrojenie matki. Wykąpała ją, ubrała w czystą sukienkę, zrobiła jej makijaż, zaplotła włosy.

Dziki nadal czuł działanie dragów, szczęka bolała go od nadmiernego zaciskania, czuł, że jego zęby są starte niemal na papkę. Przeciągnął palcem po torcie i zlizął masę. Była tak słodka, że znowu go zemdliło. Otworzył foliowe opakowanie i zaczął wkładać świeczki w tort. Matka kończyła sześćdziesiąt dwa lata. Zastanowił się, czy nie poprzestać na jednej, bo tyle trwało jej nowe życie, odkąd jej umysł się wyłączył. Życie warzywa. To i tak nie miało jednak znaczenia, bo Ewa kupiła za mało świeczek, byle było w co dmuchać, więc Dziki zaczął układać je tak, żeby chociaż wyglądało, że liczba się zgadza.

Na głowie miał urodzinową, szpiczastą czapeczkę z papieru, którą Ewa kazała mu założyć. Cienki sznureczek wpijał mu się w podbródek. Gdy otwierał drugie opakowanie, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Dziki, otwórz! – zawołała Ewa z pokoju.

Oblizął palce i podszedł do drzwi. Nie pytając kto to, nacisnął przycisk domofonu, przekręcił klucz w zamku i wrócił do kuchni. Po chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

– Otwarte! – zawołał.

Ktoś zadzwonił ponownie. Dziki oparzył kciuk żarem zapalniczki. Dmuchał w osmalony paznokiec i poszedł otworzyć.

Koleś pachniał dobrymi perfumami, miał modną fryzurę i trzymał łapy w kieszeniach, jakby nie chciał się pobrudzić, dotykając czegokolwiek w tym bloku.

– Cześć, ja do Ewki – powiedział, unosząc lekko stopy, jakby to kołysanie miało być oznaką jakiegoś luzu, który specjalnie trenował na tę okazję.

– Wchodź! – zawołała Ewa z mieszkania.

Dziki cofnął się o dwa kroki, lekko przygarbiony, z opuszczonymi ramionami, jak ranne zwierzę odgonione od łupu. Na korytarzu pojawiła się Ewa, uśmiechnięta, zrobiona, choć nie tak, jak wychodziła na miasto, bardziej skromnie, w bluzce, jaką Dziki widział na billboardach H&M. Podeszła do koleśka, położyła mu dłoń na szyi i pocałowała go. Potem odwróciła się do Dzikiego.

– Dziki, to jest Patryk. Patryk, Dziki – przedstawiła ich sobie.

Patryk wyciągnął rękę. Dziki złapał zawias.

– Dziki – upomniała go Ewa.

Uniósł obojętnie dłoń. Patrykowi chyba nie spodobało się, że jest tak zimna i wilgotna. On i Ewa pocałowali się w usta. Dziki natychmiast spuścił głowę, jakby był świadkiem czegoś, co w jego świecie było aktem słabości, czymś, co robi się w ukryciu. Wycofał się do kuchni. Zaczął go łapać lęk, jak zawsze po ostrym przecpaniu. Poszedł do łazienki i łyknął dwa xanaxy, które Ewa miała schowane w swojej kosmetyczce. Wrócił do kuchni, zapalił papierosa, wcisnął go między zęby i zabrał się za tort, odchylając głowę, żeby popiół nie posypał się na galaretkę. Ewa i Patryk wyszli z pokoju matki.

– Chodź, pokażę ci małego – powiedziała, ciągnąc go za rękę i poruszając się drobnym, tanecznym krokiem, który miał ją nieco odmłodzić.

Weszli do jej pokoju. Dziki strzepnął papierosa do zlewu. Usłyszał ściszoną rozmowę przerwana wybuchem śmiechu i Ewa wyszła z pokoju. Zaglądnęła do rozgrzanego piekarnika.



– Co się tak czaisz? – spytała, nalewając wody do czajnika.

Dziki przysiadł na krześle w rogu i dopalał papierosa.

– Jesteś jakaś inna – powiedział.

– Jaka inna.

– Inaczej się zachowujesz, jak jesteś z nim.

– Przeszkadza ci to, że się tak zachowuję?

– Jeszcze nie wiem.

Ewa wyjęła papierosa z paczki, zapaliła.

– Nie rób mi wstydu.

– Jak na tym szkolnym przedstawieniu. O tej kurwie, co przymierzyła but i stała się księżniczką.

Wbiła w niego pełen nienawiści wzrok, ale nie odezwała się. Nie chciała wywoływać awantury. Odwróciła się i zaczęła zalewać kawę. Domofon zadzwonił ponownie. Dziki się nie ruszył. Ewa wzięła w dłonie dwa kubki.

– Sprawdzisz kto to?

Zgasił peta w popielniczce i poczekał, aż Ewa wyjdzie z kuchni. Zwlókł się z krzesła, podszedł do domofonu, podniósł słuchawkę, spytał kto to, wysłuchał odpowiedzi, wcisnął przycisk, wrócił do kuchni i usiadł na krześle. Ewa wyszła z pokoju z wyprasowanym obrusem przewieszonym przez ramię.

– Kto to? – spytała.

– Igor.

Udała, że nie zrozumiała odpowiedzi. Dziki poskrobał kciukiem krawędź stołu.

– Co on tu robi?

– Przyszedł na urodziny matki.

– Zaprosiłeś go?

– To mój brat.

Rzuciła obrus na stół i pobiegła do swojego pokoju. Dziki usłyszał, jak tłumaczy coś Patrykowi. On zaczął ją uspokajać, ona podniosła głos.

– Musimy stąd iść. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Dziki gapił się w blat stołu. Ewa wyszła na korytarz, ciągnąc Patryka za rękę.

– Co się dzieje – powtarzał Patryk.

– Nic, po prostu...

Nie dokończyła, gdyż w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Na jego dźwięk o mało nie krzyknęła. Chwyciła Patryka za rękę. Dziki podniósł się z krzesła, stanął w drzwiach kuchni.

– Otwórz – powiedział do Ewy.

Podeszła do drzwi, spojrzała w judasza, kolejny głęboki wdech, przekręciła klucz, otworzyła drzwi. Igor przywitał ją uśmiechem. Tuż za nim stał Tabak, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach dresu, a za nim łysy kark, którego Dziki widział po raz pierwszy. Igor trzymał w dłoni bukiet kwiatów i nerwowo żuł gumę. Dziki od razu rozpoznał, że brat łyknął kilka pigułek. Ewa cofnęła się i oparła o ścianę.

– Czemu płaczesz, kobieto? – spytał Igor, przestępując próg, i w tym momencie ujrzał Patryka.

– Poczekamy na dole – powiedział Tabak. Oczy chodziły mu na wszystkie strony i zaciskał zęby, jakby usilnie się starał, żeby kogoś nie pogryźć.

– Nie, nie, chodźcie – powiedział Igor. Stał przed Ewą. – Pytałem, czemu płaczesz.

Pokręciła bezradnie głową. Igor nachylił się, żeby ją pocałować, ona jednak odwróciła twarz. Igor spróbował jeszcze kilka razy, rozbawiony jej

bezradnymi unikami.

– Ewa, kto to jest? – spytał Patryk.

Ewa szarpnęła go za rękę.

– Wychodzimy – powiedziała drżącym głosem.

Igor przywołał dłonią stojącego w drzwiach karka. Kark wszedł, poczekał, aż dołączy do niego Tabak i zamknął za sobą drzwi. Igor uniósł bukiet i wciągnął zapach kwiatów.

– Mama! – zawołał i skierował się do salonu.

Matka siedziała w fotelu. Nie poruszyła się, wpatrzona w ścianę, w niebieskiej sukience, z odsłoniętymi, chudymi ramionami i włosami spiętymi srebrną, nieco zaśniedziałą spinką. Obok niej, na parapecie tliły się świece zapachowe w szklanych podstawkach. Na środku pokoju stał stół z rozłożonym blatem, wokół niego cztery krzesła. Igor uklęknął z kwiatami przed matką.

– Jak ty ładnie dzisiaj wyglądasz. Ktoś mi powie, z jakiej to okazji?

Rysy matki nieznacznie drgnęły. Ułożył bukiet na jej kolanach, po czym wstał, pochylił się nad matką i poklepał ją po twarzy.

– Bo przyjechał mój syn – powiedział, naśladowując jej pełen entuzjazmu głos. – Bo tak dawno go nie widziałam. Bo tak się za nim stęskniłam.

Głowa matki opadła na bok. Podświadomie zdawała się bronić przed jego dotykiem. Uśmiech zszedł z twarzy Igora, zastąpił go jakiś tłumiony wyraz żalu. Zacisnął dłoń na jej wątłym ramieniu.

– Wszystkiego najlepszego, mamó – powiedział, po czym odwrócił się do reszty. – Siadajcie. – Zachwiał się lekko, tocząc wzrokiem po pokoju. – Wy też. Napijmy się czegoś. Macie coś do picia? – Pstryknął palcami, szukając odpowiedniego słowa. – Wódka z sokiem dla mnie i moich kolegów.

– Mówiłam, że wychodzimy – powiedziała cichym głosem Ewa.

– Siadaj, kurwa, na piździe! – wrzasnął Igor.

Jego krzyk sprawił, że znieruchomiała, jakby użył jakiegoś dobrze znanego jej zaklęcia.

Patryk próbował jakoś zareagować, ale ona odtrąciła go i wolno, jak zaprogramowana, usiadła na krześle.

– Ty też. Zapraszam – powiedział Igor, wskazując palcem Patryka.

Patryk spojrzał na Tabaka, który stał za nim, mocno zaniepokojony całą sytuacją. Wszedł do salonu i usiadł obok Ewy. Igor pociągnął nosem, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej woreczek z kokainą. Rzucił woreczek na stół, rozciął go paznokciem, zanurzył palec w proszku i przejechał nim po zębach.

– Mamy towaru dla wszystkich – powiedział. Oczy zaszczyły mu łzami.

– Dziki, wciągasz?

– Nie.

– Żartujesz.

Dziki milczał. Igor był nabuzowany. Na przemian się uśmiechał i marszczył twarz w grymasie wściekłości. Odmierzył kreskę, pochylił się, wciągnął. Kark i Tabak nadal stali w korytarzu.

– Siadźcie przy tym jebanym stole! – zawołał Igor.

Usiedli. Igor spojrzał na Ewę.

– Ciągnij. Nie wstydz się.

Ewa milczała.

– Były czasy, że obciągnęłabyś za to z połykiem każdego kutasa w tym pokoju. Pamiętasz te czasy? – Igor usiadł na krześle. Wyciągnął nogi, zwiesił ramię na oparciu krzesła, rozluźnił się. – Śmierdzi szczynami, jak zawsze. Palicie te świece, używacie odświeżacza, ale i tak czuć te szczyny. Nie zmieniacie jej pieluch czy co?

– To jej skóra tak śmierdzi – powiedział Dziki.

– Jej skóra śmierdzi szczynami?

– To zapach tych leków, które bierze.

– Leków – powtórzył Igor. Jego powieki powoli opadły. – Dziki, co tu się, kurwa, dzieje? Kto to jest? Nie znam cię – powiedział, wskazując Patryka.

Dziki pochylił się nad stołem, zachowując jakąś kaleką równowagę. Przyjrzał się Patrykowi.

– To... jest... Patryk – powiedział, robiąc po każdym słowie uroczyste przerwy.

Igor pokiwał głową w udawanym zachwycie. Spojrzał na Ewę, wskazał ją palcem.

– Ej, Patryk, daj jej trochę tego, a zobaczysz, jaką masz gwiazdę porno – powiedział.

Ewa uniosła obojętny wzrok.

– Jesteś żałosny – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Igor sięgnął za biodro, wyjął spod kurtki gnata, położył go na stole i zawiesił nad nim otwartą dłoń, jakby pojawił się tam pod działaniem jakiejś magicznej sztuczki.

– Rozwiąż problem. Jak masz problem, to go rozwiąż. Albo ja rozwiążę. – Igor sięgnął po gnata i wycelował w Ewę, Patryka, a na końcu w matkę, do każdego oddając fikcyjny strzał. – Kurwa, raz, dwa, trzy i wszyscy idziemy się jebać. Całe pokolenie.

Machnął gnatem i przywołał Dzikiego. Dziki przyglądał się całej sytuacji z głupawym uśmiechem. Spluwa w dłoni Igora wydawała mu się tak nierealna, że reagował na nią jak dziecko na zabawkę.

– Dziki, co o nim myślisz? – spytał Igor, wskazując Patryka.

– Cwel – prychnął Dziki.

– Słyszysz, jak cię nazwał?

Dziki zwiesił ramiona. Lewitował nad stołem jak zawieszony na sznurkach kościotrup. Igor pociągnął nosem, udając, że wywęszył jakiś zapach.

– Czujesz, jak pachnie, Dziki? Ty tak nie pachniesz.

Dziki się uśmiechnął. Bycie w centrum uwagi nieco go zawstydziło.

– Chcesz mu zajebać? – spytał Igor.

Dziki spojrzał na brata, nie do końca pewien, czy to pytanie było skierowane do niego. Uśmiech zaczął powoli znikać z jego twarzy.

– Tylko spróbuj – syknęła Ewa.

Dziki pochylił się nad stołem, żeby wciągnąć kolejną kreskę. Igor zacisnął palce na jego szczęce i odwrócił jego twarz w stronę Patryka, lekko zniekształcając ją w mocnym uścisku.

– Patryk, widziałeś gdzieś taki ryj? Popatrz, jaki mutant.

Dziki szarpnął się, Igor nie puszczał, zaczął się śmiać, ściągając jego twarz do blatu. Dziki rozerwał jego uścisk i odstąpił o krok, o mało nie wpadając na ścianę.

– Zabierz tę dziwkę z moich oczu – powiedział Igor.

Ewa splunęła mu w twarz. Igor spuścił wzrok i zagapił się w podłogę. Lewa powieka mu drgnęła, zlepiona półprzezroczystym bąblem piany. Uniósł dłoń i szybkim ruchem roztarł ślinę po twarzy i łysej głowie.

– Chcę zostać sam z matką – powiedział lekko znużony swoim występem. – Wypierdalać. Wszyscy.

Machnął niedbale splotką, nie podnosząc wzroku znad podłogi. Ewa powoli wstała z krzesła, nadal trzymając dłonie na blacie, jakby w obawie, że zbyt gwałtowne ruchy mogą wybudzić go z nagłego odrętwienia. Wyszukała dłoń Patryka i oboje ruszyli wolnym krokiem w kierunku drzwi. Tabak i Kark podążyli za nimi.

– Dziki, zostań – powiedział Igor. Machnął splotką, zapraszając, aby ten

usiadł obok niego.

Dziki posłusznie wykonał jego polecenie. Igor przełożył gnata do drugiej ręki. Palec nadal niebezpiecznie ślizgał się po spuście. Objął Dzikiego. Dziki poczuł na karku ciężar jego bezwładnego ramienia. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa znalazł się tak blisko brata. Próbował doszukać się jakiegoś podobieństwa, ale siedział przed nim obcy człowiek.

– Dziki, czemu mi nie powiedziałaś, że ona kogoś ma. Jak mogę ci ufać w innych sprawach, skoro nie potrafisz dopilnować jednej rzeczy, żeby nie wpuszczać obcych do mojego domu.

– On nie jest dla niej obcy. Znają się już jakiś czas.

Igor zacisnął szczękę, z trudem przetrawiając słowa Dzikiego. Odwrócił się w stronę matki.

– Słyszałaś, mammo? – spytał. – Co o tym myślisz?

Odpowiedział mu zgrzyt zębów, które pracowały w zaciśniętej szczęce. Igor kopnął w stół. Podeszwa adidasa ześlizgnęła się z krawędzi blatu, za drugim razem stół się przewrócił, proszek rozsypał się po dywanie. Igor przejechał dłonią po twarzy.

– Dziecko – zmienił temat. – Chcę zobaczyć dziecko. Gdzie ono jest?

Rozejrzał się po pokoju w maniackim zrywie. Chrupot zębów matki był coraz głośniejszy. Igor uniósł gnata, ale po chwili położył go na stole, jakby w jakimś przebłysku świadomości dotarło do niego, że może kogoś skrzywdzić.

– Pokaż mi je, Dziki. Gdzie oni wszyscy poszli? Gdzie oni są?

Igor wstał z krzesła, zachwiał się i ruszył w kierunku przymkniętych drzwi. Dziki podążył za nim, wyszli z pokoju. Tabak i Kark stali już na klatce schodowej. Patryk szeptał coś Ewie na ucho, a ta próbowała go wypchnąć z mieszkania. Igor stanął przed drzwiami do pokoju dziecka, nacisnął klamkę, drzwi były zamknięte. Odwrócił się do Ewy.

– Otwórz je – powiedział. Ewa nie zareagowała. Uderzył ją z płaskiej w

twarz. Zrobił to tak szybko, że zmrużyła oczy dopiero po otrzymaniu ciosu. – Otwórz – powtórzył i uderzył ponownie. – Otwórz. Otwórz – powtarzał, bijąc z tym samym niedbałym uporem.

Patryk rzucił się w jej obronie, Igor wziął zamach, wyprowadził łokieć na szczękę. Patryk uderzył o ścianę i półprzytomny zsunął się na podłogę. Ewa przykucnęła i przywarła do niego całym ciałem, chroniąc go przed następnym ciosem. Igor chwycił ją za włosy, szarpnął, podniosła się na sztywnych nogach i otworzyła szeroko oczy. Jej wzrok powędrował za plecy Igora. Ten, przytrzymując ją, powoli obejrzał się za siebie.

Dziki stał w drzwiach salonu i mierzył do niego z jego broni. Dłoń mu drżała, był zlany potem, mięśnie miał napięte, brzuch zapadnięty do środka i gdy przełknął ślinę, coś wessało go jeszcze głębiej. Igor opuścił ramiona. Rozluźnił się. Uśmiechnął. Dziki nie przestawał do niego celować, choć dłoń nieco mu opadła, jakby nie mógł się zmusić, by celować w głowę.

– Idź stąd – wydukał przez zaciśnięte gardło.

Igor pokiwał z uznaniem głową i wyciągnął rękę w stronę gnata, zagarniając palce do środka, jakby próbował go ze sobą oswoić.

– No, pokaż, jaki jesteś silny – powiedział, zmniejszając dzielącą ich odległość. Jego ręka nadal krążyła wokół lufy.

Dziki wypchnął przedramiona i przekrzywił głowę, podkreślając swoją determinację, lecz na Igorze nie robiło to żadnego wrażenia, był coraz bliżej, patrząc mu prosto w oczy, jakby był w stanie wyczytać w nich moment, w którym Dziki pociągnie za spust.

– Nagle jesteś duży, bo masz gnata. Potrafisz go w ogóle użyć? Sprawdźmy to. Nie mam nic przeciwko. Wszyscy słyszeli. Możesz ładować, najlepiej tutaj. – Przycisnął palec do czoła. Ręka Dzikiego drżała coraz mocniej. Igor kołysał się, zwiększając narastającą w nim dezorientację. – Pokaż mi, błagam, pokaż mi. – Prawa dłoń Igora wystrzeliła w kierunku szyi Dzikiego. Zacisnęła się na gardle, odcinając mu dopływ krwi i powietrza. Gnat wypadł mu z dłoni. Igor przycisnął go do ściany i szczerząc zęby,



zbliżył swoją twarz, obserwując centymetr po centymetrze siniejącą skórę Dzikiego, który nawet nie próbował się bronić.

Matka wydała z siebie przeciągły jęk. Dziki dostrzegł kątem oka, jak kołysze się na swoim fotelu w przód i w tył, zaciskając dłonie w pięści.

– Teraz sam widzisz, że nie potrafisz – powiedział Igor. Puścił Dzikiego, a ten półprzytomny osunął się na podłogę.

Powietrze ze świstem przepływało przez ściśniętą krtani. Igor popatrzył po wszystkich, jakby zaskoczony ich żalobnym nastrojem. Podniósł gnata z podłogi, przyjrzał mu się i wetknął go za pasek spodni. Dziki podźwignął się, ale pozostał na czworaka, nadal sugerując gotowość do walki. Zdyszany Igor wszedł do kuchni. Z piekarnika unosił się smród spalonej lazanii. Igor otworzył lodówkę, wyjął karton mleka, przegryzł końcówkę i odchylając głowę, upił kilka łapczywych łyków, tak że białe strugi pociekły mu po szyi. Potem stanął nad tortem, w który Dziki powtykał kilka świeczek, przyjrzał mu się z kilku stron i zanurzył w nim dłoń, wygarniając spory kawałek. Galaretką wypłynęła mu pomiędzy palców, po czym wepchnął niemal cały kawałek do ust, brudząc twarz kremową masą, i zaczął powoli przeżuwać. Na koniec starannie zlizął z dłoni resztki. Sięgnął po karton mleka, wziął kilka łyków, tym razem mniej łapczywie, delektując się nim, po czym odstawił karton i wyszedł z mieszkania. Tabak przez chwilę patrzył na Dzikiego, jak ten prostuje się, nie odrywając pleców od ściany, jakby nie do końca wiedział, jaką pozycję przybrać, by zachować resztki godności. Patryk stał z dłonią przyciśniętą do ust, z dziwnym grymasem, jakby chciał ją przegryźć. Z oczu leciały mu łzy, ale nie wydawał przy tym żadnego dźwięku. Wyciągnął rękę w stronę Ewy, ale ta go odtrąciła.

– Wyjdź, proszę – powiedziała.

Przeciągnął dłonią nad jej włosami. Tabak go przepuścił i sam się wycofał, zamykając za sobą drzwi.

CZEŚĆ II



**CZEŚĆ II**

# 1

Dwa dni później Dagmara powiedziała Dzikiemu, że jadą dzisiaj wieczorem. Była środa, pracował na myjni. Powiedziała, że nie jest pewna, czy będzie dostawa, ale Olaf posyła Łukasza, a wraz z nim aż pięć dziewczyn. Dziki zadzwonił do Igora, przekazał informację. Ten kazał mu pracować i czekać na telefon.

Dziki zabrał się za nabłyszczanie tapicerki. Przesadzał z plakiem, wnętrze samochodu robiło się tłuste, jakby smarował je własnym potem. Kilka godzin, nieznany numer, odebrał, udając, że grzebie przy bezpiecznikach. Wracaj do mieszkania, za dwie godziny ktoś po ciebie podjedzie. Miał pracować do ósmej, a była piąta, w dodatku zrobił się spory ruch, Hiro musiał ściągnąć do pomocy dodatkowego pracownika, a sprawę trzeba było rozegrać delikatnie, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. Poszedł do kibla, wsadził palce do gardła i zwymiotował. Nie przyszło mu to z wielkim trudem, bo zaczynał się bać. Potem wyjechał z ryjem na klienta, ten schował się w samochodzie, pokazówka przed Hiro, stanął przed nim, pociągając nosem i drapiąc się po głowie, z przekrwionymi oczami, to odstawienie źle na mnie działa, Dagmara ma jakieś komplikacje, czeka na wyniki testów, poważne choroby. Wszyscy pospuszczali głowy, bo mówił głośno, Hiro go uspokajał, dostał pozwolenie. Gdy wyszedł z myjni i wszedł do samochodu, lęk zaczął mu szarpać żołądkiem, tym razem ze zdwojoną siłą i z trudem się opanował, żeby nie rzygnąć przez szybę. Kilku chłopaków w myjni patrzyło za nim jak odjeżdża, może dzisiaj wyjątkowo słabo odgrywał rolę ofiary, albo już przestał nią być, i reszta to czuła.

Pojechał do mieszkania matki. Było duszno, zbierało się na deszcz. Nikt nie dzwonił. W mieszkaniu cisza, przez co był w stanie słyszeć, jak krew dudni mu w skroniach. Włączył muzykę, ale niepotrzebnie podkreślała atmosferę. Od dwóch dni żadnych narkotyków. Obiecał sobie, że zrobi to na trzeźwo. Zaglądnął do pokoju matki, stanął nad jej łóżkiem i wyłapał w

ciemności jej szklisty wzrok, ale zaraz się wycofał, w obawie, że wyczuje jego zamiary.

Wrócił do salonu, włączył telewizor, ale nie rejestrował płynących z niego dźwięków. Czekał, chodząc po mieszkaniu. Telefon ślizgał się mu w spoconych dłoniach. Zgodnie z instrukcjami przebrał się w ciemne, nierzucające się w oczy ciuchy. Stał przed lustrem w łazience i celując w swoje odbicie z fikcyjnego gnata, porozciągał twarz w serii bojowych grymasów.

Zadzwonili po godzinie. Bolec powiedział, że czekają przy garażach. Dziki zjechał windą, okrążył blok, błysnęły światła. Wsiadł na tylne siedzenia, zatrzasnął drzwi, spowił go mrok przyciemnionych szyb, czarnych, skórzanych obić. Obok niego siedział kark, którego Igor przyprowadził na urodziny matki. Tym razem się przedstawił. Wolan. Dziki. Reszta milczała, jakby jechali na własny pogrzeb.

Na Opolskiej Bolec puścił sygnał i dołączyło do nich bmw x1, które prowadził Tabak. Okrążyli Rynek wokół Plant i zatrzymali się jakieś sto metrów od klubu. Tabak zaparkował przecznicę dalej. Bolec wyłączył silnik. Widok na wejście do klubu miał we wstecznym lusterku. Igor ziewnął. Zbliżała się ósma. Bolec włączył radio, ściszył, zmienił stację. Rozparł się wygodnie na fotelu, stukając koniuszkami palców w kierownicę. Igor uchylił szybę. Zapalił papierosa. Mijały ich taksówki. Grupki ludzi zmierzających w stronę Rynku. Dziki odwrócił się i patrzył przez tylną, przyciemnioną szybę, jak Morfina z Tymonem ustawiają przed wejściem transparent informujący o zniżkach i wynoszą hokery. Rozglądali się dookoła, szukając zagrożenia, na tym polegała ich praca, mieli to we krwi i Dzikiego przez chwilę naszała obawa, że zaraz zauważą ich samochód, lecz zrobiło się już zbyt ciemno, a na ulicy panował coraz większy tłok.

– Wyjadą na Aleje, nie będą się cisnąć przez miasto – powiedział Dziki.

– Dlatego postawiliśmy tam Tabaka – odparł Igor. – Nie spierdolą nam, choćby chcieli.

Czekali dłużej, niż przewidziała Dagmara. Dziki widział, że do klubu wchodzi jacyś mężczyźni, choć lokal był jeszcze zamknięty. Morfina wyszedł na ulicę, zapalił papierosa i krążąc po chodniku, rozmawiał jakieś dziesięć minut przez telefon. Gdy skończył, ulicą nadjechał van, którego Dziki prowadził, gdy pojechali po dziewczyny. Van zatrzymał się tuż przed klubem, wjeżdżając na krawędź chodnika. Morfina podszedł do szyby, zamienił kilka słów z kierowcą. Bolec wymacał palcami pokrętko lusterka i dostosował kąt widzenia. Igor patrzył przez przednią szybę na Planty skąpane w żółtym świetle ulicznych latarni. To, co działo się przed klubem, zdawało się w ogóle go nie interesować.

Z vana wysiadł Łukasz. Dziki zobaczył go, jak okrąża samochód i szybko znika w klubie. Morfina poszedł za nim. Van stał na awaryjnych. Jadące samochody ledwo przeciskały się przez miejsce, jakie zostawił na ulicy. Po chwili Łukasz wrócił i pchnął rozsuwane drzwi vana. Z klubu zaczęły wychodzić dziewczyny. Roześmiane, już nieco podkrecone, jedna z nich trzymała butelkę szampana i piła z gwinta. Dwie wsiadły do vana, trzecia kończyła palić papierosa. Łukasz je poganiał. Krzyknął coś w stronę wejścia. Czwarta dziewczyna wybiegła, poprawiając siatkowe rajstopy. Wszystkie mocno zrobione. Makijaż, brokat, pokręcone włosy i naoliwione uda. Specjalne przeszkolenie pod kątem wymagających klientów. Dziki miał nadzieję, że utrzymają się w formie i zapewnią Serbom dobrą rozrywkę. Olaf wybrał elitę, kolesie powinni zapomnieć o bożym świecie, gorzej natomiast prezentował się Łukasz. Podkrążone oczy, co chwila nerwowo spluwał.

Morfina przysiadł na hokerze, jedna z dziewczyn poklepała go po plecach, nawiązali krótką rozmowę. Na koniec z klubu wyszła Dagmara. Szła wolnym, dystyngowanym krokiem, jakby to, co ją spotkało, było granicznym doświadczeniem, które z automatu winduje każdą kurwę na szczyt hierarchii. Z prawego ramienia zwisała jej torebka. Miała na sobie wieczorową, cekinową sukienkę, jakby w odróżnieniu od reszty jechała świętować zwycięstwo. Zanim wsiadła do vana, Łukasz zatrzymał ją i coś do niej powiedział. Podała mu torebkę. Zajrzał do środka, przejrzał zawartość i pozwolił jej wsiąść. Zasunął za dziewczynami drzwi, pożegnał się z Morfiną

i siadł za kierownicą. Bolec odpalił silnik. Począł, aż Łukasz ruszy i poprowadził rovera jednokierunkową ulicą. Skręcił w lewo, przyspieszył i po okrążeniu kamienicy znalazł się tuż za vanem. Przystanął, wpuścił przed siebie dwa samochody i wybrał numer Tabaka. Zaszumił zestaw głośnomówiący.

– Wyjechaliśmy spod klubu. Kierują się na Aleje, więc zaraz was miną. Są w białym vanie renault.

– Dobra, widzimy ich – odpowiedział Tabak i rozłączył się.

Bolec odprężył się i pogłośnił radio. Igor obserwował przez szybę budzące się do życia lokale. Van przeciskał się przez wąskie ulice, samochody wyjeżdżające z bocznych przecznicy blokowały ruch. Bolec niektóre przepuszczał, innym zajeżdżał drogę, przez cały czas starając się trzymać odpowiednią odległość. Gdy znaleźli się na Alejach, van przyspieszył. Tabak zjechał na sąsiedni pas. Za nimi, w dalszej odległości jechał transit. Prowadził go Fajfer, kierowca awaryjny, który miał na nich czekać i zgarnąć ich po całej akcji, na wypadek gdyby musieli się pozbyć własnych samochodów.

Zatrzymali się na światłach, minęli stadion i skręcili na obwodnicę. Wolan skrzyżował ramiona, odchylił głowę i zamknął oczy. Przed nimi pusta droga, wycięta w mroku smugą światła. Z tyłu pomarańczowa łuna bijąca znad miasta. Oczy skupione na śledzeniu vana, dwóch rozjarzonych, czerwonych punktów na granicy widoczności. Dziki nie zastanawiał się, co wieźli na tyłach. Tutaj byli czyści, nikt nie miał przy sobie broni, jakby odkładali moment, kiedy będą musieli jej użyć. Samochód nie dawał żadnego poczucia ruchu. Byli zawieszani w ciemności, na obcym terenie, gdzie nie sięgała ich władza. Poderwał głowę, żeby nie zasnąć, ale ogarniało go coraz większe zmęczenie. Pojawił się obraz Dagmary. Stała przed lustrem w hotelowej łazience. Rozmazany kształt w zaparowanym szkłe. Przetarła dłonią lustro i zaczęła rozczesywać włosy. Lekko rozchylone usta, wolno unoszące się powieki. Wpatrzona w swoje odbicie, odnawiająca swoją skorupę, w oparach ciepła buchających znad wanny. Męska dłoń dotykająca

jej uda. Leniwa odmowa, skupienie na ruchu grzebienia. Mężczyzna w wannie. Przelewanie się mętnej wody po wypukłościach mięśni. Biała skóra, w połowie wytatuowana, czarne owłosienie na wydętym, pokrytym pianą brzuchu. W jego dłoni pojawiła się strzykawka z resztką krwi. Wycelował nią w sufit, z kciukiem zakrzywionym na tłoku. Usta poruszały się, żyły z wysiłku pęczniały mu na szyi, jakby wyśpiewywał jakąś arię. Docisnął tłok, struga krwi wystrzeliła pod sufit, pojedyncze krople spadły mu na twarz. Obliznął się. Sięgnął językiem tak daleko, że niemal dotknął czubka brody. Dagmara w ciemnym, hotelowym korytarzu. Znikała i pojawiała się w świetlnych punktach, sunąc wolnym krokiem przed siebie, przyklejona barkiem do ściany, powtarzając coś w sennym zapamiętaniu. Jedno słowo, różne odmiany strachu. Miała na sobie szlafrok, przyciskała satynowy materiał do brzucha, mokre włosy opadały jej na twarz. Weszła do pokoju, usiadła na łóżku, sięgnęła po telefon i wybrała numer. Po chwili zaczęła mówić, z każdym słowem jednak słabła, osuwając się na łóżko i przykrywając pościelą, aż wreszcie słuchawka wypadła jej z dłoni, a ona zwinęła się w kłębek i zanosła płaczem, gryząc własne przedramię.

## 2

Ze snu wyrwał go dźwięk telefonu. Dziki przetarł twarz i spojrzał na zegarek. Była prawie jedenasta, przespał jakieś dwie godziny. Nie musiał nikogo pytać, gdzie już są, atmosfera zrobiła się nerwowa, co znaczyło, że byli blisko. Silnik pracował na większych obrotach, jechali ze sto czterdzieści. Van zniknął z pola widzenia. Dwupasmówka miała gorszą nawierzchnię, za nią ciągnęły się nagie pola i wysepki karłowatych drzew. Bolec odebrał.

– Słuchajcie, zjechał z głównej na Janów – powiedział Tabak, chwilami tracąc zasięg. – Zjazd będzie jakiś kilometr przed wami.

– Janów? Powtórz.

– Ja-nów. Kurwa, tu nic nie ma.

Bolec się rozłączył. Skupił wzrok na drodze, lecz po chwili spojrzał na Igora.

– Co o tym myślisz? – spytał.

Igor przygryzł wargę, pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie podoba mi się to. Mam przeczucie.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Dziki.

– Jakies pięćdziesiąt kilometrów za Lublinem – odpowiedział Bolec.

– Gdzie van?

– Musieliśmy puścić Tabaka przodem, bo chuj przyspieszył.

Zjechali z dwupasmówki. Bolec za ostro wszedł w zakręt, koła zabuksowały na żwirze rozsypanym na poboczu. Stukot zawieszona na dziurawej nawierzchni. Popękane łaty asfaltu, po obu stronach pola uprawne, żadnych zabudowań, nic, na czym mogli skupić wzrok. Bolec zgasił światła.



– Co robisz? – spytał Igor.

Bolec włączył je z powrotem. Igor uchylił szybę. Zimno. Zapach wilgoci, zbutwiałego drzewa, przywrócił pełną koncentrację. Wolan, opanowany, przechylił tylko głowę, żeby mieć lepszy widok na drogę. Dojechali do skrzyżowania. Jedna latarnia, nadzieja jakiejś cywilizacji. Znak z nazwami miejscowości. Janów w lewo. Bolec wybrał numer Tabaka. Abonent niedostępny. Pół kilometra wolnej przestrzeni i wjechali w las. Do drogi lepiły się zeschnięte liście. Dwie minuty i żadnego samochodu z naprzeciwka. Po prawej minęli stację benzynową. Otwarta całą dobę, przy dystrybutorze stał jeden samochód. Tuż za nią zajazd w stylu kowbojskiego rancza. Drewniane ogrodzenie, wybieg dla koni, kolorowe żarówki rozwieszane na sznurkach wokół placu zabaw. Domy w głębi lasu, wjazdy zagrodzone rampą. Bolec przyspieszył na prostej. Pojawiła się rozświetlona tablica z nazwą hotelu. Dwieście metrów, strzałka w lewo. Basen, korty tenisowe, rekreacja w pełnym wydaniu. Wycięli spory kawał lasu, żeby to zbudować. Kilkupiętrowy, rozświetlony budynek z tarasem widokowym. Na parkingu kilkanaście samochodów. Pospolite marki, klasa średnia. Bolec nieco zwolnił. Od wejścia dzieliło ich jakieś dwieście metrów. Szybki rekonesans. Niejasne przeczucie. Dziki z twarzą przy szybie. Za oknami na parterze widok na hol i restaurację. Kilka stolików zajętych, turyści z bagażami.

– Nie zatrzymuj się – powiedział Igor, próbując wyłapać jak najwięcej szczegółów. Półkoliste, szerokie schody od frontu. Światła tylko w kilku pokojach, na ostatnim piętrze niemal we wszystkich.

– Zwolnij. – Wolan poklepał w oparcie fotela.

Igor przeciągnął wzrokiem po parkingu i dostrzegł vana Łukasza, stojącego z dala od skupiska samochodów. Hotel zniknął im z pola widzenia, zastąpiły go drzewa. Bolec ponownie wybrał numer Tabaka, ale zanim pojawił się sygnał, dostrzegli na poboczu światła stopu. Zjechali w zatoczkę. Gdy Tabak ich zauważył, wysiadł z samochodu i zaczął nerwowo krążyć wokół maski. Zmrużył oczy, gdy zalał go snop światła. Za bmw stał transit Fajfera. Bolec zrównał się z samochodami i wyłączył silnik. Opuścił szybę

po stronie Igora. Tabak podszedł, sztywny, roztrzęsiony, zagryzając zęby i wodząc dookoła zaszczutym wzrokiem.

– I co teraz? – spytał.

– Nie panikujcie – powiedział Igor. – Może dziewczynom zachciało się lać.

– Widziałem tam fury na serbskich rejestracjach – powiedział Tabak, wskazując palcem w jakimś nieokreślonym kierunku.

Zaciśnięta szczęka, tiki mięśniowe. Po drodze musiał wciągnąć z kilo fety.

– Jesteś pewien?

– Mówię ci, to tutaj. Jesteśmy jakieś trzydzieści kilosów od granicy. Dalej nie ma już nic.

– Wracaj do samochodu. Czekamy na telefon.

Tabak nie zrobił dwóch kroków, gdy zestaw głośnomówiący wyłapał połączenie.

– Halo? – usłyszeli ściszony głos Dagmary, przerywany przyspieszonym oddechem, jakby dzwoniła w biegu, trzymając telefon blisko ust i zakrywając go dłonią.

– Mów – powiedział Igor.

– Widzieliście hotel? – spytała.

– Tak.

– Wynajęli całe górne piętro.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem, dużo. Dużo więcej niż poprzednio.

– Dużo, to znaczy ile.

W tle śmiech jednej z dziewczyn.

– Ile, Dagmara?

– Tutaj na dole jest czterech, nie wiem ilu na górze.

– Są jacyś ludzie Olafa?

– Nie, nikogo z Krakowa. Muszę kończyć.

– Widziałaś towar?

– Nie.

– To skąd wiesz, że go mają?

– Nikt nie ma wstępu na górne piętro, nawet obsługa. Chyba na kogoś czekają. Teraz jest najlepszy czas.

– Ilu cywili.

– Jest ich trochę tu, na dole, w restauracji. Rodziny. Z dziećmi. Decyzja należy do was. – Dagmara rozłączyła się.

Nastąpiła cisza. Tabak odstał od rovera. Ukrył twarz w dłoniach i pokręcił głową w niemym zaprzeczeniu.

– Co robimy? – spytał Dziki.

Igor spojrział na Bolca. Wyglądało na to, że podjął decyzję i potrzebował tylko potwierdzenia. Bolec sięgnął pod siedzenie. W jego dłoni błysnęła dziewiątka. Przeładował ją na wysokości oczu. Powiódł pustym wzrokiem po desce rozdzielczej.

– Za późno na myślenie – powiedział. – Wjeżdżamy.

Igor skinął głową.

– Powiedziała rodziny z dziećmi.

– Chuj z nimi. Pójdzie gładko – odparł Bolec.

Błysnęły światła. Drogą przejechał samochód. Tabak wciągnął z sykiem powietrze. Odludzie niezbyt mu służyło. Wolan ziewnął, przeciągnął się.

– Pierdolę to – szeptał do siebie Tabak, coraz bardziej się nakręcając.

Igor wysiadł z rovera, za nim Wolan. Dziki usłyszał syk unoszącej się klapy bagażnika. Błysnęła latarka. Dziki pchnął drzwi i zsunął się z siedzenia. Stanął za Igorem, patrząc, jak ten sięga po płócienny worek i wyciąga z niego cztery obite dziewiątki i dwa opakowania naboju w namokniętych, wyblakłych kartonach.

– Tylko tyle? – spytał Dziki.

– Tylko tyle udało nam się zdobyć – odpowiedział Igor, rozdając Tabakowi i Wolanowi po jednym gnacie i przeładowując swojego. Wysypał naboje do zagłębienia w materiale worka, wybrał z nich garść i rozdał po gromadzących się wokół niego dłoniach.

– Słyszałeś, co powiedziała. Że jest ich dużo – ciągnął Dziki, ale nie dokończył, bo Igor szarpnął go za bluzę, a potem odepchnął, napierając klatką i zmuszając, żeby się cofnął.

– Powiedziała, że oni przyjechali tu balować. Naćpać się i poruchać. Że niczego się nie spodziewają. To są wasze słowa, wasz plan, ty nas w to wciągnąłeś, więc ogarnij się i przestań pierdolić. – Igor zajrzał ponownie do bagażnika. – Są trzy kamizelki. Bolec?

Bolec odmówił, kręcąc głową.

– Tabak? Masz spinę.

Wolan się uśmiechnął.

– Daj – powiedział Tabak, sięgnął po kamizelkę i zaczął odpinać rzepy drżącymi dłońmi.

Kamizelki były w jednym rozmiarze. Wolan miał tak wielką klatkę, że chroniła tylko środek korpusu. Igor zamknął bagażnik.

– A dla mnie? – spytał Dziki.

– Co dla ciebie?

– Spluwa.

– Nie będzie ci potrzebna.

- Co ty pierdolisz.
- Bolec, daj mu kluczyki.
- Idę tam z tobą.
- Rób, kurwa, co mówię.

Bolec klepnął Dzikiego w ramię, zostawiając na nim brelok z kluczykami.

- Macie kominy? – spytał Igor.

Tabak pokiwał głową. Igor podszedł do Dzikiego i podał mu kamizelkę.

- Załóż – powiedział.
- Sam załóż, ja zostaję w samochodzie.
- Załóż, kurwa – powtórzył Igor.

Dziki wyrwał mu kamizelkę z dłoni. Przyjrzał się jej w świetle latarki. Rozerwał rzepy i wsunął ją przez głowę. Igor mu pomógł, poprawił wszystkie zapięcia i upewnił się, że kamizelka prawidłowo przylega do ciała. Wsiedli do samochodów i ruszyli. Dziki zawrócił i skierował się w stronę bijących z hotelu świateł.

- Spokojnie, spokojnie – powtarzał jak w transie Igor.

Oddechy mimowolnie zaczęły przyspieszać. Parking posiadał dwa przeciwległe zjazdy. Dziki skręcił w ten znajdujący się w dalszej odległości od budynku.

- Jak się da, to objeżdż go dookoła – powiedział Igor.

Hotel powiększał się w przedniej szybie. Szczegóły nabierały ostrości. Rzeźbione w drewnie wzory, gładka faktura elewacji, światło rozkładające się w mroku żółtą mgiełką. Wnętrze urządzone z przepychem, marmur, ciemne drewno, kryształowe lampy. Kilka osób stojących na tarasie zwróciło na nich uwagę. Dziki wziął powolny zakręt.

Na tyłach był plac zabaw dla dzieci i kort do tenisa. Z górnych pięter

dochodziły stłumione dźwięki muzyki. Masywna ściana budynku zdawała się być barierą nie do przekroczenia. Działali poza miejską dżunglą. Tam wszystko było prostsze. Wręcz prosiło się o demolkę. Każdy miał coś na sumieniu, dlatego nie trzeba się było ograniczać w stosowaniu przemocy, tutaj natomiast musieli być ostrożni. To skupienie na niewyrządzeniu krzywdy przypadkowym osobom sprawiało, że słabli. Tracili bojowy zapał.

Okrążyli budynek i znowu znaleźli się od frontu, po drugiej stronie. Ludzie stojący przed wejściem zniknęli. Przejechali wzdłuż rzędu samochodów. Zauważyli wśród nich trzy na zagranicznych rejestracjach, dwa mercedesy i jeden lexus.

– Zatrzymaj się tam – powiedział Igor, wskazując część parkingu znajdującą się poza zasięgiem lamp, bliżej drogi. Dziki skręcił, mokra nawierzchnia lśniła po deszczu. Zatrzymał samochód. – Ustaw się przodem do jezdni, nie wyłączaj silnika – powiedział Igor.

Dziki wykonał szybki manewr, naprostował kierownicę. Tabak z piskiem opon zatrzymał się tuż za nimi, pod lekkim kątem, i to był wystarczający sygnał do działania. Wskoczył z samochodu w kominiarce, zatrzasnął drzwi i przywarł do nich plecami, w pełnym napięcia przysiadzie. Para buchała mu z ust, rozpluwając się na tle żółtej poświaty bijącej z lampy w dalszej części parkingu. Nieruchomy, czekał na pozostałych. Igor, Bolec i Wolan założyli kominiarki niemal równocześnie, poprawiając ich ułożenie w miejscu, gdzie znajdowały się wycięcia na oczy, i wygładzając brwi, tak aby znalazły się pod materiałem. Igor podał kominiarkę Dzikiemu.

– Załóż komin i czekaj – powiedział i położył mu na kolanach dziewiątkę. Długo nie mógł oderwać od niej dłoni. – Czekaj, kurwa, i nie wyłaż z tego samochodu, choćby chuj wie, co się działo.

Dziki skinął głową. Igor i reszta wysiedli, wszystkie drzwi trzasnęły tylko raz, jakby już teraz działali w pełnej symbiozie. W lusterku widział, jak biegną skrajem parkingu w stronę hotelowego wejścia, przygarbieni, czujni, niepewni na obcym terenie. Po chwili zniknęli mu z oczu.

Rozejrzał się po parkingu. Jakiś samochód przejeżdżający drogą zwolnił, kierowca musiał przyglądać się hotelowi, być może rozważał postój, ale zrezygnował i pojechał dalej. Dziki uchylił szybę. Przetarł wilgotne dłonie o spodnie i zacisnął je na kierownicy. Wyprostował ramiona, plecy wcisnął w oparcie fotela. Wstrzymał oddech. Padły pierwsze strzały. Puk, puk. Suche dudnienie średniego kalibru i znowu cisza. Potem pojedynczy strzał. W dwóch pokojach na parterze zapaliło się światło. Ktoś wybiegł na taras, przeskoczył przez balustradę i zsunął się po stromym pasie zieleni. Zaraz potem padła seria z automatu. Posypały się odłamki szkła z rozbitych szyb, huk wystrzałów przybrał na sile. Dziki spojrzał w prawe lustro. Zauważył, że z hotelu wybiegają ludzie. Biegli w ciszy i znikali w ciemności, niektórzy boso, sztywno wyprostowani, z ramionami złożonymi wzdłuż ciała, niczym aktorzy w niemym filmie, podrygujący w takt nieudolnej choreografii. Nikt nie zaryzykował ucieczki w kierunku drogi. Kolejna seria z automatu trwała nieco dłużej, poszedł cały magazynek, z krótkimi przerwami na wyłapanie celu. Dziki zaciągnął ręczny. Wyłączył silnik. Wstrzymał oddech w nadziei, że kolejne strzały padną już na zewnątrz, podczas odwrotu, ale wszystko wokół zamarło, żadnych dźwięków, chwilowy zastój, który nasuwał mu jedną, uporczywą myśl – że wpadli w pułapkę.

Spojrzał w lustro, kilka sekund wahania. Igor kazał mu tutaj zostać, ale oni powinni już wybiec z towarem, za dużo strzałów, a mieli w ogóle nie używać broni, wszystko miało pójść gładko, nie w miejscu publicznym, strzały z automatu, na to nikt nie mógł być przygotowany. Zacisnął dłoń na dziewiątce, która w tych okolicznościach wydała mu się mała i bezużyteczna. Wysiadł z rovera i gdy przeszedł kilka kroków, szyba w jednym z okien na środkowym piętrze eksplodowała, na parking posypały się odłamki szkła. Zaczął biec w stronę porośniętego trawą nasypu, który wznosił się pod sam taras. Trawa była mokra, wczepiał w nią palce, żeby się nie zsunąć, podeszwy ślizgały się po sztucznie spulchnionej glebie, podsypanej czarnym torfem. Gdy znalazł się na szczycie, wyjrzał przez balustradę. Przeszkłone drzwi, z których została sama rama, otwarte na oścież, droga ucieczki usłana odpryskami szkła. Na podłodze między stołami leżało ciało mężczyzny,

podwinięta koszulka, rozstępy na biodrze, spodnie od dresu, japonki, tatuaż na karku. Jeden z nich, poważny gracz, ciężkie lata na siłce i w biznesie, leżał twarzą w kałuży krwi. Dziki przeskoczył przez balustradę, wbiegł do restauracji i przykucnął za drewnianą ławą. Skupił wzrok na przeciwnym końcu sali, gdzie widać było rozświetlone foyer. Odczekał kilkanaście sekund i lekko zgarbiony zaczął kluczyć między stolikami. Zbłąkane kule roztrzaskały kilka talerzy. Kawałki żarcia lepiły się do ścian. Przykucnął na dźwięk strzałów, które padły w dalszej części budynku. Podpełził wzdłuż baru i wyjrzał do foyer. Marmurowa podłoga, recepcja i schody prowadzące na piętro. Przywarł plecami do ściany i wycelował w nie. Z góry dochodziła muzyka. Żadnych innych dźwięków. Poluzował dłonie i poprawił ułożenie palców na uchwycie dziewiątki. Pot spływał mu na oczy. Zrobił kilka kroków, przystanął. Zza blatu recepcji wyłonił się pracownik hotelu – dwudziestokilkuletni chłopak w białej koszuli, z ramionami uniesionymi w górę. Musiał się tam ukryć i widzieć, jak Dziki zmierza w jego stronę, odcinając mu drogę ucieczki. Zamknął oczy, jakby karciał się w myślach za podjęte ryzyko i wstrzymując oddech, wskazał Dzikiemu przejście wiodące do kompleksu rekreacyjnego. To stamtąd padła kolejna seria. Chłopak, słysząc strzały, jeszcze mocniej zacisnął powieki. Dziki powoli okrążył recepcję. Wąski korytarz był dobrze oświetlony, wyłożony antypoślizgowymi kafelkami. Na końcu uchylone, dwuskrzydłowe drzwi. Dziki ruszył w ich stronę. Odciągnął prawe skrzydło, uderzyła go fala ciepła. Zatopił się w kłębach pary. Relaksujący zapach mięty, chloru i wilgotnych murów. Smugi zielonkawego światła wzdłuż podłogi wyłożonej drobną mozaiką, śliską jak mokre szkło. Dziki skupiony na wyłapaniu jakiegokolwiek ruchu, obracał się wokół własnej osi, podążając wzdłuż linii wytyczonej przez światła. Para pod wpływem jego ruchu zaczęła się przersedzać, polepszając widoczność. Łaźnia. W rzymskim stylu. Bulgoczące, solankowe roztwory w dębowych baliach. Pękające pęcherze powietrza. Poślizgnął się i spojrzał w dół. Rozmazane plamy krwi. Podążył ich śladem, stanął nad jedną z bali i przyjrzał się kołyszącemu się w niej ciału. Wytatuowane plecy z dziurami po kulach, zwoje nieco sflaczałych mięśni. Drugi dostał w głowę, ale zdołał się przeczołgać kilkanaście metrów w głąb łaźni. Leżał przy prysznicach,



poskręcane, czarne włosy na ramionach, odłupana połowa czaszki. Dziki zerwał mu z szyi złoty łańcuszek i od razu przykucnął, bo padła kolejna seria, tym razem blisko, niemal za ścianą, wybrzmiewając po łaźni dudniącym echem. Oczy piekły go od potu z domieszką skroplonej soli. Metaliczny zapach krwi i chloru. Ze słuchawek prysznicowych lała się woda, oczyszczając powietrze z pary. Przemknął do szatni. Na podłodze ślady krwi, odcisnięte podeszwami butów, równy trucht, bez poślizgów, bez oglądania się za siebie. Wąskie, metalowe szafki zdawały się nie mieć końca. Krzyki, coraz głośniejsze. Potem kilka słów w innym tonie, tonie negocjacji, śmiech jako odpowiedź, płacz jednej z dziewczyn, kolejny strzał. Głuche, powolne wybrzmienie, wpłynęło do szatni jak wzburzona fala, rozkładając się równomiernie po całej powierzchni. Kolana się pod nim ugięły, gnata o mało nie wypadł mu z dłoni. Dzikie piski, nawoływanie, zmiana pozycji. Regularna bitwa. Smród gówna z kibli. Jedne z drzwiczek do kabiny otwarte, na kiblu nagi Serb, głupawa mina zarośniętego bandyty ze spaghetti westernu, łapy między udami, dwie kule w brzuchu, zawartość jelit w kiblu. Zbiornik syczących gazów.

Dziki przyspieszył. Wyjście na basen oddzielone wąskim brodzikiem. Za drzwiami znowu spokój, zdradliwy, zachęcający do działania. To nie był płacz Dagmary – powtarzał w myślach. Nie zdążył sprawdzić, bo w drzwiach stanął Igor. Znowu spotkali się twarzą w twarz, jak w mieszkaniu na urodzinach matki, tylko że tym razem to Igor był na przegranej pozycji, jego oczy ziały furiją i strachem, nie był przygotowany na to, co go tutaj spotka.

W pierwszym odruchu poderwał gnata, lecz po chwili rozpoznał Dzikiego, wyciągnął dłoń, z którą jeszcze nie do końca nawiązał kontakt, i pchnął go z powrotem, nakazując odwrót. Za jego plecami rozległo się przeciągłe wycie. Szczęk przeładowywanej broni, przekleństwa w serbskim języku. Dziki naparł na Igora, dziwnie zwiotczały, siła pozostała tylko w ramionach, które wyciągnął w kierunku drzwi, mamrocząc coś pod nosem.

– Tam jej nie ma – powiedział Igor i na moment ustąpił, pozwolił, aby Dziki uchylił drzwi i zajrzał do środka.

Jego oczom ukazał się fragment basenu, wzburzona woda, czerwona od krwi. Pływały w niej ciała dwóch dziewczyn. Zanim zdążył je rozpoznać, dłoń Igora zacisnęła się na jego karku. Szarpnięcie, lewa stopa została w brodziku, upadł na kafelki. Igor pchnął go butem. Dziki wstał, kolejne pchnięcie rzuciło go na ścianę. Igor znowu skoncentrowany. – Idź – powiedział. Dziki ustąpił, dał się poprowadzić. Przebiegli przez łaźnię i znaleźli się z powrotem przy recepcji. Igor wystąpił na przód i zaczął się powoli skradać w kierunku schodów, które zakręcały na półpiętrze. Przyłgnęli do ściany, jeden obok drugiego. Igor dał znak głową, że rusza pierwszy. Łapiąc krótkie wdechy, odliczył do trzech, dwoma skokami dotarł na półpiętro, wyrzał za ścianę i przywołał Dzikiego. Ostatnie stopnie pokonali bardzo ostrożnie, schylając się ku ziemi i celując w głąb ukazującego się przed nimi korytarza. Drzwi do niektórych pokoi były otwarte, po podłodze walały się prywatne rzeczy hotelowych gości, którzy, słysząc strzały, pognali w panice do wyjścia. Z góry dochodziły przesterowane dźwięki ruskiego disco. Podkręcone basy, jarmarczna melodia. Znowu zaczęli wspinać się po schodach, muzyka coraz głośniejsza. Gdy znaleźli się na kolejnym piętrze, przykucnęli nisko nad ziemią po przeciwnych stronach. Przed nimi ciągnął się taki sam korytarz, z tą różnicą, że tutaj panował półmrok, gdyż większość żarówek została przestrzelona. Wszystkie drzwi były zamknięte. Pokój, z którego dudniła muzyka, znajdował się gdzieś pośrodku. Igor ruszył w jego stronę. Gdy przeszedł kilka kroków, z pokoju po lewej wypadł pijany Serb. Usta otwarte w bojowym okrzyku, ale nie zdążył wydobyć z nich żadnego dźwięku, gdyż Igor precyzyjnie podziurawił go kilkoma kulami. Serb dostał w gardło, chlusnęła krew, upadł na podłogę i czołgał się przez chwilę, próbując przełożyć bulgot krwi na jakieś słowa. Igor ominął go, stanął obok kolejnych drzwi po prawej i gdy upewnił się, że to właściwy pokój, wyważył je kopniakiem, od razu odskakując za ścianę. Z pokoju huknęła muzyka, nie padły jednak żadne strzały. Igor stanął w drzwiach, celując przed siebie. Na środku pokoju zataczał się Serb. Nagi od pasa w górę szkielet z wytatuowaną klata. Ledwo trzymał się na nogach, wyginało go na wszystkie strony, nieobecny wzrok szukał zagrożenia. Trzymał przed sobą wielki, myśliwski

nóż i zataczał nim ostrzegawcze kręgi. Dziki przywarł do framugi, zerkając przez otwarte drzwi na pokój, choć większą część uwagi skupił na dalszej części korytarza. Igor zrobił krok do przodu i wycelował w Serba, z łatwością unikając jego słabych, nieporadnych ciosów.

– Heroina! – krzyknął.

Serb wyszczerzył przegniłe zęby. W piosence wokal przeszedł w solo grane na harmonii. Igor strzelił mu w głowę. Siła odrzutu wygięła Serba w łuk, niemal łamiąc go w pół. Następnie Igor strzelił w odtwarzacz, posypały się kawałki plastiku, nastąpiła cisza. Wsłuchali się w nią, jakby dało się w niej wychwycić szelest przesypującej się hery. Na dole padły kolejne strzały, tym razem blisko, w foyer. Dzikie wrzaski Serbów. Ktoś chyba wymachiwał maczetą, bo dodawał sobie odwagi bojowym rykiem, narastającym i urywanym, w rytm zamachu i niepewnego cofania. Słychać też było krzyki kobiet, więc nie wszyscy ewakuowali się z drugiego piętra. Igor otworzył szafę. Była pusta. To samo w szafkach przy łóżku i łazience. Na stoliku stała flaszka, lepka od brązowego osadu fajka do cracku i resztki towaru, przesypane na sreberko. Wyszli na korytarz. Od jego końca dzieliło ich pięć pokoi, z jednej i drugiej strony. Naścienne kinkiety za co drugimi drzwiami zalewały ściany smugą światła w trójkątnym kształcie wycinka na mapie radaru. Uwaga, pogoda w każdej chwili może się zmienić. Przewidywane silne deszcze krwi.

Igor przywarł do ściany tuż poza zasięgiem światła. Odwrócił głowę i przytknął palec do ust, powoli, jakby nawet ten ruch mógł spowodować jakiś hałas. Dopiero w tej ciszy i bezruchu Dziki poczuł, że każdy mięsień w jego ciele podskakuje w takt innego impulsu. Jedne nakazywały mu ucieczkę, inne podgrzewały krew do ataku. Jedyne gnata trzymany oburącz był w miarę stabilny, działał poza prawami rządzącymi paniką. Dziki otarł spocone czoło o tapetę. Lekko chropawa, pachnąca klejem faktura. Hotel musiał powstać niedawno. Słodkawa, mdląca woń świeżej wykładziny. Igor wycelował gnata w głąb korytarza. Końcówka lufy znalazła się na granicy światła i ciemności. Drzwi po lewej otworzyły się. Ktoś się wychylił i niemal od razu padły strzały. Igor i Dziki przyklekli. Wystrzelone na oślep kule podziurawiły

ścianę. Odpryski tynku zasypały im twarze. Z pokoju dobiegły ich odgłosy szarpaniny. Męskie, zduszone powarkiwanie i jęk kobiety. Jęk przeszedł w zawodzenie, błagalny ton, szybko stłumiony, wraz z oddechem i wszelkim oporem.

– Dziki, stój – szepnął Igor, ale było już za późno.

Dziki ruszył w kierunku pokoju, z którego dochodziły głosy. Igor przestał go nawoływać i wycelował w korytarz, skupił się na tym, by go osłaniać, na wypadek gdyby ktoś znowu zaczął strzelać, jednak Dziki zdawał się w ogóle o tym nie myśleć. Opuścił nawet gnata, posuwając się do przodu drobnymi krokami, jakby ogarnął go nagły paraliż, który z trudem starał się przełamać. Tuż przed drzwiami instynkt nakazał mu się jednak zatrzymać, odczekać. Przywarł do ściany. Igor znalazł się nieco bliżej, osłaniał go, przekazując wzrokiem krótką informację: cofnij się i pozwól, że zrobię to za ciebie. Dziki nie zdążył tego rozważyć. Kolejne jęknięcie przyciągnęło go jak magnes. Nawet nie wiedział, w którym momencie zrobił krok, stając w drzwiach, mrużąc oczy i celując niemal na oślep w głąb pokoju.

Dagmara stała przy ścianie, boso, w szlafroku i mokrych po kąpieli włosach. Stojący za nią Serb był wyższy o głowę. Miał na sobie spodnie od garnituru i rozpiętą, białą koszulę. Potężne, żyłaste przedramię zaciskało się na jej szyi, niemal unosząc jej wiotkie ciało nad podłogą. Uścisk był tak silny, że przestała wydawać z siebie jakiegokolwiek dźwięki, skupiając się tylko na oddychaniu. Serb miał wytatuowane na ramionach wieloramienne gwiazdy, świadczące o przynależności do ruskiej mafii i cechował go tamtejszy spokój i opanowanie w obliczu śmierci. Celował Dagmarze w głowę z czterdziestki. Szczelnie zasłonił się jej ciałem. Dziki spojrzał jej w oczy. Oboje wiedzieli, że nie mogą okazać żadnych emocji, świadczących o tym, że się znają. Wszędzie były kamery, a ktokolwiek posłał tu swoich ludzi, prędzej czy później zdobędzie nagrania. Nie dało się wymienić informacji podprogowo. Ciśnienie było zbyt duże. Dziki nie przestawał celować w Serba, choć zdał sobie sprawę, że tak naprawdę celuje w nią. Powinien teraz strzelić. Śmierć dziwki nie stanowiła żadnego problemu. Skoro byli gotowi poświęcić życie przypadkowych ludzi, co

mogła znaczyć śmierć dziwki. Serb chyba to zrozumiał. Uśmiechnął się i mocniej przycisnął gnata do jej skroni. I wtedy zza pleców Dzikiego padły dwa strzały. Ciałem Dagmary szarpnęło, otworzyła szeroko usta i wciągnęła ze świstem powietrze. Na jej białym szlafroku zaczęły wykwitać plamy krwi. Jedna na klatce piersiowej, druga na brzuchu. Spojrzała w dół. Krew ciekła jej po łydkach i spływała na dywan. Serb również oberwał – kulą, która przeszła przez jej flaki. Puścił Dagmarę i osunął się na kolana. Dagmara zaczęła czołgać się w stronę łóżka, zatrzymując w płucach resztki powietrza, w których zamiast tlenu było coraz więcej krwi.

– Dziki, nie reaguj – powiedział Igor i stanął nad Serbem. Uniósł prawą nogę i kopnięciem rozpląszczył go na ziemi. – Gdzie jest heroina – spytał, celując mu w twarz. – Heroina.

Serb się uśmiechał. Dziki nie mógł oderwać wzroku od Dagmary, która wspięła się na łóżko, zwinęła w kłębek i znieruchomiała, przyciskając dłonie do brzucha. Zapamiętał jej drobne, bose stopy, które próbowała schować pod pościelą.

– Dziki, przejmij go! – zawołał Igor.

Dziki uniósł wzrok, ale słowa Igora zdawały się do niego nie docierać. Serb próbował się podnieść, plując krwią. Igor wpadł do łazienki. Szarpnął zasłonę w kabinie prysznicowej. W brodziku leżała sportowa torba. Rozpiął zamek i zajrzał do środka. Kilkanaście foliowych paczek owiniętych brązową taśmą. Zważył jedną w dłoni. Przegryzł folię na zgięciu i zlizął wysypujący się proszek. Hera na języku była jak dodatkowy zastrzyk adrenaliny. Gdy wrzucał paczkę z powrotem do torby, w pokoju rozległ się pojedynczy strzał. Igor zapiął zamek, zarzucił torbę na ramię, wyszedł z łazienki. Dziki stał nad Serbem, celując mu w głowę, choć poprzedni strzał wyrwał mu połowę czaszki. Igor go szarpnął.

– Dziki, mam towar. Idziemy.

Dziki nie poruszył się.

– Dziki – powtórzył Igor, powstrzymując się przed tym, by go szarpnąć i

wypchnąć z pokoju, co mogłoby zdradzić ich bliższą relację.

– Ona żyje – powiedział Dziki.

– Kurwa.

Dziki z uporem wyciągnął dłoń i wskazał Dagmarę.

– Sprawdź, czy żyje – dodał dziwnie spokojnym głosem.

Igor pochylił się nad ciałem, sprawdził puls, spojrzawszy Dzikiemu w oczy i pokręcił głową. Potem wskazał drzwi, puszczając Dzikiego przodem.

Gdy zbiegali po schodach, na dole padł jeszcze jeden strzał. Igor zatrzymał się, wychylił głowę zza ściany, rozejrzał się po foyer. Tabak klęczał nad jakąś kobietą, prowadząc nieudolną reanimację. Serb, do którego strzelił, nadal żył, zwijał się na podłodze i zanosił skrzekliwym płaczem. Bolec ciągnął do wyjścia rannego Wolana. Kula trafiła go tuż nad lewym okiem i z tyłu czaszki wyrwała mu dziurę wielkości piłki do golfa, ale pomimo to Wolan nadal żył, choć jego ruchy były sztywne, jakby połączenia nerwowe zaczęły szwankować i działał już tylko instynkt przetrwania.

– Mam towar! – zawołał Igor, zbiegając po schodach.

Tabak zaczął obmacywać brzuch kobiety. Była w ciąży. Musiała zginąć od przypadkowej kuli.

– Zostaw ją. – Igor odciągnął go od niej, wybiegli przed hotel i szybkim truchtem ruszyli w stronę swoich samochodów. Ich wyrównane oddechy zlały się z rytmem kroków, szczękiem stali, która stygła im w dłoniach. Nie ubiegli kilkudziesięciu metrów, jak z drogi zjechał samochód. Tuż przed wjazdem na parking zwolnił. Zasłoniły go drzewa, zza których przebijało pełznące po nich światło reflektorów. – Do samochodu! – zawołał Igor.

Przyspieszyli. Bolec wepchnął Wolana na tylne siedzenia, siadł za kierownicą i odpalił silnik. Tabak był szybszy, już ich wyprzedził i przejechał na skrót przez pas zieleni, zahaczając podwoziem o powtykane w ziemię kamienie. Samochód, który wjeżdżał od drugiej strony, zaczął nabierać prędkości. Wszedł ostro w zakręt i gdy zbliżył się na dostateczną odległość,

rozpoznali vana, którym Łukasz przywiózł dziewczyny. Van zatrzymał się jakieś piętnaście metrów od nich i oślepił ich długimi światłami, przez co nie mogli zobaczyć, kto znajduje się w środku. Igor przystanął. Bolec ruszył, krzycząc, żeby wsiadali.

– Igor – wymamrotał Dziki, powoli wybudzając się z letargu, myślami nadal w tym pokoju, nad jej ciałem.

Igor uniósł dziewiątkę i wycelował w vana. Tym razem reakcja Dzikiego była szybsza. Rzucił się na Igora, niemal stając na linii strzału, ale ten go odepchnął.

– Nie! – wrzasnął Dziki.

Jego krzyk zagłuszył huk opróżnianego magazynka. Samochód cofnął się w gwałtownym zrywie, ale nie zdołał ujechać nawet kilkunastu metrów, bo puszczony sprzęgło zablokowało napęd i silnik zgasł. Igor strzelał, dopóki nie opróżnił magazynka. Światła pogasły, lewa strona osiadła na przestrelonej oponie. Z maski unosił się dym, podziurawiona szyba zmieniała się w siatkę drobnych pęknięć. Igor się cofnął, wrzucił torbę do bagażnika i klasnął w dłoń. Wciągnął Dzikiego na tylne siedzenie i sam siadł obok Bolca. Gdy wyjeżdżali z parkingu, Dziki spojrzał w tylną szybę. Z vana wysiadł Łukasz i przytrzymując się drzwi, stał przez chwilę, patrząc za odjeżdżającym samochodem. Lewą dłoń dociskał szyję, próbując zatamować krwotok z tętnicy. Gdy wyjeżdżali na ulicę, jeszcze chwiał się na nogach, dwie sekundy później już się czołgał.

– Iiiuuu! – Igor wzniósł bojowy okrzyk i ściągnął kominiarkę. Błysnęły białe zęby. Zaśmiał się na całe gardło.

Ryk silnika się wzmagił, automat wypluwał kolejne biegi. Transit czekał w zatoczce z włączonym silnikiem, trochę dalej x1 Tabaka. Bolec przejechał obok nich. Nieco zwolnił, czekając, aż nabiorą tempa. Kilometr dalej skręcili w leśną drogę. Bolec nie zwalniał, samochód skakał na wybojach. Wolan mamrotał coś pod nosem, chyba modlitwę, kogoś przeproszał. Głowa latała mu na wszystkie strony, strużka rzygów zwisała z kącika ust. Kula

uszkodziła mu układ nerwowy, ale nadal żył. Jęczał i zawodził. Upośledzona góra mięśni. Śliniace się, łyse dziecko. Dziki powoli od tego wariował. Myślał o glinach. Niebiesko-czerwonych światłach, które zaraz zaczną błyskać między drzewami. Bolec szarpnął kierownicę. Tył samochodu uderzył w drzewo. Błoto prysnęło spod kół na szybę, przez moment zupełnie stracili widoczność. Wszystko wokół wirowało. Stawało się przeszkodą. Pomimo tego jechali dalej, orząc kołami błotnistą drogę. Nikt nie wydawał poleceń. Nie było żadnego planu awaryjnego. Tylko desperacka ucieczka jak najdalej od tej rzezi.

Las się skończył, droga wychodziła na otwartą przestrzeń. W oddali skupisko świateł położonej w dole wsi. Zjechali w pole, pod kołami rozległ się szelest świeżo skoszonego ścierniska. Bolec wyłączył światła i nieco zwolnił, by przyzwyczać wzrok do ciemności. Po przejechaniu kilkuset metrów zatrzymał się. Dwa pozostałe samochody go wyprzedziły. Tabak zawrócił i podjechał pod sam zderzak, transit pozostał w dalszej odległości. Siła hamowania pchnęła Wolana do przodu, głowa opadła mu bezwładnie na klatkę piersiową. Dziki go trącił, Wolan był martwy. Na zewnątrz trzasnęły drzwi. Fajfer wysiadł z transita i poganiał ich, machając rękami. Rozsunął boczną klapę i zaczął wyciągać ze środka kanistry z benzyną. Igor i Bolec wysiedli. Bolec zaczął się rozbierać, rzucając ciuchy na siedzenie. Igor otworzył bagażnik i wyciągnął z niego torbę z łupem. Sięgnął w kierunku zamka i w tym momencie Dziki zaatakował. Pierwszy cios lekko go zamroczył. Dostał w potylicę, tuż za uchem. Dziki przylepił się do niego, wciskając mu przedramię w grdykę i oplatając go nogami. Igor się szarpnął, próbując go z siebie zrzucić, ale wtedy spadły kolejne ciosy. Zasłonił głowę, przyjmując wszystko na ramiona. Reszta stała i gapiała się, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Dziki, posłuchaj mnie – zaczął Igor, ale Dziki nie przestawał go okładać.

Przewrócili się na ziemię. Igor podrzucił biodra, wyszedł z dosiady i przygwoździł Dzikiemu swoim ciężarem. Dziki nadal się rzucał, ale szybko słabł. Próbował dosięgnąć palcami twarzy Igora, wydając z siebie tłumione



jęki, pełne furii i bezsilności. Igor chwycił go wreszcie za kaptur bluzy, wcisnął mu pięść w tętnicę szyjną i przytrzymał, czekając, aż krew przestanie dopływać do mózgu. Dziki wysunął język, walcząc z ciśnieniem rozsadzającym mu czaszkę. Igor pochylił się nad nim. – Posłuchaj, kurwa! – krzyknął, zbliżając swoją twarz do jego tak, że nieomal zderzyli się czołami. – Powiedziała: lokal na uboczu. Powiedziała, że Olaf w tym pośredniczy. Widziałeś gdzieś jego ludzi? Widziałeś jebany lokal na uboczu?

Dziki przestał się rzucać. Jego oddech wchodził w płytkie, świszczące tony. Igor go puścił. Dziki przewrócił się na bok i zaniósł kaszlem. Igor wstał i zaczął krążyć wokół niego, próbując rozładować agresję. Sięgnął po torbę, otworzył ją i znowu przyklęknął przy Dzikim, prezentując mu jej zawartość.

– Powiedziała małe ilości. Widzisz, ile tego jest? Patrz, kurwa!

Igor przetarł usta rękawem i splunął. Dziki wstał, Bolec rzucił w jego stronę foliowy worek z ubraniami.

– Przebierz się – powiedział.

Tabak stał przy roverze, pochylał się nad martwym Wolanem. Mamrotał coś pod nosem i pocierał dłonią czubek głowy. Igor rozejrzał się po wszystkich i uniósł w górę torbę.

– Panowie, tu jest jakieś dwadzieścia kilo. Wracamy z tym do domu?

Nikt się nie odezwał.

– Pytam, czy wracamy z tym do domu.

Bolec podszedł do Tabaka, odepchnął go i zaczął przeszukiwać kieszenie Wolana. Igor zaniósł torbę z heroiną do transita, wrzucił ją do bagażnika i sięgnął po pięciolitrowy baniak z wodą. Rozebrał się, uniósł baniak nad głowę i zaczął się polewać, dysząc na zimnie. Przemył dokładnie twarz, kark i dłonie, po czym zakręcił baniak i rzucił go w stronę Dzikiego, dopiero teraz zauważając, że ten się jeszcze nie przebrał, stał w tym samym miejscu i toczył dookoła nieobecny wzrokiem.

– Dziki, rozbieraj się – powiedział Igor. Żadnej reakcji. Schylił się po

dziewiątkę i wycelował w niego. – Jak nie zaczniesz robić tego co mówię, wsadzę cię do tego samochodu i spalę razem z Wolanem.

Dziki powoli sięgnął po baniak z wodą. Postawił go obok siebie, zdjął buty i zsunął spodnie. Przewlekł je przez bose stopy.

– W tym vanie był Łukasz – powiedział, ściągając koszulkę i stając nagi przed Igorem.

– Co?

Uniósł baniak i przechylił go nad głową. Woda spłynęła mu po twarzy, upił kilka łyków, ostatnim przepłukał usta.

– Zabiłeś go. Teraz będą wiedzieć, że to nie Olaf za tym stał. Olaf nie posłałby grupy, która strzelałaby do jego syna.

Igor naciągnął spodnie.

– Jebać to – powiedział.

Gdy skończyli, wrzucili wszystko do rovera, oblali dwa samochody benzyną i podpalili.

W powrotnej drodze ustalili plan działania. Igor miał rozejrzeć się za kupcem na towar. Z taką ilością mogło mu to zająć trochę czasu, bo nie mógł tego puścić po swoich dilerach, tylko musiał sprzedać hurtem, komuś z zewnątrz, najlepiej bez pośrednika. Nikt w mieście nie mógł się dowiedzieć, że byli w to zamieszani. Nie, dopóki spłyną pieniądze. Każdy miał wrócić do swoich obowiązków. Nie liczyli na głos trupów, każdy zrobił rachunek w swojej głowie. Mówili tylko o podziale zysków, rozważali możliwości, żaden z nich nie śmiał jednak przyznać, że zrabowanie takiej ilości dragów oznaczało wojnę.

### 3

Wysadzili Dzikiego pod blokiem. Tabak zasunął za nim drzwi. Wstawał świt. Świergot ptaków niósł się po murach metalicznym echem. Wszedł do mieszkania, starając się poruszać cicho, dyskretnie. Domowy zapach kuchni, rozgrzanej ceraty i zwietrzałych przypraw wywołał w nim mdłości, i o mało nie zwymiotował na podłogę. Zamknął się w łazience, usiadł na kiblu i głęboko oddychał, czekając, aż mdłości miną, zlany zimnym potem. Wstał i zaczął chodzić w kółko przy zgaszonym świetle. Kolejny atak paniki. Wywołało go nagłe zderzenie z ciszą, ciasnotą mieszkania. Wziął prysznic, polewając się zimną wodą, jakby chciał się ukarać, zamrozić i rozbić o ścianę na milion kawałków. Obejrzał paznokcie. Sięgnął po żyletkę i poprawił w kilku miejscach, wrzynając się głęboko w skórę. Zarzucił ręcznik na biodra, wyszedł z łazienki i przemknął do swojego pokoju. Gdy zamknął za sobą drzwi, usłyszał cichy głos Ewy.

– Dziki...

Położył dłoń na klamce, przytrzymał ją.

– Byli tu jacyś ludzie – powiedziała.

– Kiedy?

Delikatnie przekręcił klucz w zamku.

– Godzinę temu.

Oparł się o ścianę. Przełknął ślinę.

– Czego chcieli?

Nacisnęła klamkę. Odczekała chwilę.

– Pytali o ciebie i o Igora.

– Co im powiedziałaś?

– Że Igor już tutaj nie mieszka. Ty też.

– Idź spać, słyszysz?

Nie poszła. Stała i nasłuchiwała.

– Dziki, co się stało?

Nie odpowiedział. Zrzucił ręcznik z bioder i ruszył w stronę łóżka, małymi kroczkami dziecka stąpającego nad przepaścią.

– Dziki. – Ponownie nacisnęła klamkę, tym razem mniej pewnie, jakby nie była do końca przekonana, czy chce otworzyć te drzwi. Po chwili się wycofała, bo zrozumieli się bez słów.

Dziki zaciągnął zasłony i usiadł na łóżku. Instynktownie kalkulował, na kogo przerzucić swą miłość, której nie zostało w nim zbyt wiele.

## 4

Przeleżał kilka godzin w stanie czuwania. Może było w tym trochę snu, wewnętrzny przymus regeneracji, przebudzenie równie nagłe jak te krótkie utraty świadomości. Poderwał się na łóżku i rozejrzał po pokoju. Skupiony na wyrównaniu oddechu położył się na plecach i leżał tak przez jakiś czas, patrząc w sufit i powoli przełykając ślinę. Potem dźwignął się na łokciu, zsunął kołdrę do bioder i zaczął nasłuchiwać, chcąc sprawdzić, czy ktoś jest w mieszkaniu. Nie doszły go żadne dźwięki, więc wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Poraziło go światło, przysłonił oczy wierzchem dłoni i odczekał, aż przestaną łzawić. Spojrzał na ubrania z wczorajszej nocy, złożone w kostkę na krześle. Podszedł i dokładnie je obejrzał, szukając śladów krwi lub plam po benzynie. Wyblakłe ciuchy kupione na wagę. Upchnął je w reklamówce i zostawił pod drzwiami. Czuł dziwny spokój. Fakt, że Dagmara nie żyje, był częścią układanki, czymś co stanowiło jedynie mały element większej tragedii, która miała ciąg dalszy. Nocna wizyta utrzymała w nim czujność, nastawiła go na kolejny cel. W sytuacji zagrożenia nie musiał rozpamiętywać przeszłych wydarzeń, nieważne jak mocno go dotknęły. Tęsknota i ból były czymś chwilowym, czymś, co dało się szybko zastąpić, jeśli kierowała tobą wola przetrwania.

Wyszukał w jednej z kieszeni telefon, podłączył go do ładowarki i uruchomił. Gdy tylko urządzenie złapało zasięg, zasypały go nieodebrane połączenia. Dzwonił Hiro, kilka nieznanymi numerów, brak wśród nich numeru Olafa. Wyszedł z pokoju w samych slipkach i stanął w korytarzu, ponownie nasłuchując. Uchylił drzwi do pokoju Ewy. Odczekał kilka sekund i zajrzał do środka, spuszczać nisko głowę, a dopiero potem unosząc wzrok, na wypadek gdyby ich spojrzenia się spotkały i w tym pierwszym momencie ona mogła wyczytać z niego całą prawdę.

Zabrała dziecko – pomyślał, sunąc wolnym krokiem w kierunku łazienki. Szybko wyczuła zagrożenie. Odlął się, spluwając w strugę moczu. Wszedł do

pokoju matki i otworzył okno. Odczekał, aż świeże powietrze wymiesza się ze stęchłą zawieszoną, likwidując woń moczu bijącą spod pościeli. Stał nad łóżkiem. Matka leżała na boku. Prawą dłoń wsunęła pod policzek. Miała lekko rozchylone usta i zamknięte oczy. Dziki przytknął ucho do jej ust, by sprawdzić, czy oddycha. Na stoliku obok stały ampułki z lekami. Jedna otwarta i przewrócona, wysypało się z niej kilka tabletek. Szklanka z wodą pełna. Dziki sięgnął po jedną z ampułek, odczytał nazwę leku i sposób dawkowania. Ewa nigdy nie zostawiała leków przy matce. Po ilości tabletek nie był w stanie stwierdzić, czy przyjmowała je regularnie, natomiast jej wygląd dobitnie świadczył o zaniedbaniu. Przetłuszczone włosy, ostra woń potu i moczu. Zsunął kołdrę, matka nie zareagowała. Koszula nocna była wygnieciona i pożółkła w miejscu bioder. Podciągnął materiał koszuli, rozsunął jej zakleszczone uda i zdjął matce pieluchę, odwracając wzrok i starając się, by palce nie dotykały jej skóry. Przykrył ją, a gdy ponownie na nią spojrzał, matka miała otwarte oczy i poruszała nimi na boki, jakby świadoma jego obecności i tego, co z nią robi. Przykłęknął i dotknął jej twarzy. Rozbiegany wzrok powoli skupiał się w jednym punkcie. Przebłysk świadomości szybko wygasał, lecz Dziki po raz pierwszy miał wrażenie, że jest w tym jakiś element gry, który ma uspić jego czujność.

Zgarnął ampułki z lekami ze stolika i wyszedł z pokoju. Dzisiaj miał ranną zmianę, co oznaczało, że od dwóch godzin powinien być w robocie. Pora zacząć drugą część przedstawienia. Tę najtrudniejszą. Ubrał się trochę inaczej niż zwykle. Proste džinsy, bluza bez kaptura. Wyszedł z mieszkania i pojechał na Prądnik. Zostawił samochód na parkingu przy osiedlowym sklepie i ruszył pieszo w kierunku bloku, w którym mieszkał z Dagmarą. Zatrzymał się przy śmietnikach, obserwując klatkę schodową i ulicę przecinającą osiedle. Szukał wzrokiem zaparkowanych przy chodnikach samochodów z przyciemnionymi szybami, małych, którzy mieli stać na czujce. Nie zauważył nic niepokojącego, więc ruszył w stronę klatki, luźnym krokiem, na wypadek, gdyby był obserwowany. Wjechał windą na szóste piętro, stanął przy drzwiach, zadzwonił. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę, drzwi były otwarte. Pchnął je delikatnie, nasłuchując, czy ktoś jest w

środku. Cisza. Wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na podłogę, w rogach nadal widać było niedomytą krew. Pod nogami piętrzyło się kłębowisko butów zrzuconych z półek. Zapukał do pokoju Baški. Żadnej odpowiedzi. Uchylił drzwi. W pokoju panował bałagan, porozrzucane ciuchy, zerwane zasłony. W kuchni to samo. Pootwierane szafki, na podłodze stłuczone naczynia. Na stole stała otwarta puszka po kawie i trzy kubki pełne ciepłych jeszcze fusów. W powietrzu unosił się zapach męskich perfum, ciężkie, drzewne nuty wzbogacone nadwyżką testosteronu.

Wszedł do pokoju Dagmary. Tutaj szczególnie przyłożyli się do demolki. Podnieśli łóżko i zostawili je oparte o ścianę. Spłaszczony sprężyny, wygnieciony materac. Na podłodze podeptane kosmetyki. Roztarte plamy pudru. Opróżnione szafy. Kłębowisko kolorowych ubrań, drobne, rozciągliwe skrawki materiału w niemal dziecięcym rozmiarze. Było tu również trochę jego rzeczy, ale postanowił ich nie ruszać. Wrócił do kuchni, zajrzał do łazienki. Deska klozetowa uniesiona, kibel zalany szczynami. Przez chwilę zastanawiał się, co mógłby stąd zabrać. Coś, co wartościowało jej istnienie. Coś, co powinno się znaleźć na dnie jej grobu. Telefon zawibrował mu w kieszeni. Odebrał.

– Halo?

– Gdzie jesteś? – spytał Hiro.

Dziki odliczył w myślach dni tygodnia. Dzisiaj był czwartek. W środę wieczorem dojeżdżały samochody, w których instalowali towar, na drugi dzień trzeba było jak najszybciej je rozebrać. Robota Dzikiego. Nikt nie lubił, jak towar zbyt długo siedział na myjni.

– U Dagmary.

Hiro szybko zmienił temat.

– Słyszałeś, co się wczoraj stało?

Powiedział, że nie. Hiro zaczął mu zdawać relację z tego, co słyszał w porannych wiadomościach. Powiedział, że zamyka myjnię.

– Nie zamykaj. Już tam jadę.

Dziki rozłączył się. Wieść rozeszła się szybko. Mógł się tego spodziewać. Zrobili rzeźnię, o której będzie głośno na całą Polskę. Uzbrojeni chuligani w kompleksie rekreacyjnym. Prawie jak mały w cyrku. Nawet przez chwilę nie poczuł, że rządzi światem.



## 5

Na myjni wszyscy się gorączkowali, co wcale go nie zdziwiło. Hiro miał na mieście wielu wrogów. Nie pytał też o wrogów tych, których przyjmował do pracy, a przerobiło u niego pół Nowej Huty. Ci co chcieli wyjść na prostą, ale im się nie udało. Bogate fury kusiły, zwłaszcza jak ten, co je myje, sam kiedyś takimi jeździł. Każdy mógł tu wejść i zrobić rzeźnię. Raz wpadli po jednego z pracowników. Wieczór, van, siedmiu chłopów z maczetami, w kominiarkach. Hiro tylko stał z podniesionymi rękami i czekał, aż przeszukają myjnię. Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy. Nie zwracali uwagi na nikogo, skupieni na namierzaniu celu. Zaplecze, kibel i z powrotem do samochodu, Hiro między nimi, otworzył oczy dopiero jak usłyszał pisk opon. Teraz taka akcja mogła się powtórzyć, dlatego zarządził alarm.

Do mycia podjechało kilka samochodów. Jeden zaczął się wycofywać, bo Hiro wydarł się na kierowcę, że takiej ilości nie ogarną, bo dzisiaj zamykają wcześniej. Kilku chłopaków z osiedla siedziało na schodkach, przy drzwiach wychodzących z zaplecza. Zleźli się tu z inicjatywą pokazania swoich zdolności do bezmyślnej jatki. Strony nie miały znaczenia. Polowanie się rozpoczęło, można było utoczyć trochę krwi. Pod bluzami chowali maczety, gotowi bronić swojej fortecy. Patrzyli na Dzikiego spode łba. Powoli stawał się łatwym celem. Igor zniknął. Pewnie nie odpowiadał na telefony, dlatego wszystkie hieny zlazły się do nory. Pozbawione pana mogły się zrobić naprawdę niebezpieczne. Brak władzy to najgorsza rzecz, jaka mogła spotkać to miasto. Igor stał na szczycie. Dzięki niemu panowała równowaga.

– Dziki, chodź – powiedział Hiro. Przeszli na zaplecze. Po gospodarczym włączyły się typy z osiedla. Nie wiadomo czemu gadali po cichu. Spuszczali głowy, jak w naturze. Niski pułap lotu zwiastował ulewę. – Był napad i mówią, że to ludzie z Krakowa. Jakaś poważna ekipa. Mieli gnaty, narobili syfu. Strzelali do ludzi w jakimś hotelu.

– I czemu gadają, że z Krakowa.

– Nie wiem, może rejestracje. Ale Igor nie odbiera. Od rana. Jego ludzie próbują się z nim skontaktować. Jest dużo roboty na mieście, teraz odbiera za niego Bolec i mówi, że chwilowo wszystko wstrzymane. Nie podaje powodu, ktoś go pytał, co on na to, on że nic, że chuj wie, kto to odjebał i właśnie próbują się dowiedzieć, ale przecież tu stoi cały biznes.

Dziki otworzył szafkę, zaczął się przebierać.

– Co ty, kurwa, robisz?

– Chcesz im dać powód, żeby tu wjechali?

– Powiedziałem, że zamykamy. Gliny będą węszyć. Na zapleczu mamy trochę towaru. Nie mogę pędzić biznesu pod taką presją.

– To go wywieź. Jest Marek, ja. Poradzimy sobie. Jak chcesz to się ewakuuj, ale chyba nie masz za bardzo gdzie.

– Nie będę robił z kosą na gardle.

– Całe życie robiłeś i teraz co, nagle zmiękłeś, bo zostałeś bez pana?

Hiro napiął trochę sflaczałe muły, ale coś tam się podniosło. Dziary już dawno wyblakły, na szyi pojawiło się trochę tłuszczu, który teraz topił się w duchocie pomieszczenia.

– Nie będę nadstawiał głowy za Igora. Wszyscy wiedzą, że tu jest jego meta.

– I co, myślałeś, że nikt go nigdy nie dojedzie? Cotygodniowe spotkania na kawie? Kurwa, Hiro, on ma całe zaplecze ludzi, każdy chce się nażreć. To mógł być Robert albo Drukarz, mają pod sobą maolatów, włożą tu jak do siebie, a ty latasz koło nich z piórem w dupie.

– Ciebie też będą szukać.

– Kto mnie będzie szukał.

– Jak Igor odjebał ten numer, to pójdziesz na odstrzał.

– Najgorsza jest panika.

Zadzwoił telefon. Hiro odebrał.

– No, mów. Byli u Longiego? Nie, tu nic nie przywoż. W ogóle do mnie nie dzwoń na razie. – Rozłączył się. – Kurwa, wszyscy się kitrają.

Dziki założył kombinezon.

– Zostawiamy otwarte.

Przeszedł do gospodarczego. Małolaty przeniosły się ze schodków na kanapę. Gapili się w telewizor, czekali na wiadomości.

– Wypierdalać stąd – rzucił Dziki.

Poszli sobie. Marek kończył myć toyotę. Uwijał się szybko, moczył szmatę, wyciskał. Okulary mu parowały, czerwona, przepita twarz. Podjechał następny samochód, Dziki pokazał, żeby wjechał na stanowisko. Zdezelowany nissan, szedł na sprzedaż, klient chciał komplet. Dziki przeciągnął po nim karcherem, szyby były nieszczelne, woda dostała się do środka. Zmieszał płyny, zapach chemii buzował mu w nosie, był mocno wyczulony na każdy bodziec. Lakier odłaził, brudził nim gąbkę. Klient obserwował, czy wykonuje robotę prawidłowo. Odkurzył wnętrze, natłuścił tapicerkę. Pięć dych, wyjazd, następny. Różne rozmiary kół, różne kolory lakieru, różny zapach spalin. Przez dwie godziny nie podnosił wzroku, tylko stal i spieniona woda, gąbka puchnąca w jego rękach, szum karchera, mgiełka wody. Hiro łąził po myjni i gadał przez telefon. Nakręcał sprawę, ścigał na siebie sępy.

Igor miał kilka met na mieście. Myjnia samochodowa była wygodna. Cały czas ktoś się tu kręcił, łatwo było coś zostawić, przerzucić z samochodu do samochodu, wjechać, zamienić kilka słów przez szybę, unikając pełnego kontaktu. Dobry punkt strategiczny. Dobre miejsce, żeby kogoś zajebać. Śliska podłoga i białe kafelki, jak w rzeźni. Odpływy o dobrej przepustowości. Było wyjście z zaplecza, ale je też mogli obstawić. W pobliżu żadnych kamer. Obrzeża miasta. Szybki wyjazd na dwupasmówkę. Do tego zastawiony główny wjazd. Przed bramą robiła się kolejka. Stali klienci. Niektórzy wpadali tylko po to, żeby zamienić kilka słów. Hiro nie

chciał o niczym gadać, uspokajał sytuację.

Okolo drugiej, gdy ruch nieco ustał, pod myjnię zajechał Bolec. Zaparkował z dala od bramy i zatrąbił. Dziki wygramolił się z samochodu i wyszedł przed myjnię, wycierając dłonie w szmatę. Bolec opuścił szybę, machnął na niego ręką. Musiał przez jakiś czas krążyć w pobliżu i obserwować myjnię, bo wybrał dobry moment. Marek palił na zapleczu i pewnie opróżniał kolejną puszkę piwa, Hiro zgłodniał i wyskoczył po żarcie.

Dziki przebiegł na drugą stronę ulicy. Brudny, mokry kombinezon stanowił dobry kamuflaż. Bolec wskazał mu, żeby wsiadł do samochodu.

– Trzymasz się jakoś? – spytał i zerknął w lusterko.

Był w nie swoim samochodzie. Renault clio, w którym ledwie się mieścił, pewnie żony, bo wszędzie wałały się damskie bibeloty i dziecięce zabawki. Odświeżacz powietrza miał zapach lawendy. Bolec spojrzał na Dzikiego. Był elegancko ubrany, spodnie w kantkę, koszula, jakby wybierał się w dłuższą podróż. Dziki przypomniał go sobie, jak stał w hotelowych drzwiach, cały we krwi. Jego chyba jako jedyne go cała sytuacja wcale nie zdziwiła. Igor dobrze wybrał swoją prawą rękę. Były żołnierz. Czeczenia, potem Legia Cudzoziemska. Lata praktyki.

– Gdzie jest Igor? – spytał Dziki. – Czemu nie odbiera telefonu?

– Bo jest problem.

– Kurwa, jest heroina, to co za problem.

– Bo jest jej więcej, niż było przewidziane.

– Ile więcej.

Bolec znowu spojrzał w lusterko.

– W chuj więcej, Dziki. Zajebaliśmy komuś całe królestwo.

– I co teraz?

– Tutaj tego nie sprzedamy.

- To gdzie?
  - Trzeba wywieźć to za granicę.
  - I kto wywiezie?
  - Igor.
  - Ma kupca?
  - Szuka.
  - Kiedy będą z tego jakieś pieniądze?
  - Tydzień, góra dwa, jak wszystko dobrze pójdzie.
  - A co może pójść źle?
  - Na przykład komuś psycha jebnie i pójdzie się rozjechać. Tabak jest niepewny. Nie ma z nim kontaktu.
  - Kurwa – podsumował Dziki. Bolec patrzył na garaże. Myślami zdawał się być gdzieś indziej. – Byli w nocy u Ewy – powiedział Dziki.
  - Kto?
  - Nie wiem, może ludzie Olafa.
  - Jesteś z nim blisko? Mówią, że traktuje cię jak syna.
  - Igor nakręcił ci bajkę o wyrodnym bracie, co się sprzedał alfonsowi?
  - Robisz u niego dosyć długo.
  - No. I wczoraj chyba przestałem.
  - Olaf sam wjechał się w gówno.
- Dziki pokiwał głową.
- Gówno spadnie na nas wszystkich. Z tą różnicą, że Olaf nie ma już nikogo. Ja mam rodzinę.
  - Olaf jest gitem, ma zasady. Nie zrobi dziecku krzywdy.
  - Nad nim stoją ludzie.

– Jacy ludzie?

– Widziałem kilku Serbów. W klubie, kilka dni temu. Radec wyszedł z kryminału, pewnie on to wszystko ustawił.

– Radec...

– Nie znasz go. Chłop nie jest stąd.

– Dagmara mówiła, że to Olaf.

– Ona nie musiała o wszystkim wiedzieć.

Bolec odebrał SMS-a. Przeczytał wiadomość, zmarszczył brwi. Potem rzucił telefon na deskę rozdzielczą i spojrzał na Dzikiego.

– Słuchaj, nie możemy cię teraz ochraniać. Każdy jest sam, rozumiesz? Musisz wytrzymać ciśnienie.

– Ja jestem sam, nie widzisz? Idź do tych co mają dzieci, im wytłumacz, że mają czekać na pieniądze.

Dziki szarpnął klamkę, wysiadł. Bolec wychylił się przez szybę.

– Igor zastrzelił dziewczynę, bo musiał. Zrobiłbym to samo. Dziewki co przeżyły, już stamtąd nie wróciły. Jak myślisz, gdzie właśnie są? Poucinają im cycki, dopóki nie wycisną z nich informacji. Chciałbyś, żeby to spotkało twoją kobietę? To musiało się tak skończyć.

– No, na razie.

Dziki wrócił na myjnię i zabrał się za czyszczenie samochodu. Robił to z wręcz maniacką dokładnością, szorując każdy najmniejszy element. Wrócił klient, stanął i przyglądał się jego robocie. Po jakimś czasie spytał, ile to jeszcze potrwa i wtedy Dziki rzucił się na niego, kazał mu wypierdalać i czekać na zewnątrz. Hiro widział całe zajście, przeprosił klienta, podszedł do Dzikiego, a ten rzucił szmatę i nie protestując, wycofał się na zaplecze. Wrócił do mieszkania, wziął prysznic i pojechał do klubu, lokal okazał się jednak zamknięty. Walił w drzwi, poszedł na tyły kamienicy, żadnych oznak działalności. To samo w mieszkaniu Olafa, nikt mu nie otworzył, a stał pod

drzwiami prawie piętnaście minut. Nie mógł się przecież wynieść razem z dziewczynami, wszystkiego zostawić. Postanowił, że ułatwi im zadanie. I tak prędzej czy później go dopadną. Odwiedził kilka bramek, pogadał z chłopakami. W Społem wypił kilka bań, a potem już poszło. Postął z bramką, chłopcy kupowali od niego sterydy, więc gadka była luźna. Ci robili dla Justusa, nie siedzieli w narkotykach, więc słabo orientowali się w tym, co się dzieje. Nawet nie poczuł, kiedy weszła mu faza. Zaczął tańczyć na floorze, rozpychać ludzi. Potem zdjął koszulkę i łąził z wywalonym jęzorem. Wyrzucili go. Chyba za dużo im powiedział. Dowłókł się do stripklubu na Małym Rynku. Zaczął wypytywać selekcjonerkę o dziewczyny Olafa, dwie kiedyś tutaj tańczyły. Jeśli je wypuścił, pewnie rozpierzchnęły się po mieście. Selekcjonerka nic nie wiedziała, dziewczyny też mieli swoje, tylko tańczyły, nie dawały dupy, gdzieś padło imię Dagmary. W końcu go wpuścili, miał się zaszyć w kącie, nie robić awantur. Jeden z bramkarzy spytał, czy mają po kogoś zadzwonić, drugi już gdzieś dzwonił. Dziki stoczył się po schodach. Wypił kilka kieliszków. Obserwował tancerki. W ciemności czaili się bramkarze. Nazbierało się ich więcej. Nerwowa gadka, jeden próbował ich do czegoś przekonać. Dziki tonął w mocnej fazie. Podeszła do niego jakaś dziewczyna. Wyszepiała mu coś na ucho, ale nie zrozumiał. Uczucie, że wpadł w sidła. Ono nigdy go nie zawiodło. Wstał i chwiejąc się, zaczął podążać do wyjścia. Bramkarze rozstąpili się. Cała armia. A na ulicy już czekał samochód. Dziki chciał jeszcze zatańczyć w tłumie. Ale oni byli szybsi. Któryś z bramkarzy go popchnął i po chwili wylądował w samochodzie, z twarzą wciśniętą w siedzenie. Trzasnęły drzwi. Ruszyli. Mocne zakręty, zachciało mu się rzygać. Ktoś się chyba zorientował, bo sprowadził go do pionu. Morfina siedział obok niego.

– Szukałem was... – zdążył powiedzieć, zanim łapa Morfiny zacisnęła się na jego szyi.

Zablokowana tętnica, poczuł, że znowu odpływa. Uścisk zelżał na granicy przytomności. Pozwolił się wieść. W szybach odbijały się światła fabryk. Wjechali w przemysłowy teren. Wyciągnęli go z samochodu i poprowadzili do jednego z magazynów. Z górnych pięter dochodził stukot

pracujących maszyn. Przeszli wąskim korytarzem, potem schodami w dół. Dziki włókł za sobą bezwładne nogi, momentami próbując stawiać kroki, lecz ci dwaj narzucili szybkie tempo, niemal unosząc go nad ziemią. Końcowym przystankiem było ciasne pomieszczenie bez okien. Obskurnie urządzona melina. Wygnieciona kanapa, na niej koc, na podłodze lepiące się od brudu płytki. Smród wilgoci, pleśni i gazowego piecyka, który tlił się gdzieś w kącie. Żółte światło lampki, ogrodowy stół z białego plastiku. Na stole kartony po żarciu, otwarty laptop, a za nim Olaf, z gołą klatą, tak jak siedział na pryczy w więziennej celi, lekko odprężony beczynnym wyczekiwaniem, leniwe, schwyte w pułapkę zwierzę. Posadzili Dzikiego na krześle, naprostowali mu głowę, skierowali jego wzrok na Olafa. Olaf nawet na niego nie spojrzał, przekręcił laptop w jego stronę i puścił mu film. Dziki skupił wzrok na okienku playera. Czarno-biały zapis z hotelowej kamery. Serb siedzi na łóżku, Dagmara całuje go po plecach. Sunie w górę po kręgosłupie, wargi długo zostają przy skórze, on głaszcze ją po udzie, ona szepcze mu coś na ucho. Nie chcą się rozstawać. Ich dotyk jest czuły, jednak on reaguje chłodno, z dystansem. Rozmawiają, Dziki nie słyszy jednak słów, obraz jest bez dźwięku. Nagle oboje się podrywają. Usłyszeli strzały. Patrzą w kierunku drzwi. Serb wstaje, wskazuje na Dągmare, zadaje jej pytanie, ona kręci głową, on na nią krzyczy, miota się po pokoju. Wyciąga telefon, próbuje dzwonić, ale odrywa telefon od ucha, w momencie gdy padają kolejne strzały. Dagmara cofa się pod ścianę, przykłęka w rogu. Przez cały czas rozmawiają, ona mu coś tłumaczy. Serb sięga pod łóżko, wyciąga spod niego torbę i znika w łazience. Po chwili wraca i krzyczy na Dągmare. Kopie ją. Ona kuli się przy ścianie. Znowu kopie. W brzuch. Dagmara zwija się w kłębek, ale Serb chwyta ją za włosy, unosi do góry, przystawia spluwę do głowy. Wrzeszczy jej coś do ucha, Dagmara płacze. Kręci głową, nie zgadza się, błaga, aby przestał. Oboje milkną, patrzą na drzwi, gdyż strzały po drugiej stronie rozlegają się coraz bliżej. Dalszy przebieg wydarzeń Dziki już znał. Serb puścił Dągmare, wyjrzał na korytarz, oddał kilka strzałów, po czym wrócił, zasłonił się nią i czekał, aż Dziki stanie w drzwiach.

Olaf bacznie go obserwował, próbując wyłapać na jego twarzy



jakiegokolwiek emocje, które mogły go zdradzić. Szczególnie skupił wzrok w momencie, gdy Igor strzelił do Dagmary, twarz Dzikiego jednak nie wyrażała nic poza bezbarwnym uczuciem żalu, którego źródło tkwiło w znacznie dalszej przeszłości. Gdy Dagmara zaczęła się czołgać w stronę łóżka, Dzikiego zwymiotował. Mieszanka piwa, wódki i kolorowych soków chlusnęła mu na kolana. Olaf zatrzymał obraz. Poczekał, aż Dzikiego wypluje z siebie resztki żółci i przełknie to, co zostało mu w gardle.

– Jak ona... – zaczął Dzikiego, lecz zanim zdążył dokończyć, na głowę spadł mu foliowy worek i zacisnął się na jego szyi, odcinając mu dopływ powietrza. Folia zlepiała mu usta, wilgotna od skroplonego oddechu, walcząc o powietrze, umazał się swoją śliną i resztką rzygów. Tlen przestał napływać do mózgu, jednak ten co go dusił, nie pozwolił mu odpłynąć. Wychwycił moment, kiedy ciało zaczęło wiotczeć i ściągnął worek. Dzikiego powoli wracał do przytomności, wdychając powietrze przez otwarte usta i sennie przewracając głowę na boki.

Olaf wstał zza stołu. Dzikiemu błysnęła przed oczami jego chudy, pokryty bliznami brzuch. Ręce zwisające po obu stronach chudych bioder, ściągniętych za dużym paskiem. Stał przed Dzikim. Przez dłuższą chwilę jeździł dłonią po jego łysej głowie.

– Byłeś tam? – Głos Olafa przedarł się przez szum krwi.

Dzikiego zaprzeczył, kręcąc głową, jakby chciał wpasować się w kształt, jaki ta dłoń próbowała nadać jego czaszce. Wymamrotał kilka słów. Olaf pochylił się nad nim, uważnie słuchając, jakby był w stanie wyłowić z nich jakiś sens, a potem spojrzał Dzikiemu w oczy. Gdy zauważył w nich powracającą świadomość, puścił dalszą część filmu. Zatrzymał tuż po tym, gdy Igor strzelił do Dagmary.

– Ona nie zginęła od przypadkowej kuli – powiedział, przerywając jego niewyraźny bełkot i łagodnie kiwając głową, zadowolony z tego, że Dzikiego mu nie zaprzecza, być może rozważając przyznanie się do winy. Olaf wskazał ekran laptopa.

Zatrzymany obraz był mało wyraźny. Wszystko co znajdowało się w ruchu było rozmazane, choć twarz Dagmary była dobrze widoczna, uchwycona z profilu, malowało się na niej zaskoczenie. Dziki i Igor zachowali się wzorowo. Spuszczone głowy, nie pokazali oczu, ich ruchy nie zdradzały żadnego zaangażowania, żadnej litości. To, co miał wtedy w głowie, nie przełożyło się na mechanizm działania. Olaf puścił ciąg dalszy, ręka mu nie drgnęła, gdy strzelał do Serba, nie patrzył w kierunku łóżka, na którym leżała Dagmara, choć gdy to oglądał, zdawało mu się, że obserwuje jakąś alternatywną wersję rzeczywistości, a to wszystko stało się przecież wczorajszej nocy. Dagmara była martwa, jednak on nie mógł o tym myśleć, dlatego gdy tylko w jego głowie pojawiał się jej obraz, czołgającej się w kierunku łóżka, od razu przerzucał myśli na dziecko Igora i Ewy, najmłodszego potomka rodu, który teraz wymagał opieki, którego trzeba było chronić, bo tak nakazał Igor, bo tego wymagało prawo ulicy. Myśleć o zagrożeniu, nie ustawać w improwizacji. To pozwalało mu pogodzić się z jej stratą, ale teraz, gdy miał jej śmierć przed oczami, był gotowy się czołgać, byle tylko zrzucić z siebie to poczucie winy.

– Zrobili rozpiardol w hotelu pełnym turystów – ciągnął Olaf. – Musieli wiedzieć, po co tam przyjechali. – Wskazał na ekranie Dzikiego, który stał nad martwym Serbem z opuszczoną bronią. – Zastanawia mnie, dlaczego ten jeden się zawahał. Ona nie była nic warta, nawet dla mnie. Widziałeś jej twarz? Mogę przewinać i jeszcze raz się przyjrzyj. Ona wiedziała, że on nie strzeli. I ten wyraz jej twarzy, jak dostała kulę. Była zdziwiona. Nie tak miało być. Dziwka wszystko ustawiła, ale nie wzięła pod uwagę jednej rzeczy, że sama w sobie nie stanowi dla nikogo żadnej wartości.

Dziki przełknął ślinę. Zaropiałe oczy tętniły szczerym żalem.

– Skąd masz to nagranie?

– Od ludzi, którzy ustawili tę transakcję. Rozmieścili kamery w kilku punktach, na wypadek, gdyby doszło do podobnej sytuacji.

– Transakcję? – spytał Dziki i nawet zdołał się uśmiechnąć. – Wszedłeś w narkotyki, Olaf? Ci ludzie, wtedy w klubie. Powiedziałeś, że to nowi

przyjaciele. To przez nich zginęła Dagmara?

Olaf, powoli wciągając nosem powietrze, rozwarł palce i ułożył je na szczęce Dzikiego.

– Ty dalej nic nie rozumiesz, prawda? – powiedział, podłapując jego fałszywie rozbawiony nastrój. Pokiwał głową, spojrzał w górę a gdy jego oczy znowu zawisły nad Dzikim, zasnuła je szklista powłoka, którą próbował rozproszyć szybkimi ruchami powiek. – Ja tylko dostarczałem im rozrywkę. Lubili moje dziewczyny. Niektóre pracowały u nich, zanim tutaj przyjechały. Oni też potrafią zadbać o kobietę. Przywiązują się do prostytutek, a potem oddają je tylko w odpowiednie ręce. I tamtej nocy chcieli tylko dziewczyn. Sami je sobie wybrali. Łukasz pojechał z nimi, żeby je chronić. Odwalił twoją robotę. Gdyby nie to co się stało, gwałt na Dagmarze i to, że straciła dziecko, posłałbym tam ciebie, ale wiedziałem, że jesteś w rozsypce i potrzebujesz trochę czasu, żeby wszystko sobie poukładać.

– Olaf, przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego...

Olaf dał ręką znak i znowu ktoś zarzucił mu worek na głowę. Tym razem przytrzymał dłużej. Dziki odpłynął. Na jego twarz spadło kilka ciosów, głowa zakołysała się na zwiotczałym karku. Rozkleił powieki. Postać stojącego przed nim Olafa powoli nabierała kształtów.

– Myślisz, że wszystko o niej wiesz?

Dziki pokiwał głową.

– To może zgadniesz, dlaczego ją tam posłałem.

Twarc Dzikiego wykrzywił nienawistny grymas. Olaf uznał to za dobry znak, bo poklepał go po policzku.

– Bo klient tego wymagał. Pewien szczególny klient. Ona z początku się nie zgodziła, ale potem nagle zmieniła zdanie. Kilka dni po tym, jak zgwałcili ją na mieście. Przyszła i powiedziała, że chce jechać się z nim spotkać, bo straciła dziecko i chce mu powiedzieć, że to koniec.

– Komu powiedzieć? – wymamrotał Dziki, ledwo unosząc górną wargę.

Olaf się uśmiechnął.

– Ty naprawdę o niczym nie wiedziałeś, co?

Dziki powoli wylapywał jego słowa, pomagając sobie wymuszoną mimiką.

– Ten Serb, który się nią zasłonił. Dawała mu dupy od roku. Miał ją wykupić, ale wtedy zaszła w ciążę, a jak się o tym dowiedział, to zrezygnował.

– Pierdolisz.

– To nawet nie było twoje dziecko.

Dziki się szarpnął, ale miał związane ręce. Olaf uniósł dłonie i odchylił tułów, rozbawiony tą nieudolną próbą ataku. Potem się wyprostował i całkiem już na poważnie wskazał laptop.

– Chcesz zobaczyć, co robiła godzinę przed śmiercią?

To podziałało na Dzikiego lepiej niż foliowy worek. Od razu pokręcił głową, w panicznym zaprzeczeniu. Olaf kilkakrotnie cmoknął, delektując się swoją śliną.

– Żadna dziwka nie pierdoli się tak z klientem.

Dziki szarpnął głową w lewo a potem w prawo, jakby była wokół niego jakaś przestrzeń, zdolna pochłonać gromadzące się wokół niego dźwięki. Z bezsilności zbierało mu się na płacz.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Olaf skrzyżował ramiona na klacie i przez chwilę wpatrywał się w niego, jakby próbował ustalić, czy jest wart tej odpowiedzi. Zapalił kolejnego papierosa. Podrapał się kciukiem po brwi.

– Facet miał do niej słabość – powiedział. – Mogła się przy nim ustawić. Ty byłeś tylko jej ochroniarzem. Zakochany ochroniarz zrobi wszystko, by ochronić swoją kobietę. – Pochylił się nad Dzikim i ściszył głos, błędząc wzrokiem po jego twarzy. – Wiem, że po stracie kogoś bliskiego nie chce się

żyć. Uczucia słabną, człowiek przestaje reagować na ból, ale to jest serbska mafia i uwierz mi, oni znają rodzaje bólu, na które nie jesteś odporny.

Dziki wyprostował się na krześle. Rozciągnął napięte barki, znowu powoli odzyskując kontakt ze swoim ciałem.

– Co chcesz ze mną zrobić? – spytał i po raz pierwszy oglądając się za siebie.

Tymon stał przy ścianie i palił papierosa. W dłoni ścisnął foliowy worek.

– Jestem tutaj, Olaf. Masz mnie. Dzisiaj byłem w robocie. Myłem samochody w osiedlowej myjni. I jak mnie stąd wypuścisz, będę tam jutro.

Olaf zatrzymał dym w płucach, skupiając się na jakiejś myśli.

– Gdzie jest Igor? Całe miasto go szuka.

– Nie wiem.

– On i Dagmara, znali się?

– Może się znali. Jeśli tak, to on jest dla mnie skończony, tak samo jak dla ciebie. Ale to pewnie nie ma znaczenia, bo twoi koledzy i tak nie będą zadawać pytań. Widzę, że sam się ich boisz. To oni kazali ci sprowadzić mnie tutaj, ale jeszcze nie przyszedł czas, żeby mnie odjechać, więc puścisz mnie teraz na miasto, a oni będą mnie obserwować, bo jeśli byłem w to zaangażowany, to prędzej czy później zaprowadzę ich do Igora. Wiem, że byli w mieszkaniu Dagmary. Jeśli taki jest wasz plan, to muszę was zmartwić. Igor już dawno popierdolił swoją rodzinę. Rodzina nic dla niego nie znaczy.

– Ale dla ciebie znaczy, Dziki – przerwał mu Olaf. – Daga mówiła, jak opiekujesz się matką. Że dziecko Igora traktujesz jak swoje. To są cenne informacje.

– Nie pozwolę ich skrzywdzić.

– Nie będziesz miał na to wpływu. Już nie masz. Myślisz, że panujesz nad sytuacją, ale jeśli mówisz prawdę, zostałeś wykorzystany z obydwu

stron. Ci co zabili Dagmarę, zrabowali herę o wartości miliona euro. Ci, do których należał towar, wkrótce się tu pojawią i zaczną go szukać. Taka ilość zawsze będzie szukała ujścia. Brudna rzeka pieniędzy. Prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Twój brat może będzie już daleko, ale ty tutaj zostaniesz, bo nie masz dokąd uciec. Ty nawet nie wiesz, że poza osiedlem istnieje jakiś inny świat. Za długo siedziałeś w czterech ścianach, i oni to wykorzystają.

Olaf dał głową znak Tymonowi, żeby uwolnił Dzikiego. Tymon przeciął taśmę krępującą mu nadgarstki. Dziki podniósł się z krzesła i stanął niepewnie na chwiejnych nogach. Spojrzał za siebie, chcąc się upewnić, że nie grozi mu kolejny atak. Naciągnął bluzę. Wodniste rzygi wsiąkły w materiał. Skinął obojętnie głową. Potem zerknął na Olafa, stopniowo nabierając pewności siebie.

– Tam, na mieście, zostało kilkuset wyszkolonych chuliganów bez pana i pewnie tak samo jak ty chcą wiedzieć, kto stoi za tą akcją. Pomyśl o tym, jak będziesz chciał sprowadzić któregoś z nich do tej piwnicy.

Zmęczony Olaf opadł na krzesło. To, co przed chwilą zaprezentował, było tylko wyuczoną pozą, której odgrywanie przychodziło mu z coraz większym trudem. Podobne gierki zużyły go w więzieniu. Kołysał się na granicy trzeźwości. Chciał dać w żyłę na maksa, ale odgórne zalecenie było takie, że musi kontaktować. Doprowadzić sprawę do końca.

Wywieźli Dzikiego kilka kilometrów od fabryki i wyrzucili na pustym skrzyżowaniu. Stał w deszczu i próbował łapać taksówkę, wszystkie go mijały. Wytrzeźwiał i dopadły go dreszcze. Wreszcie ktoś się zatrzymał, zawiózł go pod blok. Idąc po schodach, usłyszał płacz dziecka. Wszedł do mieszkania. Stanął nad łóżeczkiem. Ewa zostawiła je samo. Na jej łóżku wały się ciuchy, bielizna, kosmetyki. Musiała wyjść w pośpiechu, ale zdążyła się jeszcze zrobić. Dziki wziął dziecko w ramiona. Przytulił je do piersi, próbując ogrzać się nieco jego ciepłem, ale dziecko zaczęło coraz bardziej wrzeszczeć, więc odłożył je z powrotem i wyszedł z pokoju, zatrzaskując drzwi, bo nie mógł znieść tego krzyku.

Matka siedziała na kanapie w salonie, przy wyłączonym świetle. Ewa zawsze kładła ją spać najpóźniej o dziesiątej, tym razem jednak zostawiła ją tam w ciemności. Dziki zauważył, że matka nadal ma na sobie tę samą brudną koszulę nocną. Podeszedł do niej, szarpnął ją za rękę.

– Idź do siebie – powiedział. Ręka opadła bezwładnie wzdłuż ciała. Żadnej reakcji. – Do siebie, powiedziałem. – Szarpnął mocniej.

Matka zachwiała się. Dziki pociągnął ją za rękę, straciła równowagę i zsunęła się z kanapy na podłogę. Upadła na kolana, nogi przekrzywiły się w bok. Na jej twarzy pojawił się lekki wyraz dezorientacji, wsparła się na lewej ręce, wodząc po podłodze nieprzytomnym wzrokiem. Dziki zauważył na kanapie plamę moczu. Chwycił matkę za nadgarstek, niemal krusząc jej drobne kości, i przeciągnął ją po pokoju. Koszula nocna podwinęła się jej na udach, naciągnęła ją wolną ręką, wydając z siebie jakiś stłumiony dźwięk, ale Dziki nie zwrócił na to uwagi, powtarzając pod nosem jak w transie: spać, spać, spać. Za matką ciągnął się mokry ślad. Dziki pchnął drzwi do jej pokoju i w ostatniej chwili opamiętał się, by nie chwycić jej za włosy. Wepchnął ją do środka, nogi blokowały drzwi, więc wkopał je głębiej i dopiero wtedy zamknął. Dziecko nadal płakało. Przycisnął dłonie do uszu. Zamknął się w łazience. Po jakimś czasie dziecko się uspokoiło. Dziki zajrzał do jego pokoju. Dziecko usnęło, choć grymas płaczu został na twarzy, rączki zaciśnięte w pięści. Wrócił do pokoju matki, podniósł ją z podłogi i ułożył na łóżku. Potem siadł przy stole i palił papierosa za papierosem, czekając na Ewę.

Na zewnątrz zaczęło świtać. Obudził go szcęk zamka. Poderwał głowę, nasłuchując. Stukot obcasów go uspokoił. Ewa wtoczyła się do mieszkania. Trochę jej zajęło, zanim trafiła kluczem do zamka, potem na moment znieruchomiała, być może rozpoznała, że nie jest sama i zaczęła zachowywać się nieco ciszej. Stała w drzwiach kuchni. Obcisła miniówka, pokręcone włosy, mocny makijaż, lekko rozbiegane spojrzenie. Dziki przetarł twarz, spojrzał na zegarek i zrobił minę, jakby zadał sobie zbyt trudne pytanie, ale i tak próbował na nie odpowiedzieć. Ewa podeszła do niego, stanęła przed nim i położyła dłonie na jego twarzy. Jego spojrzenie powędrowało w górę, na jej

piersi. Objęła jego głowę ramionami i przycisnęła ją do brzucha. Zakołysała się wraz z nim.

– Gdzie byłaś? – spytał.

Nie odpowiedziała. Przerwał jej uścisk. Pod jej nosem zebrała się kropla krwi. Rozciągnęła się i skapnęła mu na kolano. Ewa tego nie zauważyła. Odchyliła głowę Dzikiego i spojrzała mu w oczy. On nie powtórzył pytania, bo wiedział, że je słyszała. Z nosa kapnęła kolejna kropla. Kap, kap, krew rozpryskiwała się na jego kolanie. Spojrzał w dół, jak wsiąka w materiał spodni. Ewa cofnęła się i przytknęła dłoń do nosa, tamując krwotok. Odchyliła głowę i podeszła do umywalki. Puściła wodę z kranu, krew lała się coraz większym strumieniem, ściekając po jej przedramieniu i brudząc jej bluzkę.

– Powiesz mi, gdzie byłaś? – spytał Dzikie.

– Daleko – odpowiedziała, pochylając się nad umywalką.

– Chciałaś je zostawić?

– Co?

– Dziecko. Czy chciałaś je zostawić.

Nie odpowiedziała. Pociągnęła nosem i połknęła to, co spłynęło jej do gardła. Dzikie wstał z krzesła.

– Popatrz na mnie – powiedział.

Zakręciła wodę.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę wiedzieć, dlaczego zostawiłaś dziecko.

Odstąpiła o krok, bo wyczuła w jego głosie napięcie.

– Jakie to ma znaczenie. Wróciłam.

– Znowu wciągasz?

– Chuj ci do tego.



– Pokaż torebkę.

– Co?

Dziki w jednej sekundzie rzucił się na nią, szarpnął torebkę, rzemyk pękł na jej ramieniu. Wysypał zawartość na podłogę. Podniósł woreczek z amfą, na dnie była resztką. Rozchylił krawędzie folii, chwycił Ewę za gardło i przycisnął jej woreczek do nosa, odcinając dopływ powietrza. Ewa zaczęła się krztusić, z nosa nadal ciekła jej krew, barwiąc proszek. Okładała go pięściami, jednak szybko słabła. Dziki przycisnął ją do ściany, patrzył jak jej nogi odmawiają posłuszeństwa i osuwa się na kolana. Jej usta otwierały się coraz szerzej, w oczach pojawiło się przerażenie, dłonie bezsilnie zacisnęły się na jego przedramionach, ciało zaczęło wiotczeć. Dziki ją puścił. Osunęła się na podłogę, półprzytomna. Z jej piersi wydobywał się suchy charkot, gdy zachłystywała się powietrzem, wytrzeszczając z niedowierzaniem oczy i podwijając pod siebie nogi, jakby obawiała się, że zaatakuje ją po raz kolejny.

Dziki stanął nad zlewem. Wysypał resztki proszku z woreczka, zmiażdżył go w dłoni i cisnął nim w Ewę. Krew nadal ciekła jej z nosa, więc rzucił jej papierowy ręcznik. Wydarła listek z rolki i schowała w nim twarz. Papier szybko nasiąkał krwią i łzami. Oboje ciężko dyszeli. Dziki oparł się plecami o ścianę naprzeciwko i zsunął się na podłogę. Wydechając powietrze nosem, odpalił papierosa, ale zanim się zaciągnął, przez dłuższą chwilę przygryzał filtr, przyglądając się Ewie.

– Czekam na pieniądze – powiedział.

Jej oddech powoli wracał do normy. Podniosła się do pozycji siedzącej i rozprostowała nogi na podłodze. Kostki miała spuchnięte od obcasów. Utwardzona lakierem fryzura rozszczepiła się na pojedyncze pasma, odstające pod różnym kątem. Makijaż się rozmazał, spojrzała na złamany paznokieć. Dziki spokojnie palił, od czasu do czasu gładząc się koniuszkami palców po czubku głowy. Czekał, aż Ewa znowu nabierze zaufania. Z pozycji zaszczutego zwierzątka taki proces przebiegał o wiele szybciej, ale tym razem była czujna. Skupiła na nim wzrok, gotowa zareagować na następną

próbę skrzywdzenia jej, on jednak wyczerpał już swój zapas sił. Gdy to wyczuła, podczołgała się do niego, wzięła od niego papierosa i zaciągnęła się. Dziki zapalił następnego dla siebie. Siedzieli przez chwilę w ciszy, obok siebie, paląc.

– Kto ci to zrobił? – Wskazała ślady uderzeń na jego twarzy.

– Łaziłem po mieście. Szukałem cię. Ktoś się napatoczył.

– Szukałeś mnie? Gdzie.

– W Dolcze Vicie.

Uśmiechnęła się.

– Przestań.

– No. – Pokiwał głową, przytrzymując dym w płucach.

Odwróciła się do niego profilem, dopisując w myślach swoją wersję wydarzeń. Gdy ponownie na niego spojrzała, już się nie uśmiechała.

– Mamy jakieś problemy?

Zatrzymał papierosa w połowie drogi do ust.

– Żadnych problemów.

– Powiedziałeś, że czekasz na pieniądze.

– Szybko zaczęłaś mnie słuchać.

– Od kogo?

– Od ludzi.

– Jakich ludzi?

– Takich co chcą, żebym wyjechał z miasta.

– To ma jakiś związek z jej śmiercią?

– Skąd o tym wiesz?

– Byłam w kilku klubach.

- Chcą połączyć z tym Igora.
- Igor to zrobił?
- Nie wiem. Ale musimy się ulotnić na jakiś czas.
- Mówisz to tak po prostu?
- A jak mam mówić.
- Nie zależało ci na niej?
- Teraz zależy mi na tobie.

Ewa zamilkła. Zastanawiała się przez chwilę.

– On nie pozwoli, żebym zabrała mu dziecko. Będzie mnie szukał. –  
Spojrzała na niego oczekując, że zaprzeczy, ale nie zrobił tego.

- Możesz na jakiś czas zamieszkać u Anki? – spytał.
- Pewnie tak, ale one nadal przyjmują tam klientów.
- Tydzień, góra dwa.
- Po co?
- Zaufaj mi.
- A co z matką?
- Nie martw się o matkę. Ja się nią zaopiekuję.

Spojrzeli sobie w oczy i trwali tak w zawieszeniu, które zdawało się ich niebezpiecznie pochłaniać.

– Zaopiekujesz się – powtórzyła Ewa, wykrzywiając lekko usta, jakby za tymi słowami stały poważne czyny, a ona nie była pewna, czy Dziki jest w stanie się na nie zdobyć.

Dziki powoli skinął głową, jego oczy zamieniły się w dwie szparki ziejące determinacją. Przez chwilę mierzyła go zaniepokojonym wzrokiem, jakby chciała się utwierdzić w przekonaniu, że oboje myślą o tym samym. Potem wstała i poprawiła włosy na pozór niedbałym gestem, choć dało się w

nim wyczuć napięcie, pierwsze oznaki skazy, która miała się pogłębiać. Spojrzała przez okno, dzień jej nie służył. Zatrzymała zeszywniałe palce na wysokości szyi.

– Idę się położyć – powiedziała. Pokiwała głową, chcąc utwierdzić się w tej decyzji, i lekko rozchwianym krokiem potoczyła się do pokoju.

## 6

Przez dwa kolejne dni pracował na myjni. Pełen wymiar godzin, zero wytchnienia. To było niemal jak rytuał, wrócił do roli ofiary, miejscowego popychadła. Spuszczał wzrok i garbił się niżej niż zazwyczaj. Dwa dni czekania, aż coś się wydarzy. Cisza przed burzą. Nawet dresiarze z osiedla przestali się złościć. To mógł być zły znak, nie spływały do nich żadne informacje.

W środę późnym wieczorem, tuż przed tym jak mieli zamykać, do myjni wjechał terenowy chrysler z przyciemnionymi szybami. Dziki odkurzał wnętrze samochodu, Kamil splukiwał maskę. Zostali na myjni sami. Zbliżała się dziesiąta, klient zostawił samochód na noc. Chrysler zatrzymał się na stanowisku obok i stał z włączonym silnikiem. Dziki zobaczył jego rozmazany kształt za szybą, po której spływała spieniona woda. Kamil wyłączył karcher. Dziki patrzył przez szybę, jak podchodzi do chryslera i rozmawia z kierowcą. Poznał Radeca. Kamil próbował mu coś wytłumaczyć, a Radec, udając, że go słucha, rozglądał się po myjni. Dziki wysiadł z samochodu, to samo zrobili mężczyźni z chryslera. Było ich czterech. Radec, dwóch gości tej samej narodowości i Morfina. Radec miał na sobie czarny płaszcz z postawionym kołnierzem. Biała, ziemista cera kontrastowała z czarnymi włosami, przetkanymi pasmami siwizny. Pod płaszczem doskonale wyrzeźbiona klata w opiętej koszulce. Do całości nie bardzo pasowały buty, nieco oklapłe i staroświeckie. Miał szeroką, mocną szczękę, głęboko osadzone oczy. Dwaj pozostali Serbowie wyglądali na jego wsparcie. Jeden wielki, nieco ociężały, skupiony na trawieniu. Drugi, najmłodszy z nich wszystkich, szczupły, pobudzony, przygotowany do zrywu. Bezwzględne, metodyczne działanie. Osaczenie ofiary. Ci trzej już dawno wyszli z dżungli. Epoka żelaza się dla nich skończyła. Po tym jak obserwowali teren widać było, że są obeznani z taktyką. Morfina niezbyt dobrze czuł się w ich towarzystwie. Od razu stanął przy bramie i zapalił papierosa, unikając wzroku Dzikiego. Jeden z Serbów, ten największy, z brodą i ogoloną na zero

głową, podszedł do Morfina i wyciągnął rękę po papierosa. Morfina poczęstował go. Gdy mu odpałał, Dziki zauważył na dłoniach Serba skorupę zaschniętej krwi. Dziki stanął przed Radecem i zauważył, że jego oczy na moment zwięzają się w przyływie tłumionej nienawiści. Serb w sportowej kurtce adidasa stanął obok niego, powiedział coś w swoim języku, obaj się zaśmiali.

– Chcemy umyć samochód – powiedział Radec.

– Właśnie zamykamy.

– O której zamykacie?

– O dziewiątej.

Radec spojrział na zegarek.

– Jest za pięć dziewiąta.

– Musimy dokończyć jeszcze ten samochód.

– Jest was dwóch.

Kamil stanął przy ścianie i zapalił papierosa, obserwując całą sytuację. Najchętniej stanąłby bliżej bramy, ale ta była do połowy zamknięta, a w drugiej połowie stali Morfina z Serbem. Samochód był mocno zabrudzony. Koła zavalone błotem, odpryski błota na szybie. Radec ruszył w kierunku zaplecza. Serb, który podążył za nim, miał na ramieniu sportową torbę. Radec pchnął przeszkłone drzwi, rozejrzał się po pomieszczeniu. Dziki nadal stał przy samochodzie, próbując ocenić sytuację. Radec zaglądnął do biura, wrócił do gospodarczego i usiadł na kanapie. Serb z torbą usiadł obok niego. Radec wyciągnął telefon. Dziki stanął w drzwiach.

– Tylko z zewnątrz? – spytał.

– Co?

– Czy umyć też w środku?

Radec przetłumaczył kompanowi pytanie Dzikiego. Tamten się roześmiał. Radec też zaczął się śmiać. Dziki cierpliwie czekał.

– To nie mój samochód – powiedział wreszcie Radec, wybierając numer.  
– Spytaj tamtych przed bramą.

Przystawił telefon do ucha i czekał na połączenie. Dziki wrócił na stanowisko. Morfina unikał jego wzroku. Ręce mu się trzęsły, ledwo trafiał papierosem do ust. Młodszy Serb stojący obok niego był niski, obcięty na jeża. Złoto na szyi, lekko skośne oczy, trądzik wypalony lampami solarium. Obserwował każdy jego ruch z leniwą wyższością. Podnosił przy tym lekko głowę, tak, że patrzył pod kątem, układając usta w prześmiewczy grymas.

– Mam myć tylko z zewnątrz? – spytał Dziki.

Morfina spojrział na młodego Serba. Ten od razu zareagował i zbliżył się do Dzikiego, mierzając go wzrokiem. Podrzucił głowę, pytając, o co chodzi.

– Zapytaj go – powiedział Dziki do Morfiny.

Morfina odwrócił wzrok. Serb wepchnął twarz w jego pole widzenia, nakazując, aby Dziki zwracał się tylko do niego. Dziki przeniósł wzrok na drzwi do pomieszczenia gospodarczego. Za lekko zaparowaną szybą widział, jak Radec rozmawia przez telefon. Młody Serb wskazał karcher i potrząsając dłonią, ponaglił Dzikiego aby zabierał się do roboty. Dziki otworzył drzwi od strony kierowcy. Serb się zerwał i przytrzasnął je, o mało nie zgniatając mu ręki.

– Szyba – powiedział Dziki.

Serb nakazał mu się cofnąć. Zamknął szybę i pozwolił mu kontynuować. Dziki włączył karcher. Zaczął okręzać samochód, przemywając dach i karoserię. Szum wody odciął go od tego, co działo się na zewnątrz. Wydłużał dodatkowe minuty swego życia. Kątem oka zobaczył, że Radec wychodzi z gospodarczego. On i brodaty Serb stanęli przy ścianie i przyglądali się jego robocie. Dziki skończył sflukowanie i sięgnął po wiadro. Napełnił je płynem, ale Radecowi najwyraźniej się spieszyło.

– Koła! – zawołał i stanął bliżej Dzikiego.

Dziki sięgnął po karcher. Sflukał dokładniej felgi. Radec szedł za nim,

pozostając przez cały czas za jego plecami. Dziki czuł na sobie jego spojrzenie, ale się nie odwrócił. Szum karchera bębnił mu w uszach. Brudna woda ściekała do kratki. Gdy znalazł się po drugiej stronie samochodu, Radec podszedł do bagażnika. Otworzył go i czekał, aż Dziki skończy z czwartym kołem. Dziki wyłączył karcher. Radec odstąpił o krok.

Morfina odwrócił się plecami. Serb w sportowej kurtce wyszczerzył się jeszcze szerzej. Dziki stanął przed otwartym bagażnikiem. Pierwszą warstwę stanowiła równomiernie powpychana w zagłębienia, przezroczysta folia malarska o solidnej gramaturze. Na niej zwinięte kłęby cieńszej folii, wszystko ubrudzone krwią. Z folii odstawały strzępy taśmy klejącej. Pod Dzikim ugięły się nogi. Słyszał tylko bicie własnego serca. Radec uderzył go z płaskiej w tył głowy.

– Przynieś szmatę i umyj ten syf – powiedział.

Nad Dzikim władzę przejął jakiś inny rodzaj strachu. Strachu, który paraliżował, ale pozwalał działać logicznie. Wykonywać rozkazy. Dziki przeszedł kilka kroków. Sięgnął po wiadro. Zadzwoił czyjś telefon. Brodacz odebrał. Zaczął rozmawiać po rosyjsku. Dziki dolał więcej płynu. Zamieszał wodę. Spieniła się. Sięgnął do szafki po gumowe rękawice. Radec krzyknął na niego i pokiwał palcem, aby tego nie robił. Dziki chwycił wiadro. Było ciężkie, jak zalane betonem. Kamil nadal stał przy ścianie, teraz jednak przygarbiony, jakby zeszło z niego całe powietrze. Dziki stanął nad bagażnikiem i sięgnął po folię, lecz wyslizgnęła mu się pomiędzy palców. Krew była świeża i było jej dużo, w zagłębieniach folii uformowały się małe kałuże. Dziki zawinął folię wokół dłoni, wyciągnął ją z bagażnika i rzucił na kafelki. Cienka warstwa stojącej wody od razu zabarwiła się na czerwono. Dziki spojrzał na swoje zakrwawione dłonie.

– Ty, pomóż mu! – krzyknął Radec do Kamila.

Chłopak odkleił się od ściany. Dygotał z przerażenia. Połykał ślinę, jakby zaraz miał się porzygać.

– Przynieś worek – powiedział Dziki.



Kamil ściągnął z półki rulon foliowych worków, oderwał jeden, podał go Dzikiemu. Dziki zaczął ugniatać folię. Wyłynęło z niej jeszcze więcej krwi. Włożył zwiniętą folię do worka. Podał worek Kamilowi. Podniósł wiadro. Podeszedł do bagażnika. Zdjął drugą warstwę folii. Brodaty Serb skończył rozmawiać, zamienił kilka słów z Radecem. Bagażnik samochodu był wyłożony ochronną, plastikową powłoką. Kamil podsunął mu worek, Dziki upchał w nim folię, brudząc się krwią po łokcie. Wycisnął szmatę i zaczął przecierać wnętrze bagażnika. Radec siadł za kierownicą. Spojrzał w lusterko i odpalił silnik. Dodał gazu, z rury buchnęły spaliny. Dziki poczuł na nodze ich ciepło, jednak się nie cofnął. Radec coraz mocniej dociskał pedał gazu. Dziki poczuł, jak spaliny wypełniają mu płuca. Odkaszał. Nagle ktoś go trącił. Dziki odwrócił się i w tym momencie młody Serb wylał mu na głowę wiadro brudnej wody, w której Dziki moczył szmatę.

Dziki zachłysnął się. Poczuł na języku smak detergentu. Znieruchomiał z zamkniętymi oczami, słuchając narastającego ryku silnika. Serb stał przed nim i się śmiał. Reszta też zaczęła się śmiać. Tylko Morfina zachował powagę, podszytą strachem. Wsiadł do samochodu ze spuszczoną głową. Radec zatrąbił i reszta też zaczęła wsiadać. Dziki otworzył oczy. Radec zatrąbił przeciągle, a gdy Dziki się odwrócił, machnął do niego, aby uchylił lewe skrzydło bramy. Dziki pchnął bramę. Serbowie wyjechali z garażu i chrysler zniknął między blokami.

Dziki przetarł twarz. Kamil z przerażeniem wpatrywał się w leżący na podłodze worek. Otwierając bezgłośnie usta, wskazywał go palcem, przenosząc wzrok na Dzikiego, jakby ten był w stanie mu wszystko wyjaśnić.

Dziki, nie zwracając na niego uwagi, zamknął bramę. Nie spieszył się, jakby reszta przewodów odpowiadających za strach właśnie się w nim wypaliła. Przeszedł na zaplecze i otworzył drzwi wychodzące na parking, wyjrzał na zewnątrz, zamknął drzwi na klucz i wrócił do głównego pomieszczenia. Kamil nadal stał w miejscu, próbując zrozumieć, co się właśnie stało. Dziki przykucnął, rozdarł worek i wysypał z niego folię.

– Pomóż mi z tym – powiedział. Włączył karcher i zaczął zmywać z folii

krewni.

Kamil chwycił folię za krawędzie i rozciągnął ją po podłodze.

– Wynieś to na zaplecze – powiedział Dziki, gdy spakowali oczyszczoną folię do worków.

Kamil nie protestował. Dziki zaczął myć podłogę. Przykręcił końcówkę pistoletu, zmieniając rozproszony strumień w ciekłą strugę pod dużym ciśnieniem, i przeczyścił szlaczki fugi między kafelkami. Kamil wrócił. Pochylił się nad umywalką i długo i dokładnie mył ręce. Zdjął bluzę, obejrzał ją, była poplamiona krwią. Wrzucił ją do worka.

– Dziki, spierdalamy stąd – powiedział.

– Czekaj, pojedziemy razem.

Dziki przeszedł na zaplecze, ściągnął kombinezon, wpakował go do worka. Rozebrał się do naga, poszedł na stanowisko, obmył się wodą z węża i wytarł suchą szmatą. Nagle zza bramy zaczął dochodzić warkot silnika. Samochód zbliżał się w szybkim tempie, na wstecznym biegu. Dziki pobiegł na zaplecze i sięgnął po maczetę zamocowaną pod blatem. Czarna, z ozdobnymi dziurami w ostrzu i rączką oklejoną taśmą izolacyjną. Wrócił do głównego pomieszczenia i stanął nagi przed bramą, rozkładając ramiona i napinając mięśnie. Przeniósł wzrok na zakratowane okna. Drzwi od zaplecza nie stanowiły żadnego zabezpieczenia, mogli je bez problemu wyważyć. Kamil krążył przy ścianie, wydając z siebie płaczliwe dźwięki. Masował przedramiona i garbił się jak zwierzę w klatce, wyznaczając na kilku metrach kwadratowych teren do walki. Silnik nadal pracował, jakiś metr przed bramą basowy pomruk diesla, przez szczeliny w skorodowanej stali przenikały spaliny rozplywające się po jej powierzchni. Samochód miał wzmacniane zderzaki i niemal pancerną konstrukcję. Taką maszyną mogli zaryzykować staranowanie bramy, jednak Dziki nie miał zamiaru odstąpić. Rozstawił nogi, chwycił oburącz maczetę i uniósł ją nad głowę, czekając, aż wjadą do środka.

Głuche stuknięcie wyrwało go z transu. Sprawilo, że cofnął się o krok. Coś uderzyło w bramę od zewnątrz, trzasnęły drzwi, samochód zaczął się

oddalać i znowu nastała cisza. Dziki zbliżył się do bramy, wyciągnął rękę w kierunku zamka.

– Nie otwieraj! – zawołał Kamil.

Dziki przekręcił rygiel, zachowując metrowy odstęp i celując przed siebie maczetą. Pchnął lewe skrzydło na tyle, by ujrzeć fragment placu oświetlonego latarnią. Uchylił bramę nieco szerzej i spojrzał pod nogi. U jego stóp leżało ciało, niedbale zawinięte w folię. Z jednej strony wystawały zakrwawione adidas.

– Kamil! – krzyknął, rozglądając się po placu.

Wciągnęli ciało do środka. Kamil zamknął bramę. Dziki przyklęknął nad ciałem. Było lekkie, to nie mógł być Igor, ale przez moment wahał się, czy jest na to gotowy. Rozerwał folię i ich oczom ukazała się zmasakrowana twarz. Spuchnięte usta, do których przykleiły się okruchy zębów, powybijanych za pomocą jakiegoś tępego narzędzia, bo nie było ran ciętych, tylko ślady bicia, zgniatania kości. Kilka razy nie trafili, bo chłopak miał zniekształconą szczękę, w niektórych miejscach zapadniętą, jakby ktoś próbował nadać jego twarzy nowy kształt. Pomimo to od razu go rozpoznali.

– Małolat – szepnął Kamil, pochylając się nad ciałem.

Chłopak przyjechał z Igorem na myjnię tamtego wieczora, gdy padło hasło znalezienia Nazima. Był mocno roztrzęsiony, Igor kazał mu pewnie wykonać jakąś ryzykowną robotę, która miała być testem, czy nadaje się do poważniejszych zadań i widocznie go zaliczył, skoro był teraz tutaj, jako ostrzeżenie dla reszty, że polowanie właśnie się rozpoczęło.

Dziki odsłonił kolejny fragment ciała. Ramiona odgięte do tyłu, skrzyżowane na plecach. Związane sznurkiem nadgarstki. Strzępy kości wystające z rozerwanych łokci. Kamil odszedł kilka kroków i zwymiotował.

– Musisz mi z nim pomóc – powiedział Dziki.

Kamil powoli dochodził do siebie.

– Co chcesz z nim zrobić? – spytał, spluwając do kratki ściekowej.

– Przeniesiemy go na zaplecze, a potem zadzwonimy po chłopaków. –  
Dziki przeszukał małolatu w kieszenie. Wyciągnął woreczek z pigułkami.

– Spierdalam stąd – powiedział Kamil.

– Musisz zostać.

– To nie jest moja sprawa.

Dziki rzucił woreczek Kamilowi, ten złapał go w zdrętwiałe dłonie.

– Skitramy się tu i zaczekamy na chłopaków. Oni będą wiedzieli, co zrobić.

Kamil na szybko obliczył wartość piguł. Nie było tego dużo, dlatego zostawili je przy małolacie, żeby pokazać, że ściągnęli go prosto z ulicy i żaden diler Igora od dzisiaj nie może czuć się bezpiecznie.

– Docenią to – powiedział Dziki, jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie, Kamil jednak dał się przekonać.

Schowali ciało pod blatem na zapleczu i wykonali kilka telefonów. Nikt nie odbierał, więc usiedli w rogach pomieszczenia i czuwali przy ciele, czekając na nadejście dnia.

# 7

Dziki dodzwonił się do Roberta dopiero nad ranem. Przespał resztę nocy na zapleczu. Kamil został z nim, ale gdy Dziki się obudził, już go nie było. Wywiesił na bramie karton z napisem „Zamknięte”. Robert i Drukarz byli jedynymi karkami w grupie, z którymi Dziki miał kontakt, a w dodatku okazało się, że małolat dilował pod nimi. Robert już zbierał ekipę. O ósmej pod myjnię zajechały cztery samochody. Z Robertem i Drukarzem przyjechało sześciu chuliganów. Pozostałość po gangu Igora. Nie sprawiali wrażenia przestraszonych. Byli raczej nabuzowani, gotowi do działania.

Robert najpierw chciał zobaczyć ciało. Dziki zaprowadził go do schowka. Robert stanął nad ciałem i zwołał resztę, żeby dobrze mu się przyjrżeli. Słabo znali chłopaka, ale sposób, w jaki go zmasakrowali, robił wrażenie. Szybko zabrali się do działania. Miejscówka była zagrożona, w każdej chwili mogła wjechać policja, więc priorytetową sprawą było wywiezienie trupa. Mieli do tego specjalną furgonetkę, wjechali nią tyłem do garażu, zapakowali ciało i worki z folią, a potem przeszli na zaplecze i rozsiedli się na krzesłach i kanapie. Zadzwoił Hiro, kazał na siebie poczekać i dojechał po dziesięciu minutach. Zaczęła się debata. Dziki stał z boku. Niektórzy spoglądali na niego badawczo, nie mogli go jednak o nic podejrzewać. Nadal był na ulicy, tak jak oni, tak samo ryzykował, w dodatku jeszcze wczoraj mógł skończyć jak małolat. Debata dotyczyła tego, jak dobrać się do obcej siły, która wtargnęła na ich ulice. Karki miały na to proste rozwiązanie.

– Trzeba ich rozjechać – powiedział Robert. – Chcecie czekać, aż wyłapią kolejnego z nas i zrobią jak małolata? On nie miał pojęcia o napadzie. Gówniarz miał szesnaście lat. To była pokazówka. Chcieli pokazać, na co ich stać. Po nas przyjdą z cięższym sprzętem.

Któryś z karków odjął telefon od ucha.

– Nie odbiera, włącza się poczta.

– Słyszeliście?! – zawołał Robert. – Pierwsze, Igor, a teraz Bolec. To niemal pewne, że oni zajebali ten towar. Ulotnili się i zostawili nas jako kozły ofiarne, żeby tamci mieli co kroić.

Wszyscy milczeli. Wyglądali jak oszukane, złe dzieci.

– Małolaty są za słabe – wtrącił Hiro. – Nie potrafią się zorganizować. To jest siła na jedną, krótką akcją a nie długofalowe działanie. Poza tym oni nie będą się angażować w konflikty Igora. Nie, jeśli zajebał ten towar dla siebie, choć istnieje też opcja, że on i Bolec poszli jako pierwsi i leżą martwi w swoich domach. Tego nie wiecie.

Karki milczały. Hiro zdawał się tu być jedynym głosem rozsądku, Robert jednak nie zamierzał się poddawać.

– Tak czy inaczej zaczęło się polowanie, a to jest nasze miasto i tu my, kurwa, polujemy na innych.

Kilku karków mu przytaknęło.

– Jedyna silna grupa, jaka została, to my. Mamy klamki, znamy teren. Trzeba tylko odpowiednio tym pokierować.

– Nawet nie wiemy, kim oni są – powiedział Hiro.

Robert wskazał na Dzikiego.

– On nas do nich zaprowadzi.

Hiro parsknął śmiechem, Robert jednak był tak nakręcony swoją myślą, że nawet tego nie zauważył.

– On jest teraz na celowniku. Nie rozjebali go wczoraj, choć mogli, bo coś dla nich znaczy, może myślą, że doprowadzi ich do brata. Prędzej czy później znowu się pojawią i wtedy ich dojedziemy.

– My?

– Możemy posłać zaufanych małolatów.

– Nikt nie pójdzie bez potwierdzenia Igora.

– Chuj z Igorem. Zdradził nas, zdradził grupę. Zawinał ten hajs, a nas wystawił do odstrzału.

Rozległo się walenie w bramę. Wszyscy się poderwali. Hiro zerknął na laptopa, na którym wyświetlany był widok z kamery skierowanej na podjazd.

– Tabak – powiedział Robert. – Wpuście go.

– Dziki. – Hiro skinął na niego głową.

Dziki wyszedł z gospodarczego. Przeszedł przez myjnię. Za jego plecami rozbrzmiewały wzburzone głosy karków. Prym w dyskusji wiódł Robert, szybko wcielając się w rolę nowego przywódcy. Dziki obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Uchylił bramę. Wyjrzał na zewnątrz.

– Czego chcesz? – spytał.

Tabak trzymał ręce w kieszeni. Podciągał barki, jakby chronił się przed zimnem. Oczy przekrwione od ćpania i braku snu. Odwodniony, pociągał nosem i cały czas go pocierał, żeby wetrzeć w śluzówkę resztki towaru.

– Dziki, co się dzieje – rzucił, rozglądając się po ulicy.

Dziki nie zdążył odpowiedzieć, gdyż ze środka usłyszał wołanie Drukarza.

– Wpuść go, niech wejdzie.

Kilku karków wyszło z gospodarczego. Tabak spojrział przez ramię Dzikiego. Próbował zrozumieć, co się dzieje, ale było już za późno. Dziki zdążył tylko pokręcić głową, co miało oznaczać, że jeśli cokolwiek sypnie, obaj nie wyjdą z tego żywi.

– Dawaj go tu! – zaczęły nawoływać karki.

Dziki uchylił bramę. Tabak spojrział w stronę swojego samochodu, jakby sprawdzał, czy zdoła tam dobiegnąć, jednak karki były szybsze. Któryś z nich szarpnął go za bluzę i wciągnął do środka. Tabak pochylił głowę, szykując się na grad ciosów. Karki go otoczyły i zaczęły się przepychać, walcząc o pierwszeństwo w dostaniu go w swoje łapy. Tabak wodził dookoła

przerażonym wzrokiem, jak zaszczute zwierzę. Dziki stanął z boku, nie mógł zareagować, bo Robert przez cały czas czujnie mu się przyglądał. Drukarz chwycił Tabaka za kaptur bluzy.

– Czemu nie odbierasz telefonu. Wiesz w ogóle co się stało?

Tabak powtarzał, że od kilku dni jest na ciągu, a dwóch koksów zaczęło się przypieprzać, że wisi im pieniądze. Tabak był tak roztrzęsiony, że Dzikim targnęła mocno uzasadniona obawa, że lada chwila pęknie.

– Chcesz zobaczyć, co zrobili z małodatem? – naciskał Drukarz. Wyciągnął telefon, pokazał mu zmasakrowane ciało.

Tabak niby to zarejestrował, ale przed oczami przewijały mu się inne obrazy. On był w hotelowej łaźni, tam gdzie odstrzelili Wolana. On pochylał się nad podziurawionym brzuchem kobiety w ciąży.

– Tak nas, kurwa, pokroją – powiedział Drukarz.

– Masz jakiś kontakt z Igorem? – odezwał się inny kark.

Tabak pokręcił głową, że nie. Trochę się uspokoił. Jakby przejrzał na oczy, zrozumiał jakąś prawdę.

– Muszę wracać – powiedział.

– Gdzie wracać? – ktoś spytał.

Tabak spojrział na Dzikiego. Trwało to o sekundę za długo. Reszta to zauważyła.

– Potrzebujemy ludzi – powiedział Robert.

– Muszę po pierwsze wytrzeźwieć. Za mocno przypierdoliłem – wymamrotał Tabak.

– Puść go, to ćpun, na chuja nam on potrzebny – rzucił któryś z karków.

– Wypierdalaj – powiedział Drukarz.

Tabak przez cały czas kiwał głową, udając, że ten napływ informacji go przytłacza. Mamrocząc coś pod nosem, zaczął się cofać w stronę wyjścia, ale



nikt go już nie słuchał. Między karkami na nowo wybuchła debata, jak dobrać się do Serbów. Teraz prym w grupie wiódł Drukarz, jakby on i Robert już z góry zaplanowali wspólne działanie. Tych dwóch zawsze chciało mieć większą władzę, teraz wreszcie pojawiła się okazja. Obaj byli zaangażowani w grubsze sprawy. Wymuszenia i haracze na dużą skalę. Dziki podejrzewał, że mieli na koncie zabójstwa. Teraz, jak zostali bez pana, mogli przystąpić do czyszczenia listy i wyglądało na to, że łatwo podporządkowali sobie resztę.

Tabak wyszedł z myjni i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę samochodu. Z jego piersi zaczęły wydobywać się piskliwe dźwięki, jakby tłumił płacz lub krzyk, próbował go zwrócić przeciwko sobie. Nie zostało nic z opanowania, jakim wykazał się w domu Nazima. Był wrakiem człowieka, kupą roztrzęsionego mięsa. Niektórzy ludzie źle znoszą bycie na celowniku.

Dziki wymknął się z garażu i podbiegł do niego, gdy ten wsiadał do samochodu.

– Co ty odpierdalasz? – syknął, dopychając za nim drzwi.

Tabak obrzucił go niepewnym wzrokiem, jakby z trudem go rozpoznawał. Dzikiemu przemknęło przez myśl, żeby wsiąść teraz do jego samochodu, powiedzieć mu, że muszą pogadać na osobności, wyjechać w jakieś bezpieczne miejsce i tam się go pozbyć. Tak zrobiłby Igor. Bolec miał rację. To była tylko kwestia czasu, jak koleś zacznie sypać. I metod, a ich repertuar widział na twarzy małolata. Tabak nabrał chwilowej pewności siebie. Wiedział, że Dziki jest pod obserwacją. Ci w garażu gapili się pewnie w monitor, ale on nie miał wyjścia. To była ostatnia szansa, żeby spróbować ustawić chłopa. Tylko trudno ustawić kogoś, kto jedzie na amfetaminie, a drugiego kopa daje mu lęk. Wybuchowa mieszanka, gdy strach jest tak duży, że zabija w tobie bohaterskie odruchy wywołane spidem. Wtedy oba te stany emocjonalne zaczynają cię zgniatać od środka. Jesteś gotów strzelić komuś w łeb na równi z tym, że jesteś gotów strzelić w łeb sobie.

– Zrobił nas w chuja.

Tabak ciągle poruszał głową, sapiąc przez nos i przebierając nogami,

jakby oblażyły go pchły. Ramiona przez cały czas podskakiwały w debilnym geście wahania. Dziki zbliżył się jeszcze bardziej, niemal wpychając go w maskę samochodu.

– Musimy czekać – powiedział, na co Tabak sięgnął pod bluzę i wyciągnął gnata. To była dziewiątka, mocno wyeksploatowana, towar z drugiej ręki, do jednorazowego użycia. Tabak postukał palcami po kolbie, chcąc nieco osuszyć spocone dłonie. – Rozjebię mu rodzinę. – Uniósł pytająco brwi, jakby jego propozycja wymagała akceptacji.

– Schowaj to.

Tabakowi na jego komendę gnat o mało nie wypadł z dłoni, jakby trzymał go resztką sił. Ale szybko się poprawił. Wsunął go pod bluzę, rozejrzał się na boki, pociągnął nosem, splunął gęstą, białą śliną. Jej widok nieco go uspokoił.

– Oni zaczęli czyścić miasto. Ludzie znikają.

– To tylko pokazówka. Uspokoją się.

– Gdzie są moje pieniądze? – Spojrzał w niebo, jakby ujrzał na nim drugie słońce, i jego blask go oślepił.

Z myjni wyszło dwóch karków. Stanęli przed bramą i zapalili papierosy, niby skupieni na rozmowie, choć co chwila zerkali na Dzikiego.

– Ogarnij się i przestań wciągać – powiedział Dziki.

Tabak wsiadł do samochodu i przemknął wzrokiem po wszystkich lusterkach, w każdym na moment zostawiając odbicie swojej przerażonej twarzy. Odpalił silnik.

– Odjechałem tam trzy głowy, w tym kobietę w ciąży – powiedział. – Jak się ze mną nie skontaktuje, sprzedam go w chuj.

Do oczu Tabaka znowu napłynęły łzy, wywołane ponownym uświadomieniem sobie beznadziejności swojej sytuacji. Dziki pochylił się nad szybą i udając, że ma mu coś do powiedzenia, splunął mu w twarz. Zdawało się, iż Tabak w ogóle tego nie zarejestrował. Przetarł tylko ślinę z

prawego oka, żeby umożliwić sobie widzenie i odjechał zygzakiem, trafiając jednym z kół w krawężnik. Dziki stał i patrzył za jego samochodem, aż zniknął za osiedlowymi garażami. Wrócił na myjnię. Pod jego nieobecność została poruszona kolejna kwestia, kto powinien pojechać do domu Igora. Okazało się, że nikt jeszcze tam nie był, do tej pory nie zaistniała taka potrzeba, gdyż Bolec twierdził, że ma z nim kontakt, teraz jednak należało to sprawdzić.

– Ja pojedę – zaproponował Dziki.

Nie było sprzeciwu. Chłopaki nie chcieli się wystawiać na wypadek, gdyby dom był obstawiony przez policję. Tymczasem dojechało kilku kolejnych karków. Nowe grupy ogłaszały gotowość do walki. Wkrótce osiedla miały stać się pułapkami, w których na zawołanie wybiegali żołnierze z maczetami. Serbowie mieli broń i mogli działać z ukrycia, ale to nie miało znaczenia. Chuligani już poradzili sobie z jedną mafią. Starą szkołę, hierarchię i koksów z klamkami zastąpiły gotowe na wszystko małolaty. Oni zawsze byli w gotowości, wystarczył jeden telefon, żeby posłać ich na wojnę. Było ich zbyt wielu, osiedlowe siły zbrojne, stanowiska rozmyte, każdy na swój sposób czerpał zyski z nielegalnych biznesów, każdy miał dostęp do koryta. Dom wielkiego brata był dla wszystkich otwarty. Trudno wygrać wojnę partyzancką, wojnę zasad z chaosem, dlatego mafia o zwartych, rodzinnych strukturach ustąpiła mafii osiedlowej, gdzie każdy miał szansę na awans, trzeba było jedynie wykazać się odpowiednią dawką bezwzględności. Tutaj nie było emerytury. Nie biegałeś z maczetą, siedłeś w odstawkę, stawałeś się nikim. Zbyt dużo innych czekało w kolejce po swoje trofea. Ciągły przemiał. Ustawki przestały mieć sens, lepiej było kisić w małolatach agresję. Znalazły się lepsze formy testu, uszkodzić typa, odciąć mu rękę w miejscu publicznym. To wyzwalало większe emocje. Trzeba się było przygotować, czekać na odpowiedni moment. Ciągłe napięcie, wahanie, a na końcu eskalacja. Radzenie sobie ze stresem. W ustawce była grupa, dzicz, reguły gry. Tutaj miasto, reguły ustalałeś ty, zaplanowane działanie, policja. Dlatego lepiej było nie wyładowywać tej agresji bezsensowną bieganiną. Czerpać z niej pożytek, ukierowując ją na cel, a następnie go niszczyć.

## 8

Dziki wiedział, że dom już od dawna jest pusty i dokładnie przeszukany. Być może Igor w ogóle tam nie wrócił, przeczuwając, że cała wina spadnie na niego i będzie musiał się szybko ewakuować, pomimo to wszedł w samochód i pojechał.

Teraz już nigdzie nie czuł się bezpiecznie. Ewa rano przeprowadziła się z dzieckiem do Anki, ale ludzie Igora też trzymali łapy na tym bałaganie. To nadal było osiedle. Każdy miał cię na widoku. Skoro Bolec, który miał pozostać łącznikiem między Igorem a resztą gangu, też się ulotnił, musiały być jakieś problemy. Bezczyenne czekanie oznaczało w takim wypadku powolne samobójstwo. Dziki nie myślał już o sobie, tylko o rodzinie. O dziecku, w którym płynęła również jego krew. To było jedyne, co trzymało go przy tej forsie. Igora też. Zostawiłby każdego, ale nie dziecko. I tylko to dawało Dzikiemu nadzieję, że Igor wróci.

Gdy zajechał przed bramę, zauważył, że jest lekko uchylona. Wysiadł z samochodu, domofon nie działał. Pchnął bramę, zaskrzypiał uszkodzony mechanizm. Przeszedł przez podjazd. Teraz wszystko zdawało się być jeszcze bardziej martwe niż ostatnio. Zsunięte żaluzje w oknach, zacieki na tynku, niewykończone schodki z betonowej wylewki. Obszedł dom i zajrzał do środka przez przeszklone drzwi na tyłach. Nie dostrzegł żadnych śladów walki, wszystko było na swoim miejscu. Przesunął drzwi, przepłynęły bezszelestnie po listwie podłogowej. Dopiero gdy przeszedł przez salon, zauważył ślady krwi. Na korytarzu prowadzącym od głównego wejścia leżały dwa martwe psy. Miały dziury po kulach w tułowiu i rozprute brzuchy. Flaki wylewały się na marmurową posadzkę. Rozmazana krew, jak od pociągnięcia szmatą. Wszedł na piętro. W sypialni panował bałagan. Zmierzwiona pościel, zdarte zasłony. Stał nad łóżkiem. W pościeli pełno włosów, wyrwanych z głowy podczas szamotaniny. Zabrali dziewczynę. Musiała stawiać opór, dlatego trochę ją naruszyli. Przeszukał piwnicę, na wypadek gdyby tam

postanowili urządzić miejsce do przesłuchań, nie znalazł jednak nic poza stertami popękanych płytek i sprzętem budowlanym. Wrócił do salonu i położył się na miękkiej kanapie. Leżał tak przez dłuższy czas, sycąc się chłodem luksusowego wyposażenia. Sięgnął po pilota i włączył muzykę. Pogłodził, tak że dźwięk zaczął rezonować po pustym salonie, zmieniając się w dudnienie, z którego wyłaniały się bojowe okrzyki ulicznego rapu. Nie wiedział, ile przeleżał na tej kanapie. Płyta się skończyła, na zewnątrz zaczął padać deszcz. Zadzwoił telefon. Dziki odebrał.

– I jak? – spytał Robert.

– Nie ma go.

– Byli tam?

– Byli.

– Coś zostawili?

– No. Dwa martwe psy.

– Dalej tam jesteś?

– No.

– Wracaj do miasta. Będziesz nam potrzebny.

– Do czego.

– Dowiesz się na miejscu. – Robert się rozłączył.

Dziki zwłókł się z kanapy, wyłączył sprzęt i wyszedł tymi samymi drzwiami. Nie miał wyjścia. Musiał wypełniać rozkazy. Oni byli teraz jego jedyną szansą na przetrwanie.

Wrócił na osiedle i zadzwonił do Roberta po dalsze instrukcje, ale ten nie odbierał, więc poszedł na siłownię, dla zabicia czasu, rozładowania napięcia. Gdy ćwiczył, kilku typów mu się przyglądało. Ściągał ze stojaków duże ciężary, żeby pokazać, że jest w formie, ale jak wyciskał, szybko tracił siły, puszczał sztangielki po czwartym powtórzeniu. Obserwował w lustrze wejście, zdawało mu się, że większość ćwiczących w pośpiechu opuszcza

siłownię. Został tylko on i tych trzech koksów, którzy udawali, że go nie widzą, choć gdy się odwracał, przez cały czas śledzili go wzrokiem.

Spotkali się w szatni. Dziki wyszedł spod prysznic, owinął ręcznik wokół bioder i stanął przy swojej szafce. Ci trzej siedzieli na ławeczkach i milczeli. Nawet nie zdjęli rękawic. Jeden zaczął się pakować, ale robił to powoli. Chyba trening się nie udał, bo nawet nie spuchli. Dziki, nie mogąc znieść rosnącego napięcia, odwrócił się, zrzucił ręcznik z bioder i stanął przed nimi nago, rozkładając ramiona.

– Jest jakiś problem? – spytał.

Koksy nie zareagowały. Tylko jeden z nich się uśmiechnął i wrócił do pakowania torby.

Dziki pojechał do mieszkania i spróbował nakarmić matkę. Nie chciała od niego jeść. Zaczął wpychać jej łyżkę na siłę, ale wszystko wypłuła. Jedzenie skapywało jej po brodzie, spadało na ubranie, brudziło kanapę, a Dziki nabierał kolejne porcje i wpychał jej w usta. Coraz bardziej rozdrażniony jej oporem zamachnął się i uderzył ją w upaćkaną jedzeniem twarz. Mocno, aż jej głowa odskoczyła jak na sprężynie i wróciła w to samo miejsce, z tak samo obojętnym wzrokiem. Wziął szmatkę i wytarł jej twarz. Ewa musiała przyjść i ją nakarmić. I wykapać, bo matka zaczynała śmierdzieć.

Nadchodził wieczór. Zadzwonili, gdy było już ciemno. Kazali mu jechać na Wzgórza Krzesławickie. Była możliwość, że dopadli Tabaka, a ten się ze wszystkim wysypał. Dla nich jednak skradzione narkotyki mogły mieć mniejszą wartość niż to, co Igor zostawił po sobie na mieście.

Czekali na ulicy, w podniszczonej furgonetce. Dziki słabo znał to osiedle. Czteropiętrowe, niskie bloki. Obrzeża miasta. Dalej były już tylko zarośnięte zielskiem domki działkowe. Dziki podszedł do szyby furgonetki, szyba się zsunęła. Za kierownicą siedział dres o zapadniętej, mętnej twarzy, w której świeciły czarne, nieco skośne oczy. W świetle latarni jego twarz nabierała dziwnych, plastycznych kontrastów. Dziki widział go po raz pierwszy.

– Jestem – powiedział.

Po chwili rozsunęły się boczne drzwi. Dziki zaglądnął do środka furgonetki. W pomarańczowym świetle sufitowej lampki ujrzał dwa rzędy obitych skajem foteli. Robert i Drukarz siedzieli naprzeciwko siebie, obaj w luźnych dresach.

– Wsiadaj – powiedział Robert.

Dziki wsiadł, Robert zatrzasnął za nim drzwi. Dziki usiadł obok Drukarza. Paka furgonetki była pozbawiona szyb, od kabiny kierowcy dzieliła ją krata. Dziki siedział tyłem do kierunku jazdy. Robert się uśmiechał. Drukarz rozcierał dłonie, nerwowo żując gumę. Siedział z pochyloną głową i spinał mięśnie karku. Tak pewnie reagował na stres. Furgonetka ruszyła.

– Gdzie jedziemy? – spytał Dziki.

– Zaraz zobaczysz – odpowiedział Robert, jeszcze szerzej się uśmiechając.

Drukarz wyciągnął z kieszeni woreczek z towarem. Rozsypał po dłoni, wciągnął. zaproponował Robertowi, ten odmówił. Potem posypał Dzikiemu. Dziki pochylił się i wciągnął wszystko co tam było, żeby się znieczulić, przestać się bać. Wiedział, że to koniec i nie chciał dać po sobie poznać, że się boi. Po tym jak Tabak pojawił się na myjni, pojechali za nim i wyciągnęli z niego wszystkie informacje. O wszystkim już wiedzieli. Nie było sensu walczyć. Wciągnąć tylko ostatnią kreskę. Przygotować się na śmierć. Serce zaczynało walić coraz szybciej. Zaczynało brakować mu powietrza. Nie przeszedł przez ten cały syf, żeby chuligani zakopali go w lesie. Tak jednak to wszystko z reguły się kończy. Spokojną podróżą.

– Masz jakiś sprzęt? – spytał Drukarz.

– Co? – Dziki się poderwał.

– Czy masz przy sobie jakiś sprzęt. Kosę, cokolwiek.

– Nie mam.

Drukarz podstawił mu pod nos kolejną ścieżkę. Dziki wciągnął, aż łzy mu poszły z oczu. Furgonetka stanęła na światłach. Potem znowu ruszyła, przyspieszyła, wzięła gwałtowny zakręt. Dzikiego zemdliło. Potarł nos, bo towar był mocny i zaszczypała go śluzówka. Robert odchylił głowę i przyglądał mu się spoza obrębu światła, gładząc się tłustymi palcami po policzku. Dziesięć minut później się zatrzymali. Kierowca wyłączył silnik. Drukarz sięgnął pod siedzenie i wyciągnął spod niego torbę. Rzucił ją Dzikiemu pod nogi.

– Wybierz coś sobie – powiedział.

Dziki rozsunął zamek. Zajrzał do środka. Pałki, noże, maczety. Robert pchnął rozsuwane drzwi, ukazał się widok na bloki. Dziki nagle uświadomił sobie, że już tutaj był. Stał niemal w tym samym miejscu, gdy syn Nazima machał do niego spod klatki schodowej. Drukarz wskazał drugi blok od ulicy.

– Widzisz ten blok? Tam siedzi ten jebany Arabus. Dzisiaj jedziemy z nim na pełnej kurwie. Jak nie popłynie z hajsem, to kończysz chłopa, rozumiesz?

– Co? – spytał niewyraźnie Dziki.

– Utniesz mu łeb, tak jak robią to swoim tam, na pustyni.

Robert zaczął się śmiać. Zanim Dziki zdążył zaprotestować, wypchnęli go na ulicę. Robert wyjął z torby łom, Drukarz schował pod kurtkę maczetę i kastet. Dzikiemu podał nóż. Dziki się cofnął.

– Weź to.

Dziki pokręcił przecząco głową. Wtedy Robert doskoczył do niego od tyłu, przydusił go ramieniem i wcisnął w maskę furgonetki. Przed Dzikim znowu pojawiła się twarz Drukarza, tym razem z ostrzem noża wycelowanym w jego oko.

– Słuchaj, małolat, teraz masz wykonywać nasze rozkazy, zacząłeś to z nami i teraz to, kurwa, skończysz albo pokroimy cię tam razem z resztą.

Robert puścił Dzikiego. Dziki sięgnął po nóż, schował go pod kurtkę.



Drukarz wypchnął go naprzód i zaczęli zmierzać w kierunku bloku. Zamek w drzwiach prowadzących na klatkę schodową był zepsuty. Nie zapalając światła, wspięli się po schodach. Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze. Stanęli pod drzwiami. Ze środka dochodziło ujadanie psa. Robert przystawił ucho do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, próbując rozeznaczyć, czy ktoś jest w środku. Pies chyba wyczuł, że nie zamierzają odejść i szczekał z coraz większą zapalczywością, momentami rozpaczliwie zawodząc. Rzucił się na drzwi i zaczął je drapać pazurami z taką siłą, że dało się słyszeć chrobot zdzieranego drewna. Robert zapukał. Żadnej odpowiedzi. Skinął głową na Drukarza. Dziki spojrzał w dół, na schody, jednak drogę ucieczki przysłoniła mu wielka klata Drukarza, który zaciskał dłoń na trzonku maczety. Robert wysunął łom z rękawa. Wpasował końcówkę między drzwi i framugę. Szarpnął. Rozległ się trzask pękającego zamka. Wsunął łom głębiej, naparł na drzwi barkiem, wokół zamka odłamały się fragmenty sklejki. Uchylił je tylko nieznacznie. Nie wiedzieli co zastaną w środku, musieli zachować ostrożność. Pies od razu wsunął spieniony pysk w powstałą szczelinę, jakby łapczywie chciał zaczerpnąć powietrza. Już nie szczekał, tylko przeciągle skamlał, napierając na drzwi, ślina kapała mu z pyska. Robert skinął głową, dając znak Drukarzowi. Ten pchnął Dzikiego w kierunku drzwi. Dziki się nie poruszył, więc szarpnął go za bluzę i wepchnął siłą do mieszkania.

W środku panowała ciemność. Dziki poczuł smród. Był jak gęsta zawiesina, która skraplała się w gardle i spływała do żołądka. Wypełniał mieszkanie tak szczelnie, że niemal opróżnił je z tlenu. Zrobił niepewny krok, oczy zaszczyły mu łzami. Śluzówka w nosie zapiekła, w ustach poczuł smak gnijącego zęba, sproszkowanych kości i coś jak słodkiego gówna rozmazanego po skórcie pomarańczy. Szarpnęły nim torsje, ale nie zwymiotował. Pies po nim skakał, liżąc go po rękach i szarpiąc zębami nogawkę spodni. Jego twardy ogon obijał się po ścianach. Łapczywe sapanie i spieniony pysk. Robert i Drukarz weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi. Nadal poruszali się dyskretnie, co zważywszy na ich rozmiary, było istną wirtuozerią. Wstrzymując oddech, wcisnęli nosy w zgięcia ramion.

Otoczyło ich lepkie ciepło, jak w szklarni pełnej zgniłych owoców i sztucznego nawozu. Robert wyszukał włącznik światła. Migotanie pod kloszem z brudnego papieru. Słaba żarówka potęgująca wrażenie ciasnoty. Ściana obita korkową tapetą, w rogu plama grzyba z pękniętej rury. Pies sama skóra i kości, przednie łapy rozdarte do żywego mięsa, na drzwiach krew i ślady po pazurach, trociny na lepkiem, czarnym od brudu linoleum, lustro na ścianie, na wieszaku dwie kurtki, buty rozrzucone w kącie, jakby ktoś zdjął je w biegu.

Na wprost znajdowało się wejście do kuchni. Ledwo widoczne w mroku kontury otwartych szafek, brudnych naczyń piętrzących się w zlewie. Po podłodze wały się wysypane z kubła śmieci. Było ich tak dużo, że przesypywały się do przedpokoju. Rozgryziony foliowy worek. Gnijące resztki warzyw. Drzwi do pokoi zamknięte. Robert podszedł do tych po lewej, otworzył je i niemal od razu się cofnął. Zalała ich kolejna fala smrodu, jak zderzenie z ochłapem gnijącego mięsa, który przylepił się do ust, odcinając dopływ powietrza. Robert oparł się plecami o ścianę, kryjąc twarz w rękawie kurtki i ciężko dysząc. Drukarz wyciągnął zza paska maczetę i zlizął pot gromadzący się nad górną wargą. Robert pchnął drzwi, zapalił światło. Żaluzje w oknach szczelnie domknięte. Telewizor włączony, dźwięk na granicy słyszalności. Przerwa w filmie, początek reklam. Cała podłoga zawalona niedopałkami papierosów i kartonami po żarciu. Rozbite szkło, rozwinięte rolki papieru toaletowego, butelki po napojach. Nazim siedział na kanapie. Głowa odchyłona do tyłu, dłonie na kolanach, jakby zasnął, czekając w kolejce. Miał na sobie garnitur i białą koszulę, starannie zawiązany krawat. Ubiór ten komicznie komponował się z panującym dookoła syfem. Dłonie ułożone równo na kolanach, lewa nieco się obsunęła. Zagięte palce, jakby umierając, kurczowo chwycił się materiału spodni. Na ścianie nad jego głową odbite krwawe ślady dłoni. Odbitek było z dziesięć, w różnych konfiguracjach. Zrobił to swoją krwią, gdyż miał przecięte żyły. Dziki zauważył to dopiero wtedy, gdy stanął nad nim. Symetryczne kałuże krwi, rozlane wokół każdej ze stóp. Dłonie trzymał na kolanach, a krew ściekała po czarnych spodniach i wsiąkała w dywan, tak, że cała góra

pozostała czysta. Twarz miał siną, opuchniętą, ale emanował z niej spokój.

Pies wpadł do pokoju i zaczął obwąchiwać podłogę w poszukiwaniu resztek jedzenia. Ciało lekko spuchło, leżało tu od dobrych kilku dni. Szczelnie pozamykane okna utrzymały wysoką temperaturę, przyspieszając proces gnilny. Zwierzę było wygłodniałe. Łapczywie wyszarpywało wyschnięte brzegi pizzy wystające z pogniecionych kartonów. Robert pochylił się i wymiotował.

– Kurwa – charczał, krztusząc się w przyływie nagłych torsji.

Pies od razu zaczął zlizywać z podłogi płynną papkę rzygów, w której były resztki niestrawionego jedzenia. Dziki wyszedł z pokoju, zajrzał do kuchni. Z otwartej lodówki biło jasne światło. Otworzył drzwi do łazienki. Wanna była pełna wody, pływały w niej ubrania w mętnej zawieszynie. Stał przed drzwiami do drugiego pokoju. Otworzył je, światło z przedpokoju wpadło do środka. Tutaj też okna były zasłonięte. Na podłodze dwa materace, a na nich lekkie wypukłości w zmierzwionej pościeli. Dziki zapalił światło. Odsunął jedną z kołder. Zobaczył białą, spokojną twarz chłopca. W kąciu ust zaschła mu strużka białej piany. Wyglądał jakby spał. Obok niego leżała martwa matka. Dziki wrócił do salonu.

– Co robimy? – spytał Drukarz.

Robert powoli wracał do siebie. Pies wskoczył na kanapę, położył łapy na klatce piersiowej trupa i zaczął mu obwąchiwać szyję. Po chwili ukąsił go kilka razy, pierwsze niepewnie, potem nadrywając lekko skórę. Dziki spróbował kopnąć psa, ale ten od razu wyszczerzył zęby, broniąc swojej zdobyczy. Robert rozejrzał się po salonie. Przeszedł do kuchni, słychać było jak rzuca przekleństwa, stając przed pełną zgniłego żarcia lodówką. Potem jak zrzuca z półek przedmioty, zagląda do szafek. Przeszedł do pokoju, ściągnął kołdrę z trupów, ponaciskał butem ich ciała. Zaglądnął pod materace. Mieszkanie było tylko przejściową metą. Chłopak musiał spać z matką w pokoju, Nazim na kanapie w salonie. Poza tym nie było prawie żadnego umeblowania. Bałagan, jaki panował w mieszkaniu świadczył, iż trochę przeliczył się z własną motywacją. Pierwsze, zabił swoją rodzinę i

musiało minąć trochę czasu, zanim postanowił skończyć z sobą.

Robert wrócił do kuchni i gdy ponownie stanął w drzwiach salonu, trzymał pod pachą kuchenkę mikrofalową.

– Bierz telewizor – powiedział do Drukarza.

– Co, kurwa?

– Bierz jebany telewizor. Dziki weźmie odtwarzacz.

Pies coraz żarłoczniej zabierał się za swojego pana. Dziki odwrócił wzrok. Na stole dostrzegł rozsypane tabletki. Obok stała opróżniona do połowy butelka z tanim szampanem.

– Pierdolę to gówno – rzucił Drukarz. Maczeta beczynn timer z wisiała mu z dłoni.

– To jedyne, co po nim zostało. Możemy zapomnieć o długu. Trzeba stąd spierdalać, zanim pojawią się gliny.

Drukarz z ociąganiem zaczął zrywać kable. Telewizor faktycznie mógł być trochę wart. Czterdziestocalowa plazma, jedyny dobytek, jaki ocalał z domu za miastem. Teraz mieli drugi do kolekcji.

– Dziki, bierz się do roboty – powiedział Robert. – Kurwa, i zajeb tego psa – dodał, krzywiąc się na widok rozszarpywanej szyi Nazima.

Nie wypływała z niego żadna krew. Mięso było twarde, suche, pies z trudem odgryzał kawałek po kawałku.

– Zostaw. Niech go zje – powiedział Drukarz, przyglądając się, jak głowa Nazima lata na wszystkie strony, mając coraz mniejszą styczność z resztą ciała.

Dziki spojrzał na tabletki. Część była pognieciona metalową łyżeczką na proszek. Robert, nie mogąc znieść smrodu, cofnął się do przedpokoju i zaczął rozmawiać przez telefon. Dziki wykorzystał moment, w którym Drukarz mocował się z telewizorem, i zgarnął garść tabletek do kieszeni. Drukarz uniół telewizor i skierował się do wyjścia. Robert relacjonował komuś przez

telefon, co tutaj zastali. Wszedł do kuchni, wyjął zabrudzony garnek ze stosu naczyń w zlewie, przepłukał go, nalał wody i postawił go na podłodze w przedpokoju. Ze słuchawką przy uchu, powyłączał wszystkie światła. Drzwi do pokoju, w którym leżała żona i syn Nazima, zostawił otwarte na oścież. Wyszli na korytarz. Pies coraz łapczywiej kłapał zębami, powoli nasycając swój głód.

## 9

Siedziała przed nim na fotelu. Wyglądała na gotową. Zdjął świeżą pieluchę, którą założyła jej Ewa. Pomalował jej usta, ułożył włosy. Usiadł w fotelu naprzeciwko, nagi od pasa w górę i wpatrywał się w nią, paląc papierosa. Wszyscy mówili, że Igor jest podobny do matki. On wdał się w ojca. Być może było w tym nieco prawdy. Igor był drobnej kości, ale napomponował się sterydami. Kiedyś miał delikatniejsze rysy, ale wszystko zniszczyła siłownia. Nadmiar potu, ciężary. Otwiera pory, pogrubia rysy. Rysy matki zmieniło cierpienie, teraz jednak nie wyrażały one żadnych emocji. Została tylko bezosobowa maska.

Dopalił papierosa. Nie spieszył się. Byli sami, nikt nie mógł im przeszkodzić. Wstał i przeszedł do kuchni. Na stole leżały tabletki, które zabrał z mieszkania Nazima. Otworzył jedną z szafek i wyjął z niej ampulkę z lekami matki. Wysypał je na stół, siedem tabletek w różnych kolorach i zmieszał je z resztą. Przez chwilę stał nad stołem i oddzielał tabletki od siebie, układając je w różne wzory. Potem sięgnął po kubek, podstawił go pod krawędź blatu i zgarnął tabletki kantem dłoni, uważnie obserwując, jak spadają na dno kubka. Zaniósł kubek do salonu i postawił go na stole przed matką. Wrócił do kuchni, wyjął z ociekacza szklankę i łyżeczkę, a następnie sięgnął do lodówki po butelkę cinzano. Odkręcił zakrętkę i upił kilka łyków. Zaniósł to wszystko do salonu i postawił obok kubka z tabletkami. Matka wpatrywała się w ścianę. Usiadł w fotelu i zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się i oderwał papierosa od ust, przytrzymując dym w płucach.

– Popatrz na te dziary – powiedział. Uniósł prawe ramię i przejechał palcem wzdłuż klatki piersiowej, robiąc obrys wytatuowanych na niej motywów. Były tam głowy dzieci o starych twarzach, ciernie, zarysy gotyckiej katedry. – Blizny po nożu. – Palec wędrował po skórze. – Po zębach. Po całym ludzkim ścierwie. Wszystko tutaj jest. Historia życia zapisana na skórze. – Zatrzymał palec tuż nad wątrobą, na poprzecznym

zgrubieniu. – A to jest blizna po moim bracie. Przez pięć lat przypominała mi na celi, czym jest rodzina. – Wsadził papierosa między zęby i mrużąc oczy od zasnuwającego je dymu, pochylił się nad stołem i rozsypał po nim tabletki. – Czymś, czego nie możesz zabić. Ani znienawidzić. Czekasz, aż się zagoją. – Kilka tabletek potoczyło się i spadło na podłogę. Pozbierał je i dołączył do reszty. – Aż w końcu stajesz się silniejszy. Silniejszy, żeby wybaczyć.

Sięgnął po łyżeczkę i dociskając ją ciężarem własnego ciała, zaczął zgniatać tabletki. Dłoń coraz bardziej mu drżała, gdy zgarniał z blatu większe odpryski. Gdy uniósł wzrok, zauważył, że po twarzy matki spływają łzy. Jej wyraz się nie zmienił, nawet powieki opadały w tym samym, powolnym rytmie, z tą różnicą, że płakała. Tabletki wyslizgiwały się spod łyżki, nie trafiał, dociskał łyżkę drugą ręką. Z okruchów formował się proszek. Robił to powoli, z nadzieją, że obraz ten wreszcie dotrze do świadomości matki. Gdy skończył, przesypał proszek do szklanki, prowadząc go drżącą dłonią nad krawędź stołu. Zebrał wszystko, nawet pył, który pozostał na blacie. Oczy matki powędrowały w dół. Patrzyła jak zagarnia proszek. Otrzeptał dłonie i wytarł je o oparcie fotela. Spojrzał na matkę.

– Muszę wiedzieć, że się zgadzasz – powiedział.

Matka wodziła wzrokiem po stole. Dziki nachylił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy. Próbował dostrzec jakiś ruch źrenic, drgnienie na twarzy, jakąkolwiek oznakę sprzeciwu, ona mu jednak tego nie dała. Potrafiła zareagować, gdy wycelował broń w Igora. Coś wtedy się w niej obudziło i Dziki zrozumiał, że przez cały czas jest świadoma tego, co się wokół niej dzieje, lecz tym razem jakaś umysłowa blokada nie pozwalała jej reagować.

– Chcesz, żebym to zrobił?

Pomyśl, że płacze ze szczęścia. To mogą być łzy szczęścia.

Nalał wina do szklanki, ręka mu drżała, proszek pozbijał się w grudki i utworzył na powierzchni zbitą warstwę, którą zaczął mieszać łyżeczką. Proszek słabo się rozpuszczał, lepił się do krawędzi szklanki, zamiast płynu

zrobiła się z tego biało-czerwona papka. Dziki wsadził palec w tę breję i zaczął rozmazywać grudki po ściankach. Gdy skończył, odstawił szklankę na stół, lecz nie oderwał od niej dłoni. Skupił na niej wzrok, jakby spojrzenie na matkę w tym momencie mogło go odwieść od jego decyzji. Nie był świadomy tego, jak mocno zacisnął palce na szklance, o mało nie powodując jej pęknięcia. Potem uniósł szklankę do ust.

– Popatrz na mnie – powiedział.

Zamoczył usta w truciźnie. Czekał, aż matka spróbuje go powstrzymać. Czekał na jakikolwiek znak protestu. Poszczególne elementy jej twarzy zaczęły ożywać. Starał się doszukać sygnału w każdym drgnięciu jej powiek. Ruchu warg, które zaciskały się, jakby tłumiła w sobie wewnętrzny krzyk. Zamknął oczy. Usłyszał jak z jej piersi dobywa się ciche jęknięcie. Przechylił szklankę i zacisnął zęby. Ten moment zdawał się trwać całą wieczność. Wieczność czekania na jej dotyk, na dłoń, która, odejmie mu tę szklankę od ust, dając dowód miłości. Z każdą mijającą sekundą czekał na kolejną. Dawał jej szansę. Trucizna tuż poza granicą zębów, tak łatwo mógł wpuścić ją do środka i powinien to zrobić, teraz, gdy uzyskał jej akceptację. Nie odezwała się. Gdy otworzył oczy, miał przed sobą nie matkę, lecz jej podobiznę, zachowaną w tępo wyciosanym posągu. Poderwał się z fotela, trzymając szklankę oburącz, gdyż teraz już drżał na całym ciele. Okrążył stół i stanął przed matką. Podstawił jej palce pod brodę i spróbował unieść jej twarz, lecz napotkał opór. Prawą dłonią gładziła materiał sukienki. Dziki przystawił jej szklankę do ust. Zacisnęła je, dokładnie tak, jak robiła to przy karmieniu. Przytrzymał ją za kark i spróbował jeszcze raz. Czuł jak jej mięśnie się napinają, kręgosłup sztywnieje, oddech staje się szybszy. Ponownie wsunął krawędź szklanki w jej usta, szkło stuknęło o zęby.

– Pij – powiedział. – Pij – powtórzył. Oderwał dłoń od jej karku w obawie, że zaciska ją zbyt mocno i zostawi jakieś ślady.

Miała delikatną skórę, kruche kości. Nie mógł jej uszkodzić. To musiało wyglądać na samobójstwo. Odciągnął szklankę od jej ust. Na wargach osadził się zaróżowiony proszek. Nadal je zaciskała, jakby przygotowana na



kolejną próbę. Wywracała przy tym oczami na wszystkie strony. Dłoń coraz mocniej szarpała materiał sukienki. Syk powietrza wydmuchiwanego przez zacisnięte zęby. Na jej czole pojawiły się krople potu. Skóra przybrała lekko sinawy odcień. Dziki pchnął biodrem stół i stanął centralnie naprzeciwko matki. Zacisnął palce w punktach, gdzie żuchwa styka się z kością jarzmową i stopniowo zwiększał nacisk, jednak i tym razem nie zdołał przełamać stawianego przez nią oporu. Odstawił szklankę, pobiegł do kuchni, otworzył szafkę na sztućce i wrócił z drewnianą łyżką o długim, grubym trzonku. Stanął okrakiem nad skrzyżowanymi kolanami matki, zaparł się palcami lewej ręki o jej potylicę i zaczął wpychać trzonek łyżki między zęby, wkładając w to całą siłę przedramion. Matka nadal się broniła, więc przekrzywił jej głowę do tyłu, tak mocno, że na jej szyi wystąpiły żyły. Wydała przy tym z siebie ciche jęknięcie. Teraz napierał z góry, jej głowa była wygięta pod takim kątem, że większy nacisk groził złamaniem karku, on jednak przestał już zwracać na to uwagę. Trzonek ślizgał się po jej zębach, Dziki ponownie zacisnął palce na żuchwie, między zębami pojawiła się szczelina i po chwili udało mu się wsunąć w nią końcówkę trzonka. Pchnął go głęboko, tak, że skóra policzków się naciągnęła, przytrzymał go jedną ręką, a drugą sięgnął po szklankę. Pot zalewał mu oczy, mięśnie drżały z wysiłku. Trochę wina z proszkiem wylało się na dywan, spłynęło mu po palcach. Słodko-gorzka, lepka mikstura, na jej widok o mało nie zwymiotował. Odwrócił na moment wzrok, zamknął oczy. Na palcach czuł gorący oddech matki, który wydobywał się z jej szeroko rozwartych ust. Nie mogła podnieść głowy, gdyż dociskając trzonek, wgniatał ją w oparcie fotela. Cały makijaż, który jej zrobił, rozmazał się. Czarne strużki rozpuszczonego tuszu spływały po jej szyi. Wziął kilka głębokich wdechów, przystawił jej szklankę do ust. Z jej piersi wyrwał się stłumiony ryk. Przechylił szklankę, roztwór zabulgotał w jej gardle. Wypluła. Jego dłoń pracowała już mechanicznie, jakby w oderwaniu od reszty ciała. Połknęła część płynu, zaczęła się krztusić. Dziki wyciągnął knebel, usiadł okrakiem na jej kolanach i obejmując jej głowę ramieniem, tak że twarz znalazła się niemal pod jego pachą, podjął kolejną próbę, ona jednak znowu zacisnęła zęby, pomimo tego, że szarpały nią torsje. Dziki nagle uświadomił sobie, że jest tak roztrzęsiony,

iż nie ma już siły walczyć. Docisnął szklanę, szkło pękło i rozcięło matce wargę. Spieniony płyn rozlał się po jego dłoniach, zmieszany z jej krwią. Upuścił potłuczone resztki szkła na podłogę. Świadomość tego, co próbował właśnie zrobić, uderzyła w niego ze zdwojoną siłą, powodując coraz większe roztrzęsienie. Przechylił głowę matki do przodu.

– Wypluj, wypluj – powtarzał, nieświadomie szarpiąc ją za włosy i tłumiąc spazmy płaczu.

Włożył jej palec do gardła i zmusił, aby zwymiotowała. Mieszanina spienionego proszku i krwi spłynęła na dywan. Zerwał się, wybiegł z pokoju, wrócił z ręcznikiem i przycisnął go matce do rozciętej wargi. Powoli się uspokajał. Skupiony na wyrównaniu oddechu, patrzył jak ręcznik nasiąka krwią. Matka nie przestała zaciskać zębów, nawet gdy coraz delikatniej muskał skrawkiem materiału rozcięcie na jej wardze. Gdy krew przestała się sączyć, odsunął się od matki i usiadł w fotelu. Zrobił to powoli, jakby ten rodzaj konfrontacji miał sprawić mu o wiele większą trudność niż poprzedni.

– Rozumiem, nie jesteś jeszcze gotowa – powiedział na wpół ściszym głosem. Ułożył zakrwawiony ręcznik na kolanach i zaczął go wygładzać. – Poczekam, aż będziesz gotowa. – Spuścił głowę i tylko oczy powędrowały w górę, zezując na matkę połówkami źrenic.

W jej przyspieszonym oddechu była jakaś zawziętość. Wyprostowała się i patrzyła na niego, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że tym razem to ona odniosła nad nim zwycięstwo.

## 10

Czekali w samochodzie, obserwując blok. Przez uchyloną szybę wpadały dźwięki osiedla. Szczekanie psów, pojedyncze nawoływania, szum nadjeżdżających samochodów, krótkie wymiany zdań przy szybach. Ciche, nerwowe popołudnie. Radec czujnie lustrował otoczenie. Nie ogarnął jeszcze zbyt dokładnie mapy miasta. Byli tutaj dopiero od trzech dni, a od dwóch polowali, wybierając przypadkowe adresy. Przeważnie poruszali się w ciasnych zaułkach, wlotach do czynszowych kamienic, nie zbliżali się do Rynku, gdzie każda ulica była monitorowana. Działali pod osłoną nocy, lepiej rozumiejąc jej prawa. Byli wyspani, dobrze nastroszeni. Zawodowi zabójcy. Przyjechali tu na robotę. Tacy jak oni byli wysyłani, gdy coś się popsuło.

Radec o wszystkim decydował, w tej sprawie miał na to odgórne przyzwolenie. Ostrzegął Dawida, żeby nie angażował się w związek z dziwką, jednak ta owinęła go wokół palca. Ściągnęła go do tego hotelu i zginął. Dobrze, że dziwkę też zastrzelili. Poniosła należną karę. Dawid był jego bratem. Jedyna rodzina, jaka mu została. Radec tamtej nocy miał jechać wraz z nim, ale brat oddelegował go do innych zadań. Nie byli równi w mafijnej strukturze. Radec był żołnierzem i nie zamierzał wspinać się wyżej. Taki układ mu odpowiadał. Nie lubił rozmawiać z ludźmi, przekonywać ich do swoich racji, prowadząc intelektualne gierki. Radec wolał rozwiązywać każdy problem przy użyciu siły. Działać, kiedy inne środki zawodziły. Wtedy czuł się doceniony.

Bracia zawsze trzymali się razem, choć Dawid szybko wywindował w hierarchii, stając się prawą ręką bossa. Z żołnierza zmienił się w biznesmena, dlatego jego instynkt uległ przytępieniu. Teraz mafia straciła dwadzieścia kilo towaru i podejrzewali, że to Dawid stał za tą akcją, Radec był więc na podwójnej misji. Pierwsze – pomścić brata, drugie – odkupić jego winy.

Bossowie powiedzieli, że wysyłają tylko ich, ale w mieście mogło być

więcej żołnierzy. Każdy pilnował każdego. W grze było ponad milion euro. Dla takich pieniędzy na polu bitwy gromadzi się wiele armii.

Trop, którym podążyli, był prosty. Od razu zauważyli, że w tym mieście duży problem stanowi broń. Ktoś musiał uzbroić grupę. Do tej pory wyłapali trójkę ludzi. Małoletni diler nic nie wiedział. Był nowy na ulicy, ale pracował dla Igora, więc go zabili. Pokazówka. Potem dziewczyna Igora. Laska była bezużyteczna. Igor nic jej nie mówił. Zabawka do ruchania. Pusty dom, żadnych tropów. Próbowła się do niego dodzwonić, nie dał jej tej szansy. Trzymali ją dwa dni w magazynie. Mladen ją zgwałcił w dupę, ale tylko dla zabawy, bo mieli do dyspozycji dziewczynę Olafa. Fakt był taki, że wszyscy jego bliscy współpracownicy się ulotnili. A Radec potrzebował potwierdzenia.

Obserwowali mieszkanie handlarza już od dłuższego czasu. Namiary dostali od Olafa, który biegał koło nich jak służalczy pies, bo był na celowniku, tak samo jak cała reszta. Jeszcze nie wiedział, że wkrótce przejmą jego klub, a on sam pójdzie do piachu, albo uszkodzą go na tyle, żeby nie stanowił problemu.

Z klatki schodowej rzadko ktoś wychodził. Olaf powiedział, że nie powinno być problemów, bo koleś jest unieruchomiony, emerytowany żołnierz, doznał uszkodzenia kręgosłupa na misji w Afganistanie i jeździ na wózku.

Najmłodszy Serb nazywał się Zorba i był ciągle pobudzony od ćpania koksu. To było jego pierwsze zadanie poza granicami kraju i czuł się jak pieprzony król świata. Radec nie mógł go znieść, ale Zorba miał jedną cenną cechę, mianowicie gwałcił koleśi, brutalnie i z pasją. Dla niektórych gwałt był największą karą. Działał lepiej niż tortury. Do tego rok temu Zorba złapał w Amsterdamie HIV i dla bossów stał się jeszcze bardziej cenny. Chodząca broń biologiczna. Upokorzenie i przekazanie choroby w jednym. Zorba nie mógł się doczekać, aż kogoś wyrucha. Do tego ciągnął koks i chodził ciągle z postawionym kutasem. Radec i reszta specjalnie trzymali go z dala od gejowskich klubów, żeby wpompował w czyjaś dupę jak najwięcej spermy.

– To on? – Mladen wskazał idącego ulicą chłopaka.

Chudy, wysoki, w wojskowej kurtce i odwróconej czapeczce. Szedł sztywnym krokiem, patrzył pod nogi i zdawał się prowadzić dialog z samym sobą. Radek spojrział na zdjęcie, które dał mu Olaf.

– Sprawdźmy – powiedział. Wyciągnął broń i wkręcił tłumik w lufę.

Wysiedli z samochodu, przebiegli przez ulicę i dopadli chłopaka na klatce schodowej, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi. Zorba chwycił go za gardło i ścisnął tak mocno, że ten zrzygał się na spodnie. Zorba się cofnął, wytarł mu rękę o włosy.

– Twój stary jeździ na wózku? – spytał Radek. Tylko on z całej paczki nieźle mówił po polsku.

Chłopak był ćpunem. Wyglądało, że jest na głodzie. Patrzył na nich, jakby byli jedynym możliwym rozwiązaniem jego problemów. Pokiwał głową.

– Pod którym numerem mieszkasz? – spytał Radek.

– Dwadzieścia sześć.

– Ojciec jest w domu?

– Zawsze tam jest.

– Jest ktoś jeszcze?

– Matka.

– Wiedzą, że masz przyjść?

– Nie, to znaczy mówiłem, że będę, ale nie powiedziałem kiedy.

– No to idź.

– Co?

– Idź do drzwi, zapukaj, niech cię zobaczą.

– Co chcecie zrobić?

– O coś zapytać.

Chłopak zaczął wchodzić po schodach. Śmierdziało od niego potem, skisem wilgotnej meliny. Pociągał nosem. Stał przed drzwiami, zapukał. Chyba spodobała mu się ta zabawa. Bycie na celowniku dawało mu kopa. Adrenalina nieco złagodziła głód. Ktoś zza drzwi zaczął go wypytywać. Głos kobiety, nie chciała go wpuścić. Kolesi miał spuszczone głowę, mamrotał coś pod nosem. Chyba wiedział, jak ją podejść. Rznął zaćpane niewiniątko. Radec stał pod ścianą. Nie lubił tych chwil, kiedy musiał się chować. Czuł się wtedy jak intruz. Wyrzutek. Takie chwile uświadamiały mu, że dla drapieżników takich jak on nie było już na tym świecie miejsca.

Szczęknał zamek. Potem kolejny. Dobrze się zabezpieczyli. W szczelinie pojawiła się twarz. Radec jej nie widział, ale słyszał sapiący oddech. Poczł smród wody. Chłopak spojrzał na tę twarz. Jeśli to była jego matka, to słabo się rozumieli. Nie zdołała wyczytać w jego oczach ostrzeżenia, a on zbytnio się o to nie postarał. Radec kopnął w drzwi. Stłumiony huk, gdy zderzyły się z jej czaszką. Kobieta zatrzepotała ramionami, jak ptak wytrącony z linii lotu. Chyba chciała się chwycić za rozplaszczony nos, z którego trysnęła krew, albo unieść w powietrze, nie za bardzo jednak mogła. Ważyła ze sto czterdzieści kilo. Niska, w koszuli nocnej, małe, sterczące cycki, wielki brzuch, masywne łydki, biała skóra pocięta siatką drobnych żyłek. Upadła na podłogę. Śliski odgłos przelewającego się pod ich stopami tłuszczu. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale w tym momencie Mladen chwycił jej syna za włosy i przycisnął mu nóż do gardła. Radec zamknął za sobą drzwi. Z pokoju wyjechał na wózku podstarzały hipis. Z postrzępionych spodenek moro sterczały chude, białe, pokryte strupami łydki. Przetłuszczona kitka szarych włosów spływała po szurzeży szyi. Wielkie wybałuszone oczy i kościste, żyłaste ramiona od pchania wózka i podciągnięć przy wchodzeniu na kibel. Celował w Radeca z czterdziestkipiątki, trzymając gnata oburącz, pewnie, bez strachu. Radec skinął głową, godząc się na jego grę.

– Odłóż to albo mój kolega oderżnie mu łeb.

Kobieta cofnęła się pod ścianę, ślizgając brudnymi stopami po linoleum.

Naciągała przy tym halkę na tyłek, błysnęły zabrudzone majtki. Hipis na wózku nawet nie drgnął. Wyglądał, jakby czekał na tę chwilę całe swoje życie. Zdeterminowany, żeby wreszcie kogoś rozwalić. Z synem chyba nie łączyły go przyjazne stosunki. Zastanawiał się. Radec skinął głową na Mladena. Ostrze zaczęło ciąć skórę tuż poniżej ucha. Ćpun jęknął, hipis opuścił gnata. Radec się uśmiechnął. Wyciągnął dłoń po czterdziestkępiątkę, zważył ją w dłoni, dobry kawał żelastwa, zadbany. Obszedł wózek, zacisnął dłoń na gumowych uchwytach.

– Chłopak do pokoju, świnia do kuchni – powiedział, po czym wsunął czterdziestkępiątkę za pas i pchnął wózek.

Zorba chwycił kobietę za włosy, machając jej nożem przed twarzą. Zanurzone w zwojach tłuszczu stopy ledwo złapały przyczepność. Na włosach pod pachami zebrały się kropelki potu. Przeszli do kuchni. Radec ustawił wózek przed stołem, zasypał mąką na ciasto. Zorba posadził kobietę na krześle, naprzeciwko hipisa. Spytał o ich imiona. Daria i Andrzej. Poklepał ją po tłustej twarzy. Andrzej chłodnym wzrokiem lustrował napastników. Radec sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął plik zdjęć. Przejrzał je i przetasował, jakby ustawiał kolejność. Potem oczyścił dłonią fragment stołu z mąki i położył na nim pierwsze zdjęcie. Przedstawiało Igora i Dzikiego w hotelowym korytarzu. Na twarzach mieli kominiarki, postać Igora była nieco rozmazana w biegu.

– Poznajesz tych ludzi? – spytał Radec.

– Nie – odpowiedział Andrzej.

– A broń, z której strzelają?

Andrzej ponownie przyjrzał się zdjęciu.

– Dziewiątka. Glock albo sig.

Radec skinął głową. Rozłożył kolejne zdjęcie.

– Dziewiątka. Kamizelki kuloodporne.

Na trzecim zdjęciu zatrzymał wzrok. Położył je na stole i skrzyżował

ramiona, zachęcając Andrzeja, aby ten dokładnie mu się przyjrzał. Zdjęcie przedstawiało zbliżenie martwego Serba, który zginął w pokoju z Dagmarą.

– A to mój młodszy brat z dziurą w głowie.

Andrzej zerknął na zdjęcie z obojętną miną. Radec nachylił się w jego stronę i spojrzał mu w oczy.

– To nie jest Afganistan, żołnierzu. Uzbroiłeś małą armię, a teraz musisz ponieść konsekwencje.

Andrzej przyliżał dłonią włosy i przeciągnął nią po rzadkiej bródce. Skrzywił się, jakby słowa Radeca uraziły jego godność.

– Pokazujesz mi kilka trupów i chcesz wiedzieć, komu sprzedałem te gnaty? Takich skurwysynów to ja widzę na co dzień. – Postukał palcem w stół. – To jest handel. Pieniądz, żelazo, drzwi. – Zagłębił się plecami w oparcie wózka. Rozluźniony zatoczył głową koło, podkreślając tym ruchem ogrom swojej działalności. – Przychodzą z polecenia. Odbieram telefon, pakuję towar i posyłam go w świat...

Radec, nie czekając aż skończy, wyciągnął zza pasa dziewiątkę z tłumikiem i strzelił mu w lewe kolano. Lufa podskoczyła, odbijając się od roztrzaskanej kości. Andrzej nie poczuł bólu. Nie miał czucia od pasa w dół. Krew trysnęła mu do oczu, spryskała ścianę. Zmrużył prawe oko, na moment tracąc widoczność. Jego żona głośno zawyła. Wcisnął przekrzywiony nadgarstek w oczodół, przetaił krew. Spojrzał w dół. Przednia część stawu kolanowego odprysnęła, obnażając ścięgna i białą, lśniącą powierzchnię odłupanej rzepki. Kula wbiła się głęboko w mięsień, omijając tętnicę.

– Boli? – spytał Radec.

Andrzej otworzył usta i pokręcił głową.

– Ubrudziłeś mi ścianę... – odpowiedział, unosząc dłoń, ale nie dokończył, gdyż Radec wsadził mu końcówkę lufy w ranę i wpakował tam kolejne trzy kule.

Druga przestrzeliła mięsień i wbiła się w podłogę, zalewając ją ochłapami



mięсно-kostnej masy. Trzecia o mało nie oderwała mu nogi, robiąc z kolana mięsny bukiet. Radec podstawił mu palce pod brodę i przekręcił jego twarz w swoją stronę. Andrzej tracił coraz więcej krwi. Zbladł na twarzy, powoli odpływał.

– Żołnierzu, popatrz na mnie. – Radec wyłapał jego spojrzenie. – To był Igor Midro i jego ludzie. Potwierdź.

Andrzej przełknął ślinę, jakby chciał coś powiedzieć. Nie przejawiał żadnych oznak paniki poza posępnym zmartwieniem, jakby współczuł Radecowi, że ten nie jest w stanie wyrządzić mu krzywdy.

– Potwierdź – powtórzył Radec. Andrzej milczał. – Ściągnij skalp z jego świni – nakazał Radec.

Zorba szarpnął kobietę za włosy, przycisnął ostrze noża do skóry tuż nad jej czołem i sprawnym pociągnięciem oderznął spory kawałek. To wszystko stało się tak szybko, że kobieta zorientowała się dopiero w momencie, gdy krew zaczęła zalewać jej oczy. Zamrugła nimi, spoglądając w górę, usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku. Zorba rzucił na stół kępkę rudawych włosów wyrastających z pasemka białej skóry.

– Andrzej, powiedz mu – jęknęła kobieta. Wewnętrzne drżenie rezonowało po zwojach tłuszczu.

Andrzej dotknął palcami przestrelonego kolana. Zaczął bezmyślnie ugniatać krawędzie rany, podczas gdy krew lała się coraz gęstszym strumieniem.

– Andrzej! – wrzasnęła żona.

Radec przystawił mu gnata do krocza.

– A tam masz czucie? – spytał.

Żona szarpnęła się, uderzyła pięściami w stół.

– To był Igor Midro i jego ludzie! – wykrzyczała.

Andrzej na dźwięk tego nazwiska poderwał głowę.

– Zamknij pysk – szepnął, po chwili jednak zauważył gnata na swoich jajach, skalp wyrżnięty z głowy żony i spokojną twarz Radece, który wcale nie zamierzał na tym kończyć.

– Potwierdź – dotarło do niego jak przez mgłę.

Zorba zaczął przymierzać się do kolejnego cięcia i Andrzej spuścił głowę w bezsilnym skinieniu, a po chwili potrząsał już nią tak gwałtownie, jakby uderzał w niewidzialny mur w nadziei, że pęknie mu czaszka.

Dziki kluczył osiedlem, aż znalazł dogodne miejsce za garażami. Zatrzymał samochód i spojrział przez szybę na wąski odcinek spękanego asfaltu. Odczekał kilka minut, by sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża, wysiadł i przeszedł wzdłuż rzędu niskich, krytych papą zabudowań. Stał przy ścianie, spojrział na myjnię. Brama była zamknięta, na podjeździe nie stały żadne samochody. Ze środka myjni dochodziło stłumione wycie alarmu. Przez jakiś czas obserwował budynek, po czym ponownie wybrał numer Hiro i odczekał, aż włączy się poczta. Okrążył parking za myjnią, ogrodzony zardzewiałą siatką i wspinał się po trzech betonowych schodkach prowadzących do drzwi na zaplecze. Wyciągnął klucz, przekręcił go w zamku i wszedł do środka. Wycie alarmu stało się głośniejsze. Zamknął szybko drzwi, żeby nie poniosło się na zewnątrz. W powietrzu unosił się skisły zapach skuna. Biuro było zdewastowane, kasetka z pieniędzmi zniknęła. Wyjrzał przez szybę na stanowiska do mycia. Na środku stał frelander z wybitymi szybami i pogniecioną karoserią. Półmrok rozświetlały błyski alarmowych świateł, rozmieszczone po bokach karoserii. Wrócił do pomieszczenia gospodarczego. Pchnął przeszklone drzwi i uderzyła go kakofonia piskliwych dźwięków, które w tak ciasnej przestrzeni o mało nie rozsadziły mu bębenków. Zaglądnął do wnętrza samochodu i przekręcił kluczyki w stacyjce. Alarm się wyłączył, nastąpiła cisza. Odłamki szkła z rozbitych szyb zaszeleściły mu pod stopami. Stał przy ścianie i wyjrzał przez okno, wychylając ostrożnie głowę. Plac był pusty. Wyszedł na parking, okrążył budynek i zszedł po schodkach do garażu. Wyciągnął ze schowka woreczek z heroiną, wsadził go pod kurtkę i wrócił do samochodu.

## 12

Osiedle Piastów. Rzadko zapuszczał się w te rejony. Droga wchodząca między bloki była wąska, po obu stronach zastawiona samochodami. Ślepe, jednokierunkowe ulice, w pełnym słońcu. Rozbujane, czujne typy z browarami, na obchodzie. Spoty dilerów, kuchnie mety. Sieć kontaktów, każdy ruch miał swój odzew, wszyscy czujni, chaty upchane dragami, co drugi na recydywie. Sprzęt pochowany po klatkach na wypadek wjazdu.

Dziki się zapowiedział, inaczej by nie ryzykował. Musiał opchnąć to komuś z zewnątrz, choć był pewien, że wieści dotarły aż tutaj. Dało się wyczuć to napięcie. Mijał bloki, sprawdzał numery, zatrzymał się pod tym, który mu podali. Na ławce siedziało kilku dresów, następnii podchodzili, powolny przepływ informacji. Któryś z nich zauważył Dzikiego, wyciągnął telefon, zadzwonił. Jeden małolat wbiegł do bloku. Dziki sprawdził godzinę. Wyciągnął telefon, ale z klatki wyszedł Ful, diler, z którym się kontaktował, i ruszył w jego stronę. Dziki opuścił szybę, nie wyłączając silnika. Ful podszedł do samochodu. Wygolony nad uszami, z góry kępka włosów przylizana na bok, czarny wąsik, napakowane łapy, koszulka nieco przybrudzona żarciem. Jechało od niego ziołem, jakimś suchym, pustynnym powietrzem.

– Pokaż towar – powiedział, rozglądając się na boki.

Dziki sięgnął pod siedzenie. Wyciągnął herę zawiniętą w kolorową siatkę. Położył na siedzeniu, rozsunął siatkę palcami, mignęła biel, Fulowi wystarczyło. Złapał kontakt wzrokowy z chłopakami na ławce. Dziki zauważył, że ktoś przemyka między blokami na wprost. Ktoś inny na trzecim piętrze zniknął z balkonu.

– Chodź – powiedział Ful.

– Gdzie?

Ful szedł już w stronę bloku. Przystanął, spojrzął na Dzikiego. Dziki

zwinął siatkę, schował towar pod bluzę, wyłączył silnik. Kilka szybkich wdechów, jak przed sprintem, co z tego, jak wysiadł i tak ziemia była miękka, grawitacja słaba, strach w pełnym słońcu nieco silniejszy.

Weszli na klatkę. Ucichły jakieś głosy. Na parterze przy windzie stało dwóch dresów. Jednego z nich Dziki od razu rozpoznał. Karaś. Ten wieczór przed klubem, gdy nie chciał go wypuścić. Koleś dalej miał obitego ryja, powyłaziły siniaki. Dres, z którym rozmawiał, szybko się zmył. Karaś się wyszczerzył, nacisnął przycisk, w górze strzeliły tryby, winda zaczęła zjeżdżać.

– Joł, Dziki, pamiętasz mnie? – Niby się uśmiechał, niby warczał.

Winda tłukła się, w szybcie pojawiło się żółte światelko. Ful otworzył drzwi, wszedł pierwszy, Dziki za nim, na końcu Karaś. Karaś stanął w drzwiach, mięśnie mu podskakiwały, nerwowy tik głową na bok. Wcisnął przycisk, zaświeciła się szóstka. Winda ruszyła.

– Ile tego masz? – spytał Ful.

– Nie wiem, musicie zważyć.

– Heroina, Dziki? – odwrócił się Karaś. – Skąd masz heroinę?

Porozumiał się wzrokiem z Fulem. Dziki chciał znaleźć jakąś odpowiedź, ale słowa stanęły mu w gardle. Ciasnota windy potęgowała atak paniki. Nie lubił ciasnych pomieszczeń. Pot zalewał mu twarz. Tamci zdążyli to zauważyć. Karaś odwrócił się w kierunku drzwi. Winda zatrzymała się na piętrze. Karaś wysiadł. Na klatce drzwi do trzech mieszkań. Karaś podszedł do tych po lewej, przy schodach. Z wnętrza dudniła muzyka. Zadzwonił. Dziki nadal stał przy windzie. Ful ciągle go obserwował. Chwilę czekali, aż ktoś im otworzy. Dziki zaciskał dłonie na towarze, czuł jego miękkość przez materiał bluzy. Powinien ją zdjąć, ale nie miał gdzie tego schować, więc pocił się jak świnia. Otworzył im chudy dres w klapkach i spodenkach. Karaś zamienił z nim kilka słów. Wskazał Dzikiego. Dres otworzył szerzej drzwi, wypuścił tylko Fula. Dziki dostrzegł ciemny, zawalony pudłami korytarz, a na końcu rozświetlone pomieszczenie, które wyglądało na kuchnię. Ful zniknął

w pokoju po lewej. Dziki usłyszał kaszel, stłumione głosy. Dres przymknął drzwi. Karaś się odwrócił, znowu się wyszczerzył. Dziki zrobił krok w jego stronę. Uśmiech zszedł z twarzy Karasia, chłopak w jednym momencie zrobił się czujny. Ktoś pogłośnił muzykę w mieszkaniu, basy zaczęły dudnić. Po chwili drzwi znowu się uchyliły i stanął w nich Ful. Przekrzywił głowę, zapraszając Dzikiego do środka. Karaś stał oparty o ścianę. Ful cofnął się pod drzwi do pokoju. Dziki spojrzał w głąb mieszkania. Zdawało mu się, że na białej ścianie kuchni porusza się jakiś cień. Przygarbiona postać. Dwie, może nawet trzy. Wszystkie głosy ucichły, została tylko muzyka. Postać Fula tonęła w mroku korytarza.

- Wchodzisz? – spytał Karaś.
- Kto tam jest? – spytał Dziki.
- Chcesz opchnąć to gównno czy nie?
- Kto tam jest?
- Kurwa, Ful...

Dziki rzucił się schodami w dół. Dwa piętra niżej obejrzał się za siebie. Nikt za nim nie biegł. W górze rozległy się jakieś krzyki. Na parterze zderzył się z dwoma małolatami. Jeden z nich wybiegł za nim z klatki. Ci na ławce się poderwali.

- Kto to, kurwa, jest?! – krzyczał jakiś małolat.

Dziki, lekko się chwiejąc, przygarbiony, ze spuszczoną nisko głową, zmierzał w kierunku samochodu. Miał wrażenie, że ktoś przez moment za nim idzie, wyczuł świst powietrza od kopniaka. Ktoś krzyknął coś do chłopaków wychylających się z okien na górnych piętrach. Dziki spojrzał za siebie. Dwóch dresiarzy szło w jego stronę, ale on już wsiadał do samochodu. Zatrasnął drzwi, odpalił silnik. Dresiarze zaczęli się nawoływać. Dziki zobaczył kogoś w oknie na szóstym piętrze. Nie był w stanie rozpoznać czy to Ful, ale ci na dole słuchali jego poleceń, łączyli się w grupy i zamierzali odciąć mu drogę ucieczki. Dziki ruszył do przodu, jeden z dresiarzy się cofnął i rozstawił szeroko nogi, jakby zapraszał go do tańca.

– Kurwo – wpadło z lewej przez otwartą szybę.

Usłyszał syk gazu, biorąc gwałtowny zakręt, wciągnął go do środka, zaczął się krztusić. Walnął tylnym zderzakiem w stojący przy chodniku samochód. Zgrzyt stali, coś zabębniło o maskę. Ktoś uderzył łomem w tylną szybę, posypało się szkło. Dziki wreszcie zdołał nawrócić i nie patrząc przed siebie, wystrzelił do przodu z oczami łzawiącymi od gazu. Wyjechał na główną ulicę i nabierając prędkości, przejechał na czerwonym świetle, unikając zderzenia z ciężarówką.

Kilometr dalej zatrzymał się na parkingu supermarketu. Otworzył drzwi i zwymiotował. Siedział przez chwilę i wciągał głęboko powietrze. Wykręcił numer Ewy, ale nie odbierała. Wysiadł, otworzył bagażnik i schował towar pod koło zapasowe. Nie było czasu zająć się szybą. Wyciągnął tylko fragmenty szkła, które zostały w ramie, i pojechał do mieszkania Anki. Jadąc przez Podgórze, zauważył w lusterku chryslera, ten sam model, którym Radec przyjechał na myjnię, ale mogło to być tylko złudzenie, chrysler szybko zniknął w sznurze samochodów. Dziki zjechał w kilka bocznych uliczek, krążył nimi, przystawał, obserwował, chrysler drugi raz się nie pojawił.

Anka mieszkała na Ruczaju. Kiedyś pracowała w jednym z klubów Igora. Igor zrobił jej dziecko i wyłożył kasę na usunięcie. Otworzyła mu zaspana. Po imprezie. Podpuchnięte oczy, twarde, suche od lakieru włosy.

– Gdzie jest Ewa?

– Wyszła.

– Kiedy?

– Nie wiem.

Odepchnął ją, zajrzał do pokoi.

– Ej, weź, spierdalaj – powiedziała.

Zbiegł po schodach, po dwa, na koniec po trzy, łamiąc się pod własnym ciężarem. Wybiegł na osiedle. Biegł środkiem ulicy. Już nie dbał o to, czy

zostanie zauważony. Wpadł do osiedlowego marketu. Zatrzymały go bramki, zdemolował je butem, ktoś za nim krzyknął. Zaczął zaglądać w każdy z rzędów. Gadał coś pod nosem, brudny, spocony, z telefonem przy uchu, nieustannie wybierając jej numer. Ludzie cofali się na jego widok, zahaczył o stojak z napojami, kilka butelek spadło na podłogę i rozbiło się, o mało nie poślizgnął się w lepkim płynie. Wybiegł z powrotem na ulicę. Wszedł do kilku sklepów, potem zaczął biegać między blokami. Spytał kogoś o plac zabaw. Dopiero trzecia osoba mu wytłumaczyła. Było więcej niż pół kilometra, dobiegł tam w kilka minut i znowu o mało się nie zrzygał. Paliło go w płucach, przy każdym wdechu zanosił się kaszlem. Rozejrzał się po placu. Matki z dziećmi, dzieci w piaskownicy, dzieci na huśtawkach, równo przystrzyżony trawnik, pewnie gdzieś w pobliżu radiowóz z patrolem. Wrócił truchtem do samochodu. Jadąc z powrotem do Anki, zobaczył Ewę na ulicy. Szła chodnikiem, pchając wózek. Dziki zjechał na sąsiedni pas i wziął ostry zakręt. Zahamował z piskiem opon i wyskoczył z samochodu. Zdyszany podbiegł do niej i szarpnął ją za ramię.

- Co ty, kurwa, robisz.
- Wyszłam się przejść.
- Mówiłem ci, że masz tam siedzieć.
- Nie będę tam siedzieć przez cały czas. Powiesz mi, co się dzieje?

Dziecko się rozpłakało. Dziki wyszarpnął Ewie wózek i ruszył z nim w kierunku samochodu.

- Co ty odpierdalasz?

Ewa zaczęła go szarpać, ale on nie zwracał na nią uwagi. Otworzył drzwi, wyjął dziecko z wózka i położył je na tylnym siedzeniu.

- Dziki, kurwa, popatrz na mnie!

Otworzył bagażnik i zaczął składać wózek. Nie mógł sobie z nim poradzić, docisnął butem, łamiąc kilka plastikowych elementów, i wepchnął wózek do środka.



- Wsiadaj – powiedział do Ewy.
- Gdzie jedziemy?
- Wsiadaj.
- Jesteś ubrudzony krwią. Kogo ta krew?

Chwyił ją za kurtkę, ale się wyrwała.

- Nigdzie z tobą nie jadę, dopóki mi nie powiesz.
- Zajebią ci dziecko.
- Kto?

Tym razem szarpnął mocniej. Udało mu się ją wepchnąć do samochodu. Siadł za kierownicą i zaczął wycofywać, patrząc przez tylną szybę.

– Ten hotel, o którym mówili w wiadomościach – jęknęła Ewa. – O Boże... to wy.

Dziki nakręcił, wyjechał na prostą, wodząc wzrokiem od lusterka do lusterka.

– To Igor. On zdecydował, żeby tam wjechać. To wszystko nie tak miało wyglądać. Dagmara, ona nakręciła temat. Wykorzystała nas.

– Ty ją zabiłeś?

Dziki nie odezwał się. Zaczął zwalniać, dojeżdżając do świateł.

– Zatrzymaj się – powiedziała Ewa i chwyciła za klamkę. – Zatrzymaj się, bo, kurwa, wyskoczę.

Nacisnął hamulec, odwrócił się.

– Igor zabił Dągmare i zniknął z narkotykami. Miał je sprzedać, podzielić się forszą i chciałem was stąd zabrać, ale coś poszło nie tak, albo zdecydował się zgarnąć wszystko dla siebie. Mafia przysłała do miasta swoje psy i węższą, a tym co zostali odpierdala, bo czują się oszukani i się boją. To tylko kwestia czasu, jak prawda wyjdzie na jaw i wtedy już po nas, rozumiesz? Wiedzą, że jesteś matką jego dziecka i oni to wykorzystają, rozumiesz?

Zdjęła rękę z klamki, sprawiała wrażenie, jakby w jednym momencie opadła z sił, znowu stała się posłuszna.

– Co chcesz zrobić? – spytała.

– Wyjechać z miasta.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Mam kilku znajomych w Jaworznie. Jeden dobry kumpel z kryminału. Mam trochę towaru, spróbuję to popchnąć i będziemy mieli coś na start.

Skręcił na Katowice i zjechał z dwupasmówki.

– Nie powiedziałaś, kogo ta krew.

Wyrównał prędkość. Widok mokrych po deszczu pól go uspokajał. Udał, że nie usłyszał jej pytania, lecz po chwili zauważył jej wzrok w lusterku. Wpatrywała się w niego intensywnie, czekając na odpowiedź.

– Co z matką? – spytała.

– Zapomnij o niej.

– Dziki, co z nią zrobiłeś.

– Została w mieszkaniu. Jak wrócę, zawiozę ją do szpitala.

– To był twój plan, jak mówiłeś, że się nią zajmiesz? Chciałeś zawieźć ją z powrotem do szpitala?

– A jak myślisz, co innego chciałem zrobić, Ewa?

Nie odezwała się. Za szybą przewijały się niskie, ceglane domy, cuchnące oborniki. Otwarte na oścież stodoły pełne rolniczych maszyn. Ugnojone, zaniedbane gospodarstwa. Dziecko spało w ramionach Ewy. Wyjechali ze wsi i zabudowania przeszły w nagie, świeżo zaorane pola. Ciągnęły się aż po horyzont, oddzielone od drogi linią drzew.

Na prostej w lusterku pojawił się chrysler. Wyprzedził kilka samochodów i zaczął przyspieszać. Dziki nie był w stanie dojrzeć, kto siedzi za

kierownicą. Stłumione wycie silnika przybierało na sile, osaczając ich ze wszystkich stron.

– To oni? – spytała Ewa.

– Nie wiem.

Docisnął gaz, wskazówka prędkościomierza pięła się w górę, choć przełożenie na obroty było słabo odczuwalne. Ewa obejrzała się za siebie. Nadwozie chryslera pływało w tylnej szybie, błyskając srebrnym grillem.

– Dziki, zwolnij. – Dookoła żadnych zabudowań. Wąskie pobocze, przydrożny rów i hektary lepkiej, miękkzonej deszczem ziemi. – Dziki! – krzyknęła Ewa, uświadamiając go, że osiągnął niemal maksymalną prędkość.

Wcisnął hamulec, lecz chrysler zachował dystans, unikając zderzenia. Oboje zwolnili. Przez chwilę jechali z tą samą prędkością. Chrysler nieznacznie się oddalał, przybliżał i nagle przyspieszył. Dziki nie zdążył wykonać żadnego manewru. Chrysler w kilka sekund wyprzedził go i zajechał mu drogę. Dziki szarpnął kierownicą, samochodem obróciło na śliskiej nawierzchni. Przecinając na skos sąsiedni pas, zjechał z drogi, przeleciał nad rowem i zarył przednim zderzakiem w ziemi.

Oszołomiona Ewa poderwała głowę. Przypięta pasami zdołała utrzymać dziecko w ramionach. Dziki uderzył klatką piersiową w kierownicę. Wciągnął powietrze, ale coś zatrzymało je w okolicach mostka. Zamarł z otwartymi ustami, czując piekący ból rozchodzący się po żebrach. Półświadomie wymacał stopą pedał gazu i wcisnął go na maksa. Silnik zawył, błoto zbryzgało szyby. Samochód zaczął się powoli obracać, coraz głębiej grzęznąc w ziemi.

– Dziki – powtarzała Ewa, tuląc dziecko do piersi.

Przez zachlapane szyby zdołał dostrzec, jak chrysler powoli ustawia się bokiem do jezdni, po czym wybiegają z niego Mladen i Zorba. Jeszcze raz docisnął pedał gazu, tylne opony na moment złapały przyczepność, samochodem szarpnęło, wewnątrz wypełnił ogłuszający ryk silnika. Dziki zaczął manewrować, pozwalając kołom na swobodny slalom, ale nie ujechali

nawet kilku metrów, jak znowu zaczęli się ślizgać i po chwili samochód stanął w miejscu. Dziki nie zdążył oderwać rąk od kierownicy, gdy za szybą pojawił się Mladen. Wycelował w niego z czterdziestki. Dziki skrzyżował dłonie na karku. Ewa kurczowo ścisnęła dziecko. Mladen otworzył drzwi. Ewa poderwała się z krzykiem, gdy ktoś szarpnął klamkę po jej stronie. Zorba przetarł zabłoconą szybę i postukał w nią gnatem.

– Otwórz mu – powiedział Mladen.

Ewa się nie poruszyła. Mladen wycelował w dziecko. W pierwszym momencie go nie zrozumiała. Miał doświadczenie w takich reakcjach, bo gdy zaczęła kiwać głową, zrobił to samo, potwierdzając, że jest zdolny do rzeczy, z którymi trudno radzi sobie nawet jej wyobraźnia. Objęta jakby nagłym paraliżem, uniosła dłoń i odciągnęła bolec zamka. Zorba otworzył drzwi. Dziki zamknął oczy. Krótki, rozpaczliwy krzyk, gdy Zorba wyrwał Ewie dziecko.

– Masz czas do jutra – powiedział Mladen. – Jak nie, to wrzucimy dziecko do kwasu.

Z gardła Ewy dobył się ryk. Mladen opuścił gnata i dołączył do Zorby, oddalającego się w kierunku chryslera. Dziki wysiadł z samochodu. Ewa podkulila nogi i obejmując kolana, zanosła się płaczem. Dziki, potykając się, szedł za nimi. Stopy zagłębiały się w miękkim błocie niemal po kostki. Mladen odwrócił się i wycelował w niego.

– Stój, kurwa, gdzie stoisz! – zawołał.

Zorba był już przy samochodzie. Podawał dziecko komuś w środku. Nastąpiła krótka wymiana zdań. Zorba, spoglądając na Dzikiego, który powoli, nieustępliwie zmierzał w ich kierunku, wybuchnął śmiechem. Krzyknął coś po serbsku do Mladena. Ten również się roześmiał. Cofając się, pomachał gnatem, zapraszając Dzikiego, aby podążał za nim. Dziki przyspieszył. Gdy od Mladena dzieliło go już tylko kilka metrów, rzucił się na niego. Mladen nie zdążył wycelować. Dziki dopadł do jego nóg. Przewrócili się, nie zdążył jednak zadać ciosu, bo jakieś ramię zacisnęło się

na jego szyi i uniosło go do góry. W przeblysku zauważył Ewę, stała w błocie przed samochodem, miała otwarte usta, ale nie słyszał jej krzyku. Ktoś uderzył go tępym narzędziem w głowę. Nogi ugięły się pod nim, ale nie stracił przytomności. Wciągnęli go do samochodu i rozłożyli na tylnych siedzeniach. Spróbował unieść głowę, lecz ktoś wcisnął ją w siedzenie. Ślina pociekła mu z ust. Krew z rozcięcia na głowie zalewała mu twarz. Trzasnęły drzwi. Samochód ruszył. Dziki czuł, jak przyspiesza. Silnik nabierał mocy. Zorba zaczął ściągać mu spodnie. Dziki się szarpnął, ale wtedy Mladen, siedzący z drugiej strony, przycisnął mu nóż do gardła. Dziki przestał się wyrywać. Zorba rozpiął mu pasek, obnażył pośladki, splunął na nie i rozsmarował po nich ślinę. W prześwicie między przednimi siedzeniami pojawiła się twarz Radeca.

– Widzisz, i Olaf ma nową dziwkę – powiedział z uśmiechem.

Dopiero teraz Dziki zauważył, że za kierownicą siedzi Olaf. Prowadził, nie oglądając się za siebie, jakby został zmuszony, żeby tutaj być. Miał zmęczoną twarz i mrużył oczy, próbując zawęzić pole widzenia tylko do drogi. Co chwila spoglądał na dziecko rozłożone na kolanach Radeca, które ten ścisnął za nóżkę, jak lalkę, której ma zamiar zaraz się pozbyć.

– Posłuchaj mnie – zaczął charczeć Dziki, wypluwając z siebie pojedyncze słowa. – To Dagmara, ona to zorganizowała, a on ją odpierdolił, bo chciał wszystko dla siebie, kurwa, tylko dla siebie... nie mam nic, kurwa, z tego, nie widzisz? Igor będzie dzwonił i przyniosę ci go w zębach, ale nie rób, kurwa, tego, błagam, nie rób, Olaf, nie dziecko, słyszysz? On zadzwoni, powiedział, że zadzwoni, słyszysz skurwysynu co mówię do ciebie?

Radec skinął na Zorbę, a ten zacisnął dłoń na ustach Dzikiego. Kolejne słowa przeszły w stłumiony krzyk, przypominający płaczliwe zawodzenie. Zorba wyjął kutasa i szybko doprowadził się do wzvodu. Radec uniosł dziecko za nóżkę, teraz zwisało główką w dół, jego nabrzmiała od płaczu twarz zrobiła się purpurowa.

– Wiesz, że żyjesz jeszcze tylko po to, żeby nas do niego doprowadzić – powiedział, przyglądając się dziecku z ciekawością, jakby w tych

okolicznościach stanowiło jakieś niezwykle zjawisko.

– Zostawcie dziecko. Zrobię, co chcecie, ale zostawcie dziecko – powtarzał Dziki, już się nie broniąc. Po prostu leżał i przewracał oczami, oblizując wyschnięte od krzyku usta.

– Mam je zostawić? – spytał Radec. – Tutaj? Myślisz, że matka je złapie?  
– Otworzył szybę. Do środka ze świstem wpadło zimne powietrze.

– Niecee! – wrzasnął Dziki.

Radec, trzymając dziecko za nóżkę, wystawił je na zewnątrz. Olaf przyhamował, ale Radec wyjął spod płaszcza gnata i przystawił mu lufę do skroni.

– Jedź – powiedział.

Olaf zacisnął zęby i zaczął przyspieszać.

– Jak się nie uspokoisz, dzieciak się udusi.

Dziki się poddał. Rozluźnił mięśnie. Radec wciągnął dziecko z powrotem. Zamknął szybę. Dziecko było purpurowe na twarzy. Miało otwarte usta, zamknięte oczy. Radec pacnął je w twarz, dziecko wzięło wddech, jakby na powrót ożyło i znowu zaczęło kwilić. Zorba z postawionym kutasem zaczął sapać coś po serbsku. Dziki poczuł nad uchem jego oddech. Nie odzywał się, po prostu zamknął oczy i starał się wyobrazić sobie, że jest gdzie indziej.

– To za mojego brata – powiedział Radec, skinął na Zorbę i włączył muzykę.

Poleciała jakaś serbska piosenka, ludowe motywy. Dziki wydał z siebie zduszone jęknięcie, gdy Zorba w niego wszedł i zaczął go posuwać. Pierwsze pchnięcia były powolne, głębokie, jakby odbywał jakiś rytualny akt. Gdy zaczął dochodzić, przyspieszył, ciężko sapiąc i rozszerzając mu łapami pośladki. Dziki widział owłosioną dłoń Radeca z sygnetem na palcu, wystukującą rytm piosenki na skórzanym podłokietniku. Zorba się spuścił, długo trzymał w nim kutasa, jakby chciał, żeby spłynęła w niego każda

kropla. Gdy tylko skończył, chrysler się zatrzymał, wyrzucili Dzikiego na ulicę i odjechali. Dziki przeczołgał się na skraj drogi i stoczył do rowu. Spodnie nadal miał opuszczone, po udach ściekała mu krew. Zerwał kilka mokrych liści i przetarł odbyt. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwo trafiał. Potem podciągnął spodnie, zapiął guzik. Krew przesiąkła przez materiał. Usiadł na poboczu, ledwo przytomny, trzęsąc się na całym ciele.

Dwadzieścia minut później podjechała Ewa. Zatrzymała się i wybiegła z samochodu. Gdy zauważyła, że Dziki jest bez dziecka, przystanęła i oparła się o maskę. Dziki wstał, przeszedł obok niej i siadł za kierownicą. Zawrócił w kierunku miasta.

# 13

W drodze powrotnej nie odzywali się do siebie. Ewa kołysała się na tylnym siedzeniu, wlepiając martwy wzrok w szybę. Po przejechaniu kilku kilometrów Dziki skręcił w jedną z bocznych dróg. Zza drzew wyłoniła się rzeka. Zatrzymał samochód przy brzegu, blisko linii wody. Deszcz zaczął bębnić o szybę. Na niebie zbierały się ciemne chmury. W cieniu liście drzew miały barwę przybrudzonego metalu. Wysiadł z samochodu. Brzeg usiany był drobnymi kamyczkami. Woda w rzece mętna, niosła jesienne ulewy. Rozebrał się do naga i wszedł do wody. Była zimna, silny nurt lekko go popychał. Zanurzył się głębiej, po pachy. Rozgarnął dłońmi wodę. Odchylił twarz, deszcz skapywał mu do oczu i ust. Śliskie kamienie łaskotały stopy. Odepchnął się od dna i położył na plecach. Powoli wachlował ramionami, pod prąd i z powrotem, próbując utrzymać się na powierzchni. Chłód rzeki porażał, ale z racji tego, iż Dziki stawiał wodzie opór, po chwili zmienił się w oczyszczające ciepło.

Nie był w stanie zliczyć, jak długo tak leżał. Gdy wyszedł na brzeg, Ewa stała przy samochodzie i paliła papierosa. Sięgnął po spodnie, przykucnął na brzegu rzeki i zaczął je przepłukiwać, zanurzając w wodzie i trąc materiał o materiał. Robił to dosyć długo, blady, wychudły stwór na szerokich stopach, z ostrą linią kręgosłupa, łysą czaszką i napiętymi pośladkami. Potem wykręcił je i założył mokre na gołe ciało, lodowate, ociekające wodą. Reszta ubrań też zmokła na deszczu i gdy doszedł do samochodu, dygotał na całym ciele.

Wrócili do miasta. Gdy weszli do mieszkania, Ewa usiadła na kanapie obok matki. Przyjrzała się rozcięciu na jej wardze. Smród moczu i kału z pełnej pieluchy był nie do zniesienia, ale jej zdawał się nie przeszkadzać. Dziki otworzył okno, zaprowadził matkę do łazienki, rozebrał, wsadził do wanny i dokładnie umył. Gdy wstawiała, miał wrażenie, że ściska go za rękę i chce mu coś powiedzieć. Założył jej świeżą pieluchę, ubrał ją w szlafrok i



posadził na fotelu. Potem sam wziął prysznic. Przykucnął w wannie, skierował strumień prysznica na odbyty, z którego nadal wypływała sperma i krew. Cisnął w kuckach tak długo, aż wypłynęło z niego niemal wszystko, choć woda przez cały czas barwiła się na czerwono. Gdy wrócił do pokoju, Ewa leżała zwinięta w kłębek na kanapie, z dłońmi złożonymi pod głową, cicho płakała.

Wyszedł z mieszkania. Zbliżał się wieczór. Żadnego kontaktu z Igorem. W osiedlowym klubie miał kilku znajomych na bramce. Starsze chłopcy, pobudowali już domy na wsiach i wynieśli się z miasta, niezaangażowani w narkotykowe dyle, spokojni jak stare małpy.

Klub mieścił się w budynku po starej spółdzielni mieszkaniowej. Dziki krążył dziesięć minut przy schodach, które prowadziły na piętro. Zarzucił na głowę kaptur, nie chciał, by ktoś go rozpoznał. W miarę jak się ściemniało, schodziło się coraz więcej osób. Bramkarze siedzieli w środku, przy barze. Było ich dwóch. Stał przy nich jakiś koleś, rozmawiali. Dziki znał ich tylko z widzenia, ale jeden z nich, Bogdan, latał kiedyś w ekipie Igora. Niski, krępy, poza bramką pracował jako drwal. Wielkie, styrane dłonie, kwadratowa szczeka, szorstka, czarna szczecina. Niezbyt rozgarnięty, zawsze mało się odzywał i nigdy nie okazywał strachu.

Dziki stanął przy barze, przez chwilę udawał, że zastanawia się, co zamówić. Barmanka paliła papierosa i malowała paznokcie. W plazmowym telewizorze nad barem leciały reklamy na jedyńce. RMF nadawało listę przebojów. W łóżach siedzieli kolesie z panienkami, zbierali się następni. Ciągle ktoś wychodził, wracał, gadał z kimś na zewnątrz. Dziki miał wrażenie, że odkąd się pojawił, zrobił się lekki ferment, ale może tylko panikował. Średnia wieku poniżej piętnastu. Nie znał tych gówniarzy, a oni nie znali jego, bo siedział, jak dorastali. Pomimo to śledził ich wzrokiem, jak rozmawiają przez komórki. Sprawdzał po ruchu warg, czy gdzieś w tym przepływie informacji pada jego ksywa.

Gdy koleś, który gadał z bramkarzami, wrócił do swojej ekipy, Dziki podszedł do nich, zaczepił Bogdana.

– Możemy pogadać?

– O co chodzi.

– Nie tutaj.

– Jestem w robocie.

– Chodź na moment.

Stanęli w korytarzu.

– Słuchaj, potrzebuję kopyta.

– Masz pieniądze?

– Zapłacę towarem.

Bogdan odwrócił się i zaczął się oddalać. Dziki go zatrzymał.

– Dam ci pół kilo brauna.

– Skąd masz pół kilo?

– Bierzesz, kurwa, czy nie.

Bogdan spojrział na niego, zastanowił się.

– Nie mam teraz nic nowego. Wszystko przepalone.

– Daj cokolwiek.

– Na kiedy potrzebujesz?

– Na teraz.

– Nie ma opcji. Muszę to przywieźć ze wsi.

– To jedź.

– Najpierw muszę zobaczyć towar.

– Mam w samochodzie pod blokiem.

– To podjedź nim tutaj.

Ktoś krzyknął na barmankę, żeby pogłośniła telewizor. Spikerka

relacjonowała jakieś wydarzenie. W przebitkach pojawiały się ekipy techników, policyjna taśma, podziurawiony kulami samochód, pozostawiony na skraju drogi. Renault clio, którym Bolec kilka dni temu przyjechał na myjnię. Ten sam kolor, w telewizji nieco wypłowiały, wyróżniał się na tle szarych drzew, stojąc ukośnie do jezdni, na przestrzelonych oponach.

...ostrzelany samochód znaleziony na poboczu dwadzieścia kilometrów od granicy z Czechami – relacjonowała spikerka. – Policja przypuszcza, iż doszło do nieudanej transakcji narkotykowej, w której zginęły dwie osoby, trzecia natomiast jest ciężko ranna. Sprawców nie udało się zatrzymać. Wiele wskazuje na to, iż zabójstwo to jest wynikiem gangsterskich porachunków i może mieć związek z rzezią dokonaną przez krakowskich pseudokibiców tydzień temu w jednym z hoteli w okolicach Janowa Lubelskiego...

Na sali zapanowała cisza. Wszyscy słuchali w skupieniu. Nawet Bogdan się zainteresował. Dziki zaczął się cofać do wyjścia. Ktoś wskazał go palcem. Bogdan krzyknął coś za nim, ale Dziki już zbiegał po schodach. Schował się w mroku, wyciągnął telefon, wybrał numer Olafa. Ten odebrał po kilku sekundach.

– Widziałem w wiadomościach ich samochód – powiedział Dziki.

– Przyjedź tutaj, jest problem. – Olaf zrobił dłuższą przerwę. – Przyjedź z matką jego dziecka. Szybko.

# 14

Stanęli przed drzwiami mieszkania Olafa. Ewa puściła jego rękę. Cofnęła się i oparła o ścianę. Dziki zapukał. Nikt nie odpowiedział. Odczekali, nasłuchując. Szczęknął zamek, drzwi się uchylły. Otworzyła im Kaja. Na twarzy miała rozmazany makijaż, włosy upięte w kucyk. Za duży, obciągnięty dres, ręka w gipsie po bark. Unikając spojrzenia Dzikiego, bez słowa wpuściła go do środka.

W korytarzu panowała ciemność. Okno na końcu było zasłonięte. W ciszy dało się słyszeć jedynie szmer ciał skupionych na jakiejś wspólnej czynności, wymagającej dyskrecji i precyzji. Dziki chwycił Ewę za rękę i ruszył korytarzem. Mijając łazienkę, zauważył, że pali się w niej światło. Przystanął i spojrzał przez uchylone drzwi. Ze środka bił ostry zapach środków czyszczących. Jedna z dziewczyn myła podłogę na kolanach. Spodenki, bose stopy, włosy opadające na twarz. Szorowała dokładnie każdy fragment podłogi, choć nie było na niej widać żadnych zabrudzeń. Inna szorowała wannę drucianą szczotką, w gumowych rękawicach po łokcie, lekko zdyszana, zlana potem. Obie milczące, skupione na pracy. Ta, która myła podłogę, zauważyła Dzikiego. Uniosła dłoń i dyskretnym, pełnym lęku gestem wskazała, aby szedł dalej.

W korytarzu podłoga była również mokra, świeżo przetarta. Dziki stanął w drzwiach pokoju należącego do dziewczyn. Stołowa lampka rzucała słabe światło na dwie twarze pochylone nad wspólną popielniczką. Bose stopy podkurczone na brudnym dywanie, wędrujący w ciemności żar papierosa. Reszta niewidoczna, przyczajona na swoich pryzkach, z podkulonymi nogami, z dala od drzwi. Jego pojawienie się nie wywołało żadnej reakcji, tylko jedna z dziewczyn zaciągnęła się głębiej, jakby z ulgą przyjęła fakt, że wreszcie może zaznaczyć swoją obecność. Reszcie najwyraźniej nadal brakowało odwagi, coś wywołało popłoch w stadzie. Dopiero gdy za jego plecami pojawiła się Ewa, jedna z dziewczyn wstała, podeszła do niej i

chwyciła ją za rękę. Ewa dała się jej poprowadzić. Stanęły nad jednym z łóżek.

Trzy dziewczyny stłoczone na jednym materacu, starały się chronić to, co jedna z nich trzymała w ramionach. Podały Ewie zawiniątko z koca, w środku było dziecko. Ewa przytuliła je do piersi.

Dziki odwrócił się. Po drugiej stronie korytarz otwierał się na salon. Olaf siedział przy stole z Morfiną i Tymonem. Telewizor stał na podłodze, z ekranu biła niebieskawa poświata. Ze stolika o szklanym blacie została tylko konstrukcja, po parkiecie walały się resztki pokruszonego szkła. Kanapa była przesunięta, ktoś zarzucił na nią zmiętą pościel. Na stole stała butelka wódki, sok, trzy szklanki. Morfina nie miał na sobie koszulki. Prawa ręka owinięta kawałkiem materiału. Potężne, wytatuowane ramiona oparł o blat i palił papierosa. Olaf wciągnął kreskę, przetaił nos. Tymon powoli gładził się po łysej głowie, wycofany poza obręb światła, tak że widać było tylko palce wędrujące po skórze i momentami szklisty wzrok, którym bezmyślnie wodził po blacie.

Ewa stanęła obok Dzikiego z dzieckiem w ramionach. Olaf odchylił się na krzesło i spojrzał na nią.

– Możesz iść – powiedział.

Ewa ruszyła do wyjścia, lekko przygarbiona, ze spuszczoną głową. Dziki patrzył, jak zamyka za sobą drzwi. Nie odwróciła się.

– Siadaj. – Olaf przysunął do stołu krzesło. Rozlał wódkę do szklanek.

Morfina otwierał i zaciskał dłoń owiniętą w materiał. Dziki wolnym krokiem podszedł do stołu. Usiadł między Morfiną i Tymonem. Dopiero teraz zauważył na ich skórze ślady walki. Tymon miał naderwane ucho, ślady zębów na przedramionach. Morfina siną obwódkę wokół szyi. Gdy przystawiał papierosa do ust, dłonie nieznacznie mu drżały. Dziki obejrzał się za siebie, jakby spodziewał się, że ktoś jeszcze do nich dołączy. Olaf podsunął mu szklankę z wódką.

– Pij – powiedział.

Dziki sięgnął po szklankę, wypił duszkiem. Zauważył, że Olaf ma na palcu sygnet Radeca. O mało się nie zakrztusił, ale przełknął. Olaf mu się przyglądał.

– Wiemy, gdzie on jest – powiedział.

– Widziałem w telewizji ich samochód – odezwał się Dziki. – Był ostrzelany. Mówili o trupach.

– On żyje – przerwał mu Olaf i położył na stole telefon komórkowy. Na ekranie świeciło się zdjęcie Sylwii, kochanki Igora, którą Dziki poznał w jego domu za miastem. Na zdjęciu była uśmiechnięta, wyglądała na kilkanaście lat. – Znasz ją? – spytał Olaf.

Dziki nie odpowiedział, lustrując go czujnym spojrzeniem, co Olaf uznał za odpowiedź twierdzącą.

– Zadzwoił na jej numer. Dobrze zagrała, choć mocno ją pochlastali.

– Kiedy to było?

– Jakies dwie godziny temu.

– Co jej powiedział?

– Że jest w motelu za miastem. Żeby przyjechała.

Na stole zawibrowała komórka. Tymon poderwał głowę i wpatrzył się w nią przerażonym wzrokiem. Olaf nie zwrócił na to uwagi. Palił papierosa, obserwując Dzikiego.

– Podał adres?

Olaf skinął głową.

– Jak się czujesz? – spytał.

– To się musi skończyć.

– Zastanawia mnie tylko, czemu nie zadzwonił do ciebie.

– Mówiłem ci, że ma na nas wyjebane.

- Albo nie chce, żeby stała się wam krzywda.
- Albo ciągnie was w pułapkę.
- Jest taka opcja. Dlatego pojedziemy wszyscy. Będziesz naszym zabezpieczeniem.

– A Serbowie?

Powieki Olafa uniosły się dopiero po chwili, z lekkim oporem, odsłaniając poszerzone źrenice. Chude ramię drgnęło. Prześlizgnął łokciem po blacie, wykrzywiając wargi z niesmakiem i przejeżdżając po nich językiem, jakby słowa Dzikiego osiadły na nich kwaśnym pyłem. Telefon znowu zawibrował. Olaf chwycił go i rzucił nim o ścianę. Nastąpiła cisza. Tymon nie spuszczał wzroku z blatu, gładząc się dłonią po przedramieniu, delikatnie, jakby miał do czynienia ze skórą dziecka.

– Stęskniłeś się za nimi? – spytał Olaf.

– Co tu się stało?

– Wzięliśmy to na siebie.

Dziki spojrzał na Tymona i Morfinę. Wizyta Serbów odcisnęła na nich trwałe piętno. Zmęczeni walką, brakiem snu, z trudem dotrzymywali tempa Olafowi. Gdy wzrok przyzwyczał mu się do ciemności w głębi salonu, Dziki dostrzegł tam ciemne plamy krwi na ścianach. To miejsce już nie nadawało się do życia. Dziewczyny w korytarzu cicho przekradały się do toalety. Żadna nie zapalała światła, jakby coś, co tam zrobili, było już ich wspólnym sekretem.

– Myślisz, że oni tak to zostawią? – spytał Dziki.

– Nie zostawią – odparł Olaf.

– Nawet jak im oddasz te pieniądze.

– Nie zostawią.

Olaf poprawił się na krześle.

– Jeden z nich, ten który siedział obok mnie w samochodzie. Zabiliście mu brata.

– Myślisz, że miał wystarczający powód?

– Żeby jebnąć dzieckiem o ścianę? Nie bardzo.

Dziki poczuł, jak wódka cofa mu się do gardła.

– Co teraz? – spytał.

– Możemy tu czekać na pluton egzekucyjny, albo jechać po pieniądze. – Olaf rozłożył ramiona i skrzyżował je za głową. – Wybór należy do ciebie. – Potrząsnął dłonią i wlał resztkę wódki do szklanki.

Tymon też spróbował wypić, ale go zemdlilo i rzucił się w kierunku łazienki. Po chwili usłyszeli, jak wymiotuje.

Morfina przetrawił alkohol z kamienną miną. Sięgnął po położoną na blacie czterdziestkępiątkę i uniósł ją na wysokość twarzy, mierząc się z jej ciężarem.



# 15

Tymon prowadził. Olaf siedział obok niego, z gnatem na kolanach. Gdy tylko opuścili mieszkanie, zaczął się rozglądać w poszukiwaniu zagrożenia. Zerkał w lusterka i pocierał nerwowo trzydniowy zarost. Wnętrze samochodu szybko wypełniło się zapachem wody, potu i niedomytej krwi. W drodze prawie w ogóle się do siebie nie odzywali. Musieli wszystko zaplanować, zanim pojawił się Dzik. Morfina przysypiał. Wyjechali na dwupasmówkę. Po jakimś czasie Dzik rozpoznał kierunek. Jechał tu na spotkanie z Igorem w dniu, gdy ten po raz pierwszy spotkał się z Dagmarą. W oddali błysnęły światła stacji benzynowej. Olaf bez słowa wskazał ją palcem. Tymon zjechał na prawy pas, zaczął zwalniać. Wjechali na stację. Przy dystrybutorach nie stały żadne samochody. Okrążyli stację wzdłuż parkingu dla tirów. Tymon wyłączył światła i sunął na wolnych obrotach z dala od latarni. Za stacją znajdował się motel. Niski, z zielonymi ścianami, dachem przyozdobionym balami drewna i rozświetlonym wejściem do recepcji. Tymon nie wjechał na parking przed motelem. Zatrzymał samochód tuż za budynkiem stacji, tak żeby mieli widok na recepcję. Wyłączył silnik. Przez dwadzieścia minut obserwowali wejście. Nikt nie wszedł i nie wyszedł. Jeden samochód zjechał na stację, kierowca zatankował i odjechał. Żadnego ruchu w holu, żadnych samochodów na parkingu przed motelem. Białe światło latarni równomiernie rozlane po asfalcie potęgowało wrażenie rozciągającej się dookoła pustki.

– Zostań w samochodzie – powiedział Olaf do Tymona i wysiadł.

Morfina pchnął Dzikiego. Ruszyli wzdłuż motelu, trzymając się blisko ściany. Olaf zerkał w zasłonięte okna, chowając gnata pod płaszczem. Weszli do recepcji. Przeszklone, ciche drzwi, żółtawe światło, miękki dywan. Przed nimi pogrążony w mroku korytarz, po prawej schody na piętro. Stali przez chwilę w ciszy, próbując wyłapać jakieś dźwięki. Za kontuarem pojawił się młody chłopak. Biała koszula rozpięta przy szyi. Wrodzona niepewność,

teraz granicząca z paniką, choć zdołał zachować resztki rozsądku. Uśmiechnął się, nieco sztucznie i od razu zezował na parking. Olaf wyglądał jak wygłodzony wampir. Wodził oszalałym wzrokiem po wnętrzu, jakby dopiero co wypuścili go z klatki. Cisza, zapach czystości, po tym co przeżył w ostatnich dniach, źle go nastrajały. Czuł, że traci kontrolę. Wyciągnął gnata spod płaszcza, ale nieznacznie, mały fragment czarnej stali z żyłastą, napiętą dłonią.

– Który pokój? – spytał cicho, zgrzytając zębami i ledwo naprowadzając zezujące oczy na rozmówcę.

– Nie rozumiem.

– W którym pokoju się zameldował?

Morfina stanął przy schodach i spojrzął w górę, potem znowu na korytarz, próbując jak najszybciej przyzwycząić wzrok do ciemności.

– Chcesz, żebym sam go poszukał?

Recepcjonista skinął głową.

– Pokój dwadzieścia sześć.

– Ile? – Olaf przestał zwracać na niego uwagę, skupiając wzrok na parkingu. Cofnął się pod ścianę.

– Dwadzieścia sześć – powtórzył recepcjonista.

– Tutaj czy na piętrze?

– Na piętrze.

– Jest tam teraz?

– Wychodził.

– Kiedy?

– Pół godziny temu.

– Jest sam?

– Tak.

– Daj mi klucz.

Recepcjonista wysunął szafkę spod blatu, wyszukał klucz, podał go Olafowi.

– Chodź – powiedział Olaf, wskazując mu, aby podszedł do okna.

Chłopak spełnił jego polecenie.

– Widzisz ten samochód? – W ciemności widoczny był tylko przedni zderzak. – Jest tam nasz człowiek. Jeśli wykonasz jakiś głupi ruch, to cię odpierdoli. My tam sobie na niego poczekamy, a ty siądziesz na tym krześle i spróbujesz się zdrzemnąć, rozumiesz?

Recepcjonista skinął głową. Stał z powrotem na swoim stanowisku i zaczął mechanicznie segregować jakieś papiery. Olaf przyglądał mu się przez chwilę, jakby oceniał poziom jego gry. Morfina zaczął powoli wspinać się po schodach. Olaf pchnął Dzikiego, puszczając go przodem.

Schody kończyły się czymś w rodzaju sali wypoczynkowej. Stolik, dwa fotele, lampka na wysokim statywie, tapeta w paski. Ciemna wykładzina, niski sufit. Dalej był wąski korytarz. Olaf zaczął odczytywać numery pokoi na drzwiach. Stanęli pod właściwym. Olaf przykleił się plecami do ściany. Morfina obstawiał tyły, przez cały czas obserwując schody. Dziki wsadził klucz w zamek, przekręcił. Olaf przysunął się o kolejne kilkanaście centymetrów. Dziki otworzył powoli drzwi. Cisza. Wszedł w ciemność pokoju. Przez zasunięte żaluzje wpadało trochę światła z parkingu. Dziki zrobił kilka kroków, próbując rozpoznać każdym zmysłem, czy ktoś jest w pokoju, wzrok jednak szybko przyzwyczajał się do ciemności. Dostrzegł puste łóżko, zmierzwioną pościel. Olaf bezszelestnie wślizgnął się do środka, wypychając Dzikiego w głąb pokoju. Za nim wszedł Morfina, zamknął drzwi na klucz. Błysnęła latarka w telefonie. Olaf skierował snop światła na podłogę. Pościel na łóżku była zmierzwiona, miejscami sztywna od plam zaschniętej krwi. Wszędzie walały się zmięte chusteczki i papierowe ręczniki, też zakrwawione. Na stoliku kilka zmiętych banknotów, woda

utleniona i bandaż.

Morfina przeszukał pokój. Otworzył szafę, wyciągnął z niej torbę i przeszedł do łazienki. W łazience nie było okien, więc rzucił torbę na podłogę i śmiało poświecił po jej wnętrzu. Brodzik prysznicowy był również ubrudzony krwią. Olaf przesunął krzesło w róg pokoju i usiadł na nim w jakiejś dostojnej, niemal uroczystej pozycji. Morfina wyszedł z łazienki, trzymając w dłoni zwinięty foliowy woreczek z heroiną. Nie było tego dużo. Wyglądało na pół kilo.

– Jest tam jeszcze jeden worek białego i trochę pieniędzy – powiedział i rozejrzał się po pokoju, jakby zastanawiał się, gdzie jeszcze może zajrzeć.

Olaf rozwarł palcami żaluzje i wyjrzał na parking, nie wychylając głowy zza ściany. Mógł stąd widzieć każdy nadjeżdżający samochód. Twarz wychudłego ufoludka szukającego w ciemności swojej bratniej duszy. Dziki nadal stał nad łóżkiem, patrząc na zakrwawioną pościel. W całym pokoju unosił się zapach starej krwi, przepalanej benzyny, pościgu. Olaf wskazał mu, aby usiadł. Morfina zajął krzesło przy ścianie. Skrzypnęło pod jego wielkim cielskiem. Dziki usiadł na podłodze. Ułożył przedramiona na kolanach i ukrył w nich twarz. Przez dłuższy czas siedzieli w ciszy. Dziki przysnął. Obudziły go światła samochodowe sunące po ścianie pokoju. Cichy dźwięk silnika, odgłosy cofania. Silnik zgasł. Dziki wstał, Olaf dał mu znak, żeby nie zbliżał się do okna. Morfina stanął pod ścianą, tuż przy drzwiach. Olaf przetarł czoło łufą gnatu. Nie widzieli stąd samochodu Tymona. Czekali, jednak nikt nie nadchodził. To mógł być przypadkowy kierowca szukający noclegu, jednak po chwili rozległ się dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się otworzyły, usłyszeli ciężki oddech i do pokoju wtoczył się Igor.

Morfina pozwolił mu zamknąć drzwi i włączyć światło, jednak zanim Igor to zrobił, chyba się zorientował, że nie jest sam, bo postawił jeden krok i się zatrzymał, wstrzymując oddech. Olaf, milcząc, celował do niego z dziewiątki, nieruchomy, spojony z ciemnością. Igor zrobił kolejny, ostrożny krok i włączył światło. Zmrużył lekko oczy, kolejny krok, zauważył po prawej Morfinę, dopiero na końcu stojącego przy ścianie Dzikiego. Miał

mętny wzrok, majaczył na granicy przytomności, ale na widok Dzikiego zdołał się uśmiechnąć.

W dłoni trzymał siatkę z logiem apteki. Zaplótł w nią palce, jakby każda kolejna minuta jego życia zależała od jej zawartości. Musiał się pozszywać, stracił dużo krwi. Oczyszczył się, ale nadal było widać, że jest ranny, może nawet śmiertelnie. Miał na sobie nowe ciuchy, były niedopasowane, nieco za duże, starego kroju. Dociskał dłoń tuż nad śledzioną, na materiale w tym miejscu wykwitła plama krwi. Kulał na prawą nogę. Twarz miał bladą, po każdym przymknięciu powiek ledwo otwierał oczy. Nowe ciuchy wyglądały dziwnie niepokojąco na rozbitym ciele, jakby chciał ukryć swoje rany przed wrogami, oszukać ich. Puścił siatkę, na podłogę wysypały się rolki bandażu i buteleczki wody utlenionej. Spojrzał jeszcze raz na Dzikiego, ale szybko opuścił wzrok, jakby wstydził się przed nim swojego stanu.

Olaf wstał z krzesła, Morfina się cofnął. Celował Igorowi w głowę, trzymając gnata oburącz. Osaczali go jak ranne zwierzę, nadal zdolne do ataku. Olaf podrzucił w dłoni woreczek z herą.

– Gdzie jest reszta? – spytał.

Igor się uśmiechnął, kontemplując jego słowa. Musiały dla niego stanowić ograna melodię. Ścieżkę dźwiękową jego życia. Wyciągnął rękę w stronę łóżka, jakby badał nią odległość i usiadł na nim, kładąc dłonie na kolanach, gdyż ledwo trzymał się w pionie, nawet w pozycji siedzącej. Potem uniósł dłoń i przywołał nią Dzikiego. Ten zbliżył się niepewnie, Igor go przyciągnął i posadził obok siebie. Świszczący, ciężki oddech powoli się wyrównywał. Nerwowe przymknięcie oczu zdradziło skupienie na jakimś celu, którego pierwszy etap właśnie został osiągnięty. Zauważył to tylko Dzikie, Olaf nadal był zbyt pochłonięty analizą jego kondycji.

– Spóźniłeś się – powiedział Igor. Sięgnął pod bluzę.

Dzikie zauważył opatrunek przepasany wokół brzucha. Igor skrzywił się, gdy go dotknął i znowu się uśmiechnął, tym razem patrząc na swoje palce, oblepione świeżą krwią.

– Kto ci to zrobił? – spytał Olaf.

Igor zmarszczył czoło. Dłonie opadły bezwładnie wzdłuż kolan. Poruszył kilkoma palcami, chcąc pobudzić krążenie.

– Są na świecie ludzie, którzy nie chcą płacić za coś, co zostało zabrane od trupa.

– Skitrałeś się z tą resztką, żeby tu zdechnąć?

Igor pokiwał głową z wymuszonym entuzjazmem.

– No.

– Wiesz, że to nie będzie takie proste.

– Na razie idzie prościej, niż myślałem. Chyba nie zostało już we mnie zbyt wiele krwi dla ciebie.

Olaf machnął mu spluwą przed nosem.

– Jedziemy – powiedział.

Igor przymknął oczy, głowa opadła mu na klatkę piersiową. Przez chwilę wydawało się, że upadnie, ale nagle się wyprostował, jakby usilnie walczył, żeby nie stracić przytomności.

– Nie chcesz wiedzieć, co się stało? Dlaczego widzisz mnie w takim stanie?

– Przyjdzie na to czas.

– Na twoim miejscu bym się spieszył.

– Nie martw się. Zadbam o ciebie. Jestem przecież opiekunem, nie pamiętasz? Na tym polega moja rola. Myć, pocieszać, karmić. Wskoczyłem do twojego świata prosto z brudnej wanny.

– Jesteś pewien, że chcesz w nim zostać?

– Jeśli tego będzie wymagało zabranie wszystkiego, co ci zostało, to zaryzykuję.

Igor przyjął to do wiadomości ze względnym spokojem.

– Bolec nagrał transakcję. Chcieliśmy to sprzedać, ale ci, co przyjechali po towar, nie zamierzali za nic płacić. Tylko mi udało się przeżyć.

– Myślisz, że w to wszystko uwierzę?

– Będziesz musiał.

Olaf wycelował w Dzikiego.

– Idziemy.

Dziki chciał zaprotestować, ale Igor objął go ramieniem i spojrzał na niego kątem oka, dając mu do zrozumienia, żeby się nie sprzeciwiał. Dziki pomógł mu wstać, poczuł na sobie jego ciężar. Ruszyli w kierunku drzwi. Olaf i Morfina szli za nimi. Igor się potykał. Zeszli po schodach, stopień po stopniu. Materiał bluzy Igora coraz mocniej nasiąkał krwią. Recepcjonista zniknął. Drzwi na zewnątrz były otwarte. Olaf ich ominął i wybiegł na parking. Tymon odjechał.

– Kurwa – warknął Olaf. – Daj mi kluczyki – powiedział do Igora.

Igor sięgnął do kieszeni. Podał mu kluczyki. Wsiedli do samochodu. Morfina za kierownicą, Olaf na siedzeniu obok. Odwrócił się i wspierając nadgarstek o fotel, wycelował gnata w Igora. Zmieniający kolor neon odbijał się na jego twarzy, gdy wodził wzrokiem po braciach.

– Jedź do magazynu Serbów – powiedział.

Morfina spojrzał na niego, przytrzymując dłoń na skrzyni biegów.

– Jedź – powtórzył Olaf.

Morfina wrzucił wsteczny, wycofał i po chwili wyjechali na autostradę. Igor odchylił głowę i zamknął oczy. Jego oddech powoli się wyrównywał, a na twarzy pojawił się wyraz ulgi.

## 16

Znowu obrzeża miasta. Gdzieś od południowej strony. Minęli starą, zdewastowaną stację benzynową. Porozbijane szyby, w środku błyskały latarki. Potem pierwsze osiedla, bloki wymieszane z magazynami, pajęczyny stalowych siatek, płotów, ogrodzeń. Wszystko pozamykane, uspione. Zużyte.

Olaf instruował Morfinę, jak ma jechać. Sam dobrze nie orientował się w kierunku, magazyn Serbów, świeża meta, którą musieli urządzić w celu przesłuchań, z pewnością lepiej do tego przystosowana niż jego piwnica. Zatrzymali się przed budynkiem starej szkoły. Wysiedli, Olaf wprowadził ich do środka bocznym wejściem. W korytarzu paliło się słabe światło. Przemysłowe lampki oświetlały strome schody. Wyszli na piętro. Schody kończyły się dużą salą z niskim sufitem. Kiedyś musiała tu być stołówka, śmierdziało starym olejem. Przeszli na zaplecze, minęli kuchnię. Dalej był korytarz. Olaf pchnął któreś z drzwi i znaleźli się w wąskiej szatni. Ktoś zostawił zapalone światło, dwie szafki otwarte, a w nich ciuchy na przebranie. Na jednym z wieszaków przybrudzony, pomarańczowy kombinezon. Drzwi na końcu szatni były zabezpieczone kłódką. Olaf miał klucz, otworzył je, zapalił światło i wprowadził ich do prymitywnie urządzonej siłowni.

Pomieszczenie nie miało okien. Ściany pomalowane zieloną farbą, miękkie od grzyba i wilgoci. Przy suficie płatanina rur, jakby łączyła się tu kanalizacja całego budynku. Z zatkanych szmatkami odpływów przenikał smród gówna i amoniaku. Na podłodze podarte linoleum. Stary, przerdzewiały sprzęt. Ławeczki do wyciskania, o sprasowanych, obitych skajem siedziskach. Sztangi z ciężarami odlanymi z betonowej formy. Zamocowane do sufitu wysięgniki, część sprzętu rozrzucona. Obok ławeczek wały się hantle. W powietrzu nadal unosił się smród stęchłego potu, jakby niedawno ktoś tu ostro pakował. W rogu pomieszczenia znajdowała się sauna. W środku tliło się pomarańczowe światełko. Przeszkłone drzwi były



zaparowane.

– Rozbieraj się – powiedział Olaf, celując w Igora.

Igor, krzywiąc się z bólu, zaczął zdejmować bluzę. Dziki chciał mu pomóc, ale Igor go odepchnął. Ściągnął bluzę i potrząsnął nią. Krew chlusnęła na podłogę, obryzgała mu twarz. Brzuch miał przepasany opatrunkiem. Rana postrzałowa w okolicach wątroby. Kula musiała mu roztrzaskać żebra. Olaf przyglądał mu się, pełen podziwu dla jego wytrzymałości. Nawet nieco się zbliżył, cały czas trzymając jednak bezpieczny dystans, jakby coś w zapachu jego potu, krwi, mogło zdradzić tę zacieklą determinację. Igor szarpnął opatrunek. Ukazała się dziura po kuli, otoczona siną plamą krwiaka. Spojrzał na Olafa i uśmiechnął się.

– Spory kaliber.

Obmacał ją palcami.

– Utkwiła głęboko. Czuję ją przy samym kręgosłupie.

– Mam uwierzyć, że dałeś wrobić się jak dziecko?

Igor wykrzywił twarz w pytającym grymasie.

– Sam raczej nie strzeliłbym sobie we flaki. Za dużo ważnych organów.

– Nie ominie cię kara – powiedział Olaf.

– Więc radzę się spieszyć – dokończył za niego Igor, niemal wchodząc mu w zdanie.

Olaf zrobił dłuższą pauzę. Odszedł kilka kroków, próbując zebrać myśli.

– Masz dwa wyjścia. Powiesz gdzie ukryłeś towar i wyrzucę cię pod szpitalem. To kilka kilosów stąd, pozszywają cię i przeżyjesz. Gorzej z ulicą, tam jesteś już skończony, po tym jakie piekło zgotowałeś swoim ludziom. Ale będziesz żył. Druga opcja jest taka, że oddam cię w ręce Serbów, a oni wydłużą twoje życie, ale tylko na czas, w którym doznasz jak najwięcej bólu. Potem rozpuszczą cię w ługu.

Igor obejrzał się za siebie.

– A gdzie oni są? – spytał. Odczuwał coraz większą ulgę i walczył z tym, bo tracił koncentrację.

– Być może są już w drodze.

– W drodze – powtórzył Igor. Zabrzmiało to, jakby kończył tym słowem wspólnie rozpoczętą modlitwę. Przebiegł wzrokiem po sali, jakby coś w środku tknęło go do oceny swego położenia, szukania możliwości wydostania się stąd. – To ja do was zadzwoniłem, pamiętasz? Rozmawiając z nią, wiedziałem, że słuchacie. Że skoro zaszliście tak daleko, wiecie o wszystkim, ale mam wierzyć, że to ty ją do tego zmusiłeś?

Olaf milczał.

– Wiesz co myślę? Że został ci tylko Morfina. Ty i on przeciwko całemu światu. Dlatego powinniśmy tutaj usiąść i może zawrzeć jakiś rozejm. Jedyne problem jest taki, że nie została nam żadna karta przetargowa.

– Chcesz powiedzieć, że tyle cierpienia na nic?

– Ktoś zawsze na tym skorzysta.

Olaf skinął głową, przyznając mu rację.

– Zdejmij spodnie.

Igor się zawahał, ale Olaf przystawił Dzikiemu gnata do skroni. Igor wyciągnął dłoń, dając mu do zrozumienia, że już wykonuje jego polecenie. Powoli zsunął spodnie. Rana na udzie zaklejona była taśmą izolacyjną. Udo brudne od zaschniętej krwi.

– Usiądź tutaj. – Olaf wskazał ławeczkę do wyciskania.

Igor opadł na siedzisko. Odwodnione, suche mięśnie na rozedrganym szkielecie. Spojrzał na Dzikiego i uśmiechnął się.

– On o niczym nie wie. Wykorzystałem go tak samo jak tą dziwkę. Przecież to debil, nie przygarnąłbym go nawet do roznoszenia towaru.

Olaf nie przestawał celować Dzikiemu w głowę. Morfina zabrał się za przeszukiwanie spodni Igora. Wytrząsnął kieszenie. Wypadł z nich portfel,

dokumenty, pęk kluczy. Morfina zajrzał do portfela. Pokazał Olafowi kilka banknotów. Dziki nie mógł oderwać wzroku od kluczy. Jeden z nich nie pasował do reszty. Stary, nieco przerdzewiały. Klucz do ich rodzinnego domu na wsi. Domu, w którym się wychowali. Kilkakrotnie zastanawiali się nad jego sprzedażą, jednak Igor snuł plany, że kiedyś odremontuje całe gospodarstwo i tam zamieszka. Dziki przeniósł wzrok na zabłocone buty Igora, nogawki spodni.

– Rozwałę mu łeb na twoich oczach – powiedział Olaf.

Igor uśmiechnął się jeszcze szerzej. Tym razem spojrzał na Dzikiego, próbując odciągnąć jego wzrok od swoich rzeczy.

– To ja odstrzeliłem twojego synalka. Piszczął jak dziwka. Dziki chciał go obronić. Chyba nieźle się tam ze sobą zżyliście w tym twoim burdelu.

Dziki chciał mu przerwać, ale gdy tylko otworzył usta, Igor nasilił słowotok, próbując zwrócić całą agresję Olafa przeciwko sobie, jakby tylko jego śmierć mogła wszystko zakończyć. Dziki już wiedział, po co to wszystko zrobił. Dlaczego podał Sylwii namiar na siebie. Chciał go tu ściągnąć, żeby Dziki został oczyszczony z podejrzeń. Łup z towaru schował w domu na wsi. Być może wszystko to zaplanował, a teraz tylko chciał mieć pewność, że Dziki otrzymał zakodowany przekaz. Wystarczyło jedno spojrzenie, zrozumieli się bez słów.

– Ty skończysz tak samo – ciągnął do Olafa. – Nie jesteś do tego stworzony. Nawet trzymasz to kopyto jak pizda.

Olaf skinął głową na Morfinę. Morfina zaczął wiązać Igora. Oblepił mu nadgarstki i stopy taśmą izolacyjną. Dziki patrzył na to wszystko oniemiały, porażony świadomością, że Igor właśnie przekazał mu cały łup. Powiedział – rób z nim co chcesz, decyzja należy do ciebie, ale jeśli powiesz im teraz, gdzie jest, polowanie nigdy się nie skończy. Jak mnie załatwią, będziesz bezpieczny. Ten sam niegroźny, lekko upośledzony Dziki, weteran zakładów karnych.

– Masz coś do powiedzenia? – Dziki usłyszał szept Olafa tuż przy uchu. –

Czy będziesz tak stał i patrzył, jak on zdycha.

Spojrzenia braci znowu się spotkały. Igor prawie niewidocznie skinął głową, dając Dzikiemu do zrozumienia, że podjął właściwą decyzję.

– To popatrzycie na siebie nawzajem – warknął Olaf i zaczął pchać Dzikiego w stronę sauny.

Igor się szarpnął, ale wymierzony przez Morfinę, potężny cios w szczękę o mało nie pozbawił go przytomności. Olaf otworzył drzwiczki sauny i wepchnął Dzikiego do środka. Cierpki zapach potu i rozgrzanych kamieni wypełnił mu nozdrza. Dno piecyka żarzyło się na czerwono. Temperatura podkręcona na maksa. Dziki wciągnął zbyt głęboko powietrze, poparzyło mu płuca. Na osmalonych listwach zauważył plamy krwi. Posadzka również była zalana krwią, czarnym mazidłem, lepkiem od gorąca. Olaf pchnął go na siedzisko. Z rury przy suficie zwisały kajdanki. Uniósł mu prawy nadgarstek i zacisnął na nim stalową obręcz. Dziki podniósł się, plując krwią od ciosu. Miał rozciętą wargę. Przez cały czas starał się płytko oddychać, by nie oparzyć krtani. W jednym momencie zlał się potem. Uświadomił sobie, że w przeciągu kilkunastu godzin prawie w ogóle nie przyjmował żadnych płynów, z wyjątkiem ciepłej wódki. Olaf cofnął się. Sięgnął po drewniane wiadro i przechylił je nad piecem. Na kamienie spadła kaskada wody. Buchnęły kłęby gorącej pary. Dziki zmrużył oczy, poczuł jak twarz płonie mu żywym ogniem.

Olaf wyszedł z sauny. Zamknął za sobą drzwiczki. Dziki szarpnął nadgarstek. Rura była solidnie wmurowana w ścianę. Odczekał, aż para nieco zrzednie i podczołgał się do drzwiczek. Przez zaparowaną szybę zobaczył, jak Olaf okrąża Igora. Mówił coś do niego, Igor krzyczał i śmiał się na przemian. Wreszcie Olaf sięgnął po jakiś pręt i wbił mu go w ranę w brzuchu. Igor zaczął wrzeszczeć, lecz po chwili stracił przytomność. Dziki nawet go nie słyszał. Wszystko zagłuszało tętno rozsadzające mu czaszkę. Krew się w nim gotowała. Dotknął suchym językiem podniebienia. Czuł, że wypływają z niego resztki wody. Kurczył się. Rozpuszczał. Kilka minut w tym mokrym piekle i nie był w stanie nawet krzyczeć. Miał wrażenie, że

rozlana po podłodze krew paruje i oblepia mu twarz. Olaf zaczął cucić Igora. Dziki widział wszystko niewyraźnie, jak przez mgłę. Obraz się zamazywał. Głowa Igora latała na boki, Olaf bił go po twarzy, z coraz większą siłą. Przy którymś ciosie złamał mu nos, trysnęła krew. Olaf zaczął krzyczeć coś do Morfiny. Morfina zniknął w drzwiach. Olaf otarł dłonie o plecy Igora, który odzyskując na moment przytomność, przekrzywił się nieco w bok. Igor spojrział na Dzikiego za drzwiczkami sauny. Dziki klęczał, pot ściekał mu po twarzy. Zobaczył, że Olaf również znika w drzwiach, teraz w jego polu widzenia został tylko Igor przytwierdzony taśmami do ławeczki. Mięśnie brzucha się poruszały. Nadal oddychał. Dziki rozpiął bluzę, zaczął ściągać lewy rękaw. Potem zabrał się za koszulkę. Naciągnął ją na plecach i zsunął do nadgarstka oplecionego kajdankami. Usiadł na siedzisku. Wciągał powietrze nosem, gdyż miał wrażenie, że jak tylko otworzy usta, połknie kulę ognia. Utrata przytomności oznaczałaby jego koniec. Trochę wylanej na kamienie wody spłynęło na posadzkę. Przyklęknął i zaczął ją zlizywać językiem. Ciepłą, zmieszaną z krwią breję, smak był mu jednak obojętny, potrzebował jakiegokolwiek nawodnienia. Zaczął siorbać. Tutaj, przy podłodze, było nieco chłodniej. Pozostając na czworakach, zbliżył się do drzwiczek i ponownie spojrział na brata. Igor trwał w tej samej pozycji. Dziki próbował pchnąć drzwi, ale brakowało jakichś trzydziestu centymetrów, żeby ich dosięgnąć. Kilka prób i tracił siły, był na granicy omdlenia. Ciało nie mogło działać bez wody. Ramiona się pod nim ugięły. Rozłożył się na podłodze. Czuł, jak tłuste krople potu spływają mu ciurkiem po nosie, po ustach, spadają na posadzkę. Powoli zaczął odpływać. Kilka razy poderwał głowę, ale były to tylko ostatnie impulsy walki. Poddawał się.

Nie wiedział, jak długo tak leżał. Obudziła go fala gorąca rozlewająca się po ciele. Krew uderzyła mu do głowy. Otworzył szeroko oczy. Napłynęła fala mdłości. Uniósł głowę w obawie, że zakrztusi się własnymi rzygami. Ile czasu mogło minąć. Dotknął twarzy. Skóra była gorąca, opuchnięta, wargi spękane. Oblizując je, poczuł krew. Podczołgał się do drzwiczek, były całe zaparowane. Przetarł je dłonią. Ledwo widział, jakby oczy zlepiła mu jakaś błona, powoli jednak wzrok zaczynał się wyostrzać. Igor nadal siedział na

ławeczce, dziwnie zwiotczały, z głową przyklejoną do klaty Morfiny, który pochylał się nad nim z nożem. Morfina przeciął taśmę krępującą mu nadgarstki i gdy odstał od Igora, ten zwał się bezwładnie na podłogę. Dziki otworzył usta, próbując krzyknąć, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gardło miał suche, opuchnięte, tak że ledwo mógł oddychać. W zaporowanej tafli szkła majaczyły zarysy postaci. Olaf pochylał się nad Igorem, przystawiając mu dłoń do ust. Kopał go, krzyczał. Morfina spokojnie rozwijał czarną folię.

Dziki podźwignął się na łokciu, mokry, z językiem wysuniętym w poszukiwaniu choć odrobiny wilgoci. Morfina zaczął zawijać ciało Igora w folię. Olaf przez chwilę chodził wokół ciała i wreszcie ruszył w kierunku sauny. Dziki, odpychając się stopami po śliskiej posadzce, cofnął się pod ścianę. Przyszło mu to z wielkim trudem, mięśnie miał zwiotczałe. Każdy najmniejszy ruch sprawiał, że ciemniało mu przed oczami. Kopnął w drewnianą ścianę. Najpierw niezdarnie, ledwo unosząc nogę, po chwili jednak jego uderzenia zaczęły nabierać mocy, napędzanej coraz większą paniką. Ściany były solidne, a sposób, w jaki był tak przykuty, nie pozwalał na dosięgnięcie ich w pełnym zakresie, pomimo to uderzenia wprawiały całą konstrukcję w drzenie. Po chwili drzwiczki sauny się otworzyły i stanął w nich Olaf. Oczy wytrzeszczone w przerażeniu. Totalna bezsilność, a jednak w głębi nadal jakaś paniczna żądza mordy. W dłoni trzymał gnata. Wraz z nim wpadło do środka trochę zimnego powietrza. Dziki wystawił język, jakby w tym powietrzu buzowały kropelki wody. Spróbował się podnieść, ale stopa się wykręciła, poślizgnął się i upadł, zwisając na dłoni przytwierdzonej kajdankami do rury. Zakołysał się jak martwy wisielec. Dzikiemu przeszło przez myśl, że Olaf go tu zostawi. Gdy dojadą Serbowie, on będzie już martwy. Nie podejrzewał, że wytrzyma tu dłużej niż kolejną godzinę. Znowu się szarpnął, podjął walkę. Nie wiedział z czym, może z samym sobą. Chciał w siebie tchnąć jeszcze trochę życia. Olaf wylał na kamienie kolejne wiadro wody. Gorąca para zalała Dzikiego, oparzyła mu twarz. Wrzasnął i zwinął się w kłębek pod ścianą. Kłęby pary zaczęły powoli rzednąć. Na sali zgasło światło. Zostało tylko pomarańczowe światełko sauny. Olaf postawił wiadro,

zanurzył w nim dłonie i obmył je z krwi Igora. Potem strząsnął kilka kropelek wody na twarz Dzikiego.

– Na razie – powiedział i już miał zamiar wyjść, ale Dzikiego przywołał go skinieniem głowy.

Olaf zawahał się, ale postanowił zaryzykować. Dzikiego machnął dłonią, aby podszedł bliżej. Olaf pochylił twarz. Dzikiego wyciągnął zwiotczoną dłoń w kierunku swojej krtani. Zacisnął palce na grdyce, wydając z siebie rzeżący dźwięk. Ponowił próbę, starając się wypowiedzieć jakieś słowo. Olaf pochylił się jeszcze bliżej i gdy Dzikiego wyczuł odpowiedni dystans, wgrzyzł mu się w krtani. Zacisnął zęby, czując, jak do jamy ustnej wtryskuje mu fontanna krwi, która w panującej dookoła temperaturze wydała mu się wręcz zimnym, ożywczym płynem. Olaf się szarpnął, ale Dzikiego wpił palce w jego ubranie, przyciągnął go do siebie. Olaf niemal się z nim podniósł, Dzikiego był lekki jak dziecko, przerośnięty owad zbudowany z samej chityny, rozgryzał mu tętnicę, tłumiąc krzyk, wołanie o pomoc, które zmieniło się w nic nieznaczące charczenie. Krew w ciepłe płynęła szybciej, krztusił się nią, ale nie popuszczał uścisku szczęki, czując, jak Olaf słabnie, aż wreszcie osuwa się martwy u jego stóp.

Dzikiego wypluł krew, która wypełniała mu usta. Pochylił się nad Olafem i zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Znalazł klucz do kajdanek, drżącą ręką wsunął go w zamek, oswobodził nadgarstek i naciągnął na siebie mokrą koszulkę. Obmacał Olafa w poszukiwaniu gnata. Miał go za paskiem spodni. Ręce tak mu drżały, że zaciskając je na uchwycie, nie czuł jego kształtu.

Wyjrzał przez drzwi na salę. Ciemność. Sięgnął po wiadro i zaczął pić. Metaliczny smak krwi, a poza tym chłód, energia wchodząca w jego ciało. Wypił do dna, odrzucił wiadro. Udało mu się stanąć na nogach. Podpierając się o ścianę sauny, wyszedł z niej w przestrzeń pełną chłodu i powietrza. Znowu mógł oddychać, ostudzona skóra zaczęła go parzyć. Szedł, celując przed siebie. W ciemności wyrzynał się biały prostokąt światła. Przejście prowadzące do szatni. Światło padało wąską smugą na folię rozłożoną na podłodze. Dzikiego poślizgnął się na niej, upadł, przez chwilę czołgał się po

omacku na czworakach, przez cały czas starając się celować w prostokąt światła. Obraz nadal był niewyraźny. Dopadły go dreszcze. Szczekał zębami. Jego skóra parowała, oddawał ciepło. Dobrnął do drzwi. Z oddali dochodził szum prysznicza albo puszczonej z węża wody. Dziki przylgnął do szafek i zaczął powoli zbliżać się do źródła dźwięku. Szafki skręcały, ciągnęły się w stronę kolejnych drzwi, za którymi prawdopodobnie były łazienki. Do drzwi prowadził ślad krwi rozmazany na żółtych kafelkach. Dziki przykucnął obok framugi. Stukające o siebie zęby robiły zbyt dużo hałasu. Po chwili ktoś pchnął drzwi od wewnątrz. Morfina, lekko zgarbiony, w żółtym gumowym fartuchu i rękawicach po same łokcie. Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się, gdyż poczuł, że ktoś za nim stoi. Powoli się odwrócił, unosząc ręce. Dziki wycelował mu w pierś. Morfina patrzył na niego bezrozumnym, tępym wzrokiem. Dziki strzelił mu w płuca. Siła odrzutu go nie ruszyła. Spojrzał tylko w dół, na małą dziurkę w wielkiej kłacie. Zakaszał. Powietrze zaświszczało mu w płucach. Dziki strzelił po raz kolejny, w brzuch, w płuca, w brzuch. Bulgot oddechu. Morfina cofnął się, usiadł na ławeczce. Skulił się jak do srania, z ust wypłynęła mu krew. Znieruchomiał. Dziki otworzył drzwi. Wszedł do łazienki. Na środku stała wanna. Obok niej worek z białym proszkiem i trzy plastikowe beczki. Gdy pochylił się nad wanną, od razu zwymiotował. Wypełniała ją czarna breja, będąca rozpuszczonym ludzkim ciałem. Zanurzone w brei wężyki odprowadzały ją do stojących obok wanny beczek. Pod ścianą stało kilka kolejnych worków ługu, a obok leżały trzy zawinięte w folię ciała. Ciało Igora było do połowy odkryte. Dziki przyklęknął nad nim i przyjrzał się twarzy brata. Miał zamknięte oczy, nie oddychał. Rana na brzuchu się zasklepiła, skóra przybrała blady odcień trupa. Ściągnął z drugiego ciała fragment folii. Ukazała się zmasakrowana twarz Sylwii, tak opuchnięta, że rozpoznał ją jedynie po tatuażu pod uchem. Z głowy miała zdarte skalpy. Goła, czarna czaszka, jakby ktoś wysmarował ją smołą. Obcięte uszy. Zakrył ją z powrotem. Trzecie ciało z pewnością należało do jednego z Serbów. Rozpoznał ich ubrania rzucone na kupę przy ścianie. Portfele, biżuteria. Zaczął je przerzucać w poszukiwaniu klucza. Wrócił do szatni, sprawdził kieszenie Morfiny. Znalazł go w breloku, wraz z kluczykami do samochodu. Wrócił do pomieszczenia z wanną i



powstrzymując mdłości, pochylił się nad ciałem Igora. Sprawdził jeszcze raz puls. Jego brat był martwy. Zawinął go z powrotem w folię i zaczął ciągnąć po podłodze. Przeszedł przez szatnię. Igor był ciężki, lecz śliska podłoga łagodziła opór. Zeszli po schodach. Głowa Igora cicho łupała, uderzając o każdy stopień. Dziki zostawił go, pobiegł korytarzem, wyjrzał na zewnątrz. Zmrużył oczy, bo wstawał świt. Samochód Igora stał na podjeździe. Chłód poranka nieco go orzeźwił. Cofnął się i zarzucił ciało Igora na plecy. Wyszedł z nim z magazynu. Dobrnął do samochodu, uginając się pod jego ciężarem. Otworzył bagażnik, wrzucił ciało do środka, po czym siadł za kierownicą i odjechał.

Samochód podskakiwał na wertepach. Po obu stronach rozciągały się pola, w oddali rysowały się zabudowania ubogiej wsi. Jechał powoli, krew na dłoniach zaschła, skóra lepiała mu się do kierownicy. Był spokojny, temperatura ciała powoli wracała do normy. Zatrzymał się przy gospodarstwie w szczerym polu. Drewniana, niska chata o zapadniętym dachu. Okna zabite deskami. Podziurawiony płot, pochylony ku ziemi. Wszystko porośnięte wysoką trawą, zielskiem. Z tyłu stodoła, z której wystawały bele przegniłego siana.

Dziki wysiadł z samochodu. Niebo było zachmurzone. Przez chwilę stał oparty o maskę, chłodząc się podmuchami zimnego powietrza. Nadchodziła jesień, pola przybrały żółtą barwę. Trochę pamiętał z tych czasów. Zwłaszcza gdy była zima i wszystko wokół zdawało się być dzikie, nieprzystępne. Przeszedł na tył, podniósł klapę bagażnika. Jeszcze raz obejrzał się dookoła, nic tylko pustka. Stare drewno trzeszczało na wietrze. Złapał folię w miejscu nóg, pociągnął z całej siły, ciało wypadło, stuknęło o pylistą ziemię. Przetarł ręce, chwycił worek i zaczął go ciągnąć w stronę prześwitu w płocie, na którym ostała się konstrukcja prymitywnie skleconej furtki. Przełamał kopniakiem kilka sztachet i kontynuował swój mozolny pochód.

Ciało Igora było ciężkie, o wiele za ciężkie dla niego w tej kondycji. Wciągnął go na ganek. Zajrzał przez szpary w oknach. Szyby nadal były całe, dom pomimo starości zdawał się być dobrze zabezpieczony. Wyciągnął z kieszeni klucz, wsadził go w zamek. Klucz pasował. Przekręcił, otworzył drzwi i przez chwilę w nich stał, próbując przypomnieć sobie zapach, rozkład pomieszczeń, cokolwiek z przeszłości, jednak to miejsce było dla niego całkowicie obce. Wciągnął ciało do przedsionka i zamknął za sobą drzwi. Niski, powleczonej pajęczynami sufit. Wszedł do izby, z drewnianą podłogą i piecem przy ścianie. Zostało kilka mebli, stół, krzesła, stara firanka w oknie. Po drugiej stronie był pokój. Kiedyś mieszkali w nim rodzice. W rogu stała

maszyna do szycia należąca do matki. Łóżko zaścielone starą narzutą. Na podłodze zalegała gruba warstwa kurzu, gdy szedł, zostawiał w nim ślady. Zaczął następować na podłogę, szukając jakichś przekrzywionych desek. Obmacał ściany. Wrócił do przedsionka i wszedł wąskimi schodkami na piętro. Ich dawny pokój mieścił się na poddaszu. Jedyne meble, jakie tu zostały, to dwa łóżka, a raczej same przerdzewiałe ramy ze sprężynowym podkładem. Łóżka ustawione były przy ścianie, naprzeciwko siebie, tak samo jak w ich dzieciństwie. Pomędzy nimi znajdowało się małe okienko, wpadało przez nie trochę światła. Dziki usiadł na jednym z łóżek, skrzypnęły sprężyny. Przejechał palcem po ramie, ścierając z niej kurz. Siedział tak przez chwilę, patrząc w kwadrat szarego światła wypełniający okno, a potem położył się na plecach, z rękami pod głową. Ciało lekko się zapadło, ale było mu wygodnie. Z tej pozycji przeczesywał wzrokiem ściany. Dach nadal miał dobrą izolację. Wnętrze było suche, ciepłe, nabrało charakteru. Pomyślał o ciele Igora leżącym w przedsionku. Wstał, zszedł na dół i ściągnął z niego folię. Ciało było opuchnięte, nadal lepilo się od krwi. Dziki chwycił je pod pachami i zaczął wciągać po schodach. Dwa stopnie się załamały, cała konstrukcja trzeszczała pod ich ciężarem i ostatni odcinek musiał pokonać bardzo ostrożnie. Gdy wreszcie udało mu się wciągnąć ciało na piętro, osunął się zdyszany na podłogę i przez minutę dochodził do siebie. Potem dotaszczył ciało do jednego z łóżek i położył je na nim. Skrzyżował sztywne ramiona na klatce piersiowej i przetarł twarz, oczyszczając ją z krwi. Usiadł na łóżku obok i przez chwilę wpatrywał się w martwe ciało brata. Przeniósł wzrok na ścianę. Jedna z krokwi przy suficie była nieco cofnięta. Dziki wstał, dotknął jej, klocek drewna był poluzowany. Odlepił izolację ze zmielonych warkoczy drewna, potem następną warstwę, rwał je całymi garściami, krztusząc się w unoszącym się pyłe. Na koniec wysunął klocek. W balu wyróżnione było zagłębienie, a w nim upchnięta reklamówka. Dziki wyciągnął ją i zajrzał do środka. Wypełniały ją banknoty euro, rzucone luzem, niemal same setki, niektóre poplamione krwią.

Dziki usiadł na podłodze, wysypał pieniądze i rozgarnął je dłonią, żeby choć na oko oszacować ich ilość. Nie wyglądało to na całość pieniędzy z

łupu, a jednak coś udało się Igorowi ocalić. Dziki schował je do reklamówki, zszedł na dół, tym razem po cichu, nasłuchując, czy z zewnątrz nie dobiegają jakieś wrogie dźwięki. Wetknął reklamówkę w schowek nad drzwiami i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi na klucz. W stodole odnalazł pomieszczenie, w którym ojciec trzymał narzędzia. Wszystko zostało na swoim miejscu, widły, łopaty, ustawione w rzędzie przy ścianie. Wyszukał kanister i gumowy wężyk. Potrząsnął nim, by się upewnić, że jest pusty. Wyszedł na zewnątrz, stanął przy swoim samochodzie, wsadził jeden koniec wężyka do baku, a na drugim zacisnął usta i zassał benzynę. Splunął i zatkał wężyk palcem, wycelował nim we wlew kanistra, puścił, benzyna zaczęła spływać, bębniąc po skorodowanym blaszanym dnie. Gdy napełnił kanister, wyciągnął wężyk z baku, strząsnął z niego resztki benzyny i zakręcił wlot paliwa. Otworzył drzwi samochodu od strony pasażera, zajrzał do szafki na dokumenty, przechylił się na sąsiedni fotel, wsadził dłoń w zagłębienie w drzwiach i wymacał zapalniczkę. Wsiadł i ruszył w stronę domu. Wszedł na piętro, stanął nad ciałem Igora i rozlał wokół niego równomierny okrąg, uważając, żeby nie zachlapać mu skóry. Potem zaczął się cofać, lejąc benzyną po swoich śladach aż na zewnątrz. Zabrał reklamówkę z pieniędzmi, zszedł po schodkach i przystanął kilka metrów od ganku. Cisnął pusty kanister do przedsionka. Wyciągnął zapalniczkę, wykrzesał ogień i rzucił nią w kałużę benzyny. Buchnął płomień. Dziki obserwował jego drogę, jak mknie w kierunku domu, wspina się po schodach i rozprzestrzenia na poddaszu, trawiąc w szybkim tempie suche drewno.

# 18

W mieście skręcił na parking najbliższej galerii handlowej. Jadąc po spirali, mijał pogrążone w mroku piętra. Dłonie zastygły na przekrzywionej kierownicy, jakby już na zawsze chciał pozostać w tym płynnym zawieszaniu. Na ostatnim odcinku zwiększył obroty i wyjechał na dach. Parking był niemal całkowicie pusty. W dole rozbrzmiewały dźwięki dworca kolejowego. Zatrzymał się z dala od wejścia do budynku, wysiadł, zjechał windą na dół i zamówił taksówkę. Kazał zatrzymać się kierowcy kilka bloków dalej, by wy badać teren. To samo zrobił, gdy wyszedł z więzienia. Chciał sprawdzić, czy coś się zmieniło, czy ktoś go rozpozna. Wtedy wydawało mu się, że jest innym człowiekiem, choć właściwa przemiana nastąpiła dopiero teraz. Musiał pochować trzech ojców, żeby dojrzeć do tej roli. Teraz jego życie znaczyło o wiele więcej. Musiał być ostrożny. Musiał żyć dla tego dziecka. Poświęcił dla niego życie brata, bo on tak chciał, bo obaj tego chcieli, jakby w ich podświadomości tliła się myśl, że następne pokolenie zmyje z nich całą winę.

Gdy znalazł się na klatce schodowej, z ulgą wypuścił powietrze. To uczucie zagrożenia będzie mu towarzyszyło już zawsze. Każdy pokonywany stopień drastycznie pozbawiał go sił. Chciał już się tylko położyć i zasnąć, i obudzić się w innym miejscu, z dala od tego miasta, gdzie nie zostało już nic, co mógłby wskrzesić.

Otworzył drzwi do mieszkania i po cichu wślizgnął się do środka. Dopiero teraz w pełni poczuł bijący od niego smród potu i benzyny, i tej słodkiej brei, która unosiła się znad wanny, pełnej rozpuszczonych ludzkich ciał. Zdjął ubłocone buty i uchylił drzwi do pokoju Ewy.

Kształt jej ciała rysował się pod pościelą. Równomierny oddech świadczył o głębokiej fazie snu, która zawsze była jakąś alternatywą poczucia bezpieczeństwa.

Dziki zrobił kilka kroków i stanął nad łóżeczkiem dziecka. Rozchylił pościel. Łóżeczko było puste. Nadal ciepły koc utrwalił jego kształt. Podeszedł do łóżka i pochylił się nad Ewą. Odsunął fragment kołdry, odsłaniając jej nagie ramiona owinięte wokół twarzy. Poruszyła się i zaczęła powoli przebudzać, naciągając kołdrę na twarz.

Dziki odwrócił się i jeszcze raz rozejrzał po pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy mógł coś przeoczyć, czy istnieje jakaś szansa, że cofnie się do drzwi, wejdzie tu po raz drugi i zastanie wszystko tak, jak to sobie wymarzył. Szarpnął kołdrę i zrzucił ją na podłogę. Zaspana Ewa podwinęła nogi i mruknęła coś pod nosem. Dziki położył dłonie na prześcieradle. Odwróciła się w jego stronę i przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

– Dziecko – powiedział.

Ewa się uśmiechnęła. Pod nosem miała plamkę zaschniętej krwi. Jego obecność nadal wydawała się być dla niej częścią narkotykowego snu. Przetarła oczy wierzchem dłoni.

– Co? – wymamrotała.

Dziki odstąpił od łóżka.

– Gdzie jest dziecko? – powtórzył.

Ewa, nadal się uśmiechając, wyprostowała wskazujący palec, zatoczyła nim kółko i wskazała na łóżeczko. Dziki podążył za jej wzrokiem dopiero po kilku sekundach, podeszedł do łóżeczka, objął dłońmi jego krawędzie i wysypał jego zawartość na podłogę. Koc, miniaturowe poduszki, szeleszczące grzechotki. Ewa przyglądała im się w pełnym podejrzliwości skupieniu, jakby Dziki zrobił jej zły żart. Usiadła i powoli zsunęła nogi z łóżka, ostrożnie kładąc stopy na podłodze. Jej ruchy były dziwnie przemyślane, jakby nie chciała zbyt pochopnie wpadać w panikę, która szybko przejmowała nad nią kontrolę. Potrząsnęła głową, próbując coś powiedzieć, ale sytuacja nadal wydawała się jej zbyt nierealna, by ją skomentować. Potem znowu spojrzała na przewrócone łóżeczko i nieświadomie zaczęła gładzić się po udach. Jej dłonie przyspieszały, na

twarzy pojawił się grymas tłumionej rozpacz.

Dziki cofnął się do drzwi i rozejrzył po przedpokoju. Ewa zaczęła coś mówić, ale nie rejestrował jej słów, skupiony na wyłapaniu jakichkolwiek dźwięków w pozostałej części mieszkania. Drzwi do pokoju matki były otwarte. Stanął w nich i spojrzał na puste łóżko, rozwleczoną po podłodze pościel. Drogę do pokoju gościnnego pokonał jakby w zawieszaniu, próbując wydłużyć każdy stawiany krok. Gdy ujrzał matkę, zatrzymał się i cofnął pod ścianę. Siedziała w swoim fotelu. Okna były zasłonięte, w pokoju panował półmrok. Matka miała na sobie szlafrok, lekko rozchyłony na piersiach. Głowa opuszczona, przygarbione plecy, bosa stopy skrzyżowane do wewnątrz. Siedziała nieruchomo, a z jej piersi wydobywał się cichy, syczący oddech, w którym dało się słyszeć szelest śliny przepływającej przez zaciśnięte zęby. Jej ciało było napięte, jakby siła, która ją sparaliżowała, nadal nie mogła znaleźć ujścia. Dłonie miała złożone na kolanach, palce rozpostarte jak szpony. Trzymała w nich dziecko. Dziki zbliżył się do niej. Dziecko się nie ruszało. Było sine, jego odchylona główka bezwładnie zwisała z korpusu, usta zastygły w grymasie krzyku, palce rozcapierzone w próbie obrony. Dziki sięgnął po dziecko i wziął je w ramiona. Było martwe.

W drzwiach stanęła Ewa. Jej krzyk dochodził do niego jakby zza ściany. Zbliżała się i oddalała, okrążała go, raz wyciągając ręce po dziecko, a raz je cofając. Nie czuł jej ciosów, paznokci wpijających się w jego skórę. Odizolował się. Cofnął się z dzieckiem do światła, spojrzał na jego sztywny, spuchnięty korpus. Na szyi zauważył siną obwódkę. Namierzył jego drobne usta i zaczął wpuszczać w nie powietrze, czując, jak tułów dziecka pęcznieje mu w dłoniach po każdym wdechu. Pobiegł do łazienki, puścił wodę z kranu nad wanną i wsadził dziecko pod zimny strumień, co chwilę przyciskając jego usta do swoich, pompując w nie powietrze, aż sam zaczął się dusić, przekazując mu niemal każdą cząsteczkę tlenu.

Matka siedziała samotnie w pokoju. Jej oddech wrócił do normy, szcękoscisk ustąpił, na twarzy znowu pojawił się ten sam, obojętny wyraz i tylko jej dłonie się poruszały, palce zaciskały się jak wyładowany mechanizm, zaprogramowany do wykonania ostatniego zadania w tym

chwilowym przebłysku świadomości, która tym razem ulegała ostatecznemu wygaszeniu.



# 19

Szli po zatłoczonym dworcu, trzymając się za ręce. Jej uścisk był słaby, palce wyslizgiwały mu się z zaciśniętej dłoni. Nierówny chód lunatyka, wykrzywione stopy, kołyszące się w za dużych obcasach. Szarpał ją, gdy przystawała, choć obiecał sobie, że nie będzie tego robił. Jej bezwład go przytłaczał, spowalniał go. Na razie ustępowała, lecz coraz bardziej opornie. Jakby cofnęła się do rozwoju dziecka, któremu samą sobą chciała przywrócić byt.

Dziki ciągnął za sobą walizkę z pieniędzmi. Jednostajny łoskot obracających się kółeczek, banknoty poupychane w rękawach. Połowa dla niego, połowa dla niej. Nawet nie zdążyli tego policzyć. Odkręcone kurki gazowe na pożegnanie. Zostawili tam matkę z dzieckiem w ramionach. Posłusznie wdychała wypełniające się gazem powietrze. Tym razem była gotowa.

– Który pociąg? – powtarzała Ewa, na wpół się uśmiechając.

Nie mógł się w tym wszystkim rozeznać. Z głośników leciały niezrozumiałe komunikaty, co chwilę nadjeżdżały nowe pociągi, metaliczny hałas, migające tablice informacyjne. Jej nabity pieniędzmi plecak odstawał od pleców, zdawała się chwiać pod jego ciężarem, nie za bardzo świadoma jego zawartości. Szli przez potok przeciskających się ludzi, którzy gnali w różnych kierunkach. On miał na sobie komplet na szybko zakupionych ubrań, źle dobranych, każde innej marki i każde w innym stylu. Kupione po to, żeby wmieszać się w tłum, a wywołujące całkowicie odwrotny efekt. To dlatego ludzie mu się przyglądali, rzucał się w oczy. Może szedł zbyt blisko ściany, ciągle obserwując rozmieszczone w rogach kamery. Ewa sprawiała wrażenie ubranej przez niego, w ciuchy, które on uznał za stosowne do jej psychicznego stanu, choć niektóre elementy miały z nim kontrastować, jej nie robiło to jednak żadnej różnicy. Musiał trzymać ją za rękę i ciągnąć za sobą. Patrzyła na latające przy suficie gołębie. Trzepot ich skrzydeł nioś się

po betonowym sklepieniu, co wprawiało ją w niemal dziecięcy zachwyty.

Stanęli przed tablicą informacyjną. Sprawdził odjazdy pociągów. Cyfry zmieniały się, ciągle wytyczanie nowych dróg. Stanęli w kolejce do kas. Jej martwy wzrok przykuwał uwagę. Dziki spoglądał wtedy na nią i udawał, że coś do niej mówi. Gdy nadeszła ich kolej, stanął przy kasie.

– Dwa bilety do Amsterdamu – powiedział.

Kobieta po drugiej stronie wklepała dane, bilety zaczęły się drukować. Dziki odliczył pieniądze, wsunął je pod okienko. Niedomyta krew pod paznokciami. Kobieta wydała mu resztę, uśmiechnęła się i przekazała mu bilety. Dziki chwycił Ewę za rękę, wyrwała mu się. Mężczyzna stojący za nią odwrócił wzrok. Dziki podjął kolejną próbę, tym razem mu ustąpiła. Mieli dwadzieścia minut. Usiedli na ławce. Ona kładła mu głowę na ramieniu. Zdejmowała buty, a on zakładał je z powrotem. Wyciągnęła papierosa.

– Muszę zapalić.

– Tutaj nie wolno.

– Chodź zapalić.

W podziemnym przejściu znaleźli kawiarnię. Ewa siadła przy szybie. Dziki zamówił dwie kawy. Bez mleka, bez cukru, i tak nie czuł żadnego smaku.

– Gorzka – powiedziała.

– Pij.

Zapaliła.

– Jaki wzięłeś przedział?

– Dwuosobowy.

– Są w nim łóżka?

– Są.

Pokiwała głową.

– Ile trwa podróż?

Dziki spojrział na bilet.

– Pisze, że dziewięć godzin.

– A potem gdzie?

– Zostaniemy tam przez jakiś czas.

Poprawiła się na krześle.

– Opowiadają o tobie dziwną historię.

– Jaką historię.

– Tą z papugami.

– No.

– Jest prawdziwa?

– Zależy, którą wersję słyszałaś.

– Tą, że przywiązałaś je sznurkami do motocykla.

– I co dalej.

– I jechałaś z nimi, dopóki cię nie złapali.

– Na razie wszystko się zgadza.

Ewa spojrzała przez szybę. Jej wzrok przykuła matka z dwójką dzieci. Wykrzywiła usta i Dziki to zauważył. Sięgnął do sąsiedniego stolika po cukier i posłodził jej kawę.

– Chcesz wiedzieć dokładnie, jak to było?

– Chyba i tak mi powiesz.

– Dawno nikt mnie o to nie pytał.

– A nie lubisz sobie tego przypominać.

– Bo ludzie myślą, że zrobiłem to z głupoty. Ale one przez chwilę naprawdę za mną leciały.

- Mogłeś je schować do worka.
- Nie chciałem, żeby połamały sobie skrzydła.
- Mało z tych skrzydeł zostało.
- Były słabe, zmęczyły się w locie.
- To wcale nie jest śmieszna historia.
- Niektórym wydaje się śmieszna.
- Mi nie.
- To znaczy, że rozumiesz jej sens. – Zawiesił na niej wzrok, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale to przemilczał. – Chodź, już czas.

Wyszli na peron. Pasażerowie gromadzili się przy odpowiednich torach. Ewa osunęła się na kolana. Pomógł jej wstać, przytrzymała się go kurczowo. Powieki jej lekko drżały, mimowolnie uśmiechała się do wszystkich naokoło. Ludzie starali się nie zwracać na nich uwagi, choć przychodziło im to z wielkim trudem. Bagaże większe od nich samych. Nerwowe odliczanie. Bilet tylko w jedną stronę. To się dało wyczuć. Ewa powiodła po wszystkich wylęknionym wzrokiem, Dziki objął ją ramieniem. Zmusił, by odwróciła się w kierunku torów. Spojrzał na zegar. Do przyjazdu pociągu zostały cztery minuty.

- Muszę usiąść – powiedziała.
- Usiądziesz w pociągu.
- Nie. Teraz. – Znowu zaczęła osuwać się na kolana.

Ledwo zdołał ją przytrzymać, podprowadził ją do ławki, jakiś mężczyzna ustąpił jej miejsca. Dziki oddalił się od niej o kilka metrów i zaczął przyglądać się jej z tej odległości. Ona to zauważyła, uśmiechnęła się do niego, on odwrócił wzrok. Podszedł do niej. Stał tuż za jej plecami. Znowu na niego spojrzała, tym razem nieco zaniepokojona jego zachowaniem.

- Co? – spytała.

Rozglądał się po peronie. Splunął do kosza.

– Zaczekaj tutaj, zaraz wrócę – powiedział.

– Gdzie idziesz?

– Nieważne, po prostu zaczekaj.

Spojrzała na tablicę informacyjną.

– Zdążysz? – spytała.

– Tak – odpowiedział i zaczął się oddalać w kierunku schodów.

Ewa patrzyła, jak znika w jasnym świetle bijącym z podziemnego przejścia. W tunelu rozległ się dźwięk nadjeżdżającego pociągu. Ludzie zaczęli się przeciskać do krawędzi toru. Pociąg wjechał na peron. Ewa jeszcze raz spojrzała w kierunku schodów. Pociąg wyhamował, drzwi się otworzyły, pasażerowie zaczęli wchodzić do środka. Wyciągnęła z kieszeni bilet, odczytała numer wagonu. Minęło kilka minut. Peron powoli pustoszał. Niemal wszyscy pasażerowie zajęli już swoje miejsca w przedziałach. Ewa nadal siedziała na plastikowym krzeselku, rozglądając się po pustym peronie.

– Pociąg będzie zaraz odjeżdżał – poinformował ją konduktor.

Skinęła głową. Potem powoli wstała i zaczęła iść w kierunku wagonu. Gdy wsiadała, nie obejrzała się już za siebie. W przedziale zdjęła plecak i położyła go na kolanach. Po raz ostatni spojrzała przez szybę na pusty peron i zasunęła zasłonę. W przedziale zapanował półmrok. Rozległ się sygnał do odjazdu i pociąg ruszył, delikatnie wciskając ją w oparcie fotela.